

Chitra Banerjee
Divakaruni

Tłumaczka snów

Moim trzem mężczyznom
Murthy'emu
Anandowi
Abhayowi
wszystkim śniącym

Podziękowania

Na moje najserdeczniejsze podziękowania zasłużyły następujące osoby:

moja agentka, Sandra Dijkstra za różne sposoby, jakimi nieustannie okazuje mi swą pomoc; redaktor Deb Futter za swoje mądre pytania; Kim Chernin, Deepika Petraglia - Bahri i Lawrence Hogue za swoje komentarze; moja matka Tatini Banerjee oraz moja teściowa Sita Divakaruni za błogosławieństwa; Murthy, Anand i Abhay za miłość i wyrozumiałość; Baba Muktananda, Swami Chinmayananda i Gurumayi za ich obecność w moim życiu.

To, co wiemy, i czego nie wiemy,
jest nierozdzielne jak bliźnięta syjamskie...

Zamęt, zamęt...

Kto potrafi odróżnić morze od tego,
co się w nim odbija? Albo wskazać różnicę
między padającym deszczem a samotnością?
(Haruki Murakami „Sputnik Sweetheart”)

Mówimy: „Ameryko, jesteś wspaniała”, a chodzi nam o
to, że mamy złamane serce

(Reetika Vazirani „It's a Young Country”)

1. Z dzienników snu

Ostatniej nocy odwiedził mnie wąż.

Byłam zaskoczona, chociaż w dzisiejszych czasach mało co mnie zaskakuje.

Nie pamiętałam, że jest aż tak piękny. Jego zielone łuski lśniły niczym krople deszczu na bananowcach w splechotku ogródka, który uprawialiśmy za jaskiniami snów. Ale może w miarę upływu lat zaczynam dostrzegać piękno tam, gdzie przedtem się go nie spodziewałam.

Powiedziałam: Trochę to trwało, przyjacielu. Ale cię o to nie obwiniam. Już nie.

Aby pokazać, że i on nie żywi urazy, otworzył szerzej oczy. Było to jak błysk słońca na odłamku lustra.

Ostatni raz pojawił się, kiedy w moim życiu nastął czas wielkiej zmiany - najpierw szansy, później ciemności. Od tamtej pory nie wrócił, chociaż płakałam i nawoływałam go, póki nie zabrakło mi głosu.

Czemu więc przyszedł teraz, kiedy pogodziłam się już ze stratami i dobiłam targu? Kiedy rozluźniłam zaciśnięte pięści i wypuściłam z nich to wszystko, za czym tęskniłam?

Jego ciało połyskiwało światłem. Pełnym, wyrazistym światłem z domieszką nadmorskiego fioletu, światłem późnego popołudnia w cyprysach nad Pacyfikiem. Obserwowałam go przez jakiś czas, wiedząc, że zjawił się po to, aby mi zwiastować kolejną zmianę.

Ale kogo miałyby dotyczyć? I co oznaczać?

Nie narodziny. Rakhi, już i tak samotna matka, nigdy by sobie na to nie pozwoliła. Chociaż ta moja córka zawsze zachowywała się nieobliczalnie.

Więc pojednanie? Rakhi wróci do Sonny'ego? Wciąż miałam na to nadzieję... A może w jej życie lada moment wkroczy nowy mężczyzna?

Wąż matowiał w oczach, aż przybrał kolor wodorostów, był niczym cienka nitka zawieszona w zielonkawym szlamie. To śmierć zwiastował.

Serce zaczęło mi walić, ale powoli, nierytmicznie. Artretyczny łomot, odbijający się w każdym zagłębieniu mego ciała.

Niech to nie będzie Rakhi ani Sonny, ani Jonaki. Niech to nie będzie mój mąż, którego zawiodłam na tak wiele sposobów.

Wąż kurczył się i rozkurczał, stał się już prawie niewidoczny. Hieroglify, węzły, splątane kształty.

Zrozumiałam.

Czy to będzie bolało?, szepnęłam. Bardzo? Uderzył ogonem. Powietrze miało kolor starego drutu telegraficznego.

Czy przynajmniej nastąpi to szybko?

Po drgnięciu łusek poznałam, że tak. Skądś pojawił się dym i zaczął go zakrywać. A może dym stanowił część tego, co miało się stać?

Czy to stanie się wkrótce?

Błysk zniecierpliwienia w oczach. W jego świetle słowo „wkrótce” nic nie znaczyło. Znowu zadałam niewłaściwe pytanie.

Zaczął się oddalać, jego język był już tylko cieniutkim różowym biczem. Nagle, całkiem bez sensu, zapragnęłam go dotknąć.

Zaczekaj! Jak mogę się przygotować?

Zwrócił ku mnie płaski owal swej głowy. Wyciągnęłam rękę. Nie, ten język wcale nie przypominał bicza... był miękki i smętny, jak ze starego jedwabiu.

Powiedział: Nie ma innego przygotowania niż zrozumienie.

Co muszę zrozumieć?

Śmierć kończy różne sprawy, ale może także stać się początkiem.

Szansą na odzyskanie tego, co się sfuszerowało. Czy chociaż pamiętasz, co to było?

Sięgnęłam myślą wstecz. Poczułam się tak, jakbym próbowała przeniknąć wzrokiem oszronioną szybę. Jaskinie wypełnione piaskiem. Lekcje. My, nowicjuszeki, uczące się odczytywać sny żebraków, królów, świętych. Ravana, Tunga - dhwaja, Narad Muni... Ale doszłam tylko do połowy.

Znikał. Myśl owionęła moją skórę niczym oddech.

Ale tylko, jeśli uchwycisz tę chwilę. Tylko jeśli...

I już go nie było.

2. Rakhi

Moja matka zawsze sypiała sama.

Dopóki nie ukończyłam ośmiu lat, nie zaprzętałam tym sobie głowy. Wieczorem otulała mnie i siedziała jakiś czas w półmroku na krawędzi łóżka, wygładzając mi włosy lekkimi palcami i coś nucąc. Należało to do naszego codziennego rytuału, którego następną część stanowiło opowiadanie historyjek. To ja je wymyślałam. Bohaterką była dziewczynka w moim wieku imieniem Nina - Miki, która mieszkała na planecie Agosolin III i wiodła tam niezwykle, pełne przygód życie. Wolałabym, żeby te historie pochodziły od matki i rozgrywały się w Indiach, jej ojczystym kraju, stanowiącym dla mnie jedną wielką tajemnicę. Ale tłumaczyła mi, że nie zna żadnych ciekawych opowieści, a Indie wcale nie są tajemnicze. To po prostu inne miejsce na ziemi, w gruncie rzeczy niewiele różniące się od Kalifornii. Nie czułam się przekonana, ale też nie przejmowałam się tym zbytnio. Przygody Niny - Miki były (jak dla mnie) całkiem zajmujące. Czułam się dumna, że je tworzę i że mam za publiczność tak uważną słuchaczkę jak moja matka.

Kiedy kończyłam opowiadać, matka całowała mnie w czoło zimnymi jak srebro ustami. Śpij teraz, szeptała, po czym wychodziła, zamykając za sobą drzwi. Ale ja tylko leżałam, wsłuchana w miękki szelest jej sari, kiedy szła korytarzem. Zatrzymywała się przy drzwiach do sypialni ojca - tak nazywałam w myślach duży ciemny pokój na tyłach domu, z wielkim, zbyt miękkim łóżkiem i fantazyjnie ufarbowaną kapą - słyszałam przyjacielski szmer ich głosów. Po kilku minutach drzwi się cicho zamykały, a kroki stopniowo oddalały. Matka poruszała się cicho i pewnie - tak mógłby jelen zaglebiać się w leśne ostępy - jej szata szeleściła niczym liście na wietrze. Nasłuchiwałam, póki nie westchnęły zawiasy drzwi pokoju do szycia - najpierw przy otwarciu, potem przy zamykaniu.

Dopiero wtedy pozwalałam sobie zapaść w gęsty jak czekoladowy syrop świat moich snów.

W tamtych latach miewałam bardzo dużo snów, często wręcz dusiły mnie swą intensywnością. Budziłam się z uczuciem, że serce za chwilę rozsadzi mi piersi. Jeśli mogłam wstać, przemykałam się korytarzem po omacku - ściany pod moimi palcami wydawały się szorstkie i obce, pomarszczone niczym skóra dinozaura - aż do pokoju do szycia. Nie wiedziałam, czemu matka tak go nazywała, bo nigdy nie szyla. Otwierałam skrzypiące drzwi i patrzyłam na nią: leżała na podłodze twarzą do ściany, z narzutą naciągniętą na głowę, tak nieruchomo, że przez chwilę bałam się, czy nie umarła. A jednak natychmiast się budziła, wyczuwając mnie węchem, jak zwierzę poznaje swoje młode. Próbowałam wśliznąć się pod koc, ale zawsze - łagodnie, lecz stanowczo - prowadziła mnie z powrotem do mojego łóżka. Kładła się przy mnie, gładziła mnie po włosach, a czasem, po jakimś wyjątkowo przykrym koszmarze, recytowała jakieś niezrozumiałe słowa, póki znów nie zasnęłam. Nigdy jednak nie zostawała na całą noc. Kiedy rano otwierałam oczy, ona smażyła mi już w kuchni jajecznicę. Pokój do szycia był pusty - nigdy nie widziałam, gdzie składa pościel. I żadne zagniecenie na dywanie nie wskazywało, że w ogóle ktoś tam spał.

Moje odkrycie nastąpiło pewnego popołudnia, kiedy poszłam się pobawić do jednej ze szkolnych koleżanek. Zdarzało się to rzadko, gdyż mimo nacisków matki nie przepadałam za kontaktami towarzyskimi. Dzieci w moim wieku niespecjalnie mnie interesowały, wolałam snuć się za matką po domu, chociaż wcale mnie do tego nie zachęcała. Czasem słuchałam zza drzwi jej telefonicznych rozmów albo obserwowałam ją, jak siedziała na sofie z zamkniętymi oczami, marszcząc w skupieniu czoło. Zdumiewało mnie, że jest taka cicha, tak kompletnie zamknięta w sobie.

Próbowałam ją czasem naśladować, ale udawało mi się wytrzymać najwyżej kilka minut, potem zaczynałam się wiercić.

Nie pamiętam imienia tej koleżanki ani powodu, dla którego weszłyśmy do sypialni jej rodziców, ale pamiętam, jak mi powiedziała, żebym nie skakała po łóżku, gdyż rodzice tego nie lubią.

- Chcesz powiedzieć, że twoja mama śpi tutaj razem z twoim tatą? - spytałam ze zdumieniem, ale także z odrobiną niesmaku.

- Jasne - odparła. - A co, twoi nie sypiają razem? Zwiesiłam potulnie głowę pod jej niedowierzającym spojrzeniem.

- Ale z was cudaki - uznała.

Po tej wizycie podjęłam serię poważnych badań. Odwiedzałam kolejno domy znajomych dzieci (nie było ich wiele) i w przerwach między zabawami, przekąskami a oglądaniem telewizji sprawdzałam niby to przypadkiem, jak ich matki rozwiązują sprawę spania. W końcu musiałam przyznać, że moja rodzina rzeczywiście jest dziwna.

Uzbrojona w dane statystyczne, stanęłam przed obliczem matki. Wtedy właśnie dokonałam kolejnego odkrycia, tego, które uwierało mnie, dręczyło i szydziło ze mnie przez całe dorastanie. Moja matka tłumaczyła sny.

Odkrycie nie przyszło mi łatwo. Matka nie lubiła mówić o sobie i przez wszystkie lata mojego dzieciństwa doskonaliła sposoby odpierania niewygodnych pytań. Tym razem jednak postawiłam na swoim.

- Dlaczego nie sypiasz z tatą? - wypytywałam uparcie. - Albo chociaż ze mną, jak mama Malliki? Nie kochasz nas czy co?

Milczała tak długo, że już chciałam kolejny raz powtórzyć pytanie. Ale nagle zdecydowała się odpowiedzieć.

- Kocham was... - W jej głosie wyraźnie zgrzytnęła niechęć, nadając mu pewną szorstkość. - Nie śpiam z tobą ani z ojcem, gdyż mój zawód wiąże się ze snami. A jeśli ktoś jest ze mną w łóżku, to nic mi się nie śni.

„Mój zawód wiąże się ze snami”. Obracałam w głowie te słowa na wszystkie strony, bardzo zaintrygowana. Nie rozumiałam ich, a jednak już zdążyłam się w nich zakochać. Chciałam kiedyś móc je komuś powiedzieć. Z drugiej strony przerażały mnie, gdyż odsuwały matkę poza mój zasięg.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam, specjalnie przybierając gniewny ton.

Na jej twarzy pojawił się wyraz... nazwałabym go desperacją, gdybym potrafiła.

- Śnię za innych ludzi. I dzięki temu pomagam im żyć.

Nadal nie rozumiałam, ale twarz miała bladą i ściągniętą jak kokon, a jej dłonie kurczowo ścisnęły kolana. Nie miałam sumienia dłużej jej dręczyć; czyż nie przyznała tego, co najważniejsze: że nas kocha? Skinęłam głową na znak, że takie wyjaśnienie mi wystarcza.

Uśmiechnęła się z widoczną ulgą. Kiedy mnie przytuliła, wciąż wyczuwałam w jej ramionach napięcie.

- Może zdecydujesz, co byś chciała na obiad? Jeśli masz ochotę, ugotujemy coś razem.

Pozwoliłam sobie na zmianę tematu i wybrałam ravioli. Spróbowałam ich po raz pierwszy tamtego pamiętnego dnia w domu koleżanki. W domu rzadko jadaliśmy potrawy inne niż hinduskie; matka w ten sposób podtrzymywała więź z kulturą swego kraju. Nigdy przedtem nie przyrządzała ravioli, ale znalazła je w książce kucharskiej i resztę dnia spędziłyśmy na wałkowaniu, wycinaniu i nadziewaniu ciasta serem. Pierozki wyszły gniotowate, kuchnia wyglądała jak po przejściu huraganu: wszystko wysmarowane sosem, rozdeptane kawałki sera na podłodze, ale i tak miałyśmy nieziemską frajdę.

Podczas gotowania ravioli matka obróciła się do mnie i powiedziała (choć nie powtórzyłam jej słów koleżanki):

- Zapamiętaj sobie, Rakhi: to, że się różnisz od innych, nie oznacza, że jesteś cudakiem.

Czasem zaskakiwała mnie czymś takim - komentując sprawy, o których nie mogła wiedzieć. Ale jej jasnowidzenie bywało zawodne. Przez całe lata stwarzało nam problemy, sprawiając, że nie miała pojęcia o wypadkach, które powinna znać, i sekretach, które pragnęłam jej wyznać, ale się nie odważyłam.

Na przykład powód, dla którego odeszłam od Sonny'ego.

Przy obiedzie ojciec wyraził podziw dla pomysłowych kształtów pierożków i zauważył, że danie jest zarazem pyszne i pouczające. Posprzątał potem kuchnię, nucąc hinduską melodię przy szorowaniu zlewu dłońmi w odblaskowożółtych rękawiczkach. W naszej rodzinie to on był tym porządnym, metodycznym, zawsze uprzejmym i muzykalnym. Matka - zamknięta w sobie, uparta, nieodpowiedzialna - nie potrafiłaby powtórzyć czysto dźwięku, nawet gdyby jej życie od tego zależało. A ja chciałam być dokładnie taka jak ona.

Wiele lat później, już po jej śmierci, ojciec miał powiedzieć: - Nieprawda, wcale mnie nie kochała. Nigdy nie pozwoliła mi na prawdziwą bliskość. Centralne miejsce w jej życiu należało do postaci ze snów - bogów i demonów czy kogo tam jeszcze. Nigdy się z tego nie zwierzała, nawet tobie. I będę zmuszona przyznać mu rację.

3.

Myśli o zieleni. O ciemnej, leśnej zieleni, szarozłotej z domieszką mglistego srebra o świcie, w otoczce surowego brązu przemijania. O wszystkich barwach eukaliptusowego gaju, który odwiedziła wczesnym rankiem. Myśli o kolorach, które musi mieszać, aby odtworzyć ową zieleń, chociaż same w sobie nie miały z nią nic wspólnego. To właśnie jest coś najbardziej zbliżonego do magii w świecie, który rozczarowuje ją wciąż na nowo swą przyziemną monotonią codziennych nawyków. Nawet zagrożenia dają się przewidzieć; znaczą powietrze swym charakterystycznym, niepowtarzalnym odorem na długo przedtem, zanim pojawią się, by przeminąć.

Wyjmuje duży, szklany talerz, służący jej za paletę; wyjmuje nowe, zagruntowane płótno. Wyczuwa palcami jego usianą drobnymi plamkami powierzchnię; pachnie tak swojsko jak oddech Jony. Wyciska trochę neapolitańskiej żółci, ochry, kobaltu, niebieskawej zieleni, palonej sjeny, dodaje odrobinę błękitu pruskiego na cienie, rozważa obcą geometrię listowia. Gęste, czarne włosy, związane bezlitośnie starą wstążką Jony grożą ucieczką - zaraz opadną na twarz. Zwodnicze, dziecięce kędziory. Wraz z wystającymi płaszczyznami kości policzkowych, wysokim czołem (błyszczącym w tej chwili koncentracją) i małym pieprzykiem pod samym środkiem dolnej wargi łudzą nieznaną jej rzekomą naiwnością, uduchowieniem i optymizmem, a wszystko dlatego, że dotąd nie spotkało jej nic złego. Gdyby zajrzeli jej w oczy, szeroko otwarte, o głębi niemal fioletowej (jak noc, jak świeży siniak, jak kwiat aparujita, którego matka nigdy jej nie opisała), zobaczyliby, że to tylko częściowa prawda. Ale mało komu chce się wysilać... a z tych, którym się chce, tylko nieliczni wiedzą, jak się do tego zabrać. Rakhi

nie czuje się nieszczęśliwa z tego powodu. Jak kiedyś wyznała Belle, woli pozostać niezrozumiana.

Rano w eukaliptusowym zagajniku było mokro. Zdziwiła się, bo w pobliżu domu nie padało, mimo normalnej w Berkeley mgły. Ale w zagajniku stały kałuże i musiała je obchodzić, żeby nie przemoczyć butów. A potem kolejna niespodzianka: był tam jakiś mężczyzna - fakt dość rzadki jak na tak wczesną porę i środek tygodnia - który ćwiczył tai chi.

Poszła do zagajnika, żeby go malować. Trochę się denerwowała, gdyż dotychczas nie malowała drzew. Większość jej obrazów przedstawiała Indie - Indie wyimaginowane i te znane z fotografii, ponieważ nigdy tam nie była. Malowała świątynie i pejzaże miejskie, kobiety na targach, kierowców autobusów przy lunchu, ale nie drzewa, przynajmniej nie na pierwszym planie. I nagle ostatniej nocy wpadło jej do głowy, że potrzebuje jakiegoś nowego wyzwania. Zdażyła już pożałować tej myśli.

Stropiła się na widok tego człowieka. Chciała mieć zagajnik tylko dla siebie, z całym jego nienaruszonym potencjałem. Po chwili jednak się przekonała, że intruz jest dostatecznie daleko i właściwie jej nie przeszkadza. Obserwowała jego czyste, płynne ruchy, myśląc: Tak właśnie ludzie powinni posługiwać się swoim ciałem. Z miejsca, w którym stała, wydało jej się, że mężczyzna ma piękne dłonie. Ubrany był w luźny biały strój, a słońce przeświecające nieśmiało przez gałęzie drzew dodawało blasku jego czarnym włosom. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, tylko oliwkowy odcień skóry i wysokie kości policzkowe. Przez chwilę się zastanawiała, kim jest - czy Hindusem? Chciała podejść bliżej i zajrzeć mu w twarz. Poczowała w stopach mrowienie - zwiastun pożądania, które - jak sądziła - dawno odłożyła na bok po klęsce swego małżeństwa. Zamknęła oczy, próbując się opanować. Miała teraz więcej lat i była matką; wiedziała z

doświadczenia, że mrowienie to prosta droga do kłopotów, a tych zaznała już w życiu wystarczająco dużo.

Zakłada płótno na sztalugi, dokręca śruby, żeby się nie przesuwało. Nabiera koloru na pędzel i śmiałym ruchem sunie nim przez dziewicze tło. Oto chwila, w której wszystko jest możliwe.

Dzwoni telefon.

Zdenerwowana, zastanawia się, kto to może być. Belle wie, że nie wolno Rakhi przeszkadzać rano, w porze malowania. Matka zajmuje się klientami, ojciec jest w pracy, zresztą on dzwoni tylko, kiedy się upije, w weekendy.

Słucha niecierpliwie dzwonek, czekając, aż włączy się automat. Jakiś głos zaczyna dyktować wiadomość. Telefon jest zamknięty w szafie, w drugim końcu mieszkania (odkłada go tam na czas malowania), więc Rakhi nie odróżnia słów. Ale zna ten głos.

Sonny.

Powinna się domyślić! Czuje, jak narasta w niej napięcie, pnie się w górę, poczynając od łydek aż do koniuszków palców. Zaciska mocniej pędzel. Nie będzie dla niego przerywać. Ale prawda jest taka, że nie może przerwać dla nikogo, nie w tej chwili.

Kiedyś próbowała to Sonny'emu wytłumaczyć. Nadchodzi taki moment, że kolor zawłaszcza jej oczy, dłonie. Rakhi musi wtedy dostosować całe ciało do ich rytmu. Dopóki trwa ruch, nic więcej się nie liczy.

Nie oczekiwała, że Sonny, nie będąc artystą, potrafi to pojąć.

Siedzieli przy stole i kończyli obiad. Jadł, przewracając kartki muzycznego magazynu. Nigdy nie udało się jej zapamiętać nazw jego pism - z wyjątkiem „Playboya”, o którego kiedyś się kłócili. Brał małe kawałeczki sandeshu (Sandesh - hinduski deser z sera (wszystkie przypisy

tłumaczki).) jej roboty. Wówczas jeszcze chciało jej się przygotowywać pracochłonne posiłki - przystawki, wałkowane ręcznie roti (Roti - płaski chlebek, zapiekany z różnymi dodatkami.), ciężkostrawne curry w migdałowym sosie, tradycyjne hinduskie desery, pochłaniające całe godziny kuchennych akrobacji. Sonny za każdym kęsem starannie otrzepywał z palców słodkie, białe okruszki. Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, że człowiek wręcz dionizyjski w swych innych upodobaniach, przy stole ma tak wykwintne maniery. Nie odzywał się tak długo, że doszła do wniosku, iż jej nie słyszy. Często bywał nieobecny duchem. A może po prostu nie miał nic do powiedzenia? Ale kiedy wkładała naczynia do zlewu, mruknął: „Całkiem jakby się było w trakcie aktu miłosnego, czyż nie?”.

Trafność porównania zamknęła jej usta. Upokarzał ją czasem w ten sposób, zmuszając, by dostrzegała w sobie to, czego nie widać gołym okiem, nazywając po imieniu rzeczy, dla których nie znajdowała słów. I między innymi to właśnie w nim kochała, aż do tamtej nocy, kiedy wszystko popsuł.

Ledwie to pomyślała, wiedziała, że nie ma racji. Związek nie psuje się w ciągu jednej nocy, jak mleko. Już od pewnego czasu pojawiały się różne znaki, tylko ona wołała ich nie widzieć. Chodziła wokół młyńskiego koła swego życia, w którym tak bardzo była zakochana, niczym wół z klapkami na oczach z fotografii hinduskiej wioski.

Wołowi można wybaczyć ślepotę, ale sobie nie wybaczyła jej nigdy. I dlatego czuła skurcz łydek, kiedy Sonny telefonował, dlatego miała wrażenie, że ość jej utkwiała w gardle.

Kończy serię pociągnięć, wrzuca pędzel do słoika z terpentyną, bierze następny. Dodaje kolorów, odcieni. Rozcieńcza starannie farbę lnianym olejem, żeby linie obiektów stały się bardziej płynne. Kiedy krawędzie zlewają

się ze sobą, tworząc niezaplanowane wzory, czuje na skórze głowy rozkoszne mrowienie.

Ale telefon znów dzwoni, akurat kiedy ona najbardziej potrzebuje koncentracji.

Jeśli to znowu Sonny, będzie się zachowywał jak żalosny szczeniak.

Tym razem jednak głos jest żeński. Stłumiony i głuchy - Rakhi nie może go do końca rozpoznać, chociaż wydaje jej się boleśnie znajomy. Rejestruje twardą, fioletową nerwowość tonu. Cały świat - jing i jang - sprzysiągł się dziś przeciwko niej! Trudno, ta kobieta też będzie musiała poczekać.

Jest w połowie pierwszej warstwy malowidła - zbliżenie drzewa, faktura liści i łuszcząca się kora. Słoneczne światło połyskuje na jego krawędziach jak niepewna siebie pamięć. Bryza potrząsa mięsistymi kwiatami eukaliptusa w lewym rogu, wolnym od ich pyłku. Rakhi wpatruje się w sztalugi, próbując wyczuć życie za pociągnięciami pędzla. Poniżej tego, co namalowała, czekają następne warstwy. Nowe kolory do wprowadzenia. Kość słoniowa, czerń, cynober, odrobina morskiej soli do zagęszczenia powietrza. Dotyka delikatnie dolnego prawego rogu. Trzeba tu czegoś jeszcze. Może...? Wprawdzie tego nie planowała, ale nagle decyduje się domalować tamtego mężczyznę o pięknych dłoniach.

Dzwonki telefonu dokonały jednak swego dzieła, budząc szepczący głos wewnątrz jej czaszki. A jeśli Sonny dzwoni w sprawie Jony, która w tym tygodniu mieszka u niego? A jeśli ten drugi telefon był z jej szkoły? Jeśli wydarzyło się coś strasznego? Gdybyś była dobrą matką, szepcze z dezaprobatą głos, natychmiast przerwałabyś pracę i poszła sprawdzić. Ten szept za zaciśniętymi powiekami przywołuje katastrofy. Sprawia, że ręka jej drży.

Jeszcze jedno pociągnięcie pędzla - i zmarnuje całą kompozycję.

Zostawia sztalugi i idzie do szafy, gdzie czeka automatyczna sekretarka, mrugając złośliwie okiem cyklopa. Rakhi wciska guzik. Przez głowę przelatuje jej zdanie z dawno obejrzanego filmu: „Życie wdziera się na drogę sztuki”.

Nieźle podsumowanie mojej egzystencji, myśli.

Ale tak jak powiedziała do Belle, wcale się nie skarży. W porównaniu ze stanem sprzed trzech lat, kiedy właśnie co się wyprowadziła od męża i czekała na orzeczenie o rozwodzie, jej życie jest usłane różami.

W tamtych dniach Sonny wydzwaniał do niej każdego ranka. Wiadomości, jakie zostawiał, koszmarnie w szczegółach, były zawsze takie same. Nie rozumie, dlaczego ona mu to robi. Przeprasza za wszystko, co rzekomo zrobił. Popełniają (tak naprawdę: ona popełnia) straszliwy błąd, bo przecież są sobie potrzebni. Uwielbia ją... I mówił to wszystko najbardziej bezradnym, budzącym poczucie winy głosem.

- Nie odbierałam - mówiła do Belle - ale on wiedział, że tam jestem i słucham. Wiedział też, że do końca dnia nie będę w stanie niczego porządnego namalować. Po miesiącu takich telefonów byłam gotowa go zabić.

- I co się stało? - spytała Belle. - Przestał.

- Tak po prostu?

- Tak - odparła, zastanawiając się w duchu (jak często się jej to przedtem zdarzało), czy przypadkiem matka nie maczała w tym palców.

Wiadomość od Sonny'ego brzmiała: Kochana Riks, chcę cię tylko poinformować, że Jo i ja wyjeżdżamy właśnie nadbrzeżną drogą do Mendocino. Paul twierdzi, że jest tam stado wielorybów, niektóre z nich są nawet błękitne. Pozwolił nam posiedzieć u siebie kilka dni, może wybierzemy się gdzieś jego łódką. Jo opuści trochę szkoły, ale chyba nie masz

nic przeciwko temu. Pouczy się ważniejszych rzeczy na wielkim uniwersytecie życia.

Nienawidzi takich komunałów i on dobrze o tym wie - specjalnie się z nią drażni. Wie także o innych rzeczach: Rakhi nie znosi, kiedy Jona opuszcza szkołę - jej córce i tak brakuje stabilnego życia. Nie toleruje Paula (facet jest w porządku jako fotograf, ale pali za dużo trawki, żeby powierzać mu łódź albo dziecko). Nie znosi, kiedy Sonny burzy ustanowioną z takim trudem domową rutynę, narażając jej córkę na niebezpieczeństwo zarówno fizyczne, jak moralne. I nawet nie raczy zapytać jej o zgodę.

Dobrze, już dobrze, tłumaczy sobie Rakhi. Nie dramatyzujemy.

Po prostu boisz się, że Jona zbyt przyjemnie spędzi czas z Sonnym, szepcze znajomy głos, który nigdy nie omieszka wykorzystać okazji. Boisz się, że nie zechce do ciebie wrócić.

Policzymy się później, odpowiada Rakhi głosowi.

Druga wiadomość jest od Belle: „Rikki, błagam cię, przyjedź natychmiast do sklepu! Stało się coś strasznego”.

Wzdycha. Kocha Belle (czyli Balwant Kaur, chociaż nawet rodzicom nie wolno jej tak nazywać), zawsze ją kochała, odkąd na pierwszym roku w Berkeley zamieszkały w jednym pokoju. Pomagały sobie w sercowych kłopotach, wyciągały się nawzajem ze złych stopni, ataków grypy i stresów, które tylko hinduscy rodzice zwykli fundować swoim latoroślom. Pożyczały sobie pieniądze, bieliznę i szminki, dodawały wzajemnie odwagi i podtrzymywały głowy przy rzyganiu, jeśli wypłyły za dużo na imprezie, na którą nie powinny się wybierać. Powierzały sobie sekrety, jakich nie ośmieliłyby się wyznać nikomu innemu, i patrzyły na siebie oczami tej drugiej. Po całych nocach rozprawały o tym, że Rakhi czuje się czasem za bardzo amerykańska, że Belle marzy, by pozbyć się ostatnich śladów swego „desizmu” (Desi

- hinduskie słowo oznaczające „narodowy” w odróżnieniu od „cudzoziemski”. W Ameryce zrobiło karierę jako potoczne określenie wszystkiego, co hinduskie, a także w ogóle związane z południową Azją; są więc kluby desi, muzyka desi itp.). Bez wsparcia przyjaciółki Rakhi pewnie nie przetrwałyby swego rozwodu. Belle знаła jej słabe punkty, jej upór, namiętność do sztuki i obawę, że nigdy nie będzie naprawdę dobrą artystką. Wiedziała, jak trudno przychodzi jej zmiana raz podjętej decyzji. Jak strasznie nie znosi, by coś przed nią ukrywano. Jak bardzo nienawidzi Sonny'ego i kocha matkę. Jak okropnie oboje ją irytują. Z kolei Rakhi akceptuje dzikość Belle, niepokój, przez który przyjaciółka nie może usiedzieć na miejscu, jakby coś ją w środku gryzło. Zmienia chłopaków jak rękawiczki, nie pozwalając żadnemu, by stał się dla niej ważny. Prowadzi ustawiczne wojny z rodzicami - poczciwcami ze wsi, którzy nie potrafią pojąć, czemu ich postrzelona córka nie pozwala wciągnąć się z powrotem do ich bezpiecznego, sikhijskiego gniazdka. Rakhi wie, jak Belle kocha sklep, ale zna też jej skłonność do dramatyzowania, która to kombinacja często popycha ją do przesady.

Prawdopodobnie znów stłukła ekspres do kawy, myśli Rakhi. Mimo to zdejmuje kitel i zatrzymuje się tylko po to, żeby włożyć pędzle do słoika w zlewie.

W maleńkiej kuchni, wbrew dobrym intencjom, jak zwykle panuje bałagan. Naczynia po obiedzie leżą niepozmywane. Fasolka mung, którą namoczyła trzy dni temu, podjąwszy mężną decyzję przyrządzenia dal, zdążyła wypuścić kiełki. Trzeba będzie zadzwonić do matki i dowiedzieć się, czy z kiełkującą mung da się jeszcze coś zrobić. Stół we wnęce jadalnej zawalony jest książkami i katalogami sztuki, stoi tam także niebieska misa pełna moreli z drzewa gospodyni i leżą niezapłacone rachunki (ach, ta przyziemność rachunków, jeszcze jedno przekleństwo życia artysty!). Prawie gotowy olej stoi oparty o zachodnią ścianę: zachodzące słońce na szczytach Kanchenjungi. Postawiła go tam, żeby od czasu do czasu rzucić okiem i upewnić się, czy nie trzeba czegoś domalować. Sfatygowane trykoty Jony leżą razem z baletkami pod oknem obok sadzonki awokado, które córka próbuje wyhodować w ulubionym kubku Rakhi. Ściana wschodnia przeznaczona jest na dzieła Jony - różnokolorowe rysunki karłowatych ludzików z oczami mocno zaznaczonymi czarnym markerem.

Rakhi lubi wygodne bałaganiarstwo swego życia. Lubi gromadzić wokół siebie ukochane przedmioty, które niczym ciepły szal chronią ją przed chłodami tego świata. Sama się dziwi (kiedy o tym pomyśli, co zdarza się niezmiernie rzadko), że kiedyś, jako żona Sonny'ego była taką nadgorliwą panią domu. Robiła mu awantury o ciśnięte na podłogę w łazience mokre ręczniki, niezakrecone tubki pasty do zębów... Teraz kiedy myśli o sobie z tamtych czasów, czuje pewien żal. Taka gorliwa, nastawiona tylko na męża, taka ambitna, ciągle wychylona do przodu, jakby ideał był jakimś miastem

oddalonym raptem o kilka kroków. Skąd mogła wiedzieć, że perfekcja nie ma nic wspólnego ze szczęściem?

Więc już się nauczyłaś, że szczęście mieszka w bałaganie?, szedł cichy głos.

Jutro, obiecuje sobie, krzywiąc się z bólu, bo w drodze do drzwi nadepnęła na ostrą krawędź klocka lego, zakamuflowanego dywanem. Jutro wszystko posprzątam. Dam Jonie dobry przykład. Wyciągnę nawet odkurzacz.

Akurat, kpi z niej szepczący głos.

4. Z dzienników snu

Dziś we śnie pękł mi złoty łańcuszek. Wyraźnie słyszałam: trzask, trzask ogniwek - jak kości kurczaka. Obudziłam się o trzeciej rano. Ściągną pleców bolały mnie od ciągłych prób naprawienia łańcuszka. Wiedziałam, że już nie zasnę.

Wyszłam na podest i spojrzałam na sierp księżyca. Kiedy otworzyłam okno, nocne powietrze przenikał zapach dzikiego włoskiego kopru, który nie rośnie nigdzie w pobliżu naszego domu. Starsze mawiały, że włoski koper leczy wewnętrzne rany. Uprawiałyśmy go w jaskiniach dla śniących. Czy mogę uznać to za symbol nadziei?

Ale kiedy tak stałam, wiatr nagle się zmienił i zapachniało soloną rybą. Poszłam do pokoju Rakhi i usiadłam na pustym łóżku. Sypia tam razem z Jonaki, kiedy przyjeżdżają z wizytą. Dotknęłam poduszki, chcąc zaznać odrobiny pociechy. Była ciepła. W chwilach smutku starsze recytowały fragmenty „Brihat Swapna Sarita”. Zrobiłam teraz to samo, chociaż wiele pieśni już zapomniałam.

Przychodzi sen, zwiastując szczęście. Jestem mu rada.

Przychodzi sen, zwiastując smutek. Jestem mu rada.

Sen to zwierciadło mojego piękna.

Dzięki mu składam.

Sen to zwierciadło mojej brzydoty.

Dzięki mu składam. Całe me życie snem jest jedynie, Obudzę się z niego wprost w śmierć, Która jest snem o życiu.

Ale kiedy rano, po wyjściu męża do pracy, zjawia się ta kobieta (jak się tego spodziewałam), wcale nie jest mi łatwiej powiedzieć to, co muszę.

Jest starsza, niż przypuszczałam, z krótkimi, kręconymi włosami, przetykanymi siwizną, i zmarszczkami wokół oczu.

Mówi: Myślmy o dziecku. Jesteśmy małżeństwem dopiero od roku, ale poznaliśmy się późno i nie będziemy już

młodszy. Dlatego chciałam się z panią zobaczyć. Ludzie powiadają, że potrafi pani określić, czy teraz jest dla mnie szczęśliwy czas.

Czy ostatnio miała pani jakiś sen?, pytam. Taki, który pani zapamiętała?

Śniło mi się zbocze wzgórza i trawa rozkołysana na wietrze, odpowiada.

Pytam, jakiego koloru była trawa - wyschnięta czy żywa, ale nie pamięta.

Gdzieś w oddali błyszczało światło. Wiedziała, że to światło jej domu. Migotało zapraszająco, ale nie potrafiła znaleźć ścieżki. Natrafiła na ciernie i pokłuła sobie stopy.

Czy to bolało?

Ale nie krwawiło, mówi. Ton jej głosu błaga mnie o iskierkę nadziei.

Nagle w połowie zbocza pojawił się jej mąż. Wyciągnął rękę. Po jego zatroskanych oczach poznała, jak bardzo ją kocha. Jej głos, gdy to mówiła, stawał się coraz bardziej nieśmiały i pełen wdzięczności.

Wyciągnęła rękę i jakimś cudem ich palce się zetknęły. Ale to już nie był jej mąż, tylko ktoś obcy, o niebezpiecznej i przystojnej twarzy.

Co miał na sobie?

Brwi kobiety się unoszą. Może płaszcz? Albo szal?

Szary jak mgła? Czy biały jak kości?

Może, odpowiada z wahaniem. Potem spuszcza oczy.

Pragnęłam tego mężczyzny najbardziej ze wszystkiego na świecie. Byłam gotowa opuścić męża i pójść za nim. Tęsknota przewiercała mi serce jak nóż. Żołądek bolał mnie jeszcze po przebudzeniu.

Jak miałam jej powiedzieć o raku, który zaczął już opłacać ją swą siecią? Wkrótce ból stanie się tak straszny, że jedna połowa jej istoty zatęskni do śmierci, podczas gdy druga

będzie usiłowała się jej wymknąć. A mąż, porażony swym własnym nieszczęściem, nie znajdzie w sobie dość siły, by jej pomóc.

Kim jest ten nieznajomy?

Starsze, które nakazują mówić całą prawdę, wyjaśniłyby jej wszystko. Ale ja już dawno wyłamałam się z ich zasad. Mówię: Sen jest przestroga. Trzeba bardziej zadbać o swoje zdrowie.

Ach, tak?, pyta z powątpiewaniem. Te obrazy właśnie to oznaczają? Ale ja przecież dbam o zdrowie. Ćwiczenia, witaminy, proszek sojowy, samokontrola piersi i co tam jeszcze... Czuję się znakomicie.

Radziłabym jednak skonsultować się jak najprędzej z lekarzem.

A co z tym, o co pytałam? Z dzieckiem? Powinniśmy teraz spróbować? Czy to dobry czas?

Trzyma moje dłonie w swoich. Patrzę na nie: białe, bezkrwiste, zimne jak grób... Ale tylko ja to dostrzegam.

Zmuszam się do uśmiechu. Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło: Nie ma powodu do obaw. I nie ma na co czekać.

Niech bliskość da im odrobinę radości. Kto wie, może to wzmocni ich wzajemną więź na tyle, że nie zerwie się tak prędko? Myliłam się już w odczytywaniu snów, chociaż nieczęsto.

Ale jednak proszę iść do lekarza. Upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Przyrzeka pani?

Jakbym słyszała moją matkę! Dobrze, przyrzekam. I dziękuję. Bardzo dziękuję. Przy drzwiach się odwraca, oczy jej lśnią jak diamenty. Jeśli będzie dziewczynka, dam jej pani imię.

5. Rakhi

Potrafie wyczuć zdenerwowanie mojej przyjaciółki, jeszcze zanim przekrocze próg Chai House, zanim zobacze jej twarz. Poznaje je po plecach, które Belle usztywnia niczym zwierzę w chwili zagrożenia. Po sposobie, w jaki jej włosy, zwykle zebrane w gładki koński ogon, wiją się na ramionach. Mimo to z wielką starannością ustawia na tacy muffinki. Posypka czekoladowa, otręby, marchewka, migdał tworzą przyjemną mozaikę brązów i oranżu z domieszką zdumiewającego fioletu jagód. Obok leżą duńskie ciasteczka z cytrynowym lukrem oraz talerz herbatników z cukrem i cynamonem, te ostatnie nazwałyśmy „delhijskimi antydietkami”. Zapach mocnej kawy wylewa się aż na ulicę, podobnie jak świeżo upieczonego chleba.

Kiedyś powiedziałam do matki, że dopóki na tym świecie jest świeży chleb, wszystko da się naprawić.

Przytaknęła, ale w jej oczach wyczytałam: „Moja biedna Rakhi! Jak można tyle wiary pokładać w chlebie!”.

Nigdy nie mogłam rozstrzygnąć kwestii, czy to ja jestem naiwna, czy raczej moja matka cyniczna.

Biorę głęboki oddech. Naiwna czy nie, kocham to miejsce... Jestem szczęśliwa, że je mam. Bo gdyby nie ten sklep, mogłabym dziś nie mieć także Jony.

Kiedy zębami i pazurami walczyliśmy o opiekę nad dzieckiem, wyrok mógł zapaść na korzyść każdej ze stron. Nie przypuszczałam, że Sonny'emu będzie się chciało zajmować trzyletnią dziewczynką, która jeszcze nie do końca umiała korzystać z toalety, a jednak tu mnie zaskoczył. Adwokat Sonny'ego elokwentnie argumentował, że jego klient, jako czołowy didżej popularnego nocnego klubu, jest w stanie zapewnić dziecku znacznie lepsze warunki niż ja. Chai House jednak przeważył szalę na moją korzyść. Gdyby nie to Jona

spędzałyby trzy tygodnie w miesiącu pod opieką Sonny'ego Wkurzającego.

Stoję jeszcze przez chwilę przed sklepem, napawając się jego widokiem. Belle i ja włożyłyśmy w Chai House wszystko, co posiadałyśmy - cały nasz potencjał twórczy i skromny majątek. Przekształciłyśmy ruinę w coś wyjątkowego. Same wymalowałyśmy ściany na brzoskwiniowy kolor. Na wyprzedaży jakiegoś magazynu znalazłyśmy rzeźbione (według Belle - antyczne) krzesła. To ja wypatrzyłam na pchlim targu w Ashby bliźniacze bujaki z klonowego drewna, każdy z odpowiednim podnóżkiem. Umieszczone we wnęce, stanowią ulubione miejsce klientów, którzy przychodzą samotnie; ja nigdy na nich nie siadam. Odnawiałam je pracowicie przez długie wieczory po rozwodzie i mam wrażenie, że wciąż zachowały zapach tamtych czasów - smętną mieszankę wolności i strachu.

Także we wnęce ustawiliśmy półkę z darmowymi książkami. Obowiązuje zasada: „Jedną bierzesz, jedną zostawiasz”. Paul Auster i Dean Ornish stykają się tam plecami z Mary Higgins Clark i Salmanem Rushdiem. Obok leży dywanik, wyznaczający terytorium dzieci - mają tam klocki i pacynki, uszyte ze starych jedwabnych sari (wkład mojej matki). Jona do dziś pędzi tam prosto od progu, ilekroć przychodzi do sklepu. Przy drzwiach wisi tablica, na której klienci przypinają ogłoszenia o lekcjach tańca, wyprzedażach garażowych, zwierzętach do oddania i ludziach poszukujących kogoś do pary. W strategicznym miejscu na ścianie wystawiam własne obrazy. Padające światło zmienia w klejnoty ogrody Mughalu, na zadach kapiących się słoni lśnią krople wody. Za ladą połyskują ogromne słoje z kawą - każdy opatrzony szablonową etykietką: Sumatra, Ootacamund, Peruvian Organic, Jamajska Blue Mountain. Na

zawieszonych powyżej wielkich tablicach Belle wypisuje swą najpiękniejszą kursywą menu danego dnia.

„Styl domowy, chociaż więcej tu stylu niż domu”, lubiła mawiać, a chociaż się z niej podśmiewałam, w duchu przyznawałam jej rację.

Chai House uratował mnie jeszcze pod innym względem. Podczas owych mrocznych miesięcy po rozwodzie bez przerwy zastanawiałam się, czy aby nie popełniłam straszliwej pomyłki. Wiele osób próbowało mnie przekonać, że rozstając się z ukochanym tatusiem Jony, pozbawiam ją szans na szczęśliwe dzieciństwo. Mówiłam sobie wtedy, że nie znają całej prawdy. Nie żyli z Sonnym pod jednym dachem, nie widzieli, jak tamtej nocy na imprezie podniósł na mnie wzrok i patrzył szklanymi oczami, w ogóle mnie nie rozpoznając. Ale wtedy nie miałam jeszcze pewności. Tylu ludzi uwielbiało Sonny'ego... nawet moja matka. Czy naprawdę wszyscy się mylili, a ja jedna miałam rację? Podczas tych bezsennych, pełnych wątpliwości nocy tylko Chai House stanowił jakieś oparcie, był tym, czym się wydawał, niczym więcej i niczym mniej. Zajmowanie się sklepem okazało się sposobem na to, by przynajmniej jedna część mojego życia przybrała właściwy obrót.

Może fakt, że pierwszą rzeczą, którą po rozwodzie udało mi się naszkicować, była scena z wnętrza sklepu, ma jakieś szczególne znaczenie? Kosztowało mnie to trzy miesiące męczarni i wyszło niezbyt dobrze, ale przynajmniej nie podarłam tego dzieła, jak wiele innych, przed dokończeniem. Przypięłam je potem na ścianie sypialni obok szkicu Jony i w złe dni czerpałam pociechę z jego solidności. W takie dni jedynym powodem, dla którego zwlekałam się z łóżka, było przekonanie, że beze mnie nie dadzą sobie rady ani mój sklep, ani moja córka.

N a brzęk dzwonka przy drzwiach Belle natychmiast się odwraca.

- Och, Rikki, jesteś nareszcie! Dzięki Bogu! - Wyciera ręce w fartuch i szybko ściska mnie za ramię. - Tak mi przykro, że ci przeszkodziłam! Wiem przecież, że rano malujesz...

To zły znak. Ostatni raz Belle mnie przeproszała, kiedy pożyczyła na tańce moją jedyną wieczorową suknię i rozdarła cały bok. Zdarzyło się to na dzień przed moją ważną randką z Sonnym, tą, na której zamierzał mi się oświadczyć. I nawet wtedy nie były to prawdziwe przeprosiny. Bo później się zaklinała, że specjalnie podarła tę suknię, w próżnym zamiarze ratowania mnie od siebie samej.

- W porządku - mówię ostrożnie. - O co chodzi?

W odpowiedzi Belle ciągnie mnie do frontowego okna i pokazuje coś oskarżycielsko palcem.

Odsuwam na bok pierzaste liście licznych leczniczych roślin zamieszkujących nasz parapet - to podarunki od klientów, którzy znosili je nam przez całe lata od otwarcia - i wyglądam na ulicę. Widzę Sztalugi, sklep, którego właściciel, pan Jarison, udziela mi dobrosąsiedzkiego rabatu na przybory do malowania. Obok jest Estrella - meksykańska restauracja prowadzona przez rodzinę Soto. I Purple Jam, gdzie handluje się używanymi kasetami i płytami CD; zwykle pełno tam młodych ludzi w koszmarnych strojach i fryzurach.

Kiedyś zrobiłam jakąś uwagę na ich temat i Belle zaraz przewróciła oczami.

- Starzejesz się! Poza tym oni pewnie uważają, że to ty jesteś koszmarnie ubrana. Koszmarnie staroświecko, ot, co!

Trudno spodziewać się innego komentarza po osobie, która najchętniej nosi naszywaną cekinami czerwoną miniówkę z gołymi plecami, a ostatnio przekłuła sobie dwa razy pępek.

Na chodniku po drugiej stronie jest stragan z kwiatami Marisy - dziś wystawiła jaskrawożółte tulipany. Na przystanku autobusowym trzech studentów uzbrojonych w ciemnoniebieskie kubki z kawą (nasze!) czeka na 51 do kampusu. Dwie matki w strojach do joggingu gawędzą, popychając spacerówki. Na przejściu dla pieszych jakiś facet rozdaje różowe ulotki. Marco, bezdomny, który mieszka w parku miejskim i codziennie pod koniec dnia kupuje po niższej cenie resztki ciastek (nie zgadza się brać ich za darmo), ustawia futerał do gitary.

- Z tego, co widzę, Bóg nadal jest w swoim niebie (Prawdopodobnie jest to aluzja do wiersza Roberta Browninga „Piosenka Pippy”.) - mówię. Podoba mi się cytrynowy klin, jaki tulipany Marisy tworzą na tle ciepłego beżu ściany restauracji. Podobają mi się subtelne cienie uwydatnione na fakturze cegieł przez poranne słońce. Zaczynam sobie w głowie układać kompozycję.

- Nie uważasz - oskarża mnie Belle. - Roi ci się jakiś obraz, tak? - Dźga szybę paznokciem w kolorze perłowej fuksji. - Spójrz tam!

Teraz widzę. Sklep na rogu - lokalizacja godna pozazdroszczenia - który stał pusty od zeszłego miesiąca, kiedy to pani Levy zamknęła swoje delikatesy i przeszła na emeryturę, wcale nie jest już pusty. Front pozostał bez zmian, ale w środku są ludzie, ludzie w uniformach. Sprzątają, robią porządki. Te ich uniformy - w kolorze eleganckiej oliwkowej zieleni - potrącają jakąś strunę w mojej pamięci. Gdzie ja je widziałam? Nagle podjeżdża ciężarówka. Robotnicy zaczynają wyładowywać stoły, krzesła, skrzynie różnych rozmiarów. Ze środka wychodzi kobieta, żeby ich nadzorować. Jest wysoka i smukła, zwraca uwagę swymi kośćmi policzkowymi i złocistymi włosami. Oliwkowy uniform leży na niej jak uszyty na miarę, co oczywiście nie

może być prawdą, gdyż - jak sobie nagle uświadamiam - jest to standardowy mundurek pięćdziesięciu pięciu tysięcy pracowników Javy, firmy o krajowym zasięgu.

- Tak, tak - mówi Belle z ponurą satysfakcją. - W ubiegłym miesiącu pisano o nich w „Business Week”, pamiętasz? Czytałam ci fragmenty. - I recytuje: „Java jest najszybciej rozrastającą się siecią kafeterii w kraju, znaną ze swej polityki otwierania nowych lokali w pobliżu już istniejących i przywabiania ich klientów niskimi cenami przeróżnych smakołyków. W ciągu trzech lat swego istnienia Java opanowała sześćdziesiąt siedem procent amerykańskiego rynku. »To jeszcze nic« - powiada Jeff Norfolk z charakterystyczną skromnością. - »Zamierzamy dojść do stu procent«”.

Belle ma wątpliwy talent do perfekcyjnego zapamiętywania tekstów. Ja - wręcz przeciwnie, nieprzyjemne fakty wolę jak najszybciej zapomnieć. Im dłużej o nich myślisz, tłumaczyłam jej, tym więcej energii psychicznej z ciebie wysysają, żeby dzięki niej nabrać większej mocy.

Ale w tej sytuacji nawet ja nie mogłam chować głowy w piasek.

- Możemy już rzucić ręczniki na ring - zauważa złowieszczo Belle. - Sprzedać, zanim puszczą nas z torbami. Siedem lat harówki, urabiania rąk po łokcie... ale cóż, takie jest życie.

Mam jej przypomnieć, że Chai House funkcjonuje raptem od pięciu lat? Lepiej nie, zresztą w kwestii urabiania rąk ma rację.

- Zawsze mogę wrócić do Turlock - ciągnie. - Pomóc mamie i tacie w ich sklepie z produktami rolnymi. Na pewno się ucieszą. Nigdy im się nie podobało, że wolę mieszkać nad zatoką. Prawdopodobnie wydadzą mnie za męża za jakiegoś

młodego hinduskiego farmera, który się u nich zaopatruje. Zawsze próbowali mnie namówić do tego rodzaju znajomości.

- Nie dajmy się do reszty zwariować.

- Ale ja po prostu nie widzę siebie za dziesięć lat, jak spowita w tłuszcz i poliestrowy salwaar kameez (Salwaar kameez - luźna tunika, noszona zwykle razem ze spodniami i przewieszonym przez ramię szalem, zwanym dupatta.) wałkuję ciasto na pieprzone roti dla całej rodziny, a stadko zasmarkanych bachorów czepia się mojej dupatty!

- Belle, ty nie umiesz przyrządzać ani roti, ani żadnej innej hinduskiej potrawy. I nigdy nie widziałam cię w niczym, co choćby z daleka przypominało salwaar kameez...

- No właśnie! - I w ryk.

- Uspokój się - mówię surowo, ale pod całą tą teatralną powłóczką dostrzegam prawdziwą desperację. Chai House znaczy dla Belle jeszcze więcej niż dla mnie. To ona zmieniła nasze marzenie w rzeczywistość. Pamiętam dzień, w którym przyszła do mojego domu - byłam jeszcze męczatką - wymachując z entuzjazmem plikiem kartek. Zreferowała mi cały projekt, kiedy ja zajmowałam się Joną. Bezpieczna w kokonie domowego szczęścia, nie mogłam się zdecydować. Mam pełne ręce roboty przy mężu i niemowlęciu - wykręcałam się - że nie wspomnę o mojej sztuce. Nie potrzebuję dodatkowego kłopotu z prowadzeniem interesu. Ona jednak nie dawała mi spokoju: „Pomyśl, jaka to będzie frajda nie pracować więcej dla kogoś innego. Zawsze tego chciałam”. Dotąd przymilała się do swoich rodziców, aż wreszcie wyłudziła od nich pieniądze, które oszczędzali na jej wesele, i zapłaciła gotówką za sklep. Zgodzili się bardzo niechętnie. Nie dowierzali, że Belle (czy ja) ma dość smykałki do interesów, by utrzymać się na powierzchni. Nawet teraz, kiedy telefonują, żeby zapytać, jak nam idzie, wyczuwa się w

ich głosie lęk. Może dlatego Belle tak ciężko pracuje, że chce im pokazać, jak się mylą?

Sonny także daleki był od zachwyty. Nie chciał, żebym brała sobie na głowę coś, co wymaga tak wiele uwagi, kiedy Jona jest jeszcze malutka. Przypuszczałam, że moi rodzice (a konkretnie matka, bo ojciec rzadko zabierał głos w sprawach dotyczących mojego życia) staną po jego stronie, ale tu matka mnie zaskoczyła. Kobiety potrzebują czegoś własnego, co zapewni im niezależność, oznajmiła z nieoczekiwaną gwałtownością. Czegoś, co da im poczucie podmiotowości, zapewni jakąś rezerwę na wszelki wypadek. Czyżby coś przeczuwała? Dała mi sporą sumę, nigdy nie wyjaśniając, skąd miała tyle pieniędzy - wystarczyło tego na zakup niezbędnego wyposażenia sklepu - i zaproponowała, że zaopiekuje się Joną.

Panika jest zaraźliwa. A jeśli stracimy Chai House? Poczulałam gorycz w ustach; ręce miałam lepkie od potu. Tyle czasu, tyle pieniędzy, tyle nadziei - wszystko na marne. Ale to jeszcze najmniejszy problem. Gorzej, że nie potrafię tego ukryć przed tym jastrzębiem Sonnym. Dzięki mojemu upadkowi dostanie to, na co cały czas czyhał: szansę na odebranie mi Jony.

Belle wyciera oczy. Chyba wpadła na jakiś pomysł.

- Zadzwońmy do twojej mamy! - woła. - Ona będzie wiedziała, co powinniśmy zrobić.

- Nie! - mówię, sięgając po telefon, ale ona już wystukuje numer.

Linia jest zajęta.

Zawiedziona Belle wręcza mi telefon, przykazując surowo, że mam próbować co dwie minuty, aż do skutku, a sama idzie odstawić resztę muffinek.

Odkąd moja matka rozszyfrowała Belle pewien sen, ta stała się jej wielką fanką (czy raczej wyznawczynią). Nigdy

nie poznałam szczegółów - matka ściśle przestrzega tajemnicy zawodowej. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z aktualnym kochaniem Belle - młodzieńcem o zielonych włosach, z kolczykiem - żyłką w uchu i wiecznie nachmurzoną miną - który na krótko zaistniał w jej życiu.

Taki sam magnetyczny wpływ matka wywierała na Sonny'ego. Już po pierwszym spotkaniu - na długo, zanim został moim chłopakiem - zdecydował, że ją zaadoptuje, a ściślej rzecz biorąc, że ona zaadoptuje jego. Wkradał się chyłkiem do jej serca, bezwstydnie wykorzystując cały swój urok (na tym towarze nigdy mu nie zbywało), znosząc jej z targu w San Francisco podarunki w postaci egzotycznych warzyw hodowanych na organicznych nawozach. Nadal co tydzień jada z nią obiady i opowiada o swych nieszczęściach (moim zdaniem, sam je wywołuje), ona zaś wysłuchuje tego ze zdecydowanie przesadzonym współczuciem. Wychodząc od niej, zabiera starannie zapakowane smakołyki - palak paneer, kurczaka tandoori, pooris (Dania kuchni indyjskiej: palak paneer - rodzaj zapiekanki z domowego sera, czyli paneer, i szpinaku, tandoori - ceramiczny garnek, w którym ogrzewa się potrawy, np. porcje kurczaka w specjalnej marynacie, pooris - smażone w głębokim tłuszczu placuszki z mąki, wody i sklarowanego masła (ghee) lub oliwy.) - których przygotowanie wymaga wielu godzin pracy. Wiem, bo Sonny nigdy nie zapomina mnie o tym poinformować.

Natomiast mnie musi wystarczyć chiński miszmasz - piętnaście minut całej roboty.

Kilka razy posprzeczałam się z Sonnym na ten temat.

- To moja matka, jeśli przypadkiem zapomniawsz - wytknęłam mu, kiedy po raz kolejny piał z zachwytem, wychwalając rybę na sposób Kurmy. - Nie sądzisz, że skoro już nie jesteśmy razem, mógłbyś trochę przyhamować?

- Dlaczego? - spytał tonem urażonej niewinności. - Nadal jest moją mamą, z tego co wiem. Jest także najlepszą kucharką na świecie i jedną z niewielu osób, które mnie rozumieją. I doceniają.

- Sonny, ty nie wiesz, co to znaczy „doceniać”.

- Poza tym - ciągnął z dramatycznym westchnieniem, jakbym się w ogóle nie odezwała - w moim sercu ty i ja nadal jesteśmy razem.

Odłożyłam z obrzydzeniem słuchawkę.

Wkrótce potem zadzwoniła matka. Była wściekła, co rzadko jej się zdarza.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś zazdrosna o tego nieszczęsnego chłopca, który teraz jest taki samotny. Nie wierzę, że masz mu za złe wizyty u mnie.

- Co, już nakablował?! Poczekaj tylko...

- A ty zaraz podejrzewasz Bóg wie co! Wiedz, że Sonny nie pisał mi ani słowa.

- Aha... jasne - odparłam z całą ironią, na jaką było mnie stać, ale ku swemu zdumieniu, uwierzyłam jej. Moja matka ma swoje sposoby dowiadywania się o różnych sprawach. - Nie chcę, żeby cię naciągał - dodałam i ugryzłam się w język, żeby jej nie wypomnieć: „To dlaczego karmisz go tymi wszystkimi frykasami, których mnie nigdy nie przyrządzasz?”.

- Wcale mnie nie naciąga. Zawsze przynosi coś tacie i mnie, kiedy nas odwiedza. - Umilkła znacząco, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że na tym polu wykazuję pewne braki. - Pomaga mi na różne sposoby, na przykład w zeszłym tygodniu zawiózł mnie do lekarza na badanie kontrolne.

- Dotąd jakoś jeździłaś sama.

- Ostatnio nie lubię prowadzić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jesteś chora? To dlaczego mnie nie poprosiłaś?

Wróciła do poprzedniego tematu.

- I przynosi nam najnowsze hinduskie filmy, a potem ogląda je razem z nami. Te, w których śpiewają przeboje. Twój ojciec je uwielbia, wiesz przecież, jak kocha muzykę...

- Od kiedy to oglądasz hinduskie filmy? Mnie nigdy na to nie pozwalałaś, kiedy dorastałam. Mówiłaś, że to seksistowskie paskudztwo, które robi wodę z mózgu.

- A ty od kiedy zasmakowałaś w indyjskiej kuchni? - odparowała matka, która wierzyła w skuteczność obrony przez atak. - Zawsze domagałaś się tylko pizzy i makaronu. „Och, mamu tylko nie znowu to alu parathas”. A potem dodała: - Powinnaś wiedzieć, że kocham was oboje. Jesteś poza konkursem, mimo że to ty zażądałaś rozwodu.

Matka nigdy nie robiła sekretu ze swej całkowitej i irracjonalnej sympatii dla Sonny'ego. Nie potrafię pojąć tego wynaturzenia u kobiety, która jest skądinąd jedną z najinteligentniejszych osób, jakie znam.

Być może istnieje jakiś inny Sonny, zauważyła kiedyś Belle. Milszy, łagodniejszy Sonny, którego widzi tylko moja matka, tak samo jak ludzi ze snów.

Akurat! Milszy, łagodniejszy Sonny... To z pewnością musiałyby być sen.

Muszę jednak oddać matce sprawiedliwość, że nigdy nie wywierała na mnie presji, abym z nim została, kiedy już zapadła decyzja o rozstaniu. Mimo że dotąd nie zdobyłam się na odwagę, by wyznać jej powód.

No proszę, co ja wyprawiam: obsesyjnie wracam do starych historii, zamiast rozwiązywać bieżące problemy! To zawsze była moja słaba strona, jeszcze jedna różnica między mną a matką, która ma wypisane na czole „Zrób to teraz”. Może dlatego ona zajmuje się snami, a ja maluję? W końcu sny patrzą w przyszłość, a obrazy próbują zachować przeszłość.

Patrzemy z okna Chai House, jak tragarze rozładowują kolejną ciężarówkę drogiego wyposażenia i wwożą je na wózkach do Javy.

Belle rzuca mi spojrzenie, które mówi: „Wracaj lepiej do telefonu”.

Odpowiadam jej w taki sam sposób: „Dlaczego musimy wciągać w to moją matkę?”.

- Rikki, teraz nie pora na fałszywą dumę. Potrzebujemy jej pomocy.

- Poradzimy sobie same - mówię najbardziej stanowczym z moich tonów.

Ale w duchu mam pietra. Nigdy nie byłam przewidująca, zwykle daję się ponieść sprawom, które narzuca mi życie. Rozwód to jak dotąd jedyna trudna decyzja, jaką podjęłam. Matka przeciwnie, w naszej rodzinie to ona jest specjalistką od walki. Kiedy raz wytknie sobie cel, nigdy nie popuszcza. „Jak żółw z tej bajki o żółwiu i zającu - powiada ojciec i dodaje, mrugając okiem ze złośliwym uśmieszkiem: I zgadnij, kto jest zającem?”.

Nigdy nie miałam pewności, kogo ma na myśli: siebie czy mnie.

Ale były i takie wyścigi, które matka przegrywała. Nigdy nie udało się jej powstrzymać ojca od picia, chociaż co jakiś czas wpada w furję i wyrzuca mu butelki.

- Dlaczego miałbym przestać? - zapytał kiedyś. - Picie daje mi szczęście... albo powstrzymuje od smutku, co na jedno wychodzi. I nikogo tym nie krzywdzę, prawda?

Nie pił regularnie. Nigdy nie mogłam zrozumieć, co go do tego skłania. Czasem nie tykał alkoholu przez miesiąc, a czasem zaczynał w piątek wieczorem i nie przestawał do końca weekendu. Pił tylko czerwone wino - twierdził, że dobrze wpływa na serce - i nigdy po pijanemu nie zachowywał się grubiańsko. Siedział w kącie salonu i na

przestarzałym stereo puszczał piosenki - głównie o miłości - nieżyjących wykonawców, takich jak Sehgal, Rafi czy Kishore Kumar, chociaż czasem, ku memu zaskoczeniu, także Lady Day (Chodzi o Billie Holiday.). Zdarzało mu się także śpiewać razem z nimi - miał mocny baryton - z bladym, nieobecnym uśmiechem na twarzy. Jeśli był za bardzo pijany, zwijał się w kłębek na sofie, przykrywał kocem, który specjalnie trzymał w pogotowiu, i zasypiał. A w poniedziałek rano jak gdyby nigdy nic wyruszał do pracy.

Nigdy nie miałam mu za złe picia. Aż do śmierci matki.

Matka próbowała go powstrzymywać na wszystkie znane sobie sposoby. Kiedy szaleństwo mijało, przyrządzała mu ulubione dania. Stawała za jego fotelem i masując mu kark, tłumaczyła:

- Zabijasz się tym pijaństwem.

Starła się mówić lekkim tonem i tylko ja, patrząc z drugiej strony stołu, widziałam w jej oczach troskę. Czekałam, aż go zapyta, czemu tyle pije, ale nigdy tego nie zrobiła. Błagała, żeby z kimś porozmawiał - z lekarzem, kapłanem ze świątyni Siwa Wisznu, konsultantem ruchu AA, on jednak nie chciał jej słuchać.

- Dopóki cię nie zabiję - żartował - nie masz prawa się skarżyć.

- Może i do tego dojdzie pewnego dnia - odpowiadała ze złością.

- Skąd wiesz? Przyśniło ci się?

Po takich słowach jej twarz traciła wszelki wyraz, jakby matka coś w sobie zatrząskiwała. Nie lubiła, kiedy ktoś z nas wspominał o jej snach.

- Dobrze, już dobrze - sumitował się ojciec. - Przepraszam. Wybacz mi... proszę. - Przyklękał przed nią na jedno kolano i wyciągał ramiona w stylu Bollywood. - Mere

sapno ke rani - śpiewał swym mocnym głosem, póki się nie uśmiechnęła.

- Och, przestań się wygłupiać!

Mój hinduski pozostawia wiele do życzenia, ale zdaje mi się, że te słowa znaczą „królowa moich snów”. A może raczej „Moja królowa snów”?

6. Rakhi

Matka tłumaczyła sny na dwa sposoby, chociaż może było ich więcej. Moja wiedza na temat tej części jej życia jest ulotna, fragmentaryczna i uzyskana przez podsłuchiwanie.

Pierwszy - jak niechętnie mi wyjaśniła - polegał na tym, że klientka opowiadała jej swój sen, a ona tłumaczyła, co on oznacza. (Ale dlaczego użyłam formy żeńskiej? Przypuszczam, że mężczyźni także się do niej zgłaszali, chociaż chyba bardziej ich to krępowało).

- Sen to telegram z ukrytego świata - usłyszałam, jak kiedyś mówiła. - Tylko głupiec albo analfabeta może go lekceważyć.

Drugi sposób był bardziej skomplikowany. Zajmę się nim później.

Wcześniej nauczyłam się nie wypytywać matki o jej pracę. Chociaż rozmawiała ze mną swobodnie na tematy, które w hinduskich rodzinach uważano za tabu - o chłopakach, o zmianach zachodzących w ciele, o brzydkich sprawach, jakie zdarzają się w szkołach - na temat snów zachowywała milczenie. Kiedy próbowałam pytać, wyraźnie się płoszyła, czasem nawet wychodziła z domu. Raz wzięła samochód i nie wracała przez kilka godzin. Odchodziłam od zmysłów ze zdenerwowania, byłam pewna, że miała wypadek. I chyba właśnie od tamtej pory nie zadawałam jej więcej pytań. A może odkąd przestała mnie uczyć.

Nie wypaczajmy faktów. Matka wcale nie chciała uczyć mnie tłumaczenia snów. To ja miałam fioła na tym punkcie.

Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze chciałam to robić, a kiedy skończyłam dwanaście lat, nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Widziałam to jako szlachetne, tajemnicze powołanie, dzięki któremu można pomóc światu. Objąśnianie ludziom tajników wewnętrznego królestwa wydawało mi się takie... hinduskie. (Oczywiście myśląc tak, zwodziłam samą

siebie: Czyż amerykańskie gazety nie są pełne ogłoszeń różnych jasnowidzów?) Łaknęłam wtedy wszelkich informacji o Indiach, ponieważ matka nigdy nie mówiła o kraju, w którym dorastała, i w ogóle o swojej przeszłości. Ale gdybym mogła zostać tłumaczką snów, jak ona, na pewno zrozumiałabym ją bez słów.

Nie wszystkie moje motywy były takie czyste. Często puszczałam wodze fantazji, wyobrażając sobie, że dzięki owemu szczególnemu darowi mogłabym zyskać przyjaźń co bardziej popularnych dziewczyn ze szkoły. Może wreszcie dostrzegłaby mnie taka Elroy Thomas, która grała na perkusji w zespole? Już widziałam siebie, jak przesuwam rękami po jej gęstych, przypominających sprężynki włosach.

Kiedy poprosiłam o to matkę, ta potrząsnęła głową.

- Po pierwsze, nie wolno przekazywać tej wiedzy komuś, kto może ją wykorzystywać do egoistycznych celów. - I dotąd patrzyła mi w oczy, póki nie odwróciłam wzroku. - A po drugie, na razie tego nie potrafisz.

Nie przekonała mnie.

- A jak ty się nauczyłaś?

- Muszę robić obiad.

Próbowała uciec do kuchni, ale złapałam ją za skraj sari. Powiedziałam, że jej nie puszczę, póki nie usłyszę całej historii.

- Nie istnieje żadna historia. Po prostu miałam dar. Daleka ciotka, która także była tłumaczką snów, rozpoznała go, kiedy przyszła do nas z wizytą.

- Ale jak?

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba zmusiła mnie do spania w tym samym pokoju. W każdym razie, kiedy wyjeżdżała, zabrała mnie ze sobą.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, próbując wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy trzeba zostawić wszystko za sobą i odejść z kimś obcym.

- I tak po prostu wyjechałaś? Matka nie próbowała cię zatrzymać? Nie tęskniłaś za nią?

Patrzyła na swoje dłonie. Jej nieszczęście było wręcz namacalne, mogłabym ująć je w dłonie niczym zranionego ptaka. Nigdy przedtem nie zauważyłam, że ma nierówne brzegi paznokci jak ktoś, kto je obgryza. Moja matka obgryza paznokcie? Tak mnie to zaszokowało, że zmieniłam temat: - Mniejsza o to. Powiedz, czego cię ta ciotka nauczyła? Dawała ci lekcje?

- Chyba można tak to nazwać. - Mówiła wolno, cedząc słowa jak we śnie. - Ale to nastąpiło później i tylko dlatego, że już miałam dar.

- A ja go nie mam? - spytałam, siląc się na lekki ton, chociaż głos mi się trochę łamał.

Zawahała się.

- Nie wiem na pewno. Nie wyczuwam go, i tyle. Może dlatego, że jestem zbyt blisko z tobą związana.

Wiedziałam, co chce mi powiedzieć pod przykrywką uprzejmości. Ale nie mogłam tego znieść.

- Przynajmniej spróbuj, mamo. Tak naprawdę, chociaż jeden raz. Pozwól mi z sobą spać.

Wciągnęła powietrze, żeby odpowiedzieć „nie” - widziałam po układzie jej warg. Ale ostatecznie się zgodziła. Czy dlatego, że mnie kochała? A może to jakieś głęboko zakorzenione, chromosomowe poczucie winy, że jednak nie przekazała mi daru?

Spałam tej nocy jak kamień, a rano obudziłam się z bólem głowy. Matka miała ściągniętą twarz, a pod oczami ciemne półkola.

- Zapamiętałaś coś? Widziałaś cokolwiek? - spytała głosem tak ochryplym, jakby brała ją grypa.

Kiedy pokręciłam przecząco głową, wyglądała na zawiedzioną, ale zarazem wyraźnie jej ulżyło.

- Nic z tego. Bardzo mi przykro.

Zupełnie jakby ktoś zatrzasnął przede mną drzwi, zostawiając ją po drugiej stronie, poza moim zasięgiem.

- W porządku - rzuciłam z pozorną nonszalancją. - To bez znaczenia, ale dzięki, że spróbowałaś.

Nigdy nie umiałam oszukać matki. Czułam na sobie jej przenikliwe, smutne spojrzenie.

- Może tak będzie najlepiej. Tłumaczenie snów nie jest tak wspaniałe, jak sobie wyobrażasz.

Rok później miałam się przekonać, do jakiego stopnia miała rację.

Drugi sposób polegał na tym, że to matka spała, a jej sny nie dotyczyły jej samej, nas czy znajomych osób. Widziała w nich obcych ludzi, zwykle niewierzących w sny. A jeśli w nie wierzyli, to raczej wbrew sobie. Tak było gorzej, gdyż człowiek, którego zmusza się, by uwierzył w coś, co wolałby raczej wypchnąć z umysłu, często reaguje agresją.

Matka miała obowiązek ostrzegać rozjuszonych ludzi przed tym, co wkrótce ich spotka.

Tego szczególnego ranka cierpiała na migrenę. Rzadko jej się zdarzał taki oślepiający ból głowy, chociaż patrząc wstecz, myślę, że częściej, niż ojciec czy ja podejrzewaliśmy. Nie należała do tych, co ciągle się skarżą, a może umyślnie nic nam nie mówiła, gdyż nie chciała, abyśmy zauważyli, że boli ją głowa, ilekroć śni coś dziwnego.

Tym razem jednak migrena musiała porządnie jej dokuczyć, bo kiedy podała nam śniadanie i ojciec wyszedł do pracy, położyła się w salonie na dywanie i kazała mi przynieść koc i buteleczkę aspiryny. Połknęła garść białych tabletek i

poprosiła, żebym otuliła ją dokładnie kocem. Zrobiłam to z niepokojem - jej członki wydały mi się napięte i ociężałe. Chrapliwym, niepodobnym do własnego głosem dodała jeszcze, że mam nie iść do szkoły.

To już było całkiem nie w jej stylu. Szkoła u matki zawsze stała na drugim miejscu po Bogu. Przestraszyłam się, ale po tym, co powiedziała później, wpadłam niemal w panikę.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Zawsze prosiła mnie o różne rzeczy - żebym umyła warzywa, pościeliła łóżko, wysłała listy, zniosła Yangom, którzy mieszkali nieco dalej, torbę dojrzałych pomarańcz z drzewa na naszym podwórku. Kiedy byłam młodsza, czułam się dzięki temu niezastąpiona, ale niedawno zdałam sobie sprawę, że wszystko, co dla niej robiłam, sama wykonywała dwa razy szybciej. Polecenia wydawała mi tylko dlatego, żebym przed wejściem w dorosłe życie nauczyła się tego, co będzie mi potrzebne.

Tego dnia jednak po raz pierwszy naprawdę mnie potrzebowała.

Usiadłam przy niej, zastanawiając się, czy nie wezwać lekarza. Ale jakiego? Znałam tylko swojego pediatrę. Czy matka ma swojego lekarza? Serce gubiło mi rytm z poczucia winy, że tak mało wiem o życiu swojej matki.

Jakby czytając w moich myślach, otworzyła oczy (miały czerwone żyłki) i pokręciła nieznacznie głową. Potem skinęła, żebym się zbliżyła.

- Idź do pokoju do szycia i otwórz szafę. Pod zapasowymi poduszkami znajdziesz plastikowe pudełko z niebieską pokrywką...

Czekałam, aż powie coś więcej, ale znów zamknęła oczy i dyszała ciężko.

Pobiegłam do pokoju do szycia i stanęłam przed wielką szafą ścienną. Próbowalam odsunąć drzwi, ale utknęły w

połowie i omal się w nich nie zaklinowałam. Nigdy dotąd nie zwracałam uwagi na tę szafę, trzymało się tam różne domowe drobiazgi. Kiedy tego dnia do niej zajrzałam, wydała mi się bardzo ciemna i większa niż w rzeczywistości. Może potrafi się rozciągać aż poza zasięg mojego wzroku, jak w „Opowieściach z Narni”? Wyciągnęłam rękę i moje serce zabiło szybciej, ale tylna ściana - boleśnie solidna - była na swoim miejscu. Z salonu dobiegał kaszel matki. Speszona, sięgnęłam pod poduszki i odnalazłam pudełko - plastikowe, niezbyt duże, chociaż ciężkie. Podniosłam wieczko, nie mogłam się oprzeć. W środku były rzędkie szklanych fiolek, każda wielkości wskazującego palca. Szkło miało brązowy kolor, więc nie zobaczyłam zawartości.

Kiedy przyniosłam matce pudełko, rzuciła mi nikły uśmiech. Czekałam, co zrobi z tymi fiolkami, ale kazała mi szukać jakiegoś numeru w książce telefonicznej. Nazwisko tej osoby brzmiało Raghavendra S.P. Nigdy dotąd go nie słyszałam. Zanim znalazłam i przepisałam numer, matka zamknęła pudełko.

- Odłóż je dokładnie tam, gdzie było - poleciła. - A potem włóż buty. Wychodzimy.

- Ale przecież źle się czujesz! - protestowałam.

Nie odpowiedziała, tylko dźwignęła się na nogi i trzymając się ściany, poczłapała chwiejnym krokiem do szafki z butami. Pomogłam jej znaleźć klapki i zamknęłam za nami drzwi. Zamrugła oczami i osłoniła je ręką od słońca.

- Naprawdę musimy jechać? Jesteś zbyt chora, żeby prowadzić.

- Nie ma mowy o żadnej jeździe. - Ujęła mnie za ramię i opierając się ciężko, ruszyła.

Po dziesięciu męczących minutach dotarliśmy do stacji benzynowej na rogu. Matka odeszła na bok do automatu

telefonicznego. Podniosła słuchawkę i kazała mi wybrać odnaleziony numer.

- Jesteś pewna? - spytałam, pełna obaw. - Znasz chociaż tego faceta?

Pokręciła przecząco głową. Usłyszałam sygnał, po czym odezwał się szorstki głos:

- Raghavendra, słucham.

- Panie Raghavendra, chcę pana poinformować, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie. Ktoś z domowników zamierza pana zabić.

Na drugim końcu zapadła cisza. Potem głos ciężki, syczący, a jednocześnie słaby i cichy zapytał:

- Kto mówi?

Matka nie odpowiedziała.

- To ma być kawał? Zaraz zadzwonię na policję, sprawdzę, skąd...

- Panie Raghavendra, musi mi pan uwierzyć. Przypuszczalnie to pański kuzyn, którego sprowadził pan z Indii pół roku temu. Od tej pory mieszka w pańskim domu, zgadza się? Czy jego imię zaczyna się na „H”? Cisza.

- Myślę, że on... związał się z pańską żoną i chce pana usunąć...

- Skąd o tym wiesz? - spytał dziwnie chłodno.

- Nie mogę powiedzieć.

- Ktoś cię napuścił, tak? To miał być kawał, tak?

- Nie, nie kawał.

- W takim razie jesteś wariatką! - ryknął. - Kompletna bzdura! Będiesz za to siedzieć! Czekaj, już ja cię namierzę!

Zacząłam płakać. Nie wiedziałam, co bardziej mnie przestraszyło: czy to, że ów mężczyzna dotrze jakoś do matki, a co za tym idzie i do nas, czy to, że ma rację: matka zwariowała.

- Zrobiłam, co w mojej mocy, panie Raghavendra - rzekła smutno. - Reszta należy do pana.

I kiedy facet grzmiał z drugiego końca, co jej zrobi, kiedy ją odnajdzie, odłożyła drżącymi rękami słuchawkę. Potem ruszyła na oślep przez parking, nie widząc, że zza zakrętu wyjeżdża wóz dostawczy.

Wydałam przeraźliwy krzyk. Zapiszczały hamulce i z okna wychylił się wielki facet o czerwonej twarzy.

- Gdzie leziesz, głupia kurwo! - wrzasnął. - Oczu nie masz?! Mogłem cię zabić!

Matka jakby go nie słyszała. Doszła spokojnie do krzaków na rogu ulicy i tam zwymiotowała. Dopiero wtedy ją dogoniłam. Trzymałam ją za głowę, a ona oparła się na mnie ciężko i dalej rzygała. Łypiąc ze złością na wyraźnie zgorszonych przechodniów, wytarłam jej twarz najlepiej jak umiałam, kawałkiem papieru toaletowego, który przypadkiem znalazł się w mojej kieszeni. Już chciałam biec z powrotem do automatu i poszukać w książce lekarza, wszystko jedno jakiego, ale matka wciąż trzymała mnie za ramię.

- Już mi lepiej - powiedziała i rzeczywiście tak było, widziałam to po jej oczach. Bez względu na to, co wywołało jej chorobę, teraz, kiedy już przekazała swój sen, wszystko minęło.

Kilka miesięcy później zebrałam się na odwagę i zapytałam, co właściwie stało się tamtego ranka. Zmarszczyła lekko brwi.

- O który ranek ci chodzi, shona? Nie wiem, o czym mówisz.

Napotkałam jej szczere spojrzenie. Nie kłamała, tego byłam pewna. Zaszło mi w ustach. Czy ta zdolność do wymazywania czegoś z pamięci po spełnieniu obowiązku należy do daru tłumaczki snów? To może i nas tak wymaże pewnego dnia, ojca i mnie?

Albo... ale nie. Nie wymyśliłam sobie tego incydentu. Co to, to nie.

Zastanawiam się czasem, jak mocno trzeba wierzyć w siebie i w to, co się śni, żeby postąpić tak, jak matka tamtego dnia. I pewnie w wiele innych dni, chociaż już nigdy nie poprosiła mnie o pomoc. Zapamiętałam złość w głosie mężczyzny i chyba nie podjęłabym się takiego zadania.

Dzięki Bogu, że mój świat jest prostszy. Nawet moje tragedie są proste, pomalowane w banalne kolory.

Szaleństwo tkwi w czym innym: w jednej chwili ogarnia mnie wdzięczność, a w następnej żal. Bo nigdy nie przekroczę progu podziemnego królestwa mojej matki, nie poznam tych jaskiń zaludnionych możliwościami - tym, co może albo nie może nastąpić, gdzie jeden plus jeden równa się sto... albo zero.

7.

Telefon matki wciąż jest zajęty. Rakhi to denerwuje, ale nie dziwi. Matka wiele czasu spędza przy telefonie, prawdopodobnie dlatego, że jej klientki wolą nie spotykać się z nią twarzą w twarz. Mogłyby czuć się skrepowane, wręcz zagrożone, gdyby na przykład wpadły na nią później w sklepie czy na jakimś przyjęciu (choć przestała już udzielać się towarzysko). Jedno jest pewne: Rakhi nigdy nie poznała żadnej z tych osób.

Słucha krótkich bip - bip - bip. Niecierpliwość kłuje ją jak igła, przenika do krwiobiegu. Że też matka zawsze musi zajmować się kimś innym, myśli Rakhi i natychmiast ogarnia ją wstyd, bo to przecież nieprawda. Odkąd pamięta, matka dokładała wszelkich starań, aby jej praca nad snami nie zakłócała życia rodziny. Upychała wszystko do torebek, flaszeczek, szczelin w ścianie niewidocznych dla oczu męża i córki. (Tylko raz zdarzył się wyjątek - przy 7 - Eleven, odór wymiocin, spaliny diesla, połamane liście oleandrów...). Może o to Rakhi ma żal: że matka mimo całej macierzyńskiej skrupulatności nie dopuszcza jej do miejsca, które najbardziej ją pociąga. Że odmawia jej tego, co przysługuje dziecku z urodzenia, skazując je na bezbarwność amerykańskiego przedmieścia.

Kiedy Rakhi wreszcie uzyskuje połączenie, matka wydaje się zdezorientowana:

- Kto mówi? - pyta, z trudem łapiąc oddech. - Kto tam?

- Mamo, to ja, Rakhi! Twoja jedyna córka, pamiętasz mnie?

- Przepraszam, shona - odpowiada skruszonym głosem, chociaż obie wiedzą, że jest daleka od skruchy. - O co chodzi?

Rakhi czuje znajome ukłucie zazdrości, podejrzenie, że jest mniej ważna niż oni, ci, którzy prześladowali ją przez całe dzieciństwo. Odsuwa je jednak na bok i opowiada matce o

nowym lokalu, starając się mówić w kompetentny, „dorosły” sposób. Ma z tym pewne kłopoty, gdyż Belle sapie jej do drugiego ucha i ponagla głośnym szeptem.

Matka nie odpowiada. Nigdy nie reaguje na złe wieści tak, jak według Rakhi, powinny reagować matki - okrzykami zgrozy albo współczującym cmokaniem. Rakhi nie jest pewna, czy powinna być za to wdzięczna czy czuć się dotknięta. Dziś milczenie matki ją denerwuje. Może do klientów odnosi się tak samo, ale czyż córka nie zasługuje chociaż na parę wykrzykników przerażenia? Jak matka może być tak nienaturalnie opanowana, tak różna od wszystkich? Czy to dlatego, że wie z góry, co jej powiedzą?

Wciąż milczy, ale teraz to milczenie nabiera intensywności. Rakhi widzi, jak matka stoi w kuchni w tak dobrze jej znanej pozie. Opiera się o ścianę, przeczesuje palcami swe długie, czarne włosy (nie ma w nich białych nitek, co peszy Rakhi, która niedawno wyrwała kilka z własnej głowy). Zamyka oczy, co pozwala jej lepiej się skupić na tym, czego słucha. Twarz ma nieobecna, wyprana z wszelkich emocji, niczym twarze bogiń z posągów, zapamiętanych przez Rakhi z rzadkich wizyt w wedyjskiej Dharma Samaj. Jeśli w takiej chwili Rakhi do niej przemówi, matka nie odpowie. Ale teraz jest inaczej, myśli Rakhi, uśmiechając się ironicznie. Tym razem to mnie poświęca całą uwagę.

Ma fantastyczny kontakt z matką i dobrze o tym wie. Cieszą się z każdego spotkania, lubią ze sobą rozmawiać. Matka zrobiłaby wszystko, żeby pomóc Rakhi, jeśli ta wpadnie w kłopoty. Znacznie wykracza poza zakres jej próśb i może dlatego Rakhi tak niechętnie się do niej zwraca. A może dlatego, że matka nigdy nie rozmawia z nią o własnych troskach. Rakhi nie ma pojęcia, dlaczego matka nie sypia w nocy.

Ale może myśląc tak, popełnia zasadniczy błąd. Może tłumaczkci snów w ogóle nie sypiają.

Kiedy Rakhi miała dziesięć lat, usłyszała od matki coś, co zapamiętała na zawsze, prawdopodobnie dlatego, że matka tak rzadko udzielała jej rad. Były w ogrodzie, sadyli chili. Rakhi kopała dołki, a matka wkładała do nich sadzonki o kosmatych korzonkach, z owocami jak małe czerwone ptasie dzióbki.

- Shona - powiedziała głosem jak palony cukier z leciutką, zachwycającą chrypką - najlepszy sposób kochania ludzi to ich nie potrzebować. To właśnie jest najczystsza miłość.

Rakhi nie bardzo wiedziała, o co jej chodziło, ale później przez całe lata starała się kochać ludzi w taki bezinteresowny sposób. I popełniła błąd. Czasem zastanawia się, czy te słowa nie stały się przyczyną jej zerwania z Sonnym. Może zdążył się przyzwyczać, że nic od niego nie chce, a potem, kiedy naprawdę go potrzebowała, nie potrafił sprostać zadaniu?

Zachowuj się jak dorosła, upomina się ze złością. Nie spychaj na nikogo odpowiedzialności za swoje zabałaganione życie.

Ale przynajmniej na tyle może sobie pozwolić: te słowa stały się powodem, dla którego owej nocy, kiedy Sonny kompletnie ją zdołował, nie zwróciła się do matki.

- Po prostu się uparłaś jak koza w kapuście - rzuca oskarżycielsko Belle, która zna ledwie ułamek prawdy o tym, co się wydarzyło. - Chciałaś po prostu jej udowodnić, że sama sobie poradzisz.

Rakhi nie umie tego wyjaśnić nawet swojej najlepszej przyjaciółce. Przecież tak naprawdę chciała matce udowodnić zupełnie co innego: że ją kocha najczystsza miłość.

Kończy rozmowę, informując matkę, że nie chciała jej niepokoić.

- Belle mnie zmusiła.

- I kurde, miałam rację! - woła Belle dostatecznie głośno, by matka Rakhi ją usłyszała. - Rikki zawsze jest na „nie”, ale ja wiem, kiedy trzeba podnieść alarm.

Przed nowym sklepem dwaj tragarze rozpakowali już wielkie logo Javy w triumfalnym, acz złowieszczym pomarańczowym kolorze.

- Wiem, pani Gupta, że to nie jest sen, chociaż z pewnością koszmar - tłumaczy się Belle, wyrwawszy Rakhi słuchawkę. - I czuję, że pani będzie wiedziała, co robić.

Rakhi nie pozwoliła matce towarzyszyć sobie na procesie rozwodowym, chociaż ta jej to proponowała. Nie powiedziała też matce o swej gorzkiej batalii o prawo do opieki nad dzieckiem, a później poinformowała ją tylko o najbardziej istotnych punktach ugody. Matka prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, co znaczy dla Rakhi utrata interesu i że stanowi ona prostą drogę do znacznie poważniejszych nieszczęść.

Zapada długa cisza, wszystkie na coś czekają, chociaż nie bardzo wiedzą na co. Kiedy w końcu matka się odzywa, jej głos przeraża Rakhi.

- To rzeczywiście jest sytuacja, prawda? - Matka woli nie używać słowa „problem”.

- Owszem - odpowiada Belle. - I liczymy, że udzieli nam pani odpowiedniej rady.

Rakhi rzuca jej złe spojrzenie i wyrwa słuchawkę.

- Musicie działać szybko - mówi matka. - Póki niczego się nie spodziewają. Chcą wam ukraść klientów, przywabić ich czymś tak, żebyście nie mogły ich przebić. Uda się wam, ale musicie zaoferować coś całkiem innego, jakąś wyjątkową atrakcję, która znaczy dla ludzi więcej niż pieniądze.

Belle, która stoi z uchem przyklejonym do zewnętrznej strony słuchawki, kiwa energicznie głową na znak, że się zgadza.

- Co masz na myśli? - pyta Rakhi. - Jaka atrakcja? Ale matka nie odpowiada.

- Może zacznie do nas przychodzić i objaśniać ludziom sny? - szepcze Belle. - Dałybyśmy ogłoszenie w „Berkeley Voice”...

Rakhi osłania dłonią mikrofon i spojrzeniem nakazuje przyjaciółce natychmiast się zamknąć.

Belle wzdycha,

- Rozumiem, że to nieprzyzwoitość prosić ją, by frymarczyła swym darem, wykorzystując go do celów komercyjnych. Nawet gdyby miała w ten sposób uratować życie córki i co ważniejsze, jej najlepszej przyjaciółki. Założę się, że nigdy nie wzięła złamanego centa za te wszystkie cuda, które robi dla ludzi...

Prawdopodobnie ma rację. Rakhi nie przypuszcza, by matka pobierała jakąkolwiek opłatę za swoje usługi. Ale podejrzewa, że wdzięczni klienci zostawiają jej dziękczynne podarunki, w tym także pieniądze. Jak inaczej udawałoby się jej prowadzić dom na stosownym poziomie w okresach, kiedy ojciec był bez pracy? Rakhi widziała biżuterię - matka miała jej pełną szufladę, chociaż nigdy niczego nie nosiła. Były to przeważnie wisioriki, ale Rakhi wcale by się nie zdziwiła, gdyby znalazły się wśród nich naprawdę wartościowe sztuki. Kiedy Rakhi chodziła do liceum, przez cały rok w każdą niedzielę ktoś zostawiał im na progu skrzynkę świeżych jarzyn i owoców. Nigdy nie zauważyła, kto to robi. Raz matka otrzymała pocztą supernowoczesny robot kuchenny, kiedy indziej przysłano jej bon na upominek wartości pięciuset dolarów (dała go Rakhi), a raz, gdy Rakhi otworzyła drzwi, zobaczyła na progu małą pumę, którą, ku jej nieutulonemu żalowi, matka podarowała oaklandzkiemu zoo.

Belle ma rację także i w tym, że matka mogłaby naprawdę stać się Niezwykłą Atrakcją.

Ale Rakhi - to jej wstydlivy sekret - wcale nie życzy sobie matki w sklepie. Chai House to jej azyl, jedyne własne miejsce na ziemi. Choć bardzo matkę kocha, nie chce, by objęła ona tam rządy (bez najmniejszego wysiłku, bez jednego słowa, absolutnie niechcący), tak jak już zdominowała inne dziedziny jej życia.

Matka śmieje się cichutko, jakby wiedziała, o czym Rakhi myśli.

- Powiedz Belle, że nie mogę, a gdybym nawet mogła, i tak nie rozwiązałoby to waszego problemu. Musicie znaleźć coś autentycznego, zaoferować waszym klientom coś, co zaspokoi ich głębokie, rzeczywiste potrzeby. Na pewno coś wymyślicie, mam do was pełne zaufanie.

Belle patrzy ponuro w okno, zastanawiając się, co też matka Rakhi rozumie przez „coś autentycznego”. Personel Javy stoi na ulicy i obserwuje robotników, którzy mocują logo. Kiedy znak jest już na swoim miejscu, klaszczą i wiwatują. Słyszą ich nawet przez szyby. Jasnowłosa kierowniczką świetnie potrafi motywować swych ludzi.

- Nie wciskaj nam macierzyńskiego kitu - burczy Rakhi.

- A czego się spodziewałaś? Przecież jestem twoją matką.

- Ależ, pani Gupta - Belle znów wyrywa telefon przyjaciółce - czy nie może pani podsunąć nam jakiegoś pomysłu? Może coś się pani przyśni...

- Może tak, może nie. Balwant, ja nie kontroluję swoich snów. Belle zaczyna przeproszać, ale matka jej nie słucha.

- Gdyby tak było, na nic by się nikomu nie przydały. - I lżejszym tonem dodaje: - Jeśli będę mogła jakoś wam pomóc, zrobię to, przecież wiesz. A tymczasem wcale się nie zdziwię, jeśli jedna z was usłyszy wkrótce dobrą wiadomość.

- Chwileczkę! - Belle przechyla się przez ramię Rakhi i krzyczy do słuchawki: - Czy dowiedziała się pani tego we śnie, czy to tylko matczyne przeczucie?

- To jedno z podstawowych praw wszechświata: „Po każdej ciemności następuje światło”. Nigdy o tym nie słyszałaś?

I matka odwiesza słuchawkę, a Rakhi się zastanawia, czy to mądrość starożytnych Hindusów czy raczej New Age po kalifornijsku.

8. Z dzienników snu

Kiedyś moja córka przyszła do mnie zapłakana, a ja nie umiałam jej pomóc.

Nie kochasz mnie, oskarżała mnie później. Robisz to dla wszystkich innych, ale nie dla mnie.

Nie sposób udowodnić swojej miłości komuś, kto w nią wątpi.

Wróciło do mnie ostrzeżenie starszych: Tym, których kochasz najbardziej, najmniej możesz pomóc. Zostaniesz pokonana przez jedność własnej krwi. Pomyślałam sobie: Co te wyschnięte na wiór staruchy wiedzą o miłości? Jeśli jest mocna i czysta, przezwycięży wszystkie bariery. A ja właśnie ten rodzaj miłości zdobędę.

Rakhi w tamtym roku skończyła trzynaście lat - była młodziutką, pełną szacunku panienką. Zupełnie nie przypominała innych dziewcząt w tym wieku. Jej hinduskie koleżanki z klasy nosiły topy na ramiączkach i opięte dzinsy, paliły papierosy i marzyły o koncertach Madonny. Nienawidziły wszystkiego, co wiązało się z ich kulturą albo rodzicami. Moja córka wracała z biblioteki ze stosem książek o Indiach. Obserwowała mnie zza drzwi. Zaczęła czytać Freuda „Objaśnianie marzeń sennych”, ale straciła zainteresowanie tym dziełem, gdyż skupiało się za bardzo na zachodniej metodologii. Próbowałam odwrócić jej uwagę od dawnych epok i odległych miejsc, zainteresować ją bardziej amerykańskim „tu i teraz”, ale ona wciąż uważała, że to, co robię, jest niezwykle i ciekawe.

Na tych stronach mogę wyznać to, czego nigdy jej nie powiedziałam. Ja także czułam zawód, że moja córka nie potrafi rozszyfrowywać snów. Gdybym mogła mieć w niej towarzyszkę na tej drodze, nie byłabym taka samotna. Pragnęłam dla niej owego daru jeszcze w okresie ciąży, ale nie ja go przekazywałam.

Tej nocy, o której piszę, przyszła z płaczem do pokoju siewu (Autorka używa zamiennie fonetycznie zbliżonych określeń: sewing nom (pokój szycia) i sowing room (pokój siewu).), gdzie sypiam i gdzie zapadają we mnie ziarenka snów. Były dwie godziny po północy. Szlochała tak strasznie, że ledwie rozumiałam, co do mnie mówi. Trzymałam ją w ramionach i gładziłam po włosach, aż z wolna dotarło do mnie, że miała sen. Nie powiedziała mi nic więcej, a ja nie pytałam. Zaprowadziłam ją z powrotem do łóżka i dopiero kiedy zasnęła, wróciłam na moją matę. Godzinę później była u mnie znowu i znowu zapłakana. Miała ten sam sen, tylko tym razem trwał dłużej.

Za pierwszym razem, jak mi powiedziała, znajdowała się w zatłoczonym domu towarowym - sama, ale nie przejmowała się tym, bo wokół niej kręciło się mnóstwo ludzi. Szukała lusterka. Zapytała sprzedawczynię, gdzie może je znaleźć, i ta wskazała jej kierunek. Rakhi szła przez dział bielizny, całe rzędy bielizny wiszącej na wieszakach tak blisko niej, że musiała się między nimi przeciskać. Spociała się, nie widziała już innych kupujących. Nagle usłyszała kroki - tak ciężkie, że podłoga pod nimi skrzypiała. Była pewna, że nie są kobiece. Co mężczyzna robi w dziale damskiej bielizny? Odwróciła się na pięcie, ale nikogo nie było. Zauważyła tylko niewyraźny kształt, jakby dłoń, która szybko się cofnęła. Rakhi wiedziała, że jeśli się odwróci, mężczyzna znów tam będzie. Bała się go, dlatego obudziła mnie po raz pierwszy.

Kiedy potem zasnęła, była w tym samym dziale bielizny i przeciskała się między nocnymi koszulami i halkami. Bielizna zacieśniała się wokół niej, Rakhi czuła na twarzy jej jedwabistą śliskość. Nie mogła oddychać. Próbowwała wrócić do wyjścia, ale jej ciało parło do przodu, jak gdyby popychane własną wolą. Wiedziała, co teraz nastąpi: kroki skradające się zza węgła. Teraz wyraźniej widziała dłoń. Nie, nie jakiegoś

potwora - zwykłą dłoń mężczyzny. Nie, nie trzymał żadnej broni. Powiodła wzrokiem od dłoni do ramienia, a potem tułowia odzianego w białą koszulę. Nie widziała twarzy - ta kryła się za wieszakami. Rakhi nie rozumiała, dlaczego ręka, sięgająca ku niej przez tiul i jedwab, zuchwałymi palcami o wypielegnowanych paznokciach, tak bardzo ją przeraża. Kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej, Rakhi zdreptała ze strachu. Wreszcie wskazujący palec dotknął jej nadgarstka i wtedy się obudziła.

Przywarła do mnie z całej siły. Nie chciała słyszeć o powrocie do łóżka i dalszym śnie.

- On tam będzie czekał - powtarzała. - Zrobi coś strasznego, ja to wiem. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że jakąś częścią siebie ja tego pragnę. - Nagle zapytała: - Dlaczego to mi się ciągle śni? Co to znaczy?

W tym śnie była groźba. Wydzielał z siebie żar, zupełnie jak piecyk, który ktoś zapomniał wyłączyć. Ale nie potrafiłam ocenić jego natury ani tego, skąd się wziął.

- Pomóż mi, mamó - poprosiła.

Próbowałam sobie przypomnieć to, czego mnie uczono o powracających koszmarach. Jak wtedy postąpić. Ale żadna odpowiedź mi nie pasowała. Jedyne rozwiązanie to samej zobaczyć ten sen.

Położyłam się obok Rakhi z głową na jej poduszce, chociaż dawniej obiecałam sobie już nigdy tego nie próbować. Cały czas myślałam o tym, co o mały włos nie zdarzyło się ostatnim razem, kiedy chciałam ją nauczyć objaśniania snów. Niemal ją wówczas straciłam. Ale jak mogłabym opuścić swoje dziecko w chwili takiego strachu?

Zamknęłam oczy i siłą woli spowolniłam oddech, spychając świadomość w głąb siebie. Czułam żar bijący z głowy mojej córki, jej gorączkowe myśli, wirujące niczym potłuczone szkło. Rozluźniłam kontrolę nad swoim ciałem i

opuściłam się w ten wir. Coś podobnego zrobiłam tylko parę razy dla klientów, którym nie mogłam pomóc w żaden inny sposób. Oczekiwałam, że wciągnie mnie, tak samo jak wtedy, że wizje przyhamują nieco i staną się wyraźniejsze, a ja przedostanę się dalej, aż do śniącego oka mojej córki.

Ale tak się nie stało. Owszem, przeszłam przez wir, ale kiedy wynurzyłam się po drugiej stronie, byłam spowita welonem. Nic nie widziałam, mogłam tylko słuchać. Słyszałam, jak Rakhi przeciska się między wieszakami, słyszałam szelest atlasu, kroki mężczyzny - z początku ostrożne, potem szybkie i pewne. Wiedział, że nie uda się jej wymknąć. Powiedział coś, ale do mnie docierały tylko same spółgłoski. Wiedziałam, że ona słyszy je inaczej, dla niej brzmiały jak obietnica. Próbowałam zawołać „nie!”, ale welon zatykał mi usta. Szybki, rozkoszny wdech, odgłos, jaki dziewczyna wydaje przed pierwszym pocałunkiem. Ale nie byłam pewna, czy to właśnie słyszałam. Przez welon nic nie jest pewne. Nie potrafiłam rozszyfrować, co symbolizuje ów mężczyzna, kiedy i gdzie pojawi się w jej życiu.

Kiedy Rakhi obudziła się z płaczem, ja płakałam także. Tak trudno pogodzić się z faktem, że ja, która tłumaczę sny dla tylu obcych ludzi, być może nigdy nie będę umiała zrozumieć znaczenia snów własnej córki. I nigdy nie ostrzegę jej przed ewentualnymi katastrofami życiowymi.

Rano zrobiłam jedyną rzecz, jaka mi jeszcze pozostała. Odkupiłam ten sen od Rakhi. Odkupiłam go za jednego dolara, bo nie miałam już muszelek kauri. Czytałam wcześniej o tym rytuale w „Brihat Swapna Sarita”, ale zanim miałam okazję go poznać, wyjechałam. Nauka zaczerpnięta z lektury ma inną wartość niż przekazana osobiście przez starszą. Tak więc znów wszystko sknociłam.

Później miałam to zrozumieć. I tak jednak czułam, że moje wysiłki dały tyle, co kciuk przyciśnięty do rozdartej tętnicy.

Pokonała mnie jedność krwi.

9. Rakhi

Doszło do tego, że złamałyśmy z Belle jedną z naszych kardynalnych zasad: żadnego pojadania w czasie godzin pracy. Żujemy w ponurym nastroju delhijskie antydietki, gapiąc się na zawieszony w poprzek ulicy banner: WIELKIE OTWARCIE!! Łopocze sobie wesoło, chociaż znikąd nie czuje się nawet najmniejszego powiewu. Właśnie mam zwrócić uwagę mojej przyjaciółki na ten fakt, gdy odzywa się telefon.

Belle apatycznie sięga po słuchawkę... i nagle się ożywia.

- To Kathryn! - woła. - Z Atelier! Biegnę do telefonu z bijącym mocno sercem.

- Zarząd obejrzał portfolio i zgadza się zorganizować wystawę pani obrazów - oznajmia Kathryn głosem, który kojarzy się z białym winem i czarną wieczorową suknią. - Właśnie anulowano rezerwację i przestrzeń będzie dostępna w ciągu dwóch tygodni. Czy może pani do tego czasu przygotować prace?

Czy mogę?! Od pół roku czekam na wiadomość z Atelier, najbardziej prestiżowej galerii po tej stronie zatoki. Z trudem hamując się, by nie wydać dzikiego „juuuu!", informuję Kathryn, że większość obrazów dostarczę w następnym tygodniu. Uzgodniłyśmy termin wernisażu na piątkowy wieczór za dwa tygodnie.

Ledwie skończyłam rozmowę, Belle rzuca mi się na szyję i mocno mnie ściska.

- Gratuluję! Twoja pierwsza wystawa, i to od razu w Atelier! Rikki, taka jestem z ciebie dumna! - Całuje mnie głośno w oba policzki, po czym nagle się cofa z rozszerzonymi zdziwieniem oczami. - No popatrz, zupełnie tak, jak mówiła twoja mama! Przecież nawet godzina nie minęła, odkąd powiedziała, że jedna z nas otrzyma dobrą wiadomość!

- To mógł być przypadek - mówię sucho. Belle kręci jednak głową.

- Mów, co chcesz, ale jesteś wielką szczęściarą, że masz taką matkę. - Kolejna myśl wpada jej do głowy i oczy robią się jeszcze szersze. - Może ona sama to sprawiła! Myślisz, że...

Przewracam oczami.

- Czy naprawdę nie dopuszczasz takiej opcji, że po prostu zarząd galerii uznał mnie za dobrą malarzkę? - Ale w duchu sama mam wątpliwości.

Dzwonię do matki, aby przekazać jej nowinę, i słucham uważnie jej wyrazów zachwyty. Wydaje się zaskoczona, a także trochę podekscytowana i wzruszona, jak każda normalna matka... czyżby była lepszą aktorką, niż podejrzewam? Proszę, żeby zarezerwowała sobie wieczór w dniu wernisażu. Nie spodziewam się wprawdzie, by mieli z ojcem gdzieś wyjść albo zaprosili do siebie przyjaciół. Czy oni w ogóle mają przyjaciół? Cóż, ich obecność zbyt wiele dla mnie znaczy, żebym miała ryzykować.

- Oczywiście, skarbie - odpowiada. - Za nic bym nie opuściła takiej uroczystości. - I po chwili dodaje z lekkim wahaniem: - Twój ojciec także.

Ale ja wyczuwam w jej głosie napięcie.

- O co chodzi, mamo?

- Wolałabym, żeby to nie był piątek.

Teraz rozumiem. Ciągi ojca zawsze zaczynają się w piątkowe wieczory, a od ostatniego minęło sporo czasu.

- Znowu go zwolnili - wyjaśnia. - Firma ogranicza działalność. Ojciec chodzi codziennie do agencji, ale nikt nie szuka pracowników, zwłaszcza w starszym wieku. Ciężko to znosi.

- Przykro mi - mówię nieszczercze, gdyż niewiele mnie to obchodzi. Ojciec, niejasna postać w moim życiu nawet w

najlepszych czasach, bywał już zwalniany z pracy i zawsze udawało mu się coś znaleźć. W tej akurat chwili - przyznaję, że egoistycznie - bardziej interesują mnie moje własne problemy. - Po prostu musisz powstrzymać go od picia. - Zdenerwowanie zaostrza mi język. - Tylko na ten jeden wieczór. To naprawdę ważne. Mogę na ciebie liczyć?

- Zrobię, co w mojej mocy - mówi, ale głos jej drży. Wiem, że obie myślimy o tym samym: że w ciągu trzydziestu lat małżeństwa nie odniosła na tym polu sukcesu.

Tydzień mija mi jak we mgle. Cierpię nieznośne męki, bo nie wiem, które obrazy wybrać na wystawę. Z sześć razy zaczynam wystukiwać numer matki i zaraz się rozłączam. Chętnie by mi doradziła, podobnie jak Belle, ale żadna z nich nie wie, co się nadaje. To mogę wiedzieć tylko ja sama. Wyciągam więc i odkładam kolejne płótna, ustawiam je rzędkiem pod ścianą i gapię się na nie tak długo, aż wreszcie wszystkie wydają mi się skażone jakąś wadą i w ogóle ohydne. Na dodatek martwię się o Jonę.

Nie dała znaku życia - to znaczy Sonny nie dał od czasu tamtej wiadomości na sekretarce, że ją zabiera na dzikie tereny Mendocino. Wyobrażam sobie, że zabłądzili w lasach, że głodują, że przemarzli, widzę przewrócone łódki, niedźwiedzie grizzly, kobry... (Połowa mojego umysłu upiera się, że w północnej Kalifornii nie ma kóbr, ale druga nie chce jej słuchać). W końcu się łamię i dzwonię na numer Sonny'ego. Mam gotową zjadliwą wiadomość, ale automat mnie informuje, że skrzynka jest przepełniona. Trzęsę się ze złości; kto do niego tyle razy wydzwaniał?!

W Chai House źle się dzieje. W szybkim tempie tracimy klientów, zwłaszcza odkąd nowa kafejka wywiesiła ogłoszenie o zniżkach dla studentów. Czasem przez całą godzinę nikt się nie pojawia - coś takiego dotychczas się nie zdarzało. Większość mojego dyżuru spędzam przy oknie wystawowym,

obserwując hordy przepychające się pod markizą Javy. Masochizm w czystej, nieskażonej postaci, ale nie mogę się powstrzymać. Ostatnio uschły dwa filodendrony w naszej wystawowej skrzynce - na pewno z powodu zatrutego zazdrością powietrza, jakim na nie chuchałam. Jediną osobą, która skorzystała na tych zmianach, jest Marco. Pod koniec dnia zostaje tyle duńskich ciasteczek, że może nimi karmić wszystkich swoich bezdomnych przyjaciół.

Raz go zapytałam, czy był tam kiedy w środku.

Skubnął niechlujną brodę.

- Uhm... Wpadłem w zeszłym tygodniu, tak tylko, rzucić okiem.

- Ładnie mają? - ciągnęłam wbrew własnej woli.

- Ładnie? - Zmarszczył czoło. - Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam. Wszędzie pełno tego błyszczącego chłamu. Za to na pewno zapamiętałem kierowniczkę. Chciałem napić się kawy... miałem nawet kasę, ale ta baba to zimna suka. Ma takie bladoniebieskie oczy, prawie białe, i patrzy na człowieka bez zmrużenia, robot, po prostu robot. I gębę też ma taką - jak wyciętą z metalu. Powiedziała: Masz się tu więcej nie pokazywać, a potem dodała jak z łaski: Nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie grzebał w śmietniku, ale dopiero po zamknięciu lokalu. Dobrze mi tak, po co tam lazałem, zamiast przyjść do takich miłych panius jak wy. Ale nie martwcie się, oni nie zostaną długo na tej ulicy, jak będą tacy mili dla ludzi.

Uśmiechnęłam się i dołożyłam mu do torby dodatkową mufinkę.

- To by było niezłe, co? - zauważyłam.

Tak naprawdę nie wierzyłam, że się wyniosą. Nie do końca też wierzyłam w opis kierowniczkę - robota. Doceniłam jednak fakt, że Marco skłamał, żeby mnie pocieszyć.

Tylko praca nad obrazem eukaliptusowego zagajnika wydobywa mnie jeszcze z nędzy istnienia. Wciąż jeszcze nie skończyłam malować, ale uparłam się, że obraz będzie gotów na wystawę. Ślęczę po nocach, pracuję, póki oczy nie zajdą mi mgłą i kolory nie zmętnieją od kolejnych poprawek. Naszkicowałam mężczyznę, który ćwiczył tai chi, i jestem zadowolona z tej decyzji, chociaż na razie ma on formę niewyraźnej białej plamy na tle zieleni drzew.

Kiedy patrzę na obraz z boku, mam wrażenie, że postać się porusza. Ale wciąż coś zakłóca równowagę i nie umiem powiedzieć co. Ta niewiedza tkwi we mnie i przeszkadza jak włókienko mango między zębami.

W niedzielę wieczorem, kiedy straciłam już wszelką nadzieję, odzywa się dzwonek u drzwi. Dwa długie sygnały i dwa krótkie

- to Jona. Pędzę do drzwi, gotowa wygarnąć Sonny'emu, co myślę o jego postępowaniu, ale na progu stoi tylko moja córka. Pokryta grubą warstwą brudu, uśmiecha się szeroko szczerbatą buzią. Gapię się na nią, a tymczasem viper Sonny'ego znika za zakrętem z takim rykiem, że pewnie stawia na nogi wszystkich sąsiadów.

- Jak mógł zostawić cię tak po prostu na progu! - wybucham.

- A gdyby nie było mnie w domu?

- Widzieliśmy z Sonnym twój cień na tle zasłony - tłumaczy Jona, a splątane włosy opadają jej na buzię. - Zdawało nam się, że malujesz. - Marszczy nosek i rzuca mi przebiegły uśmieszek. Tak bardzo przypomina teraz Sonny'ego, że aż mnie od tego zatyka.

- Gniewasz się?

Udaje mi się pokręcić przecząco głową. Jona znosi cierpliwie mój uścisk, ale zaraz się wyrywa.

- Co jest do jedzenia? Umieram z głodu.

„Wiedziałam, że nie będziesz jej porządnie karmił” - mówię w duchu z satysfakcją do Sonny'ego Nieodpowiedzialnego, znosząc na stół góry jedzenia.

- Mmmm - mruczy - masło orzechowe i kanapki z galaretką, czipsy z tortilli z gorącą salsą, pomarańcze, ciasto i lody! Mamo, jesteś super!

- Tylko ten jeden raz - mówię surowomacznym tonem, ale nie mogę stłumić uśmiechu. Jesteś super! To mi się podoba! - Czy twój tata nie dał ci żadnego obiadu?

- Właściwie to dał. Zatrzymaliśmy się w naprawdę czystej włoskiej restauracji, tuż przy wjeździe na Golden Gate. Sonny powiedział, że to jedna z jego ulubionych knajpek. Mają tam pizzę długości stopy na francuskim chlebie i dają tyle sera, że aż ścieka bokami. Zjadłam cztery kawałki, mówię ci, to było super!

To tyle w kwestii mojego „superostwa”. Starając się nie czuć zawodu, pytam:

- Co ty tak ciągle z tym „Sonnym”? Gdzie się podział „tata”?

- Sonny mówi, że już dorosłam i jesteśmy teraz bardziej kumplami niż ojcem i córką, więc mogę mu mówić po imieniu - odpowiada, manewrując niebezpiecznie łyżką pełną lodów.

Chcę jej powiedzieć, żeby umyła ręce, zdjęła zabłocone buty, nabierała mniejsze porcje i nie słuchała wywrotowych poglądów swego ojca. Przywołuję na pomoc cały zapas silnej woli i jakoś udaje mi się siedzieć cicho.

Wsuwa w rekordowym tempie całe pudełko Cheez - Its, wchłania dwie szklanki mleka, po czym odwraca się do sztalug.

- Mamo! Zaczęłaś nowy obraz!

- A co o nim sądzisz? - Serce mi bezsensownie przyśpiesza, kiedy Jona przygląda się płótnu z przekrzywioną

głową. Jak na sześciolatkę, ma zdumiewająco bystre oko i często udziela mi dobrych rad.

- Podoba mi się - oznajmia w końcu i zaraz dodaje: - Jest inny, nie taki jak poprzednie.

- Pod jakim względem? - pytam, zaintrygowana. - Czy dlatego, że przedstawia Berkeley?

Jona kręci głową.

- Nie, to nie to. - Ziewa rozdzierająco. - Jutro ci powiem. Hej, mamuś, mogę dziś z tobą spać?

- Tylko najpierw pod prysznic - mówię z udawaną surowością. - Na pewno masz kleszcze.

Ale Jona zdążyła się już zwinąć w kłębek na moim łóżku, a jej rzęsy tworzą ciemną plamę na i tak brudnych policzkach. I nawet nie miałam kiedy wypytać ją o wyprawę.

Rano, jak zawsze, obłądny pośpiech: umyj zęby, włóż czyste rzeczy, gdzie się podziała skarpetka, uważaj przy jedzeniu, nie poplam tych czystych rzeczy. Sprawy komplikuje dodatkowo fakt, że muszę doprowadzić Jonę pod prysznic (brud ścieka z niej czarnymi strugami) i umyć jej głowę (nawet nie myślę o rozplątywaniu włosów). Wreszcie siedzimy w samochodzie i jedziemy do szkoły Mariposa Montessori. Oczywiście nie ma mowy o szybkiej jeździe przez ulice Berkeley o dziewiątej rano, kiedy wszędzie pełno studentów wierzących, że Bóg dał im prawo do przekraczania jezdni w dowolnym czasie i miejscu.

- Więc co miałaś na myśli, mówiąc, że ten obraz jest inny? - pytam Jonę.

- Co? Och, nie pamiętam. - I wywiesza się z okna, by się przyjrzeć młodemu człowiekowi o niemożliwie sterczących włosach, który śmiga obok nas na desce.

To tyle jeśli chodzi o mądrość spływającą z dziecięcych ust. Zmieniam temat.

- Co robiliście przez cały tydzień? - Boję się, że też zapomniała, ale nagle się wyraźnie ożywia.

- Pojechaliśmy do wujka Paula, a potem pływaliśmy łódką po oceanie i jedliśmy pizzę, i spaliśmy w leśnej chatce w śpiworach, i widzieliśmy wieloryby z małymi, potem one odpłynęły, a my wędrowaliśmy po lasach i piekliśmy hot dogi na ogniu, i spaliśmy w dwóch namiotach przez dwie noce, ale nie widzieliśmy niedźwiedzi, chociaż wypatrywaliśmy, potem wróciliśmy do chaty wujka Paula, tam nie ma splukiwanej toalety, potem pojechaliśmy w jedno takie miejsce z muzyką, gdzie grają na trąbkach, i znów jedliśmy pizzę...

Czyli z grubsza tak, jak się spodziewałam.

- Dwa namioty? - upewniam się już przy wjeździe na parking w Mariposie, gdzie jak zwykle kłębią się zaganiani rodzice. - To Paul pojechał z wami? - Gorączkowo szukam dyskretnego sposobu wypymania, czy Paul i Sonny palili marihuanę. Lepiej, żeby nie, jeśli im życie miłe.

- Tak - odpowiada, odpinając pas i otwierając tylne drzwi samochodu. - Wujek Paul był z nami i opowiadał wieczorem różne historie. Ja nic nie rozumiałam, ale Sonny i Eliana uważali, że są śmieszne.

- Eliana? - Pewnie nowa dziewczyna Paula.

- To moja przyjaciółka, tylko że jest dorosłą panią. Bardzo ładna, ma długie brązowe włosy i niebieskie oczy, takie jak kwiatki na tej roślinie, którą trzymałaś na parapecie, aż uschła. Została z nami w namiocie i śpiewała mi piosenki do snu...

Wciągnęłam ze świstem powietrze i spytałam, siląc się na spokój:

- Spała w tym samym namiocie co Sonny i ty?

- Uhm. Miała suknię w kwiatki i śpiewała w obcym języku... O, Keysha! Muszę lecieć, cześć, mamuś!

- Poczekaj! Ta Eliana przyjechała z wami znad zatoki?

Ale moja córka już biegła, aż jej się trzęsły ogonki i plecak. Miałam możliwość przekonać się na własnej skórze, że można być jednocześnie zszokowaną i wściekłą.

Jeździłam w kółko przez całą godzinę, próbując się uspokoić, zanim wezmę Sonny'ego na spytki. Ale jeśli nawet zdołałam wyciszyć nieco emocje, to wszystko diabli wzięli w chwili, kiedy usłyszałam jego gardłowe, senne „Halo”, którego ton pewne osoby (na przykład Eliana?) opisałyby jako seksosypialniany.

- Jak mogłeś?! - drę się do słuchawki. - Jak mogłeś być tak prostacki i nieodpowiedzialny, żeby uprawiać swoje perwersje przy dziecku?!

Zapada cisza, a po chwili rozlega się chrapliwy rechot. Był czas (wstyd mi, że to pamiętam), kiedy od tego śmiechu miękły mi kolana. Teraz tylko mnie wkurza. Nabieram pełne płuca powietrza i powstrzymuję się od wydechu w nadziei, że nieco ochłonę. Sonny uwielbia doprowadzać mnie do szału.

- Powinienem się domyślić, że to ty, Riks. Tęskniłaś za mną, co? Przez okrągły tydzień nie ma do kogo zadzwonić i się powydzierać, nie ma na kogo zwalić winy za wszystkie swoje...

- Nie wydzieram się na ciebie dla przyjemności...

- A już się dałem nabrać...

- ...ale tym razem nawet ty musisz przyznać, że mam powód.

- Bo nie zadzwoniliśmy do ciebie z Mendocino? Przepraszam, ale Paulowi wysiadł telefon.

- Są chyba inne telefony w tym mieście? - I nagle zdaję sobie sprawę, że do akcji wkroczył Sonny Taktyk. - Nie próbuj mnie odwodzić od tematu! To był brak odpowiedzialności, ale nie dlatego dzwonię. W końcu przywykłam już do twoich wyskoków...

- A tak, chodzi ci o moje, jak to ujęłaś, prostackie perwersje. No cóż, wiedz, że Paul i ja paliliśmy dopiero, kiedy Jona już spała. - Głos Sonny'ego ocieka wręcz cnotą. - I wychodziliśmy na dwór, nawet jak padało.

- A Eliana? Eliana też wychodziła, żeby z wami palić?

- Kto?

- Sonny, proszę! Nie obrażaj mojej inteligencji, udając, że nie wiesz, o czym mówię.

- Nigdy w życiu nie śmiałybym cię obrazić, Riks! Zaraz poszczułaś mnie Belle... Poza tym, czyż to nie ja powiedziałem ci kiedyś, że jesteś stanowczo za bystra?

- Przestań się wygłupiać. Kim jest Eliana?

- Nie znam nikogo o tym imieniu. Szczerze!

Brzmi to rzeczywiście szczerze, bez cienia poczucia winy. Na chwilę zabrakło mi słów. Ale tylko na chwilę. Bo słyszałam już kiedyś Sonny'ego - Samą - Szczerzość.

- Pozwól, że lekko odświeżę twoją pamięć. To kobieta, którą zabraliście ze sobą do Mendocino. Spała w waszym namiocie. W twoim namiocie, razem z moją córką! Eliana. Długie brązowe włosy, suknia w kwiaty, obcy akcent. Coś ci to mówi?

Cisza. I po chwili:

- A skąd się dowiedziałaś o tej... jak jej tam... Elianie?

- Od Jony! - wykrzykuję triumfalnie. Znów cisza.

- Jo ci to powiedziała? - pyta. Po jego tonie domyślam się, że kręci głową z niedowierzaniem, jakby cały świat znów wyciągnął mu dywanik spod nóg. - Niesamowite!

- Czy to takie niesamowite, że zwierzyła się własnej matce? Chyba nie prosiłeś jej o zachowanie sekretu? Tak czy nie? Sonny, jak mogłeś zrobić coś tak podłego...

Ale on wybucha śmiechem tak gromkim, tak serdecznym, że robi mi się głupio.

Dopiero po dłuższej chwili mówi:

- Daleko zajdzie ta nasza córka! Co to za imię było? Eliana? Z kwiatami we włosach? Ależ ten dzieciak ma fantazję!

Kiedy odkładam słuchawkę, wciąż słyszę jego śmiech.

Jest wieczór, błękitna godzina gęstniejących cieni. Zwykle o tej porze miałyśmy największy ruch i nawet z pomocą Marcii i Ping ledwie nadążałyśmy z zamówieniami. Dziś jedyną osobą, poza mną i Belle, jest moja córka. Rozłożyła się na stole w drugim końcu sklepu i pilnie rysuje.

Układałam sobie w głowie różne zdania, kiedy odbierałam ją ze szkoły: Czy wyobraziłaś sobie tę kobietę? Tatuś powiedział, że nikogo poza waszą trójką tam nie było. Musisz się nauczyć odróżniać fantazję od realnego życia! Ale wszystkie wydawały mi się zbyt oskarżycielskie albo nاپuszone, więc w końcu nic nie powiedziałam.

- Nie przejmuj się za bardzo - mówi Belle, kiedy opisuję jej swój ranek. - Wszyscy lubiliśmy fantazjować, jak byliśmy mali. To należy do procesu dorastania.

- Problem w tym, że wcale nie jestem pewna, czy ona fantazjuje. Sonny nie raz mnie okłamywał...

- Daj spokój, Rikki! Sonny nigdy nie zabrałby żadnej laski, kiedy ma z sobą Jonę.

- Nie wierzę własnym uszom, ty go bronisz? Czy nie nazwałaś go kiedyś Wrogiem Publicznym Numer Jeden?

Belle szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Właściwie to był Osobisty Wróg Numer Jeden. Znaczy, twój. Samej mi trudno uwierzyć, że go bronię. Ale musisz przyznać, że ojcem to jest dobrym.

- Tego, niestety, też nie jestem taka pewna. A szkoda, miałabym jedno zmartwienie mniej.

Nieprawda, szydzi mój szepczący głos. Wiesz, że tak naprawdę chciałybyś, żeby Sonny okazał się kompletnie nieodpowiedzialnym kryminalistą, bo wtedy przejęłabyś

całkowicie opiekę nad Joną i na zawsze zakazałabyś jej go widywać.

Trudno zaprzeczyć.

- Zawsze możesz zadzwonić do Paula.

- Nie rozmawiamy ze sobą, poza tym jego telefon jest nieczynny. Zresztą nawet gdybym się złamała i zadzwoniła, to myślisz, że powiedziała by mi prawdę? Zwłaszcza gdyby źle świadczyła o jego kumplu?

- No cóż, w tej sytuacji proponuję, żebyś skupiła się na prawdziwych zmartwieniach, a konkretnie na naszym interesie. Jeszcze dwa takie tygodnie i trzeba będzie zamykać. Próbowaliśmy wszystkiego: cięłyśmy ceny, wystawialiśmy promocyjne plakaty, Marco rozdawał na ulicy kupony, potem jeszcze ta horrendalnie droga reklama w „Berkeley Voice”, i nic! Nawet członkowie Klubu Książki nie zjawili się w tym tygodniu, a spójrz tylko na nich

Zerkamy niechętnie na drugą stronę ulicy. Chociaż widok zasłania nam olbrzymi pomarańczowy banner z napisem WIELKIE OTWARCIE, i tak jest jasne, że Java pęka w szwach, a co kilka minut przez wahadłowe drzwi wchodzi nowi klienci.

- Musimy rozszyfrować jakoś ich sekret... Coś w tym musi być! - mówi Belle, chodząc nerwowo po sklepie i przeczesując palcami rozczochrane włosy. Chyba schudła ostatnio. Rano otwiera lokal (Marcie i Ping zwolniłyśmy) i mimo moich protestów, siedzi codziennie do końca. - Zupełnie jakby mieli tam gigantyczny magnes, który przyciąga ludzi! Obserwowałam ich całe popołudnie. Nawet ci, co wyraźnie gdzieś się śpieszą, gdy tylko zobaczą ten znak, wchodzi do środka, niczym lunatycy we śnie.

- Sama byś lepiej poszła do domu się przespać - burczę. - Masz głos jak lektor z „Inwazji porywaczy ciał” (Horror Philipa Kaufmana według powieści Jacka Finneya.).

Ale nie mogę wytrzymać i także zerkam podejrzliwie w tamtą stronę. Przy tym, jak moje życie się wali, ludzkie magnesy wcale nie wydają się taką bzdurą. Widzę jednak tylko stado nadętych typków w drogich krawatach i ze skórzanymi teczkami. Wychodzą właśnie z kafejki, zarykując się ze śmiechu, jakby napili się czegoś znacznie bardziej wyskokowego niż kawa. Ten ich śmiech przypomina mi dzisiejszą rozmowę z Sonnym.

- Ciociu Belle! - woła Jona. - Zobacz, skończyłam rysować nasz biwak!

Podnosi wysoko wymalowany kredkami obrazek: fioletowe niebo, pomarańczowe drzewa, żółta trawa, dwa namioty w kropki. I czworo ludzi.

- Kim oni są, słoneczko?

- To jest Paul, to Sonny, to ja - trzymam go za rękę, a to Eliana - trzyma go za drugą.

Wyciągam szyję nad głową Belle, żeby lepiej zobaczyć. Od razu rozpoznaję postać Sonny'ego. Jona narysowała go - jak zawsze - z granatowoczarnymi włosami, błyszczącymi jak skrzydło ptaka, z ostrym, wydatnym nosem; z głowy emanują promienie słoneczne, tworząc coś w rodzaju aureoli. Oto Sonny Anioł: kolejna pozycja na liście niesprawiedliwych decyzji losu, charakterystycznych dla mojego życia. Obok stoi wysoka kobieta w niebieskiej sukni, z brązowymi włosami aż do pasa. Na głowie ma coś, co wygląda jak korona z piór.

- Opowiedz mi o Elianie - prosi Belle, siadając obok małej. - Chyba nigdy jej nie widziałam.

- Oczywiście, że jej nie widziałam. Sama poznałam ją dopiero na tej wyprawie.

- Skąd ona jest?

- Ze Słowacji - odpowiada bez zajaknienia moja córka, a my z Belle wymieniamy nad jej głową spojrzenia.

- Czy to przyjaciółka taty? A może Paula?

- Ona jest przyjaciółką wszystkich. Ale najbardziej moją. Dla mnie jest naprawdę wyjątkowa.

- Hmm... Co to znaczy „wyjątkowa”? To taka przyjaciółka z wyobraźni?

- Doprawdy, ciociu - odpowiada Jona z godnością, zwijając obrazek. - Tylko maluchy wymyślają sobie przyjaciół. Eliana jest wyjątkowa, bo śpiewa mi piosenki i opowiada historie o tym, jak dorastała.

- W tej Słowacji, tak? - nie wytrzymuję. Jona kiwa głową.

- Opowiadała mi, że tam, w jej wiosce, są czarownice... dobre czarownice.

Nagle traci zainteresowanie rozmową i idzie do pacynek.

Kiedy wracamy samochodem do domu, popatruję na nią ukradkiem. Przygląda się rysunkowi, pochylając ciemną główkę nad patykowatymi postaciami. Nagle poraża mnie myśl, że wcale nie znam mojej córki tak dobrze, jak mi się dotąd zdawało. Kiedyś wyszła z mojego ciała taka malutka i pomarszczona, a teraz nawet w jej życiu są sprawy, do których nie mam dostępu. Bez względu na to, czy są prawdziwe czy zmyślane, i tak czuję się wyłączona. Podobnie jak reszta rodziny - matka, ojciec, Sonny - także i Jona stała się zagadką.

W nocy, leżąc bezsennie w łóżku, rozmyślając o wszystkim, co w moim życiu źle się potoczyło, uświadamiam sobie, że wpisałam na listę rodziny także Sonny'ego. Niestety, muszę przyznać, że nadal do niej należy, chociaż bardzo chciałabym się go pozbyć. Bo tylko rodzina potrafi doprowadzić człowieka do takiej rozpacz. Tylko rodzina złości nas jak skórka przy paznokciu, której mimo wysiłków nie sposób odgryźć.

Kiedy skręcamy na nasz parking, Jona śpiewa coś pod nosem. Słowa wydają mi się pozbawione sensu, ale kto wie, może to po słowacku.

10.

Od kilku dni próbuje dokończyć obraz, ale nic z tego nie wychodzi. Owszem, liście i niebo się udały, podobnie jak światłocien, ale największy problem stanowi mężczyzna. Postać wydaje się sztywna i upozowana, w kącie nachylenia karku jest coś fałszywego, a twarz... Z twarzą w ogóle nie może sobie poradzić. Czasem ogarnia ją taka rozpacz, że ma ochotę zasłonić mężczyznę krzewem rododendronu. Ale to oznaczałoby porażkę, a Rakhi nie jest na nią przygotowana, mimo że otwarcie wystawy przypada już za trzy dni.

W Chai House też dzieje się coraz gorzej. Niedobitki wprawdzie ciągle zachodzą, ale rozglądają się tak, jakby nie spodziewali się trafić właśnie tutaj, bo naprawdę szukają czego innego. Kupują kawę na wynos i czym prędzej znikają. Nawet kiedy Belle częstuje ich anty dietkami (bo zainteresowały ich inne przekąski), nie zatrzymują się na dłużej, a później już nie wracają.

Gdzie się podziabili stali klienci, zastanawia się Rakhi. Co się stało z panią Locklin? Ze starym profesorem Rogersem? Z członkami Klubu Książki z Laurel Street, którzy przychodzili w każdą środę i elektryzowali kącik we wnęce żarliwością swoich dyskusji? Myśli o nich wszystkich, skonsternowana i zmartwiona, mając poczucie, że dopuścili się zdrady.

Ostatniego wieczoru weszła do sklepu i zastała Belle nad rachunkami. Przyjaciółka stuknęła w ekran laptopa i pokazała jej kolumnę ujemnych liczb. Od tygodni jechały na minusie, a teraz zabrakło im nawet na opłacenie kolejnej dostawy.

- W ciągu dwóch tygodni trzeba zapłacić czynsz - oznajmiła. Skóra wokół jej oczu była zaczerwieniona jak od ciągłego pocierania. W słabym świetle ekranu jej wargi wyglądały na sine. - Skąd weźmiemy kasę?

Nie należały do oszczędnych; ich własne konta bankowe były zbyt szczupłe, by pozwoliły im przetrwać dłużej niż

miesiąc z kawałkiem. Do banku nie mogły się zwrócić, bo i tak miały niespłacony kredyt. Rodzice - sami niebogaci - pomogli im już tyle, ile mogli.

- Chyba nie poprosimy Sonny'ego, co? - spytała Belle. - On naprawdę jest najbogatszy z naszych znajomych. Czyż ten nocny klub nie płaci mu wręcz obscenicznych sum?

- Belle!

- Oj, dobra, nie ma o czym gadać.

- Daj mi trochę czasu. Coś wykombinuję.

Ale kiedy leży tej nocy w łóżku, patrząc na splątane wzory światła i cienia, padające na jej sufit z ulicznych latarni, może co najwyżej odsunąć kamień, który kiedyś tak starannie ustawiła nad węzową jamą swej pamięci.

Jest z powrotem w college'u, w klasie o dużych oknach z zielonymi okiennicami, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Sonny'ego. Uczestniczy w kursie literatury, zajęcia dotyczą współczesnych pisarzy indo - angielskich. Musi to być sen, gdyż uniwersytet nie oferował takich zajęć, kiedy Rakhi tam studiowała, zresztą nawet nie bardzo wie, co ten termin oznacza.

(Ale może to jest coś jeszcze innego, jakiś stan niesnu, który jednak wolimy błędnie nazywać, bo wszyscy kochamy sny. Sny, które są jak latawce, odcięte od przyczyny, uwolnione od zatopionego w szkle sznurka przewin.

Poza tym: nie miała ani jednego snu od bardzo wielu lat, a konkretnie od owej strasznej serii nawracających koszmarów. Matka w końcu kupiła je od niej za dolara i ciąg bengalskich słów, których nigdy jej nie wyjaśniła).

Siedzi w tyle klasy przy oknie, na swoim zwykłym miejscu. Wygląda na confetti ludzkości przy Sproul Plaza - starych hippisów z gitarami i z psami w obrożach - bandanach, gorliwych studentów w birkenstocksach (Rodzaj wygodnych chodaków.) rozdających ulotki Dnia Ziemi, ludzi stojących w

kolejce do stoiska z burrito, głosiciele Ewangelii, pocących się w czerni i snujących z upodobaniem wizje piekielnych mąk, jakie czekają niewierzących, wśród nich zapewne i Rakhi. Wiosna jest w powietrzu, skądś dobiega słabe dudnienie, niczym odgłos bębnow, na których czasem ludzie grają przed Audytorium Zellerbacha. Rakhi wydaje się, że czuje zapachy pikantno - kwaśnej zupy z chińskiego wózka przy Bancroft Way, i postanawia wybrać się tam po zajęciach.

Nie widzi go, jak wchodzi do sali, ale to czuje... poprzez mrowienie u nasady pleców. Chociaż właściwie dlaczego? Jest już środek kwartału, więc pewnie wchodzi nie po raz pierwszy. A jednak Rakhi czuje na łopatkach jego taksujący wzrok - przybysz zastanawia się, gdzie usiąść. Jest jedno miejsce wolne koło blondynki w drugim rzędzie, a drugie koło niej. Chłopak dokonuje wyboru i zmienia w ten sposób jej życie.

Nawet w swoim nieśnie Rakhi zdumiewa się, jak dokładnie pamięta pewne rzeczy z nim związane. Miał na sobie wyblakłą czarną koszulkę z twarzą Carlosa Santany, a kiedy pochylał się nad zeszytem, włosy opadały mu na twarz - gęste hinduskie włosy, błyszczące prawdziwą czernią. To oczywiste, że się rano nie cesał. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, doznała lekkiego szoku. W całym swoim opakowanym życiu (ten przymiotnik nasunął się jej nieoczekiwanie - Sonny już zaczął ją „rozpakowywać”, dzięki czemu mogła lepiej się widzieć) nie znała nikogo, kto przyszedłby na zajęcia tak bezczelnie rozczochrany. Pisał bez przerw, ale kiedy zerknęła ukradkiem za jego knykcie - masywne i nieco poobijane jak u stolarza - zobaczyła, że wypełnia stronę gryzmołami, posługując się zielonym wiecznym piórem. Później jej powie, że to były zapiski do remiksu słyszanej w głowie bhangry (Bhangra - folkowa muzyka z Pendżabu.). Zapisał się na kurs literatury, żeby

spełnić wymagania, ale naprawdę jest muzykiem. Nie potrafiłby zainteresować się niczym innym.

- Nawet mną? - zapyta z wielką śmiałością Rakhi, czując przyśpieszone bicie serca. Nie przywykła do flirtów, zawsze była poważną dziewczyną. A on pochylił ku niej głowę... Ale to wszystko wydarzy się znacznie później - za kilka tygodni? Miesiący? Kiedy Rakhi myśli o Sonnym, czas zlewa się w Przedtem i Potem.

To Sonny zmusił ją, żeby zaczęła traktować poważnie swą sztukę. Dotąd się tylko obijała, ale widząc jego pasję, zapragnęła czegoś podobnego dla siebie, a on ją wspierał. Jeszcze nigdy nie uwierzyła nikomu, kto mówił, że ma wyjątkowy talent, a jemu - tak.

Ale za bardzo wybiega w przyszłość. Tego pierwszego dnia nawet jej nie zauważył, uwikłany w sieć dźwięków kłębiących mu się w głowie. A może jednak zauważył? Bo następnym razem usiadł na tym samym miejscu, a potem znowu i znowu, aż wreszcie zapytał, co Rakhi robi w porze lunchu.

We śnie się zastanawia, co ich do siebie przyciągnęło. Podobieństwo? Oboje byli hinduskiego pochodzenia, chociaż Sonny nigdy nie mówił o swojej przeszłości - rodzicach, rodzinnym mieście, szkole średniej, zwyczajach. (Pod tym względem przypominał jej matkę. Czy na tym polegała istota tajemnicy, powód, dla którego od pierwszej chwili, gdy tylko Rakhi ich sobie przedstawiła, tak bardzo przypadli sobie do serca?). Nie wiedziała nawet, czy urodził się w Ameryce, jak ona, chociaż jej zdaniem, musiał dość długo żyć w Stanach - gdzie indziej czuł się nieswojo. Chciała go zapytać, czy także marzy o Indiach, których wprowadzie sama nigdy nie widziała, ale bezwzględnie zamierzała tam w przyszłym roku pojechać. Skąd mogła wiedzieć, że „przyszły rok” przejdzie w następny i jeszcze następny, że ostatecznie jej podróż zakończy się na

marzeniach? Oboje uwielbiali pikantną, azjatycką kuchnię. Jeździli jego samochodem (wtedy poobijanym mustangiem) do Tilden Park i jedli palcami dania na wynos z kolorowych kartonów. Oglądali zachód słońca nad Angel Island, karmiąc się nawzajem smażonymi kluskami po tajsku albo wołowiną po seczuańsku z dodatkowymi papryczkami chili. Gwiazdy ukazywały się jedna po drugiej, a on dręczył gitarę starą melodią - piosenką, którą ojciec puszczał na gramofonie, a która pod palcami Sonny'ego brzmiała zupełnie inaczej. Słuchając jej, Rakhi ledwie mogła oddychać. Uwielbiała obserwować jego twarz - skupioną, nieobecną, jakby w ogóle jej tu nie było. Nie, raczej jakby to jego nie było. Taką twarz i ona chciałyby mieć przy malowaniu.

A może to raczej różnice, przeciwstawne bieguny ich marzeń tak ich zafascynowały? On był nocnym duchem - impulsywnym, kapryśnym, po chłopięcemu szczodrym. Kochał zadymioną atmosferę klubów, chociaż sam nie palił (w każdym razie nie papierosy). Stawiałby drinki całemu światu, gdyby go nie powstrzymywała. Kochał tłok, napierających zewsząd obcych. Kochał desperackie zaufanie szalejącej publiczności. Rozumiał, jak bardzo ludzie spragnieni są dobrej zabawy i jak wiele są gotowi za nią dać. Rozumiał zawiłość takiej działalności. Gardził walentynkami, a potem przynosił jej kwiaty bez żadnej okazji. Nie, nie banalne róże, tylko brodate irysy, anturium, śnieżyczki, nawet orchidee, chociaż wcale nie był bogaty. Kochał nocne jam sessions z zespołem, w którym czasem grywał. Bez przerwy pożyczał pieniądze kolegom muzykom (nigdy mu nie oddawali, a on tego nie oczekiwał). Granie wprawiało go w stan niepokoju. Jestem na muzycznym haju, mówił. (Później zastanawiała się, czy tylko na muzycznym, a jeszcze później zaczęło ją to wkurzać. Ale wtedy to jeszcze była przyszłość, oddalona o całe wieki). Chodzili do barów albo do nocnych kafejek, żeby gadać, i

nawet jeśli rano na zajęciach miała czerwone z niewyspania oczy albo kaca, nawet jeśli w ogóle nie przyszła na wykład albo jeśli przy malowaniu drżała jej ręka od nadmiaru kofeiny - to nic, to i tak wszystko fajnie, bo artyści, aby się rozwijać, potrzebują nowych doświadczeń, a dla niej nowym doświadczeniem był on, i to przy nim się rozwijała.

Kiedy z tamtego życia przeszła do zupełnie innego czasu - zaszpachlowanego i szarego jak wnętrze tunelu, zrozumiała, że związku nie buduje się na nowych doświadczeniach. Bo pewnego dnia przestają być nowe i z czym się wtedy zostaje?

Wtedy, na uczelni, minęły miesiące, może lata. Sonny pochyła się do niej - przerabiają Borgesa, a może architekturę Bauhausu (Weimarska szkoła architektury XX w., której program zakładał m.in. funkcjonalizm i powiązanie sztuki z techniką.)? Nosi teraz brodę bożka Pana oraz kolczyk. Pokochałaś mnie, bo mam dołek tuż pod dolną wargą, mówi na tyle głośno, że pani profesor unosi brwi. Pokochałaś mnie, bo byłem pierwszy. Pokochałaś mnie, bo ryzykowałem tak, jakbym skakał z pędzącego pociągu. Zdejmuje z uszu kolczyk i bierze ją za rękę - chce wsunąć go na jej palec. To będzie jej pierścionek zaręczynowy, jej ulubiona ozdoba. (Kiedy Sonny zacznie zarabiać dużo pieniędzy, kupi jej pierścionek z brylantem, ale Rakhi zdeponuje go w banku i nadal będzie nosić tamto cienkie kółko). Od tego dnia sprawy nabiorą przyśpieszenia, wszystko będzie zamazane jak w puszczonej za szybko filmie. Rakhi przyprowadzi Sonny'ego do domu i przedstawi rodzicom - konkretnie matce, bo ona liczy się najbardziej... Ale nie, to stało się wcześniej, czyż matka nie zagarnęła go dla siebie niczym dawno utraconego pierwotnego syna? Pobrali się w ciągu miesiąca, a rok później przeprowadzili do Oakland, do pięknego różowego domu w wiktoriańskim stylu, zakupionego za jedną piosenkę w okolicznościach, które Rakhi zacznie kwestionować, ale

dopiero wtedy, gdy będzie za późno. Urodzi się Jona. Amerykańscy słuchacze dowiedzą się, czym jest bhangra remiks, który zelektryzuje ich dusze. Sonny zacznie zarabiać coraz więcej i więcej pieniędzy, znacznie więcej, niż Rakhi może sobie w tym momencie wyobrazić, a jego nazwisko zacznie piąć się w górę list. Fani obojga płci będą go uwielbiali, i to jak! A potem...

Ale taśma zaczyna się kręcić w przeciwnym kierunku. Rakhi znów jest w sali na uczelni, Sonny podaje jej kółko. Rakhi zamierza powiedzieć „tak”, ale najpierw chce zapytać, dlaczego ją kocha. Właśnie ją, która nie ma dołka pod wargą, która nie jest jego pierwszą, a skłonności do ryzyka ma tyle co błyskawiczny kleik. On jednak marszczy niecierpliwie brwi, wszyscy w sali się niecierpliwiają, nawet profesor, czekają, aż założy kółko, które naznaczy ją jako jego własność. A niech tam, myśli Rakhi i wyciąga lewą dłoń. Będzie jeszcze dość czasu na wypytywanie o wszystko, co chce wiedzieć.

Zaraz. Coś jest nie tak z tym ni to snem, ni to filmem... Może to skutek złego kadrowania? Bo w tej scenie Rakhi nie ma dłoni ani nawet całej ręki. Rozgląda się, skonsternowana, kuląc się w sobie ze skruchą pod groźnym wzrokiem całej grupy.

Nie szkodzi, mówi Sonny. Daj drugą rękę.

Lecz druga także zniknęła. Rakhi jest teraz samym torsem, okaleczoną rzeźbą. Od skroni i obojczyków rozciągają się pęknięcia, wzdłuż szyi widać głębokie bruzdy. Na pewno żaden mężczyzna nie zechce poślubić takiej kaleki. Łzy płyną jej z oczu na samą myśl o tym.

Ale patrzcie: Sonny pochyla się do przodu, w jego oczach błyszczy coś w rodzaju współczucia. Wsuwa kółko między rozchylone kamienne wargi, potrząsa jej tułowiem. Rakhi czuje, jak kółko zaczyna zsuwać się do jej gardła, potem jeszcze niżej i niżej, aż wreszcie zatrzymuje się gdzieś w

klatce piersiowej. Teraz nie będzie w stanie mu go oddać, myśli i na chwilę popada w rozpacz. Ale może nie powinna rozpaczać. Czy to znaczy, że teraz jest już jego na zawsze? Ze zawsze będzie musiał się nią opiekować?

On kiwa potakująco głową, jakby czytał w jej myślach. Pochyliła się i całuje ją. To bardzo długi pocałunek. Grupa klaszcze i gwizdże, profesor cytuje Marksa: „Mężczyzna kocha w kobiecie najbardziej jej zależność od niego”. Ktoś rzuca garść ryżu na szczęście.

Rano pada deszcz. Rakhi podrzuca Jonę do szkoły, potem gapi się tępo na swój na pół ukończony obraz. Bezsenna noc nie przyniosła żadnego rozwiązania, ona zaś ma w banku ledwie siedemset dolarów i kilka sztuk biżuterii (ale nie pierścionek z brylantem - dawno oddała go Sonny'emu, chociaż nie chciał przyjąć). Zresztą za biżuterię nigdy dużo się nie weźmie, Rakhi już to wie, bo musiała ją zastawiać. Tak samo wyposażenie Chai House niewiele im przyniesie, kiedy zamkną lokal.

Postanawia wybrać się do eukaliptusowego zagajnika. Nie spodziewa się, że mężczyzna w bieli będzie ćwiczył w deszczu, ale może spacer rozjaśni jej w głowie. Zresztą, kto wie, może on właśnie tam będzie? Może ona do niego podejdzie i zapyta, czy nie zainwestowałby w kafejkę. Ta zabawna wizja sprawia, że Rakhi wybucha śmiechem. Narzuca na siebie niebieskie ponczo i wtedy dzwoni telefon.

To matka.

- Tak dawno cię nie widziałam - mówi. - Może wsiądę do BART - a (Bay Area Rapid Transit District - szybka kolej kursująca w rejonie zatoki San Francisco.) i spędzimy razem trochę czasu?

W głowie Rakhi odzywa się ostrzegawczy brzęczyk. Matka rzadko kiedy przyjeżdża do Berkeley (nazywa je „Berserkley” (Słowo berserk (ang.) oznacza furję, szał.)), a już

nigdy pociągiem, ponieważ z dworca ma daleko do sklepu i do mieszkania córki. Ostatnio jednak mówiła, że na starość coraz bardziej nie lubi prowadzić samochodu. Rakhi zmartwiły te słowa, gdyż mimo wszystko wierzy, iż dar tłumaczenia snów jakimś cudem uchroni matkę od czegoś tak banalnego jak starcze niedołęstwo.

- Jesteś pewna? - pyta. - Na taki deszcz? Dopiero co wyszłaś z przeziębienia. Czemu nie zaczekasz do piątku, przecież i tak zobaczymy się na wernisażu...

- Nie martw się, wzięłam ogromną dawkę witaminy C, a poza tym deszcz lada chwila ustanie.

Skąd ona to wie? Za oknem Rakhi opadają na ziemię szare kurtyny wody. Nie wygląda, żeby to się miało szybko skończyć. Czy moc matki obejmuje także przepowiednie zjawisk meteorologicznych?

- Mówili na kanale Pogoda, głuptasie. Będę w Chai House koło południa. Nie śpiesz się, jeśli malujesz, chętnie pogadam sobie z Balwant.

- Malowanie! - prycha Rakhi. - Mogę tylko pomarzyć. - Nagle, pod wpływem impulsu, wyrzuca z siebie: - Mamo, jesteśmy w wielkich opałach.

- Tak, shona, wiem. Dlatego właśnie przyjeżdżam.

W drodze do eukaliptusowego gaju widzi, że deszcz posłusznie osłabł. Ale zaraz szczypie ją nowy niepokój. Sytuacja musi być znacznie gorsza, niż podejrzewają, bo inaczej matka nigdy by się w to nie mieszała.

11. Z dzienników snu

Notatki, lekcja 17: Znaczenie rzeczy

Jeśli we śnie widzisz zamknięte drzwi, to w końcu uda ci się uzyskać to, czego pragniesz, ale kosztem dużego wysiłku. Sen o mleku znaczy, że zachorujesz.

Lustro to symbol fałszywego przyjaciela, nożyczki - kryzysu w małżeństwie, dwustronny bęben - uznania i odnowy, żelazne koło - pech atakujący ze wszystkich stron.

Jeśli śni ci się, że rozcierasz sól, rozwiążesz dręczący cię problem, ale musisz być bezwzględny w dążeniu do celu. Jeśli we śnie ktoś daje ci cukier, uważaj. Takiej osobie nie wolno ufać.

Pamiętaj, że to tylko podstawowe znaczenia, które zmieniają się zależnie od sytuacji. W objaśnianiu snów, jak już mówiłam, kontekst jest wszystkim.

Na przykład: jeśli mężczyźni śni się cierń, posunie się do przodu w swojej karierze. Jeśli w swoim śnie wyjmie cierń z czyjejś stopy, zmieni wroga w przyjaciela. Jeśli dziewczica śni o cierniu, wejdzie poprzez małżeństwo do dystygowanej rodziny. Jeśli cierń śni się kobiecie, która nie jest dziewczicą, prawdopodobnie jest ona w ciąży.

Podobnie, jeśli mężczyzna śni o małpie, będzie musiał zmierzyć się z wyzwaniem w interesach, a właściwe postępowanie może mu przynieść wielkie zyski. Jeśli o tej samej małpie śni kobieta, urodzi zdeformowane dziecko. Dla żyjących samotnie sen o małpie oznacza, że poślubią osobę o okropnym charakterze.

Pytałaś o kakadu, która często pojawia się w twoich snach. Dla mężczyzn to symbol szczęścia, zapowiedź końca zadawnionych rodzinnych kłótni. Natomiast u kobiety kakadu zwiastuje narodziny dziewczynki, która może stać się przyczyną nowej rywalizacji wśród domowników.

Musisz poczekać jeszcze cały miesiąc na pełną lekcję znaczeń zwierząt, gdyż są one nadzwyczaj subtelne. Pomyśl, na przykład, o wszystkim, co może się zdarzyć, jeśli mężczyźni przyśni się, że zabił ważkę albo kobiecie kot, który wszedł do kuchni.

Specjalną lekcję poświęcimy zwierzętom - przewodnikom, które zjawiają się u nas w czasie wielkiego zagrożenia lub wielkiej radości. Na razie niech ci wystarczy, że najważniejsze z nich to orzeł, jeleń i wąż.

Posłuchaj więc o znaczeniu drzew: drzewo o błyszczących liściach znaczy, że stan pacjenta się poprawi; drzewo ścięte we śnie oznacza wielkie wydatki, które wkrótce na ciebie spadną. Palma oznacza pomyślność, zwłaszcza jeśli się na nią wspinasz. Jeśli schodzisz na ziemię z owocem tej palmy w rękę, odniesiesz ogromny sukces. Bananowiec zapowiada spadek. Palma daktyłowa ostrzega, że powinnaś udać się na pielgrzymkę. Banian (Figowiec bengalski.) postawi cię wobec skomplikowanej decyzji moralnej. Jeśli zobaczysz we śnie oleander, przygotuj się na żałobę.

Pytasz, co będzie, jeśli losy rzucą cię w kraje, gdzie mężczyźni i kobiety śnią o innych drzewach? O jabłoniach, sosnach, miłorzębach, persymonach, o kwitnących wiśniach, które nie są zapisane w naszych pradawnych księgach. Poza tym, co oznaczają w snach telefony komórkowe, budki do pobierania opłat na autostradach, piły elektryczne? Albo jezdnie na niebie czy maszyny przenoszące ludzi z jednego czasu do innego?

Nie wpadaj w rozpacz. Sięgnij w głąb siebie i wyciągnij potrzebne znaczenie, gdyż znaczenia wszystkich snów znajdują się w tobie, a nie w słowach, które wypowiadam. Dlatego właśnie, jak ostrzegałam cię na początku, nie mogę nauczać nikogo, kto już nie posiada daru objaśniania snów. I

dlatego pewnego dnia zrozumiesz, że wszystko, czego cię uczę, jest najbardziej istotne... i najbardziej bezużyteczne.

Pytałaś, co znaczy, jeśli mężczyzna ze snu pojawi się w twoim życiu. I jak powinnaś w takim wypadku postąpić?

Coś takiego zdarza się nadzwyczaj rzadko i tylko w momentach, które niosą z sobą możliwość wielkiej zmiany. Dlatego słuchaj uważnie. Po pierwsze, idź za tym człowiekiem, gdyż jest on albo duchowym przewodnikiem, albo demonem. Tak czy inaczej, zmusz go, żeby do ciebie przemówił, bo w ten sposób przejmiesz nad nim władzę. Zadaj mu pytanie, które nurtuje cię najbardziej. Odpowiedź może zmienić twoje życie. Ale najważniejsze, żebyś nie straciła go z oczu. Więcej wskazówek na ten temat otrzymasz w przyszłym roku, kiedy nauczysz się dość, aby zrozumieć takie subtelności.

W następnym tygodniu będziesz miała test z części ciała, ze szczególnym naciskiem na pojawianie się ucha, stopy, pleców, czoła i piersi, więc dobrze się przygotuj.

12.

Uzbrojona w szkicownik, zmierzam do eukaliptusowego lasu. Kiedy wyglądam spod kaptura ponczo, kilka palców deszczu muska mi twarz, ale w zasadzie już się przejaśnia. Tu i ówdzie pojawia się plama rozmytego błękitu, tak typowa dla rejonu Zatoki. Kocham ten odcień, chociaż i tak nie znam innego nieba. Całe życie marzyłam o podróżach, ale gdy tylko zaplanowałam jakiś wyjazd, niespodziewana przeszkoda zatrzymywała mnie na miejscu. Przeważnie dopadała mnie choroba, raz jednak przy wsiadaniu do autobusu ktoś wyrwał mi torebkę z nowo wydanym paszportem. Kiedy indziej szłam sobie całkiem zwyczajną ulicą w San Francisco i tak nieszczęśliwie wdepnęłam w dziurę, że złamałam nogę w kostce. Zdarzyło się to na dzień przed wyjazdem z Sonnym na festiwal muzyczny w Brazylii. Czułam się zawiedziona, gdyż od miesięcy marzyłam o Rio, ale Sonny po prostu się wściekł. Miał na ten temat własną teorię - że sama podświadomie ściągam na siebie te „wypadki”, ponieważ w głębi duszy boję się spróbować czegoś nowego. O ten konkretny wybuchła potężna awantura, ale może Sonny miał rację? Bo niedługo potem wynikły inne nowe sprawy, na które mnie namawiał, a ja się wzdragałam. Powoływałam się na względy moralne, chociaż może chodziło tylko o lęk?

Do Rio pojechał sam i fantastycznie się bawił, a kiedy następnym razem musiał wyjechać z miasta na konwencję didżejów, nie prosił już, żebym mu towarzyszyła. Nic mu nie powiedziałam, bałam się zdradzić, jak bardzo mnie to zabolalo. Ale wyszczerbiona krawędź tego milczenia przywarła do naszego małżeństwa i nadszarpięła je jeszcze bardziej.

Kiedyś spytałam matkę, co myśli o tych moich wypadkach.

- A co to jest wypadek? - odpowiedziała pytaniem.

Lubi wygłaszać takie zdania. Dobrze jej to wychodzi. Robią na mnie wrażenie, choć wcale tego nie chcę.

Nagle zaczęła opowiadać mi historię Shangri - La.

- Znam to, mamó. Oglądałyśmy razem film, pamiętasz?

Nie powstrzymało jej to jednak od powtórzenia całej fabuły. Obcy przybysz trafia do magicznej doliny w Himalajach, piękna kobieta, opuszczając ją, traci młodość i życie.

Czekałam na morał, ale ona zaczęła siekać gorczycę.

- Robię saag (Gęsta masa z ugotowanych liści gorczycy sarepskiej lub/i szpinaku z dodatkiem cebuli i ostrych przypraw.) - oznajmiła. - Jeśli chcesz trochę, to dorzucę jeszcze jeden pęczek.

- Mamó! Po co opowiedziałaś mi tę historię?

Rzuciła mi zaskoczone spojrzenie, jakbym zapytała o coś, co się rozumie samo przez się.

- Czasem my też żyjemy w Shangri - La, ale jak ta kobieta z filmu, nie zdajemy sobie sprawy, jakie to wyjątkowe miejsce ani przed czym nas chroni. Za bardzo pochłaniają nas marzenia o tym, czego nie znamy.

- Nie rozumiem, do czego pijesz.

Skończyła płukać liście i wrzuciła je do wrzątku. Poczekala, aż nabiorą koloru żywej zieleni.

- Może ktoś ci mówi, że masz zostać tam, gdzie jesteś.

- Co za zabobony! - odrzekłam ze złością, ale też ze strachem i dziwnym poczuciem osaczenia. - Chcesz powiedzieć, że nie powinnam wyjeżdżać z Kalifornii? Jak możesz wierzyć w coś tak absurdalnego?

Uśmiechnęła się leciutko. Rzadko obrażała się za to, co mówiłam (w okresie dojrzewania ten jej spokój doprowadzał mnie do szału).

- Po pierwsze, nie wspomniałam o Kalifornii, prawda? Po drugie, rzeczy logiczne nie wymagają wiary, widać je gołym

okiem. - Nastawiła czajnik i poszła do spizarni po paczkę swojej ulubionej herbaty Brooke Bond, w grubej srebrnej folii. Zachowała ten zwyczaj jako jeden z niewielu indyjskich. Już miałam uznać naszą rozmowę za zakończoną, kiedy dodała: - Ale w to jedno nie muszę wierzyć. Ja to wiem.

Korciło mnie, żeby zapytać, co przez to rozumie, ona jednak wyraźnie już żałowała, że w murze, za którym się kryła, pokazało się nawet tak drobne pęknięcie. Już do końca mojej wizyty pilnowała, żeby rozmowa dotyczyła tylko spraw Jony.

zagajniku nabieram pełne płuca wilgotnego powietrza. Podnoszę kawałek odłupanej kory, kruszę ją i przytykam do nosa. Kocham zapach deszczu, bujnie rosnących drzew. „O niech tak zostaną, dzikość i ta wilgoć” (Gerard M. Hopkins: „Inversnaid”), cytuję Belle w naprawdę deszczowe dni.

- Jaasne - odpowiada. - I grzyby, i pleśń, i gnijące drewno. Nie dla wszystkich to takie romantyczne.

Kiedy dostałam się do college'u, pożyczyłam z biblioteki Południowej Azji taśmę z pieśniami o bengalskich monsunach: o tym, jak niebo nabiera barwy wypolerowanej stali, chmury nacierają niczym czarne armie albo zasnuwają horyzont jak rozwiane włosy pięknej dziewczyny. Kochałam tę taśmę, chociaż nie mogłam zrozumieć nawet połowy słów (na szczęście dołączono do niej książeczkę z tłumaczeniem). Słuchałam jej w kółko, aż wreszcie Belle zagroziła mi ciężkim pobiciem. Potem przez całe miesiące marzyłam o palmach chłostanych wiatrem, bilbilach (Bilbil krwawik - ptak z gatunku *Pycnonotus jocosus*, zamieszkujący tereny Azji Południowo - Wschodniej.) szukających schronienia między zwieszającymi się do ziemi korzeniami banianów. O błyskawicach, które niczym srebrny grzebień zdobiły włosy deszczowych panien. O deszczu ciepłym jak ludzkie łzy. Jeden z wykonawców porównywał ludzkie serce do

tańczącego pawia. Czy było w tym trochę prawdy, czy tylko czysta poezja? Matka, kiedy ją wprost zapytałam, niechętnie przyznała, że w Indiach są pawie i że czasami zdarza im się tańczyć. Ojciec nie omieszkał mnie radośnie poinformować, że Kalkuta po każdym większym deszczu jest zalana wodą, że z kanałów ściekowych wylewa się wtedy błoto (i nie tylko), zalegające tam od dziesiątków lat, a ludzie umierają na cholere. Ale nie dałam się nabrać. Wciąż ukrywali przede mną - jak zawsze - piękne, tajemnicze i ważne sprawy. Belle mi mówiła, że jej rodzice (a także rodzice innych jej hinduskich znajomych) potrafią godzinami rozwodzić się na temat Indii, które w ich opinii są miejscem zbliżonym do raju.

Cóż za okrutna karma umieściła mnie pod opieką jedynej hinduskiej pary, która najchętniej nigdy nie wspominałaby o swej ojczystej ziemi?

- Jak byłam mała i nie miałam jeszcze własnego zdania - mówiła mi kiedyś Belle - rodzice płacili mi dwa dolary tygodniowo, żebym tylko chodziła na lekcje języka do gurdwary (Gurdwara - dom modlitwy Sikhów, miejsce, gdzie odbywają się ceremonie religijne i gdzie rezyduje guru.).

Westchnęłam.

- Ja bym chętnie oddała moją tygodniówkę, żeby mi tylko pozwolili na naukę bengalskiego.

- Ty chyba musisz się leczyć! - odparła.

W czasach college'u próbowałam zaplanować podróż do Indii, ale nic z tego nie wyszło. Bractwo, do którego zwróciłam się z wnioskiem, nie przetrwało. Grupa, z którą zamierzałam jechać, uznała, że woli Peru. Rodzice nic nie mówili, ale było jasne, że im się nie podobają te moje starania. Może właśnie ich milczenie sprawiło, że wystraszyłam się i dałam spokój. A może ten strach miał głębsze źródło, jak później stwierdził Sonny.

Nigdy już tak bardzo nie pragnęłam podróżować. Narodziny Jony zakotwiczyły mnie na dobre w kraju, a rozpad małżeństwa przedziurawił mój źle załatany kadłub. Teraz jestem przycumowana do Chai House liną nadziei i odpowiedzialności, a także coraz większego niepokoju. Mimo to myślę, że przed śmiercią postaram się pojechać do Indii choćby po to, by ułożyć na spoczynek duchy, które tańczą w mojej głowie niczym błędne ogniki nad pomarszczonym morzem.

Brnę przez błoto w głąb zagajnika, coraz dalej od utartych ścieżek, gdzie drzewa są najgrubsze, powietrze tak wilgotne, że niemal je widzę, gdzie mogę udawać, że jestem w prawdziwym lesie. Łatwiej mi wędrować takiego dnia jak dzisiaj, kiedy wszystko jest przesiąknięte wodą i opustoszałe. Siadam na zwałonym pniu i zamykam oczy, żeby jeszcze lepiej udawać. To moja druga fantazja - żyć samej w kompletnej głuszy. (Belle jednak twierdzi, że to wciąż ta sama fantazja, bo Indie są dżunglą).

Kiedy otwieram oczy, on tam jest.

Nie. Lepiej będzie, jak ułożę to zdanie jeszcze raz. Nie chcę, żeby zabrzmiało jak tani trik czy głupi kaprys. On był tam już wcześniej, po prostu go nie zauważyłam. Stał w kotlinie, przechylony na bok, i ćwiczył. Ćwiczył od dłuższego czasu, bo nawet z daleka zauważyłam, że ma mokre ubranie. Oto amator deszczu, i to jeszcze większy niż ja. Ośmielona naszą wspólną pasją, czuję pokusę, by podejść... Ale nie. Jest taki wyizolowany, pochłonięty chwilą, że nie chcę mu tego zakłócać, a zamiast tego szkicuję jego ruchy, które przypominają mi lot czapli. Mam z tym problemy; szkice

- jeden po drugim - okazują się niedobre, drewniane, pozbawione ducha. Dlaczego? Przecież rysowałam już ludzi - zrobiłam całą serię tancerek bharatnatyam (Ekspresyjny taniec klasyczny ze stanu Tamil Nadu, wykonywany w świątyniach

przeważnie przez kobiety.) w węglu i wyszły świetnie! W przyptywie złości drę szkice na strzepy i podnoszę wzrok, ale mój obiekt - tym razem naprawdę w ten nagły, bezszelestny sposób - zniknął.

Zostawił jednak coś po sobie - jakiś rodzaj energii. Widzę orkiestrę ruchów w próżni, kształt ciała wpisany w przestrzeń między pniami drzew. Obecność i nieobecność tworzą migoczący wzór; wpatruję się w niego przez dłuższy czas... Zaczyna znowu padać. Z zimna drętwieją mi palce, które leżą spokojnie na kolanach, nic nie rysując. Ale załazek pomysłu zaczyna nabierać kształtu. Kto wie?

Siedzimy przy jaskrawopomarańczowym stoliku w Javie - Belle, matka i ja, czekając, aż nas obsłużą. Rzucam wokół siebie nerwowe spojrzenia i czuję się jak tajny agent.

- Musimy wtargnąć na terytorium wroga, jeśli chcemy odkryć jego sekret - oświadczyła wcześniej matka.

Ów sekret, jeśli w ogóle jakiś jest, chyba tkwi w nowości. Wszystko w tej kawiarni wygląda tak, jakby zostało wyprodukowane kilka godzin temu. Syntetyczny blask bije od każdego elementu wyposażenia, nierealny niczym miraż: żółte i pomarańczowe blaty, na każdym stoliku stalowy uchwyt do serwetek o ostrych kantach, ekspresy do kawy syczą jak potwory z futurystycznego świata. Górne lampy w kształcie latających spodków rzucają silne, nieziemskie światło. Już widzę, jak wypalają mi geometryczne plamy na skórze.

Belle krzywi z niesmakiem nos, pochylając się do nas bliżej.

- Nie mogę pojąć, jak ludzie mogą woleć takie coś od Chai House - szepcze.

Wzdrygam się na dźwięk jej słów. Przez chwilę jestem zdezorientowana, jakbym się obudziła z transu.

- Chai House? - powtarzam głupio. Wiem, oczywiście, o czym mówi. To nasz sklepik, który podupada z każdą chwilą

coraz bardziej, nawet teraz, kiedy tu siedzimy na przeszpiegach. Ale z jakiegoś powodu mam kłopot z jego wizualizacją. Jest coś takiego w tym miejscu, w którym siedzę, że trudno tu sobie wyobrazić inne - zupełnie jakby nic poza tym nie istniało. Przez chwilę czuję, jak panika przesuwa mi po plecach swe lodowate palce. Zamykam oczy i staram się skoncentrować. Chai House istnieje, powtarzam sobie w duchu, ale mój umysł jest jak mokry papier - wdrukowane wspomnienia zlewają się w jedną plamę. W końcu, roztrzęsiona, ściągam jeden obraz: klonowy bujak połyskuje w niszy wypolerowanym drewnem w świetle starej stojącej lampy, którą uratowałam z garażowej wyprzedaży. Za wdzięczną solidnością tych dwóch obiektów idą następne, aż w końcu odtwarzam moją kafejkę na tyle, by móc odetchnąć z ulgą.

- A ty to rozumiesz? - dopytuje się Belle. Kiedy patrzę na nią tępo, powtarza niecierpliwie: - Rozumiesz, dlaczego każdy wybiera ten lokal, a nie nasz? Przecież ci tutaj mają tyle gustu, co błyskawiczne puree ziemniaczane.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, kim są ci zjadacze ziemniaczanej masy. W kafeterii siedzi kilka osób, ale nie ma takiego tłoku, jak oczekiwałam. Obawiałam się, że mogę wpaść na któregoś z naszych stałych gości, co sprawiłoby mi pewną przykrość, na szczęście jednak nikogo z tych ludzi nie znam. Skąd są? Wyglądają całkiem zwyczajnie, sączą kawę i pochłaniają muffinki, szeleszcząc gazetami. Nie widać żadnych zombi zwabionych machinacjami pozaziemskich złych sił.

I nagle rozumiem, dlaczego tym ludziom - jak wielu im podobnym - może bardziej odpowiadać Java niż Chai House. Java nie żąda od nich niczego oprócz pieniędzy. Pozwala im zachować anonimowość. Nikt ich nie wciąga w rozmowy, nie narzuca bliższego kontaktu, nie mają tu o co zaczepić wzroku ani o czym dyskutować, sami też nic po sobie nie zostawiają.

A jednak oni także tworzą wspólnotę, na tyle, na ile jest to im potrzebne: mają tu wygodne towarzystwo bezimiennego tłumu, ludzi bez twarzy, jak oni sami, zadowolonych, że zostawiono ich w spokoju, by mogli gapić się w przestrzeń, nie dostrzegając innych. Na chwilę i ja staję się jedną z nich; czuję, jak moje mięśnie poddają się tej odprężającej anonimowości.

Natomiast my, z naszymi domowymi ciasteczkami i kawą na zamówienie, ręcznie wykończonymi meblami i jedwabnymi pacynkami, z naszą tablicą ogłoszeń, stanowiącą kronikę życia naszych klientów - kładłyśmy nacisk na to, by Chai House był zauważony. Żeby nasi goście dopuszczali nas do swojego życia, tak jak my zapraszałyśmy ich do naszego. Żeby nasz sklepik towarzyszył im, nawet kiedy z niego wyjdą. Uważałyśmy, że lokali nie powinno się klonować; ludzie potrzebują miejsca, w którym mogliby czerpać przyjemność z inteligentnej rozmowy i filiżanki dobrze zaparzonej herbaty. Czy cały nasz interes zbudowałyśmy na iluzji? Czy marnowałyśmy czas, tworząc azyl, kiedy w gruncie rzeczy wszyscy chcą tylko krótkiego przystanku?

Muszę jednak odłożyć na później roztrząsanie tych problemów, bo oto zbliża się nasze zamówienie. Niesie je sama kierowniczka. Pierwszy raz widzę ją z tak bliska i nie mogę powstrzymać ciekawości. Jest imponująca - od gładkich jak u foki blond włosów do perfekcyjnie wypielegnowanych paznokci. Kiedy zmierza do naszego stolika, wygląda jak gwiazda filmowa, grająca rolę kierowniczki kawiarni. Nawet jej uśmiech stanowi idealną mieszankę wdzięku i kompetencji.

- Witam panie - mówi. - Oto herbata z cytryną... - Matka skłania głowę. - ...espresso? - Belle podnosi palec. - ...a latte zapewne dla pani! - Stawia przede mną filiżankę i taksuje nas wzrokiem. - Pierwszy raz, co? Zawsze to rozpoznaję. - Podnosi głos: - Zeldo, przynieś talerz z naszymi specjalnymi

ciasteczkami dla nowych gości! - Nagle zwięża swe szafirowe, utkwione we mnie oczy. - To pani jest ten sklepik naprzeciwko? Widziałam, jak stała pani w oknie. - Uśmiech wraca na jej twarz; jest teraz ostry jak kryształ. - Rekonesans u konkurencji, co?

Twarcz mi płonie. Spuszczam wzrok i przysuwam bliżej filiżankę, ale zanim zdążyłam podnieść ją do ust, matka kładzie dłoń na mojej ręce.

- Skarbie, rozmyślałam się - mówi. - Wolałabym dziś napić się kawy. Czy bardzo się pogniewasz, jeśli zaproponuję ci zamianę na moją herbatę?

Wytrzeszczam oczy. Matka nie pije kawy, zawsze twierdzi, że boli ją po niej głowa. I wie, że nie cierpię cytryny w herbacie.

- Ależ nie ma potrzeby! - uprzedza mnie kierowniczka, stawiając talerz z niebezpiecznie apetycznymi pieguskami z czekoladą. - Przyniosę pani drugie latte na koszt firmy. - Jej uśmiech mógłby być chlubą reklamy pasty do zębów. - Tak między nami, fachowcami.

- Dziękuję pani - odpowiada sztywno matka - nie ma takiej potrzeby. Często wymieniamy się z córką różnymi rzeczami.

To nieprawda. W całym moim życiu przypominam sobie tylko jedną taką zamianę: sen za dolara. I nawet nie mam pewności, czy można to nazwać zamianą.

Kierowniczka zerka na mnie wyczekująco, jakby spodziewała się zaprzeczenia. Ponieważ milczę, wzrusza leciutko ramionami.

- Smacznego! - rzuca z szerokim gestem.

Matka odprowadza ją zamyślonym wzrokiem. Upija łyk kawy, krzywi się, potem paroma haustami połyka resztę, jakby chciała szybko spełnić nieprzyjemne zadanie. Kiedy Belle sięga po ciasteczko, matka kręci leciutko głową.

- Na twoim miejscu nie ruszałabym tego.

Belle rzuca ciasteczko, jakby było radioaktywne.

- Idziemy - mówi matka. - Już dość widziałyśmy.

Ledwie przekroczyłyśmy próg, Belle wybucha:

- Co pani widziała, pani Gupta?

Spodziewałam się, że matka jej odpowie tak jak wszystkim klientkom (wiem, bo podsłuchiwałam): że jest tłumaczką snów, a nie wróżką. Ale tym razem jest inaczej.

- Cierpliwości, Balwant. Musimy najpierw wrócić na własne terytorium.

Już w Chai House wywiesza na drzwiach tabliczkę „PRZEPRASZAMY, ZAMKNIĘTE” (choć wcale nie widzimy potrzeby), bierze kubek ciepłej wody z solą i idzie do łazienki, skąd po chwili słyszę odgłosy płukania gardła i płucia. W końcu wychodzi i zaprasza nas gestem do stolika. Siadamy, zbite ciasno, niczym współcześni Machiavelli.

- Nie chodźcie tam więcej - mówi.

- Ależ dlaczego? - pytam. - I czemu zabrałaś mi kawę? Czemu nie pozwoliłaś spróbować ciasteczek?

- Z ciasteczkami to dość proste. Widzisz, w życiu lepiej nie brać nic za darmo... chyba że ofiarowujący dobrze ci życzy. Jeśli weźmiesz, poczujesz się zobowiązana. Natomiast co do kawy... cóż, może jestem podejrzliwa, ale nie podobało mi się, że kierowniczką przyniosła ją osobiście. Nie robi tego dla innych gości, jeśli zauważyłaś...

- Myśli pani, że czegoś jej dosypała? - nie wytrzymuje Belle.

- Och, proszę! - wybucham. - Robicie z niej jakąś Lukrecję Borgię!

Belle w ogóle mnie nie słucha.

- Jakiś urok, tak? - mówi do mojej matki. - Coś takiego zdarzyło się kiedyś w Turlock pewnej pannie młodej... Mama mi opowiadała. Dawna dziewczyna pana młodego przysłała

podarunek - wspaniałe sari z jedwabiu, a ta świeżo poślubiona żona, która przyjechała z Indii i nie wiedziała nic o tej historii, włożyła je i tak się pochorowała, że omal nie umarła.

- Co za głupoty! - mówię. - To mógł być zwykły przypadek.

Patrzę na mnie obie z identycznymi minami. Niemal słyszę, co myślą: „A co to jest przypadek?”.

- Ponoszą was emocje - mówię. - Zresztą nawet jeśli to prawda, czemu miałyby mnie krzywdzić?

- Może widzi w tobie zagrożenie - sugeruje matka.

- Ja miałabym jej zagrażać?! Przecież to ona próbuje nas wykończyć! I w takim razie powinna załatwić także Belle, nie? A Belle nie zabroniłaś pić kawy!

- To instynkt - tłumaczy matka. - Naprawdę nie umiem tego wyjaśnić, ale to oczywiste, że sytuacja jest poważna. Zrobiłam, co w mojej mocy, chociaż na dłuższą metę nic to nie pomoże. Musicie w ten sklep tchnąć nowego ducha, wymyślić coś intrygującego, co przyciągnie z powrotem klientów. I działać szybko, zanim zaczniecie robić bokami.

- Ale jakiego ducha, pani Gupta? - pyta Belle. - Przecież wysilamy mózgi od tygodni i nic nam nie wpada do głów. Może pani coś nam podsunie?

Matka wygląda na zmęczoną. Ma czarne sińce pod oczami, kości obojczyków sterczą jej spod skóry.

- Brakuje wam sił do walki z tą kobietą, ponieważ ona świetnie wie, kim jest, a wy nie. Ten wasz sklepik nie jest prawdziwym cha shop - wymawia to słowo na sposób bengalski - tylko nie wiadomo czym, zachodnim wyobrażeniem tego, co hinduskie. Może w tym tkwi problem. Może gdybyście stworzyły coś autentycznego, tobyście przetrwały.

Tłumiony od lat gniew zalewa mi twarz falą żaru. Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Jak ona śmie mnie oskarżać?!

- A czyja to wina, że nie wiem, kim jestem? Że mam zachodni, wypaczony obraz tego, co hinduskie?

Belle rzuca mi zszokowane spojrzenie. Nigdy nie słyszała, żebym się tak odzywała do matki. Ta zagryza wargę, czego jeszcze u niej nie widziałam. Ma drobne siekacze, ząbkowane na końcach jak u dziecka. Jak to się stało, że dotąd tego nie zauważyłam? Odpowiada mi po bengalsku, więc muszę porządnie się skupić, żeby zrozumieć.

- Masz rację, to moja wina. Teraz rozumiem, że źle cię wychowywałam. Myślałam, że w ten sposób cię ochronię, że nie znając naszych korzeni, nie będziesz wciąż oglądać się za siebie, jak większość imigrantów. Nie chciałam być taka, jak inne matki, rozdierać cię między „tu” i „tam”, między obecnym życiem a tym, do którego nie ma powrotu. Tymczasem przez to, że nie opowiadałam ci o prawdziwych Indiach, urosły one w twojej wyobraźni do niesamowitych rozmiarów, wypychając stamtąd inne sprawy i uciskając mózg niczym rak.

Już po jej wyjściu Belle pyta:

- Dlaczego mówiła do ciebie po bengalsku? I co miała na myśli z tą autentycznością?

Mogę ją zbyć, mówiąc, że matka się zdenerwowała, i to nie bez powodu. Ale nie mam żadnej odpowiedzi. Nadal próbuję przetworzyć w myśli wszystko, co mi powiedziała, tę jej pokreconą logikę. Wychodząc, odwróciła się do mnie i powiedziała coś jeszcze. Może źle zrozumiałam jej bengalskie słowa, ale zabrzmiało to tak: „Przez cały ten czas myślałam, że robię to dla ciebie. A tymczasem chroniłam siebie samą”.

Tej nocy, kiedy Jona już śpi, zabieram się do obrazu. Kompletnie zamalowuję mężczyznę w bieli, potem w tej

części płótna przerabiam listowie. W końcu zostają same drzewa, trawa, odłupana kora, zwieszające się gałęzie - a za nimi ciemna plama w kształcie męskiej sylwetki, którą widać tylko wtedy, jeśli się patrzy pod właściwym kątem. Mężczyzna z lewą ręką wygiętą wysoko nad głową - obecny i jednocześnie nieobecny, ostatni brakujący element obrazu.

Później, kiedy już leżę w łóżku, wciąż jeszcze przeżywam finałową euforię, która nie daje mi zasnąć. I jak tyle razy przedtem, moje myśli krążą wokół matki. W jaki sposób chroniła siebie, nie opowiadając mi o Indiach? Co widziała (albo jej się zdawało, że widziała) w tamtej kawiarni? I wreszcie: skoro wypłała przeznaczoną dla mnie kawę, „pechową” kawę, to co teraz z nią będzie?

Po latach, kiedy zacznę śnić znowu, śnić bardzo intensywnie, jakby po to, aby nadrobić te wszystkie jałowe, muliste noce, śnić w neonowych barwach i stroboskopowych błyskach nie tylko moje własne sny, ale także mojej matki i córki, zobaczę w jednym z nich wnętrze Javy. Wówczas nie będzie już ani Javy, ani Chai House, a sama Ameryka - ta, w którą dotąd wierzyłam - przestanie istnieć, ale oto, co mi się przyśni:

Jesteśmy w podwodnej kafejce, wypełnionej ciemnym błękitem dna oceanu. Wszystko w tej przestrzeni się chwieje i drga, a słowa odbijają się echem jak fala uderzeniowa po przekroczeniu bariery dźwięku. Siedzimy przy stole z koralu, a może z porowatych kości? W pomieszczeniu nie ma nikogo poza nami - matką, Belle i mną. Odwracam się, żeby do nich przemówić, i widzę, że zmieniły się w morskie stwory. Belle potrząsa różowymi anemonowymi puklami, matka patrzy na mnie inteligentnymi oczami konika morskiego. (A ja? Czym jestem? Ale nie mogę siebie widzieć, więc nie wiem). Nadpływa kierowniczką, znajduje się poza zasięgiem mojego wzroku i nie jestem pewna, w jakie stworzenie się zmieniła.

Widzę tylko jej cień na ścianie, gdzie krasnorosty kołyszają się tam i z powrotem. Wyłania się w kształcie chmury, sieci albo głowy młotka. Zamówione napoje płyną do nas przez wodę. Kawa jest czarna jak atrament z kałamarnicy. Sięgam po nią, ale matka jest szybsza. Bierze filiżankę w kruche rączki konika morskiego i pije. Kolor spływa do jej wnętrza, barwiąc ją tak, że wygląda jak Sziwa o ciemnej szyi, który chłonie w siebie truciznę świata, aby uratować go od zniszczenia. Ale matka, mimo dobrych chęci, nie jest tak silna jak bóg. Zaczyna się rozpadać na kawałki, z których każdy wygląda jak gałązka koralu. Próbuje mi coś powiedzieć. Woda się burzy, jej huk rozbrzmiewa potężnym echem w moich uszach, kierowniczką szczyrzy się do mnie paszczą rekina. Oczy ma białe niczym pasta do zębów, jej blond płetwa pokazuje coś na falującej ścianie. To zegar z cyfrą 2 umieszczoną pośrodku tarczy. Wiem, że odmierza dni i że porusza się wstecz. Następną cyfrą będzie 1, potem 0. A potem czas się skończy.

13. Rakhi

Stoję w kącie Atelier i mam ochotę się zapaść pod ziemię. Bywałam w tej galerii wiele razy na innych wystawach, ale nigdy nie wydawała mi się tak ogromna i przepastna, tak pusta.

- Belle - szepnęłam z niepokojem, kiedy tu weszłam jakiś czas temu. - Tu nikogo nie ma!

Belle wydała cierpliwe, macierzyńskie westchnienie.

- Naturalnie. Galeria się otwiera za pół godziny. - A co, jeśli nikt...

- Widziałaś, żeby na jakiegokolwiek wystawie tak się stało?

- Zawsze może...

- Oszczędź mnie! - syknęła Belle, kierując oślepiający uśmiech w stronę Kathryn, która machała do nas z drugiego końca studia. Złapała mnie za rękę, zanim zdążyłam zdezerterować do kąta. - O! Tu właśnie masz stać, żeby ludzie na pewno cię zauważyli, wchodząc. I bądź łaskawa się nie garbić. Zrujnowałabyś cały efekt mojej twórczej pracy. - Poprawiła mi szal, obciągnęła dyskretnie tył sukni, wręczyła kieliszek szampana i poszła skonsultować się z Kathryn.

Przestępuję nerwowo z nogi na nogę - nie lada wyczyn, biorąc pod uwagę, że mam na nogach szpilki Belle. Upijam ostrożnie łyk szampana z kieliszka, który trzymam przed sobą niczym tarczę ochronną, i po raz kolejny żałuję, że pozwoliłam Belle ubrać mnie na tę okazję.

- Nie, nie i jeszcze raz nie - protestowała, kiedy próbowałam przedyskutować z nią moje plany. - To kamień milowy w twoim życiu. Jako twoja przyjaciółka, mam moralny obowiązek dopilnować, żebyś nie poszła w spodniach khaki i swetrze.

- Belle, moim jedynym ciuchem, który choć w połowie nadaje się na wieczór, jest czarna suknia babci, w której robiłyśmy za bileterki w Zellerbachu (Audytorium im.

Zellerbacha w Berkeley.), żeby zobaczyć za friko spektakl. Tę drugą suknię rozdarłaś, pamiętasz? Moje hinduskie stroje są zbyt jaskrawe na tę okazję. A kto jak kto, ale ty akurat powinnaś wiedzieć, że nie stać mnie teraz na nic nowego. Zresztą jestem malarką, nie modelką, po co miałabym ładnie wyglądać?

- Bo wyglądasz. Masz to po mnie. Ale nie martw się, mam dla ciebie idealny ciuch. Jak to dobrze, że nosimy ten sam rozmiar, co?

No więc tu jestem, wbita w czarny futerał sukni z rozcięciem z jednego boku i ramiączkami jak spaghetti. Upięte w kok włosy próbują wymknąć się spinkom Belle i lada moment odniosą sukces. Rzęsy ciążą mi, wysmarowane tuszem Belle, usta przytłacza nadmiar szminki Belle o trafnej nazwie „Szkarłat smoczycy”. I tylko jedna rzecz należy do mnie: czarno - srebrny szyfonowy hinduski szal, który Belle znalazła na dnie mojej szafy.

- Idealny! - zaćwierkała, drapując go wokół moich ramion. - Oto prawdziwa fuzja Wschodu i Zachodu!

Przyjechali rodzice. Matka w wytwornym, ręcznie haftowanym sari w odcieniach ziemi uśmiecha się do mnie promiennie, ale Belle zatrzymuje ją przy wejściu. Zadziwiająco, ojciec ma na sobie garnitur! Jestem wzruszona. Ostatni raz widziałam go tak elegancko ubranego na moim weselu. Daje mi znak nieśmiało, ale czeka, aż matka utoruje mu drogę. Obserwuję ich z drugiego końca sali i nagle uświadamiam sobie, że zawsze tak się zachowuje; najchętniej trzyma się z tyłu i pozwala matce troszczyć się o wszystko, co mnie dotyczy. Pewnego dnia zapragnęłam się dowiedzieć, co właściwie skłoniło do małżeństwa jego - wróbla i ją - bilbila.

- Czy wasze małżeństwo było zaaranżowane? - spytałam. Parsknęła śmiechem.

- Skądże znowu! Prawdę rzekłszy, moi rodzice bardzo się sprzeciwiali.

- Ale dlaczego?

Uśmiechnęła się tym dobrze mi znanym uśmiechem typu „dajmy temu spokój”.

Spróbowałam inaczej:

- Więc jak to się stało, że za niego wyszłaś?

- Poznaliśmy się, kiedy przyjechałam do Kalkuty... i zakochaliśmy się w sobie - odrzekła z zaskoczoną miną, jakby dawno o tym zapomniała.

- Jak to było?

Ale ona zdążyła się już pozbierać.

- Chyba nie inaczej, jak z innymi młodymi ludźmi. Nie masz na co tracić energii? Musisz wałkować te dawno zakończone sprawy?

Nie wiedziała, ile energii miałam stracić później, żeby wypełnić pewne luki. Ciągłe próbowałam sobie wyobrazić parę bardzo młodych ludzi, spotykających się na ulicy miasta, którego nigdy nie zobaczę. W moich fantazjach patrzyli na mnie, ale ich twarze nie przypominały tych dobrze mi znanych, nie były twarzami rodziców. I tylko dwie rzeczy wiedziałam o nich na pewno:

1. To, co im się przydarzyło, nie było zwykłą historią dwojga młodych, którzy się w sobie zakochali.

2. Czymkolwiek to było, minęło, ustępując miejsca czemuś tak różnemu, że sami by się zdumieli, gdyby odważyli się przyjrzeć temu bliżej.

Gratulacje! - mówi matka, całując mnie w policzek. - Twoje obrazy są wprost przepiękne.

Oczywiście musiała tak powiedzieć, w końcu jest moją matką. Staram się nie patrzeć na ściany. Wiem, że obrazy są nic niewarte, a zwiedzający - jeśli w ogóle się pojawią - uznają je za ohydne.

Ojciec klepie mnie po plecach, mamrocząc coś o dumie. Jest trzeźwy, a w rękę trzyma szklanekę wody mineralnej. Rzucam matce spojrzenie pełne wdzięczności.

- I ty też wyglądasz pięknie - dodaje. - Bardzo szykownie. Czy to ta stara dupatta? - pyta, dotykając ostrożnie mojego szala.

Zdarzyło się to w dzień przed moim ślubem. Otworzyła stary kufer, żeby wyjąć srebrny kubek, z którego lubiłam pić jako dziecko. Był dość cenny i zamierzała mi go podarować dla moich przyszłych dzieci. Ale nagle mój wzrok padł na zwinięty w kącie szal. Kiedy go podniosłam, srebrne nitki zamigotały niczym pajęczna sieć, po której zatańczył pajak.

- Mogłabyś mi to dać? Zawahała się lekko.

- Tę starzyznę? Na co ci ona?

Bo pochodzi z twojego dawnego życia, miałam na końcu języka. Tego magicznego, do którego nie chcesz mnie wpuścić. Ale wolałam nie psuć tej chwili, poza tym nie wszystko było jej winą. Gdybym miała taki dar jak ona, nic by mnie nie wstrzymywało.

Dała mi tę dupattę, kręcąc z uśmiechem głową. Robiła tak czasem, jakby moje działania stanowiły dla niej zagadkę nie do zgłębienia, chociaż to właśnie ona była tą niezgłębioną.

Wszystko to dawno zapomniałam, tak jak zapominamy o wielu sprawach, nie wiedząc, co tracimy.

- Gdzie moja wnuczka? - pyta matka. Odpowiadam, że Sonny miał ją podzucić przed otwarciem wystawy, ale oczywiście się spóźnia.

- Pewnie ma powód.

- Jasne, zawsze ten sam: ja, moje, dla mnie.

Matka ściąga usta. Wiem, uważa, że jestem dla Sonny'ego zbyt surowa. Ale przecież nie ma pojęcia, co się wydarzyło tamtej nocy. Szampański bąbelek uśmiechu rozpada się wewnątrz mnie, zanim zdążył wydostać się na powierzchnię.

Zostaje mi po nim gorzki posmak. No cóż, mam, w końcu ja też potrafię być niezgłębiona.

Nagle w sali wybucha gwar, tu i ówdzie słychać śmiechy. Jest parę znajomych osób, ale też wiele zupełnie mi obcych. Czuję się rozdarta - z jednej strony mam chęć podsłuchać, co mówią, z drugiej obawiam się niepocholebnych opinii o moich obrazach. Albo co gorsza, tego, że będą woleli rozmawiać o pogodzie czy planach wakacyjnych.

Nagle w odległym kącie widzę jego. Stoi sam i patrzy w skupieniu na płótno. Człowiek z eukaliptusowego zagajnika. Z miejsca, gdzie stoję, nie mogę dostrzec jego twarzy, ale to na pewno on: ta sama budowa ciała, postawa, biała marynarka... W samym środku tego zgiełku wydaje się otoczony ciszą.

Ruszam w tamtą stronę, gdy nagle wpada na mnie wirujący derwisz. O mało nie rozlałam szampana.

- Jona! - wołam i całuję niesforne loki, których ten zbrodniczy tatuś Sonny wyraźnie nie tknął grzebieniem.

- Mamuś, wyglądasz super! I wszędzie wiszą twoje obrazy, jak fajnie! Ile już sprzedałaś?

Uśmiecham się mimo woli.

- Czy wyglądają okay? - Trochę mego zdenerwowania rozplywa się, kiedy tulę córkę i upijam kolejny łyk szampana. Cieszę się, że udało mi się ją tu ściągnąć, by uczestniczyła ze mną w tym wyjątkowym wieczorze, chociaż Kathryn miała pewne obiekcje co do obecności dziecka.

- Mogę trochę? - przymiła się Jona.

- Nie, kochanie, to zawiera alkohol. Chodź, pójdziemy do cioci Belle, dostaniesz soku jabłkowego.

- Soku?! Fuj! To twoje picie wygląda znacznie ciekawiej. Czemu mi nie dasz maleńkiego łyeczka? Sonny mi pozwala... - Widzi moją minę i szybko się wycofuje. - Tylko czasami, oczywiście.

Biorę głęboki oddech i utrzymuję uśmiech. Później, drogi chłopcze. Później.

- No więc czemu TATUSZ tak późno cię tu przywiózł?

- Nie mógł znaleźć miejsca na parkingu. O, babcia!

Chcę powiedzieć, że nie musiał szukać miejsca, wystarczyło wysadzić ją przy drzwiach, ale Jony już nie ma. Jednocześnie budzi się we mnie straszliwe podejrzenie, od którego mrowi mnie kark.

Odwracam się wolno w stronę wejścia... i jest! Chociaż ostentacyjnie go nie zaprosiłam! Muszę przyznać, że wygląda nieźle, znacznie lepiej, niż ma do tego prawo, sądząc po zdegenerowanym stylu życia. Ten z lekka niedbały, chłopięcy wygląd, jakby dopiero co wstał z łóżka, te pełne wargi przypominają mi (choć wolałabym zapomnieć) o tym, jak czułam je na różnych częściach mego ciała. Tylko że teraz nie uśmiecha się tym lekko drwiącym, złośliwym uśmieszkiem, jakiego nauczyłam się po nim spodziewać. Stoi tam, smukły w biodrach, ubrany w czarne spodnie i dopasowaną koszulę z czarnego jedwabiu, podkreślającą muskuły, i patrzy na mnie z mrocznym współczuciem. To spojrzenie sugeruje, że żaden z obecnych tu mężczyzn nigdy nie będzie ze mną tak blisko jak on. Ze wyczuwa, co szepcze mi w głowie cichy głos: Nie powinnaś tu być, to jakaś pomyłka, nie zasłużyłaś sobie. Zupełnie jakby i on słyszał go czasem.

Ale to niemożliwe. Sonny ma najbardziej niezachwiane ego na zachód od Nowego Jorku. Gdyby nawet taki głos odezwał się kiedykolwiek w jego głowie, skurczyłby się i zamarł szybciej niż ślimak w kopalni soli. Poza tym nie chcę jego współczucia. Nie chcę od niego nic, ma się tylko trzymać ode mnie z daleka, szczególnie w najważniejszy wieczór mojego życia. (Gdy to myślę, w głowie pobrzmiwa mi echo: najważniejszy wieczór, najważniejszy... Kiedyś już

wypowiedziałam te słowa... Kiedy? Nie pamiętam i wprawia mnie to w jeszcze większą złość).

I z tą złością maszeruję prosto na niego, nie zważając na wysokie obcasy. Potykam się - i natychmiast czuję rękę podtrzymującą mi łokieć. W ciemnych oczach widzę iskierki wesołości, jego palce palą mi skórę.

- Riks, wyglądasz szalowo - mówi sennym głosem i w tym momencie pryska całe opanowanie, nad którym tak ciężko pracowałam, odkąd się z nim rozstałam.

Łapię go za rękę i drżącym głosem syczę:

- Po coś tu przyszedł? Żeby jak zawsze wszystko mi popsuć? Nie to chciałam powiedzieć. Zadziwiające, jak on szybko potrafi sprowadzić mnie do parteru.

Wokół nas milkną rozmowy, każdy nastawia ucha. W oczach Sonny'ego nieoczekiwanie błyska żal, ale znika tak szybko, że może w ogóle go nie było.

- Ja też ci życzę miłego wieczoru.

- Proszę, wyjdź - szepczę.

Spodziewam się jakiejś sarkastycznej uwagi, której nie będę miała sił odeprzeć, bo moje rezerwy już są wyczerpane. Zamiast tego składa mi lekki ukłon i odwraca się, zostawiając mnie w poczuciu winy, ale i bezlitosnej wdzięczności.

Jest już przy drzwiach, kiedy nagle Jona chwytą go od tyłu.

- Sonny - y - y! Nie widziałam, jak wchodziłeś. Dokąd idziesz? Sonny przyklęka i szepcze jej coś do ucha.

- Nie możesz! - krzyczy Jona. - Nawet nie obejrzałeś mamy obrazów! I nie przywitałeś się z dziadkami!

Wkraczam do akcji i stanowczym macierzyńskim gestem kładę jej dłoń na ramieniu.

- Tatuś musi już iść. Innym razem obejrzy obrazy.

- Ale ja chciałam, żeby obejrzał je ze mną!

- Jona, nie słyszałaś? Musi stąd wyjść. A ty pójdziesz zaraz do babci i cioci Belle.

Jona przesuwając wzrok z twarzy Sonny'ego na moją.

- Pokłóciłaś się z nim, tak? Powiedziałaś, żeby sobie poszedł. Jak mogłaś być taka niedobra!

Krew napływa mi do twarzy.

- Jono - mówię głosem nieznoszącym sprzeciwu - proszę natychmiast iść do babci.

- Założę się, że babcia nie pozwoli ci go wyrzucić! Zaraz jej to powiem. Babciu! Baabciu! - Czysty dziecięcy głosik przecina jak nożem wszelkie rozmowy. - Mama kazała Sonny'emu iść!

Wszystkie głowy odwracają się w naszą stronę. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Matka czym prędzej rusza w naszą stronę. Szepcze coś do Jony, podczas gdy Sonny próbuje uwolnić się z jej rąk. Dziecko łąka na cały głos. Ponad głowami gości, którzy wyraźnie uznali ten mały dramat za ciekawszy od moich obrazów, widzę twarz Kathryn zastygłą w wyrazie dezaprobaty. Nie dla mnie już wystawy w Atelier.

Czy mężczyzna w bieli też to obserwuje? Ta myśl w jakiś sposób upokarza mnie najbardziej.

- Po prostu wyjdź - syczę do Sonny'ego. Oczami mówię: Cała ta chryja nigdy by nie wybuchła, gdybyś się tu nie pokazywał.

- Przecież próbuję - odwarkuje. Oczami mówi: Cała ta chryja nigdy by nie wybuchła, gdybyś mnie nie opuściła.

- Jak Sonny ma wyjść, to ja także! - oznajmia Jona. - Nienawidzę cię, wiesz?! I nie chcę patrzeć na twoje wstrętne obrazy!

- Boże! - wzdycham. Mam ochotę dodać: „A ja nie chcę patrzeć na twoją wstrętną buzię”, ale matka kładzie mi ostrzegawczo dłoń na ramieniu. Głową daje znak Sonny'emu, który bierze Jonę na ręce i rzuca mi nieczytelne spojrzenie.

(Nie, cofam to - odczytuję je głośno i wyraźnie: to spojrzenie triumfu). Matka prowadzi mnie przez całą salę, obok ciekawskich twarzy, do pokoju wypoczynkowego. Spodziewam się, że mi powie, jak haniebnie się zachowałam, ale tylko proponuje, żebym przemyła twarz, poprawiła makijaż i zrobiła parę głębokich wdechów. Zostaję sama z rządkiem łypiących na mnie oskarżycielsko kranów.

Kiedy wreszcie zmuszam się do wyjścia, gotowa stawić czoło spojrzeniom, szeptom i złośliwym uśmieszkom, przekonuję się ze zdziwieniem, że nikt na mnie nie zwraca specjalnej uwagi. Goście zajęci są rozmową, pokazują sobie obrazy, kiwają głowami. Idę do Kathryn, żeby ją przeprosić.

- Nie ma sprawy - mówi z nieoczekiwaną wesołością. - Chyba zyskałaś ich zainteresowanie. Rozumiesz, Młoda, Namiętna Artystka staje wobec swego Mrocznego Przystojnego Byłego na własnym wernisażu. Po tej scenie sprzedałaś ładnych parę obrazów - więcej, niż się spodziewałam. Może powinnam teraz naciskać, by artyści zapraszali swoich eks. - I pokazuje mi tabliczki z czerwonym napisem SPRZEDANE na niektórych płótnach.

Także na eukaliptusowym lasku.

- Kto to kupił? - pytam.

- Czekał, sprawdzę... jakiś pan. Nikt ze stałych klientów.

O wyglądzie śródziemnomorskim czy bliskowschodnim. Wspaniale, co? To twoje najdroższe płótno, a zarazem największe osiągnięcie. Jest w tym coś... coś, czego nie da się dotknąć palcem... Cóż, facet wyraźnie ma oko do sztuki.

Serce gwałtownie mi przyśpiesza.

- Był ubrany na białą?

- Nie pamiętam, w tym zamieszaniu...

- Masz jego nazwisko? Pokwitowanie z karty kredytowej?

Przygląda mi się ciekawie.

- Nie. Zapłacił gotówką i powiedział, że się zgłosi po zamknięciu wystawy. Poprosiłam o numer telefonu, ale podobno właśnie zmienia. Ale nazwisko zapisałam. - Otwiera folder. - Emmett Mayerd. Niezwykle, co? Mam nadzieję, że dobrze zapisałam. Śpieszył się do wyjścia, więc nie zdążyłam sprawdzić.

Emmett Mayerd. Powtarzam sobie to nazwisko przez resztę wieczoru, podczas uścisków Belle i gratulacji Kathryn, kiedy palce matki obejmują moją twarz, a w jej oczach błyszczy duma, ale też kryje się w nich jakiś cień. Ojciec składa przesadny ukłon i wznosi kieliszek caberneta w milczącym toaście (kiedy zaczął pić?!). Emmett Mayerd szumi we mnie, kiedy pytam rodziców, czy nie zostaliby u mnie na noc. (Odmawiają, oczywiście, a ja nie nalegam tak mocno, jak powinnam). To może odwiozę ich do Freemont? (Kolejna odmowa). „Nic mi nie będzie, mogę prowadzić, zapewnia mnie matka. Nie histeryzuj”. Emmett stoi przy mnie, kiedy macham im ręką na pożegnanie, odrzucam propozycję Belle, by udać się na rundkę po klubach, i jadę do domu. Obserwuje mnie, jak otwieram drzwi do zbyt cichego mieszkania. Przywykł do ciszy ten Emmett. To jego żywioł.

Emmetcie, nie jestem taka silna jak ty. Potrzebuję kogoś tej nocy. Kogoś, z kim mogłabym się podzielić przeżyciami tego wieczoru, sukcesem i klęską, uczuciem apatii, z którym zostałam. Jona objęłaby mnie ciasno, przydusiła mi twarz swymi gęstymi, niesfornymi kędziorami i nie dała czasu na myślenie. Ale jej tu nie ma. Jest u Sonny'ego (którego bardziej kocha, czego nie omieszka mi wytknąć mój głos), a ja muszę sama spojrzeć w oczy prawdzie.

To wkurzające spojrzenie Sonny'ego sprawiło, że coś we mnie pękło, jakaś skorupa zaprzeczeń, którą zbudowałam wokół siebie, odkąd się od niego wyniosłam. Przez cały czas wmawiałam sobie, że świetnie mi będzie samej, że jestem

twarda, że nikogo mi nie trzeba. Ale nie jest mi świetnie... I wcale nie jestem tak twarda, jakbym sobie życzyła. Chcę być kochana przez mężczyznę, który rozumiałby mnie tak jak Sonny za naszych najlepszych dni. Potrzebuję takiej miłości, żeby całe moje ciało przeniknął dreszcz.

Przy każdym wydechu czuję, jak opuszcza mnie kawałeczek mojej młodości. Emmecie, biały cieniu ze świata zieleni, czy ty to rozumiesz? Czy to ty jesteś mężczyzną, którego pragnę?

Dzwoni telefon.

Podrywam się i tężeję w oczekiwaniu. Czy to...? A czemu nie? Skoro był w zalanym deszczem lasu, skoro przyszedł na wernisaż i kupił przedstawiający go obraz (ten utworzony z pustki kształt tylko on mógł rozpoznać), to dlaczego miałby do mnie nie zadzwonić? Moja ręka drży lekko, podobnie jak głos, kiedy mówię „halo”.

- Riks - odzywa się nie - Emmett aż za dobrze znanym głosem - musimy pogadać.

Jestem rozczarowana i wściekła na swą głupotę.

- Nie mamy o czym gadać, Sonny. Już nie. Proszę, nie dzwoń więcej.

Ale oczywiście mnie nie słucha. Telefon dzwoni i dzwoni, wreszcie włącza się sekretarka. Słyszę:

- Riks, posłuchaj, to ważne... - W tym momencie wyłączam aparat.

Wracam do łóżka, podciągam kolana pod brodę i trzęsę się cała mimo podkreconego ogrzewania. Emmett zniknął (może okazałam się zbyt zaborcza jak na jego gust), za to aż do zapadnięcia w niespokojny sen słyszę w głowie szept: Wyłączyłaś telefon, a jeśli coś się stało z Joną?

14. Z dzienników snu

Ostatnio przyjeżdżają, kiedy wcale ich nie oczekuję. Na przykład tego ranka.

Podjeżdża samochodem jak srebrny szept, siedzi w nim długo, porównując adres w notatniku z tym na moich drzwiach. A może tylko zbiera rozsypane płatki swej odwagi.

Kiedy w końcu dzwoni, a ja otwieram drzwi, okazuje się piękna i smutna jak księżniczka ze starych bengalskich baśni.

Może dlatego, gdy opowiada mi swój sen, rozpoznaję go od razu, chociaż to nie mnie się przyśnił.

W owym śnie - powtarzał się jej kilkakrotnie - znajduje się w otoczonym murem ogrodzie. Wokół niej rosną złote rośliny, kwiaty zrobione są z diamentów. Przez ogród płynie strumyk z miodem zamiast wody, niewidzialne ptaki śpiewają tak słodko, że omal jej serce nie pęka z zachwytu.

Skubie pasek torebki od Gucciego, spuszcza wzrok na kolana. Mówiąc, wygładza jedwab sukienki. W uszach i na szyi nosi perły, co mnie nie dziwi, gdyż są to klejnoty płaczu.

Póki przebywa w tym ogrodzie, wie, że jest bezpieczna. Nikt tu nie wejdzie, nikt się do niej nie dostanie. Słyszy, jak z zewnątrz wykrzykują jej imię. Mają gniewne, coraz bardziej rozwścieczone głosy, ale ją to nic nie obchodzi. Unosi dłoń. Ważka sfruwa, żeby ją ucałować.

Czytam historię tej kobiety w jej apatycznych oczach. Mąż, którego tak pochłaniają jego własne sny króla gór, że nie widzi, jak jego dom zamienia się w pustynię, a żona jedyną pociechę czerpie z wysiadywania w nierealnym ogrodzie i słuchania śpiewu nieistniejących ptaków.

Trzeba go jakoś zmusić do rozmowy, tłumaczę.

Kręci głową w milczeniu. Próbowałam. Już mi na tym nie zależy.

Kiedy przestał z panią sypiać?

Obraca na mnie oczy zaszczutej sarny. Skąd pani wie?

Nie wyjaśniam, że wiem to z własnego życia, które podobnie jak jej, wywróciło się na lewą stronę. My, tłumaczk snów, nie mówimy o sobie.

Zapomniałam, powiada w końcu. Nieważne.

Musi pani znaleźć sobie coś... albo kogoś innego do kochania. Inaczej pani zwariuje.

Patrzy na mnie.

Może już zwariowałam, mówią jej oczy. Może to najlepszy sposób udźwignięcia tej pustki.

Po co pani do mnie przyszła? Mam wytłumaczyć, co znaczy pani sen?

Nie! Nie chcę nic wiedzieć! Chcę tylko, żeby mi się to śniło i śniło co noc. Mogłabym wtedy wziąć na siebie ciężar reszty życia. Muszę tylko mieć pewność, że gdy tylko się położę, znów tam będę. Ale to się nieczęsto zdarza, ostatnio coraz rzadziej... I dlatego do pani przyjechałam.

Wzdycham. Jakże niebezpieczną ścieżką stąpa! Ale nie przyjmie ode mnie żadnej innej pomocy. Ja zaś nie potrafię odmówić tej błagalnej prośbie jej oczu, temu drganiu powiek, które może mieć swe źródło w tuszu do rzęs albo w rozpacz.

Przynoszę jej buteleczkę z mojej szafy cieni. Codziennie na noc po jednej kropli do każdego oka.

Odkręca zatyczkę i wacha z powątpiewaniem przejrzysty płyn.

Jest pani pewna? Wygląda jak woda.

Kiwam głową. Nie mówię, że oprócz tego będę jej wysyłać moje myśli ze snu, żeby przeprowadziły ją przez próg.

Ale to taka mała buteleczka... skończy się w mgnieniu oka. Nie może mi pani dać więcej?

Zaprzeczam ruchem głowy. Starczy na dłużej, niż pani przypuszcza, tylko trzeba używać we właściwy sposób. Kiedy

się skończy, proszę do mnie przyjechać, porozmawiamy. Może będzie pani potrzebowała czegoś innego.

Uśmiecha się z niedowierzaniem i wstaje chwiejnie na swych wysokich szpilkach. Kładzie, nie patrząc, na stoliku garść banknotów dolarowych.

Wpycham większość z nich do jej torebki.

Wszystko z umiarem, mówię surowo. Ale w duchu proszę: Nie poddawaj się. Sen to nie tabletki, tylko sposób. Słuchaj, dokąd może cię zaprowadzić.

Tak wiele różnych trosk na tym świecie. Czasem myślę, że mogłabym od nich odpocząć.

Na pewno pani tu będzie, kiedy znów przyjadę? W jej głosie jest strach, tak samo jak w nerwowym zaciśnięciu dłoni na pasku torebki.

Mówię jej to, co wszystkim moim ludziom, chociaż tym razem czuję się trochę winna.

Moja droga. (Podnosi wzrok, znów nieco spłoszona. Nigdy się nie dowie, jak głęboko prawdziwe są te słowa, jak głęboko jestem z nią związana teraz, kiedy już do mnie trafiła). Moja droga, dopóki żyję, będę tutaj dla ciebie.

15.

Ktoś się dobija do drzwi mieszkania, wołając ją po imieniu. Ktoś dzwoni raz po raz do drzwi, aż wściekle wesołe melodyjki przenikają w głąb jej czaszki i nawet chowanie głowy pod poduszkę nic nie pomaga. Zwleka się z łóżka, klnąc pod nosem, głowa jej pęka od kaca. Co za niesprawiedliwość, że człowiek, który nie tknął alkoholu, musi tak cierpieć! (Pół kieliszka szampana przecież się nie liczy). Mruga półprzytomnie oczami, zastanawiając się, czy to Sonny odważył się na ostateczny szturm, ale głos nie pasuje. A może nie otwierać, po prostu uda, że nie istnieje. Może to nawet nie będzie udawanie. Człapiąc do łazienki, czuje dziwną ociężałość. Ma wrażenie, że to jakieś obce ręce chlapią wodą na pochyloną nad umywalką twarz. Wszędzie wokół jest ciemno, a może to oczy jej wypłynęły? Kiedy wychodzi z łazienki, głos nadal wykrzykuje jej imię, więc Rakhi w końcu otwiera.

- Dobry Boże, Rikki, co ci jest?! - pyta zapłakana Belle, wpychając się do mieszkania. - Czemu nie otwierałaś? Myślałam, że tobie też coś się stało!

Rakhi rejestruje to „też” - zimny korkociąg dźwięku, który wwierca się w nią, zostawiając po sobie wąski czarny tunel. Mamrocze coś, że jest śpiąca. To nie jest nielogiczny wykręt. Kiedy rzuca okiem za Belle, w małe okienko na klatce schodowej, widzi, że słońce jeszcze nie wzeszło. Belle ma na sobie krótką czerwoną sukienkę. Na pewno nie nosiła nic takiego, kiedy Rakhi ostatni raz ją widziała... gdzie? Z trudem przypomina sobie galerię, a potem już wszystko się na nią wali: rodzice, Jona, obrazy - takie imponujące i dalekie na ścianie, zanim zjawily się tłumy, mężczyzna w bieli, skandaliczne wejście Sonny'ego i jego jeszcze bardziej skandaliczne wyjście. Belle ma rozmazany makijaż i zapuchnięte oczy. Rakhi chce jej powiedzieć, że nie powinna

prowadzić samochodu w takim stanie, może spowodować wypadek. Może zresztą to mówi, ale Belle nie słyszy, bo cały czas gada i płacze jednocześnie.

- Przyjechałam do domu, a na sekretarce te wszystkie wiadomości, aż sześć, już miałam ich nie odsłuchiwać, taka byłam wykończona, ale dzięki Bogu, odsłuchiwałam, to był Sonny, dzwonił ze szpitala, próbował się z tobą skontaktować, a ty nie odbierałaś...

Szpital. To słowo zapada w nią wreszcie. Słowo - kamień.

- Jona...? - Zaczyna się trząść, ale Belle ją trzyma.

- Nie, nie Jona, chwalić Boga... chociaż coś równie złego. Twój rodzice. Mieli po drodze wypadek, twój ojciec jest ciężko ranny, a mama... - Belle łka tak rozpaczliwie, że nie może skończyć zdania.

Ale Rakhi nie musi słyszeć tego słowa, tego dźwięku, który niczym pięść wbija się w jej ciało. Już wie.

W szpitalu, dokąd Belle ją przywiozła, wszystko wydaje się zamazane, jakby Rakhi patrzyła przez nieodpowiednie okulary. Twarze przyczepione do uniformów i chirurgicznych ubrań napływają i odpływają. Mówią coś, czego nie pojmuje. (A o czym tu mówić? Wszystko zostało już ujęte w tym niewypowiedzianym słowie. Jego jedyna sylaba atakuje ją od czasu do czasu, przyprowadzając o dreszcz). Idzie za uniformem korytarzem do jakiegoś pokoju, jakiegoś łóżka, leży na nim postać okryta białym prześcieradłem. Pod spodem widać kształty odłączonych rurek, niczym drogi wyjścia z opuszczonego miasta. Obok stoi Sonny z zaczerwienionymi oczami. Rakhi ma ochotę walnąć go pięścią, krzyknąć, że nie ma prawa, bo jej już zabrakło łez, wszystkie wypłakała. Wie, że złapałby ją za ręce, objął, mamrocząc coś w sposób, w jaki przemawia się do dziecka albo zwierzaka. Ale w końcu rezygnuje. Nie zmieniłaby w ten sposób tego, co chciałyby zmienić...

Nie patrzy na to łóżko.

Po pewnym czasie ktoś zabiera ją do innego pokoju, gdzie na innym łóżku leży inna postać, spowita w bandażu, ze złamaną ręką w gipsie. Tym razem rurki podłączone są do maszyny. Ranny jest nieprzytomny, więc Rakhi nie musi do niego nic mówić. Jest za to wdzięczna, co ją dziwi. Nie spodziewała się, że potrafi jeszcze czuć wdzięczność.

Nagle jest już z powrotem w domu - nie bardzo wie, jak się tam znalazła - w swoim własnym łóżku. Leży pod dwiema kołdrami, ale i tak cała dygocze. Chce zapytać co z Joną, tylko słowa gdzieś się zagubiły, a ona jest zbyt zmęczona, by ich szukać. Belle podaje jej dwie różowe tabletki, na szczęście udaje się jej połknąć.

I nagle... Sny, przed którymi matka tyle lat ją chroniła, zagradzając im drogę niczym forteczny mur, runęły na nią z całą swą potęgą.

16. Rakhi

Stoję w kuchni, która już nie jest kuchnią mojej matki, i gotuję bananowego kabaczka.

Nigdy nie przyrządzałam go przedtem, ale matka robiła to z przyjemnością. Wychodził jej świetnie i pozornie bez trudu. Pod jej okiem nigdy nie zmieniał się w żenującą pomarańczową kulę, która teraz gapi się na mnie z rondla. Próbując go uratować, dodaję kilka łyżek olejku gorczycowego, sól i pieprz. Nic to nie pomaga, wygląda tak samo nieapetycznie jak przedtem, tylko jest bardziej tłusty. Z ciężkim westchnieniem kładę go razem z rozgotowanym ryżem na tacy.

Bananowego kabaczka zażyczył sobie ojciec, który na dodatek kazał mi dotąd gotować ryż, aż utworzy się kleista masa. Podobno jego wnętrzności są w takim stanie, że nie dałby rady strawić niczego bardziej zestalonego.

Dam sobie rękę uciąć, że z jego brzuchem wszystko jest w porządku. Wyniki badań ma znakomite, a lekarze powiedzieli mi, że nie widzą powodów do niepokoju. Ale nie podejmuję dyskusji. Od czasu wypadku staram się jak najmniej z nim rozmawiać. Także dotykam go jak najrzadziej, ale to już jest trudniejsze, ponieważ potrzebuje mojej pomocy przy codziennych czynnościach, póki nie zdejmą mu gipsu.

Czasem rozmawiam z matką. Pytam, o czym myślała, kiedy zdarzył się wypadek, jak mogła być tak haniebnie nieostrożna, i w ogóle, jak to się stało.

Jestem na nią zła, ale mój gniew to dość złożona sprawa. Brak mi słów, by go wyartykułować, o wiele łatwiej czuć się zaskoczoną.

Nikt nie wie na pewno, co się wydarzyło tej nocy, ale wszystkie raporty zgadzają się w jednym: zjechała z szosy nr 580, która w tym miejscu wznosi się i wije leniwie po stoku wzgórza San Leandro. Samochód przebił się przez barierkę,

przeleciał nad zboczem porośniętym delosperną, kierując się prosto w długą wąską płaszczyznę bajecznie oświetlonego mostu San Mateo. Tam przekoziółkował i wylądował na dachu. Kiedy karetki dotarły na miejsce, matka była już nieprzytomna. Umarła zaraz po przybyciu do szpitala.

Według raportów, nie było żadnych śladów poślizgu ani gwałtownego hamowania. Nic nie wskazywało na to, że matka straciła kontrolę nad pojazdem ani że próbowała go powstrzymać przed upadkiem.

Ojciec twierdzi, że w chwili wypadku spał.

Nie wierzę mu. W jakiś sposób był odpowiedzialny. Wiem, poznaję to po zimnym mrowieniu w plecach, bólu zębów, takim, jakbymssała coś zbyt kwaśnego.

- Mów do mnie - prosiła Belle, kiedy przywiozła mnie do domu. - Na miłość boską, Rikki, odezwij się! Płacz, krzycz, rób coś! - Ale każda odpowiedź, która przychodziła mi do głowy, wydawała się banalna. Bez znaczenia. Wiedziałam, że powinnam oszczędzać energię na coś bardziej użytecznego, ale na co?

Przesiedziałam na sofie cały dzień i całą noc. Od czasu do czasu przywoływałam przed oczy wizję wypadku. Może ojciec wszczął kłótnię i odwrócił uwagę matki? Może w pijanym widzie złapał za kierownicę i dlatego wóz wypadł z drogi?

Kiedy ze zmęczenia nie mogłam usiedzieć, kładłam się. Jadłam, co Belle przede mną postawiła. Wiedziałam, że głodzenie się nie jest żadnym wyjściem. Zamykałam oczy i żułam - tak było mi łatwiej, ale nie rozpoznawałam, co mam w ustach. Moje kubki smakowe oddaliły się bez przepustki. Kiedy Sonny przywiózł Jonę, przytuliłam ją z roztargnieniem, jak jakieś obce dziecko. Miała kompletnie splecione włosy, ale wcale tym razem mnie to nie złościło. Była bardzo milcząca - ktoś ją musiał pouczyć, żeby nie zadawała pytań.

- Rikki, naprawdę mi przykro - rzekł Sonny. Ukląkł przede mną i ujął moje ręce, a ja ich nie wyrwałam. Pewnie bym to zrobiła, ale nie miałam siły. To co się stało, było także jego winą. Gdyby nie pokazał się w galerii, gdyby nie urządził sceny, ojciec nie zacząłby pić. Mógłby prowadzić samochód i nie zdarzyłby się wypadek. A nawet gdyby się zdarzył (nie mogłam powstrzymać tej myśli i nienawidziłam się za to), to może on by zginął zamiast niej.

Mój cichy głos podniósł w tym miejscu swą wężową głowę i przypomniał, że ja też nie byłam bez winy. Mogłam powstrzymać rodziców od powrotu do domu, mogłam bardziej stanowczo nalegać, by spędzili noc u mnie. Ale bardziej zajmowały mnie fantazje na temat mężczyzny w bieli.

Teraz, kiedy matka nie żyje, a mężczyzna w bieli stał się nieistotny, tak samo jak słowa „romans”, „ekscytacja”, „tajemnica” i „przygoda”, nie potrafię nawet wydobyć z mułu pamięci jego nazwiska. Słuszna kara za mój egoizm.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie wyrwałam rąk z uścisku Sonny'ego. Przynajmniej raz mówił to, co myślał. On też kochał moją matkę i też czuł ból. Dawniej mawiał, że ona jest jego jedyną prawdziwą rodziną. Nie dramatyzuj, obcinałam go zaraz, chociaż dobrze wiedziałam, że naprawdę tak myśli.

- Mogę zatrzymać Jonę, jak długo zechcesz - powiedział.
- Pewnie będziesz musiała pozostać we Freemont, póki ojciec nie wyzdrowieje na tyle, by dał sobie radę...

Popatrzyłam na niego osłupiała. Nie przyszło mi dotąd do głowy, że będę musiała wrócić do tego domu, tak bardzo pełnego nieobecności matki, żeby obsługiwać człowieka, który prawdopodobnie jest odpowiedzialny za jej śmierć. Na mojej twarzy musiała odbić się zgroza, bo Sonny zapytał, czy wszystko w porządku. Głupie pytanie, którego normalnie nie zostawiłabym bez ciętej odpowiedzi. Ale żadne z nas nie

czuło się normalnie, więc tylko milcząco skinęłam głową i bez przekonania pociągnęłam Jonę za loki. Wyczułam, że za moimi plecami Sonny i Belle - przynajmniej raz para konspiratorów - wymienili spojrzenia.

- Nie powinna być teraz sama - szepnął on.

- Nie martw się - ona na to - ja z nią zostanę.

Wcale mi nie przeszkadzało, że rozmawiają o mnie w ten sposób. To pocieszające, myśleć o sobie „ona”. Jakbym była balonem unoszącym się w powietrzu na długiej, cienkiej nici.

Jona przed wyjściem zapytała:

- O czym myślisz? - I po namyśle dodała: - Mamusiu?

Chwilę przedtem wywinęła się z moich kolan, jakby ona także czuła, że ta kobieta na sofie, ta rozkojarzona „ona”, jest kimś obcym.

- O niczym - odpowiedziałam, próbując ułożyć twarz w przekonywający wyraz. To się wyraźnie nie udało, bo spojrzała na mnie z powątpiewaniem, a potem uczepliła się ręki Sonny'ego i pociągnęła go ku drzwiom. Po ich wyjściu długo jeszcze słyszałam na korytarzu głosy - jej wysoki i wzburzony, jego - uspokajający. A może słyszałam je w swojej głowie. Kiedy umilkły, pozwoliłam swemu ciału robić to, na co miało ochotę. Opadło bokiem na sofę i zamknęło oczy. Jeszcze nie zdążyłam zasnąć, jak zaczęły napływać sny - kłębki światła i kształtu rozwijające się zbyt szybko pod moimi powiekami, tworzywo tak cudowne, że aż zaczęły mi drgać powieki. Krzyknęłam i Belle poruszyła się niespokojnie. Tak, wszystkie sny, za którymi tęskniłam. Ale rano obudziłam się wyczerpana i nie pamiętałam ani jednego.

Okłamałam Jonę, kiedy pytała mnie, o czym myślę. Skupienie umysłu na „niczym” wymaga swego rodzaju samokontroli, której nigdy nie udało mi się osiągnąć, nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Myślałam o pogrzebie.

Ceremonia odbyła się w Domu Pogrzebowym Valley View, przysadzistym beżowym budynku przy autostradzie. Ktoś próbował go upiększyć, dodając okna i dziedziniec z fontanną, ale i tak pozostał tym, czym był: miejscem, gdzie ludzie są zmuszeni przyznać, jak kruchy jest ich żywot i jak mało go cenią. Wszystko załatwił Sonny i choć nie cierpię tego miejsca, nie miałam do niego pretensji. I tak było lepsze niż to, które znalazłabym sama.

Siedziałam w pierwszej ławce z resztką mojej uszczuplonej rodziny: Belle, Joną i Sonnym. Ojciec leżał w szpitalu, gdzie wciąż robiono mu nowe badania, ponieważ od czasu do czasu zdarzały mu się zaniki pamięci. (Miałam na ten temat dwie teorie: 1. udawał, 2. był to skutek poczucia winy). Z przodu stała zakryta trumna, w powietrzu unosił się obezwładniający zapach chyba gardenii, chociaż nie jestem pewna. Matka nie znosiła silnych zapachów. W pierwszej chwili chciałam poprosić o usunięcie kwiatów, ale doszłam do wniosku, że to nie ma już dla niej znaczenia. Z głośników sączyła się przyciszona kościelna muzyka. Zaprosiliśmy tylko garstkę osób - rodzice nie prowadzili intensywnego życia towarzyskiego. Jeśli nawet istnieli jacyś krewni, to ich nie znałam. Kapłan z hinduskiej świątyni wygłosił krótkie przemówienie o życiu matki - cnotliwej żony i pani domu, wartościowego członka naszej wspólnoty (było jasne, że nic o niej nie wiedział). Sonny mówił przez ściśnięte gardło o tym, jak wiele dla niego znaczyła, jak prowadziła go przez ciężkie czasy i kochała, choć na to nie zasługiwał. Belle, opowiadając o jej wielkoduszności, wciąż ocierała oczy. A potem przyszła kolej na mnie.

Wcześniej postanowiłam powiedzieć kilka słów o tym, że dała mi poczucie własnego jestestwa i nigdy, jak wiele innych matek, nie zmuszała mnie do życia według jej wyobrażeń o sukcesie. Nie było to nic głębokiego i wołałabym raczej nic

nie mówić, ale czułam się do tego zobowiązana. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że duch mojej matki unosi się gdzieś w pobliżu i słucha.

Kiedy jednak znalazłam się na podium, twarzą do zebranych, tak kompletnie mnie zatkło, że nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Okazało się, że sala jest pełna ludzi. Skąd oni wszyscy się tu wzięli, jak udało im się wejść tak cicho, że dotąd nie uświadamiałam sobie ich obecności? Wprawdzie nikogo nie rozpoznałam, ale wiedziałam, kim są: tymi, którym matka całymi latami pomagała, ludźmi związanymi z nią poprzez sny. I może właśnie w ten sposób tu trafili.

Może kręciło mi się w głowie, bo od rana nic nie jadłam, ale patrząc na te twarze, zauważyłam, że są w pewien sposób do siebie podobne, jakby dzięki kontaktowi z matką stali się krewnymi. W ich oczach, sposobie trzymania głowy, w geście podpierania twarzy rękami czy ściskania chusteczki było coś, co mi ją przypominało. Od tej chwili wiedziałam, że zawsze ich po tym rozpoznam, gdziekolwiek kogoś z nich zobaczę - na targu, dworcu kolejowym czy plaży. Ale nigdy żadnej z tych osób nie spotkałam.

Chciałam powiedzieć im coś ważnego, jakoś ich pocieszyć, gdyż to oni byli prawdziwą rodziną mojej matki, a teraz zostali sierotami. Mieli większe prawo do żałoby niż ja. Ale co mogłam im rzec? Znali ją lepiej ode mnie, znali kwintesencję jej osobowości. Do tej pory podtrzymywałam w sobie nadzieję, że i ja poznam ją w ten sposób - jak będę starsza, mądrzejsza... Wtedy jednak, stojąc na podium w sali Domu Pogrzebowego, zdałam sobie sprawę, że to już nigdy nie nastąpi. Sekretne jaźń mojej matki była dla mnie stracona na zawsze.

Stałam tak, zastygła w milczeniu, aż wreszcie podeszła Belle i odprowadziła mnie na miejsce. Trzymała mnie mocno,

bo zaczęłam się trząść. Później, w krematorium, kiedy pas transmisyjny wsunął trumnę między olbrzymie metalowe szczęki pieca, próbowała wydusić ze mnie, co czuję. Ale jak mogłam jej powiedzieć, że tym, co gryzie mnie najbardziej, jest moje wykluczenie z życia matki?

W drodze powrotnej Belle prowadziła, a ja piastowałam na kolanach urnę, którą wręczył mi kierownik krematorium. Próbowała zmusić mnie do płaczu, ale nie miałam takiej potrzeby. Zamiast tego chciałam zapytać, czy Belle tak samo zdziwił ten tłum na pogrzebie. Bałam się jednak, że usłyszę: „O czym ty mówisz, Rikki?”. Albo: „Jaki tłum?”.

Wyklepuję poduszkę i pomagam ojcu usiąść w łóżku. Kładę mu na kolanach tacę z ryżem i kabaczkim, nalewam szklankę soku. Prosi niepewnie, żebym przy nim usiadła. Jak zawsze odpowiadam, że jestem zajęta. Kiedy skończy, niech brzęknie dzwonkiem, który postawiłam mu na nocnym stoliku.

- Jadłaś już? - pyta. Poruszam głową, co może oznaczać i „tak”, i „nie”. Z żółknącym już siniakiem na policzku ojciec wygląda jak bokser po okresie świetności. Nie pamiętam w moim życiu ani jednej chwili, w której czułabym, że jest mi bliski.

Już przy drzwiach słyszę:

- Jesteś na mnie zła, co?

Nie odpowiadam.

- Nie gniewaj się...

Co za śmieszne żądanie! Czy siłą woli można uśmierzyć gniew? Ale nawet gdyby to było możliwe, nie mam ochoty. Jestem wdzięczna memu gniewowi - wypełnia mi wewnętrzną pustkę.

- Musimy porozmawiać - nie daje za wygraną.

- Nie chcę. - Chwytam drzwi, gotowa zatrzaskać je za sobą.

- Obwiniasz mnie, co? Myślisz, że to przeze mnie...

Nic nie mówię, ale w ustach mam smak jak po ugryzieniu surowej gorzkiej tykwy. Jestem jedną nogą za progiem. Niech no tylko zejść na dół, zaraz zadzwonię do Sonny'ego, żeby od jutra załatwił jakąś pielęgniarkę.

- Jeśli usiądziesz - kusi ojciec - opowiem ci, co się wydarzyło przed wypadkiem.

Zamieniam się w słup. Chociaż przysięgłam sobie, że nie pozwolę wciągnąć się w rozmowę, słyszę swój głos:

- Myślałam, że spałeś.

- Skłamałem - odpowiada i wskazuje mi miejsce na łóżku. Ma mnie w pułapce i dobrze o tym wie. Kompromisowo przysuwam sobie krzesło blisko drzwi.

- Skąd mam wiedzieć, że teraz nie kłamiesz?

A ten szczwany lis (kto by się spodziewał?) na to:

- Myślę, że jako córka swojej matki rozpoznasz prawdziwą historię, kiedy ją usłyszysz.

Najbardziej w tym domu śmierci przeraża mnie dźwięk telefonu. Ale za każdym razem odbieram. Dziś odezwał się damski głos:

- To pani tłumaczy sny? - Jest zdyszana, jak po biegu. - Potrzebuję pomocy.

Mówię, że matka nie żyje. Zapada długa cisza, a potem:

- Ale pani może mi pomóc, nie? Jest pani jej córką, to chyba nauczyła panią czegoś? Opowiem pani ten sen, on wciąż się powtarza, a pani mi poradzi, co mam zrobić, dobrze?

Odpowiadam, że nie umiem tłumaczyć snów.

- Proszę mi nie odmawiać! Nie mam kogo o to poprosić, a tak się boję... Proszę spróbować, bardzo proszę!

Płacze, kiedy odkładam słuchawkę.

Niezupełnie mijałem się z prawdą, mówiąc lekarzom, że spałem. Rzeczywiście spałem... ale się obudziłem i zauważyłem, że twoja matka za szybko jedzie. Zdziwiło mnie

to, ponieważ zawsze była ostrożnym kierowcą, jak zapewne wiesz. Poprosiłem, aby zwolniła... Nie posłuchała. Spytałem, co się dzieje, a ona na to, nie odrywając oczu od drogi: Nie mogę go zgubić. Próbowałem przeniknąć wzrokiem mgłę; jechał przed nami jakiś czarny wóz, nie wiem jaki, ale bardzo szybko. Mówiłem, żeby uważała, żeby patrzyła na licznik, wszystko na próżno. Jakby mnie nie słyszała. Kto jest w tym samochodzie, spytałem. Kogo nie możesz zgubić? Nie zrozumiesz, odpowiedziała, ale i tak ci powiem. To moja jedyna szansa na odzyskanie tego, co utraciłam. Przymrużyłem oczy, próbując dopatrzeć się, o kogo chodzi, bo zabrzmiało to, jakby go znała, ale widziałem tylko zarys sylwetki.

Później zapytam: „A zapamiętałeś numer rejestracyjny?”.

Pokręci przecząco głową. „Nie przyszło mi do głowy, aby spojrzeć”. „Czy był ubrany na biało?”.

Zmarszczy brwi, wyraźnie chcąc pomóc, ale ostatecznie wybierze prawdę. „Nie jestem pewien”.

- Mgła gęstniała. Nie mogłem już wypatrzeć czarnego samochodu. Krzyknąłem, żeby stanęła, że sam poprowadzę... ze strachu zdążyłem już wytrzeźwieć. Ale ona - jak zwykle - nie zwracała na mnie uwagi. Chciałem złapać za kierownicę, tylko wtedy na pewno spowodowałbym wypadek.

Kiedy pojawił się zjazd w boczną drogę, skręciła bez wahania, jakby od początku miała taki zamiar. Chyba się uśmiechała...

17.

Przez cały dzień pakowała rzeczy matki. Przeglądała zawartość szafy w sypialni, zdziwiona, jak mało tego jest: kilka bawełnianych koszulek, dwie pary dżinsów, spodnie od dresu do pracy w ogrodzie, trzy kardigany, stos sari, kilka bransoletek - srebrnych kółek. Na pewno musiały być jeszcze jakieś inne rzeczy. Przypomina sobie różową kurtę (Kurta - hinduski strój dla mężczyzn i kobiet, rodzaj tuniki z rękawami.) z chikańskim haftem, złoty wisiołek z czerwonym kamieniem... Gdzie to się podziało? I jeszcze fotografie. Rodzinne wyjścia do zoo, do Golden Gate Park, wyprawa łodzią po Zatoce... Pamięta, jak pozowała z matką - objęte ramionami, z „zębowymi” uśmiechami, jak później żartowały. Pamięta, jak ojciec skradał się za nimi z aparatem, żeby je pstryknąć z ustami pełnymi cukrowej waty. Ogarnia podejrzliwym spojrzeniem łóżko, gdzie ojciec leży wsparty o wezłowie, jakby nigdy nie był tamtym mężczyzną. Szeleści gazetą, udaje, że czyta, ale w rzeczywistości obserwuje smętny stosik, który Rakhi układa w kartonach z przeznaczeniem dla biednych od Św. Wincentego a Paulo. Czy ma wierzyć w tę historię z czarnym samochodem? Skóra na ramieniu ojca, otarta przez brzeg gipsu, jest blada i wysuszona. Rakhi powinna wetrzeć tam trochę balsamu nawilżającego, ale wzdryga się na myśl o kontakcie fizycznym. Nie poradziła się ojca, zanim zaczęła przetrząsać szafy, i przez chwilę ma wyrzuty sumienia, potem jednak odsuwa to uczucie na bok. Nie on tu rządzi, mówi sobie z niespodziewanym okrucieństwem. Nigdy nie miał za wiele do gadania. Poza tym te rzeczy nie są matką i nie ma sensu ich trzymać.

Przegląda szuflady kuchenne, wyciąga na wierzch stare przepisy, nieużywane ogrodowe rękawiczki, kilka par małych nożyczek, jedwabny szal. Z garażu usuwa buty, płaszcze od

deszczu, pudełko dawno przeterminowanych kuponów. Z szafki w łazience wyjmuje szczotkę do zębów, grzebień, płyn nawilżający, tusz do rzęs, korektor, błyszczyk. (Błyszczyk? To ona miała błyszczyk?). Zastanawia się nad półką z książkami. Matka uwielbiała czytać o dalekich stronach, takich jak Machu Picchu, Andamany, Antarktyka, chociaż nigdy nie wyraziła chęci ich odwiedzenia. Dotyka lekko grzbietów książek, próbując wyobrazić sobie, co też matce chodziło po głowie, kiedy odwracała ich kartki. Jak bezbronnie stają się przedmioty po odejściu swego właściciela! Zostawia książki w spokoju, przynajmniej na razie.

Dopiero na samym końcu bierze się za pokój do szycia - trochę z niechęci do naruszania osobistego terytorium matki, a trochę z nadziei, że może właśnie tu kryje się klucz do zagadki, kim naprawdę była. (Czy to nadmierne wścibstwo? Matka by się z nią nie patyczkowała. Śmieszne, rzuciłaby szorstko. Czy nie żyłaś ze mną pod jednym dachem przez osiemnaście lat? Co jeszcze chcesz wiedzieć?).

Kiedy otwiera drzwi, w pokoju unosi się zapach cynamonu. Ale przy następnym, nieco głębszym wdechu już go nie czuje. Czy tylko sobie wyobraziła tę ostrą woń? Zaczyna tracić zaufanie do własnych zmysłów, do zdolności właściwej oceny tego, co się wokół niej dzieje. Kiedy odsuwa drzwi szafy, zauważa, że ręce jej drżą.

W środku panuje rozczarowujący porządek. Dodatkowe kołdry, stare ciuchy, szmaty do sprzątnięcia, katalogi nasion. Ale Rakhi pamięta, że kiedyś szperała tu w poszukiwaniu jakiegoś pudełka - co w nim było? Fiolki? Sięga w głąb smętnego zapachu nieużywanych rzeczy, które podejrzewają, że się już nigdy nie przydadzą. Nie ma pudełka ani fiolek, ale w tyle, pod plikiem wyciągów bankowych, leży ślubne zdjęcie jej i Sonny'ego.

Stoją przed hinduską świątynią - on w karmazynowym turbanie przetykanym złotą nicią, ona w zielonym benaryjskim ślubnym sari z za dużym bindi (Znak w kształcie dużej kropki.) na czole. Trzymają się nieśmiało za ręce, są bardzo młodzi i wyglądają na bardzo zadowolonych z siebie. Ściskając fotografię, Rakhi osuwa się ciężko na dywan, gdzie matka spędzała nie wiadomo po co tyle nocy. W głowie kołacze jej tylko jedno: że nie cierpi kawioru.

Kawior, który ma na myśli, tworzył zgrabne ciemne pagórki na trójkątach chleba, ułożonych na srebrnej tacy. Owa taca była pierwszą rzeczą, jaką zauważyła po otwarciu drzwi. Sonny kilka razy naciskał dzwonek i w końcu zaczął walić w drzwi pięściami. Taca poruszała się w dół i w górę w mrocznej, hałaśliwej sali pełnej ciał, które napierały na nią, chwiejąc się na nogach - pijany księżyc z kraterami do kompletu. Kiedy oczy przywykły jej do ciemności, zobaczyła, że taca spoczywa na rękach ładnej ciemnowłosej kobiety w białym falbaniastym czepeczku i fartuszkowi pokojówki. Dla Rakhi było oczywiste, że nie jest to żadna pokojówka, jeszcze zanim kelnerka się odwróciła i okazało się, że pod spodem ma tylko czarne stringi. To jednak wyszło na jaw później. W tej chwili się uśmiechała, a taca, którą trzymała na wyciągniętych rękach, lekko drżała, więc Rakhi uznała, że powinna wziąć jedną tartinkę, choć wcale nie miała ochoty. Wiedziała też - zanim przepchnęli się do następnej, jeszcze głośniejszej sali, próbując namierzyć gospodarza, sali wypełnionej wonią potu, frenetycznym ruchem i zaskakująco dobrą muzyką - że Sonny miał rację. Nie powinna tu przychodzić.

Gospodarz (w końcu znaleźli go w kącie, gdzie palił skręta w towarzystwie dwóch kobiet), wielki, kordialny i bardzo hałaśliwy facet, był właścicielem klubu, w którym pracował Sonny.

- Hej, Sonny, mój główny filarze! - ryknął, oddając skręta jednej ze swych towarzyszek i ściskając energicznie męża Rakhi. - Fajnie, że udało ci się wpaść! Co powiesz na te dźwięki? Może potem sam coś zagrasz? A kim jest ta piękna pani? Nowa dziewczyna? Ach, żona... Słusznie, słusznie. Miło mi panią poznać! - i wyciągnął ramiona do uścisku. Kiedy Rakhi schowała się za męża, zmieszał się lekko, a potem wybuchnął śmiechem. - Bawcie się dobrze! - rzekł, kłaniając się drwiąco.

Potem wylądowali w barze, gdzie Sonny zamówił kieliszek wina dla niej i whiskey z cytryną dla siebie. Rakhi wciąż trzymała w ręku kawałek chleba. Głupio się przez to czuła, więc włożyła go do ust. Czarna, galaretowata masa spłynęła jej do gardła, wywołując mdłości. Gdyby Rakhi miała serwetkę, po prostu wyplułaby to świństwo. Później doszła do wniosku, że i tak powinna je wypluć. Tak samo jak powinna złapać Sonny'ego za ramię, zanim zamówił drugiego drinka, i poprosić, żeby ją odwiózł do domu albo chociaż dał jej kluczyki do samochodu. Sam mógłby się zabrać z kimś znajomym. Nie powinien mieć z tym trudności, chyba znał tu wszystkich, a sądząc z entuzjastycznych powitań, każdy z przyjemnością zabrałby go do siebie albo odwiózł do domu. Ale pomyślała, że może to niegrzecznie wychodzić tak szybko. Czy ten szef się nie obrazi? Czy nie odegra się na Sonnym, którego niedawno co zatrudnił na weekendy jako didżeja?

Zresztą Sonny tak świetnie się bawił! Widziała, że w tym tłumie czuje się jak ryba w wodzie. (Dlaczego? Ona wcale nie uważała tych ludzi za szczególnie miłych. Te blade twarze, oblane ostrym, zielonym i niebieskim pulsującym światłem, wydawały się jej jakieś podstępne, a zarazem wycieńczone nieustannym wysiłkiem, żeby się dobrze bawić). Obserwowała, jak się przepycha - tu przybije piątkę, tam

poklepie kogoś po plecach czy ucałuje nadstawiony policzek - a wszystko to z niekłamaną przyjemnością i miłym uśmiechem. Nie chciała, by ten uśmiech znikł.

Wspomniał o tej imprezie jakiś czas przedtem - zawsze skrupulatnie informował ją, dokąd się wybiera - ale nie poprosił, aby z nim poszła. Ostatnio coraz częściej tak postępował - wychodził sam i zostawiał ją z dzieckiem.

To należy do mojej pracy, mawiał. W ten sposób nawiązuję kontakty, mam więcej propozycji występów.

Co za bzdury, złościł się, kiedy narzekała, że od niej ucieka. Przecież kocham cię tak samo.

Kiedy uparła się, że tym razem z nim pójdzie, nie powiedział „nie”. Ale się zawahał.

To raczej nie dla ciebie, Riks. Nie jestem pewien, czy sobie poradzisz.

Jestem już dużą dziewczynką, Sonny. Potrafię sobie radzić lepiej, niż myślisz.

Więc chodziło także i o to. Nie chciała się przyznać do błędu. Dlatego odczekała jeszcze jakiś czas, a potem już było za późno.

Kładzie ostrożnie zdjęcie na dywanie, jakby osłaniało je coś bardziej kruchego od szkła, i kontynuuje poszukiwania. Pudła starych rachunków. Nigdy by nie odgadła, że matka jest z tych, co chowają stare rachunki. Motki nici do haftowania pójdą w ślady wcześniej znalezionych nożyczek. Kartony kaset wideo - „Ulica Sezamkowa” obok „Mięśni brzucha jak stal” (Czy matka chciała mieć mięśnie brzucha jak stal? Czy na tym wytartym dywanie przed telewizorem godzinami podnosiła nogi i katowała się pod dyktando nosowych komend instruktorki?).

I dopiero kiedy całkiem traci nadzieję, znajduje dzienniki, obwiązane błękitną atłasową wstążką do włosów.

Jakby nagle wyszło z pokoju powietrze. Rakhi z hukiem krwi w głowie klęka w wytworzonej próżni, żeby rozwiązać supeł. Odgłos toczenia gigantycznych kamiennych drzwi, odsłaniających otwór. Albo zamykających. Nie wiadomo, czy to się dzieje jeszcze na tym świecie czy gdzie indziej. (A w ogóle istnieje „gdzie indziej”? Huśtawka jej życia balansuje na tej możliwości). Otwiera pierwszy zeszyt, drugi, potem wszystkie, szeleści kartkami, rozdzierając kilka w pośpiechu, w rozżaleniu. Wypełnione są słowami pisanymi ręką matki, ale w alfabecie, którego Rakhi nie potrafi odczytać.

Impreza robiła się coraz głośniejsza, coraz bardziej tłoczna, aż w końcu Rakhi zgubiła Sonny'ego. Poczowała strach, suchy, łuszczący się strach, pełznący przez jej ciało. Nie przesadzaj, ofuknęła sama siebie. Przecież tak naprawdę go nie zgubiłaś, po prostu nie widzisz, gdzie jest. Zacisnęła spocone dłonie w pięści i poszła śladem muzyki do następnej sali. Rury czarnego światła zabarwiły jej skórę upiorną poświatą. Ciało wirowały dziko, obijając się o siebie nawzajem. Jakiś mężczyzna uśmiechał się do niej, ukazując błyszczące jak neon zęby. Skóra też mu błyszczała - nie miał na sobie koszuli. Złapał ją i próbował wciągnąć na parkiet. Rakhi oparła mu ręce na piersi i tak mocno pchnęła, że zatoczył się aż na drugi koniec. „Suka!” - wrzasnął. Łokciami torowała sobie wśród tańczących drogę do gramofonów. Sonny puszczał muzykę - trzy płyty kręciły się jednocześnie: szybka zachodnia piosenka, pod spodem jakby szum fal, niżej jeszcze inna muzyka. Rakhi kiedyś widziała w metrze grupę Tybetańczyków, grających na czymś w rodzaju długich drewnianych trąbek. Czy właśnie to teraz słyszała? Sonny w słuchawkach na uszach poruszał głową do taktu, szybkimi, skocznymi ruchami, oczy miał utkwione gdzieś daleko i w ogóle jej nie słyszał.

Leży na boku tyłem do drzwi, trzymając w ręku jeden z zeszytów. Nie płacze, chociaż ma ochotę. Może już zapomniała, jak to się robi. Mieć to tak blisko, tak blisko. Ze schodów dobiegają kroki ojca; od czasu wypadku kuleje, przechylając się lekko na lewo, chociaż z punktu widzenia medycznego nie ma żadnego powodu. Kroki zatrzymują się przed drzwiami. Ojciec woła ją po imieniu. Rakhi wstrzymuje oddech i siłą woli próbuje go zawrócić.

Przepchnęła się z powrotem przez parkiet. W którymś momencie musiała wypić wino - w każdym razie nie ma już w ręku tamtego kieliszka, tylko jakiś inny. Też pusty. Kto jej go dał? Co w nim było? Gdzie jej torebka? Powietrze było sine od dymu i strachu. Zobaczyła otwarte drzwi balkonowe; gdyby udało się jej tam przedostać, może mogłaby oddychać. Ale na balkonie kłębiło się pełno zajętych sobą par, a nawet trójek. Na niebie wisiał dziurawy i wklęsły księżyc. Dwoje ludzi przestało się obmacywać i obrzuciło ją spojrzeniem. Prosimy do nas, kotku!

Kroki jednak nie podejmują swej zwykłej trasy do sypialni i łóżka, które stanowi już na zawsze niepodzielną własność ojca. Woła ją znowu, podwyższając nieco głos na ostatniej sylabie, jakby zadawał pytanie. W końcu otwiera drzwi.

Nie odwracając się, Rakhi mówi:

- Odejdź.

- Nie mogę. Musisz z kimś porozmawiać. Nie z tobą, odpowiada mu w myśli.

- Wiem, że nie chcesz ze mną gadać.

Jeśli tylko wytrzymam dostatecznie długo. Jeśli uda mi się nie poruszyć, nie wydać żadnego dźwięku, to sobie pójdzie. Musi.

- Nic nie jadłaś przez cały dzień. Proszę, przyniosłem ci tutaj... - Wchodzi do pokoju.

Nie wchodź tu. Nie naruszaj jej terytorium.

- Może powinnaś już wrócić do Berkeley. Dam sobie radę sam. Nie służy ci pobyt w tym domu, wpadasz tu tylko w coraz większe przygnębienie.

Kurczę. Moja matka nie żyje, chyba mam prawo być przygnębiona?!

- Nie chciałyby tego.

Co on, do kurwy nędzy, wie o tym, czego matka by chciała? Co wszyscy o tym wiemy?

- Pewnie wolałabyś, żebym to ja zginął. Ja także bym wolał.

Szok zmusza ją do odwrócenia się w jego stronę. Nie sądziła, że on o tym wie. Podstępny stary szakal. A może to raczej ona jest taka naiwna, jak uznał Sonny, kiedy próbowała z nim rozmawiać po tamtej pamiętnej imprezie.

Ojciec uśmiecha się - jeśli coś tak smutnego można nazwać uśmiechem.

- Ale nie zginąłem. Oboje musimy się z tym pogodzić i jakoś sobie radzić. - Robi następny krok w jej stronę i Rakhi czuje, z jaką niepewnością i trudem mu to przychodzi. Deska skrzypi pod jego ciężarem.

- Znalazłaś jej dzienniki - mówi.

Znów znajdowała się w tym domu wypełnionym dymem i muzyką. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Ta noc kompletnie zamazała się jej w pamięci, a do zapomnienia pewnych zdarzeń Rakhi po prostu się zmusiła. Usta miała spuchnięte, jakby ktoś je przemocą całował, gardło ją paliło. Stała w jakimś wąskim korytarzu. Odnalazła torebkę - zwisała jej z ramienia i wydawała się bardzo ciężka. Czy ktoś jej tam coś włożył? Trudno powiedzieć, w korytarzu było zbyt ciemno, żeby sprawdzić.

Muzyka się zmieniała. Afrykańskie bębny, irlandzkie zawodzenie żeńskiego głosu. Interesujące, ale nie w stylu Sonny'ego.

Rakhi była teraz w długim, wąskim pokoju, pełnym jedwabnych poduszek. Ludzie siedzieli wokół długiego stolika z laki. Lusterko, kreski białego pyłu. Wiedziała, co to znaczy. Sonny podniósł na nią czerwone jak u zwierzęcia oczy. Ale skąd miałyby to wiedzieć w tym wnętrzu oświetlonym samymi świecami? Cześć, kotku, fajnie, że jesteś.

Nie wie, co naprawdę się stało i w jakiej kolejności. Rzuciła się na niego z krzykiem. Ręce ściągnęły ją w dół, zanim posunęła się dalej. Ależ, kotku... Masz, to cię uspokoi. Uderzyła go, wzbijając biały proszek w powietrze. Ramiona nie chciały jej puścić. Wargi. Palce na guzikach jej sukni. Czula na skórze każdą jedwabną nitkę, która się z niej zsuwała. Później odkryje długie zadrapanie na wewnętrznej stronie ramienia, pokryte zaschniętą krwią. Podał jej lusterko - wzięła i pochyliła nad nim twarz, bo cóż jej pozostało? Ktoś pociągnął ją na poduszkę. Ręce, wszędzie ręce. Krzyknęła: Sonny, Sonny, pomóż mi, ale on właśnie uśmiechał się do kogoś innego. Ktoś wyprowadził ją z tego pokoju. Ktoś wezwał taksówkę. Śmiała się, płakała, bardzo chciało się jej pić. Wypiła to, co ktoś jej wsunął w rękę. Wyciągnęła Sonny'emu z kieszeni spodni klucze do samochodu. Wsiadła i pojechała, starając się nie przyśpieszać, poruszając nogami, żeby nie złapał jej skurcz. Zwymiotowała dopiero na podjeździe przed domem. Całe szczęście, że Jona nocowała u matki. I tylko jednego z całej tej nocy była absolutnie pewna: że spojrzała w niebo. Było puste, coś pożarło księżyc. W tym momencie uświadomiła sobie, że musi odejść.

Ojciec pochyła się, głaszcząc okładkę zeszytu, jakby to była twarz.

- Mogę ci pomóc w odczytaniu tych dzienników - mówi. Słowa wiszą przed nią, spowite w pajęczą sieć niczym przynęta na ryby. - Jeśli zechcesz.

18. Z dzienników snu

Lekcja 62: Opowieść o Pechowej Neehar (fragment)

...i zobaczyły starsze, że w Neehar dar był silny, silniejszy, niż widziały w całym swoim życiu. Ciało jej błyszczało od niego, jakby uformowane z fosforu, a w oczach jej był dystans, jakby patrzyła w otchłań czasu. To wzbudziło w nich strach, gdyż znały już historie innych tak utalentowanych kobiet i wiedziały, co się z nimi stało. Zwołały radę i zdecydowały, że podziela się z Neehar pierwszymi dziewięcioma poziomami swych umiejętności, ale nie dopuszczą jej do dziesiątego, najbardziej potężnego. Nie wyszło to jednak na dobre. Kiedy Neehar śniła, wszystkie sekrety leżały przed nią jak na dłoni, nawet te, których same starsze nie znały. Tak więc stała się silniejsza niż przywódczyni rady, ale że była młoda i samowolna, nie umiała korzystać ze swej mocy.

Kiedy szkolenie nowicjuszek dobiegło końca, starsze podjęły ostatnią próbę ratowania Neehar. Poprosiły, żeby została z nimi w jaskiniach jako nauczycielka. Obiecały, że z czasem oddadzą jej przywództwo w radzie. Ale życie wśród starych kobiet w głębi górskiej twierdzy wydawało się Neehar nieciekawe i przytłaczające. Moc, która ją paliła, domagała się uznania. Wzywała ją do posmakowania świata i wszystkiego, co mógł jej dać. Neehar opuściła więc jaskinie, ale w przeciwieństwie do swych sióstr nowicjuszek nie osiedliła się w mieście, zgodnie ze zwyczajem, ani nie służyła pomocą jego mieszkańcom. Zamiast tego wybrała się w podróż na drugi koniec ziemi, objaśniając znaczenie snów każdemu, kto ją o to poprosił. I chociaż ostrzegano ją, że tłumaczki snów muszą uprawiać swą sztukę w sekrecie, zlekceważyła przestrożę.

Na oczach tłumów, które gromadziły się, gdziekolwiek się pojawiała, kładła ręce na skroniach osób proszących o pomoc, i

tłumaczyła ich sny. Żaden sen nie był tak skomplikowany, żeby nie potrafiła go wyjaśnić, żaden problem tak głęboki, żeby nie znalazła rozwiązania. Mówiono, że każdego dnia ratowała życie i reputację tysiąca ludzi, przepowiadała zwycięstwa i pomyślność, dawała nadzieję zrozpaczonemu, a pechowców ostrzegała przed czyhającymi na nich katastrofami. Ale w transie widzenia, w trosce o prawdę i tylko prawdę, często mówiła głośno to, o czym powinna szeptać na ucho tylko samym zainteresowanym. Przez takie postępowanie rozpadały się rodziny, sprzymierzeńcy stawali się wrogami, kobiety i mężczyźni ze wstydem uciekali ze swych domów i ginał po nich wszelki ślad. Wiele osób żywiło do niej złość, chociaż nikt nie ośmielił się jej skrzywdzić z obawy przed jej opiekuńczymi duchami. Ludzie przysięgali, że widzieli wielkiego szarego wilka, podążającego śladem Neehar, kiedy o zmroku przechodziła z jednej wioski do drugiej, inni opowiadali, że kiedy odpoczywała w południe, orzeł rozpościerał skrzydła nad jej głową, dla ochrony przed słońcem.

Minał rok, a może dziesięć lat. Pechowa Neehar tłumaczyła coraz więcej snów, pracowała dzień i noc bez wytchnienia, gdyż moc, którą w niej płonęła, przejęła władzę i nie zamierzała się wycofywać. Neehar wychudła, zapadły się jej policzki, osadzone głęboko oczy świeciły jak węgle. Stała się znana jako Neehar o Płonących Oczach, mężczyźni bali się do niej zbliżyć. Tym jednak się nie przejmowała. Mogła teraz poznać po czyimś czole, czy ta osoba miała sen, który warto objaśnić. Jeśli tak - tłumaczyła go bez względu na to, czy śniący sobie tego życzył, czy nie. W końcu wiadomości o jej postępowaniu dotarły do jaskiń. Starsze wytknęły swej dawnej podopiecznej, że lekceważy kodeks tłumaczek snów, nakazując jednocześnie powrót. Neehar jednak nie posłuchała, może zresztą nie leżało to już w jej mocy.

W tym właśnie czasie zaczęła odczytywać sny zmarłych. Być może zajęła się tym dlatego, że знаła już sny wszystkich ludzi na wschód od rzeki Kaveri. (Dziwne, że ona, która złamała już tyle praw, przestrzegająca ściśle tego jednego: że tłumaczkom snów nie wolno przeprowiać się przez wodę). A może zmarli ze swymi wystygłymi mózgami, zeszywniałymi ciałami i zapieczętowanymi oczami stanowili dla niej wyzwanie, któremu nie potrafiła się oprzeć. Chodziła od jednego domu żałoby do drugiego, całowała świeżo zmarłych w czoło albo siedziała z ich głowami na kolanach, nie bacząc na protesty krewnych. Ludzie o pewnych predyspozycjach twierdzili, że z czoł nieboszczyków do jej czoła przeskakiwała biała smuga. Po pewnym czasie Neehar otwierała oczy i wzdychała: „Ach, więc to tak”. Ale nigdy nie mówiła o tym, co widziała.

Raz tylko, w domu matki oplakującej utopione dziecko, dotknęła jej policzka i rzekła: „Zobacz, nie ma powodu do płaczu”. Kobieta powoli się uspokoiła, łązy jej obeschły, ale później, kiedy pytano ją, co widziała, twierdziła, że pamięta tylko słodki zapach, podobny do kwiatów lotosu.

W końcu Neehar dowiedziała się, że wielki święty Wisznu - pada ogłosił, iż zamierza opuścić swe śmiertelne wcielenie. Udała się do jego aśramy, gdzie zgromadzili się wszyscy uczniowie, i zapytała ascetę, czy mogłaby go dotknąć po śmierci. Wisznu - pada popatrzył na nią ze współczuciem i odrzekł: „Dziecko, sekret, którego szukasz, nie objawi się w ten sposób. Znajdziesz go tylko dzięki spojrzeniu do wewnątrz”. Ale pozwolenie jej dał.

Mówiono, że gdy Wisznu - pada zmarł, Neehar usiadła przy jego głowie z palcami na czaszce. A kiedy jego duch opuścił ciało, przebił się przez Neehar i wyszedł z niej w postaci zygzaku błyskawicy. Neehar padła na ziemię i leżała bez przytomności przez trzy dni. Gdy wreszcie się ocknęła,

nie mogła mówić, chociaż często śmiała się albo płakała. Niektórzy uważali, że szok wywołany przejściem przez jej kruchą powłokę tak potężnego ducha doprowadził ją do szaleństwa. Inni jednak twierdzili, iż światło w jej oczach należało do tych pogodnych, świadczących o spokoju. Tak czy inaczej, od tej chwili Pechowa Neehar nie odczytała ani jednego snu. Całymi dniami przesiadywała nieruchomo nad Kaveri, patrząc w wodę. Jeśli okoliczni mieszkańcy przynieśli jej coś do jedzenia, to czasem jadła, ale często zostawiała wszystko nietknięte. Zdawało się, że nie potrzebuje już tego rodzaju strawy. A kiedy zniknęła - niektórzy mówili, że stało się to po kilku tygodniach, inni - że latach... Pytania:

1. Co z historii Neehar może ci się przydać w pracy nad tłumaczeniem snów?
2. Czemu nazywano Neehar Pechową? Czy zgadzasz się z tym określeniem?
3. Czego szukała Neehar? A czego szukasz ty?

19. Rakhi

Jedziemy przez most San Rafael srebrnym BMW Sonny'ego - my dwoje, Jona i matka - zmierzając do Marin Headlands (Tereny rekreacyjne, stanowiące część Parku Narodowego Golden Gate.). Prowadzi Sonny. Jona siedzi z tyłu, patrzy na Zatokę i nuci pod nosem znów tę samą piosenkę, której słów nie rozumiem. Matka także znajduje się na tylnym siedzeniu; ramiona Jony oplatają jej urnę. Sonny twierdzi, że rozsypywanie prochów na terytorium państwowym jest nielegalne, więc urnę zawinęliśmy w ręcznik. Ja, chcąc nie chcąc, zajmuję przedni fotel, na co uparła się Jona. („Tylko dorosłym wolno siedzieć z przodu, mamuś, bo jest tam poduszka powietrzna" - oznajmiła z niewinną miną, ale podejrzewam, że miała własne podstępne powody).

Kiedy byliśmy jeszcze małżeństwem, ilekroć jechaliśmy gdzieś razem, Jona wymuszała na nas, abyśmy ustawiali jej fotelik w taki sposób, żeby mogła widzieć nas oboje. Ze swego punktu obserwacyjnego w tyle wozu wydawała nam czasem dyspozycje jak mały uparty Kupidynek. „Mamuś, weź tatusia za rękę. Tatusiu, pocałuj mamusię". Zastanawiałam się, czy czasem nie podszeptował jej tego niepokój, jakby wyczuwała coś, o czym jeszcze nie wiedziałam. Czy dzieci potrafią wywęszyć nieszczęście tak jak zwierzęta? Na przykład trzęsienie ziemi, które nastąpi za chwilę, bo płyty tektoniczne się rozdziela? „Mamuś, przysuń się bliżej. Oprzyj głowę na ramieniu tatusia". Czuję, że te dawne słowa wiszą między nami jak jakaś niedokończona sprawa, chociaż nie powinny. Nasza sprawa została zakończona dawno temu, a to nawet nie jest ten sam samochód. Sonny musiał go kupić ostatnio. Ciekawe, co się stało z viperem, o który czasem toczyliśmy boje. (Czułam, że jego odmowa zamienienia tej torpedy na „rodzinny" samochód była symbolem jego niechęci

do zostania „rodzinnym” człowiekiem). Może jednak zatrzymał go także on, Sonny - Kameleon, który może być, kim tylko zechce. Ale nie zamierzam go o to pytać. Jak chce marnować pieniądze, to nie moja sprawa.

Zdaniem Jony, matki wcale nie ma w urnie, tylko siedzi obok niej na tylnym siedzeniu. Dziecko dodaje, że babcia opisała jej dokładnie, w którym miejscu życzy sobie, żeby rozsypać jej prochy. Ufa, że Jona zrobi to prawidłowo, a jedzie z nami po prostu dla rozrywki.

Nie zamierzam zachęcać malej komentarzami, ale Sonny pyta:

- Widzisz ją?

- Nie muszę - odpowiada Jona z wyższością. - Przecież wiem, jak wygląda.

Urna jest zaskakująco mała, zaskakująco ciężka, wykonana z ciemnego metalu, którego nie rozpoznaję. Dźwięczy, kiedy się ją poruszy. „To zęby”, informuje nas Jona. Mówi z chłodnym spokojem, co podziwiam, ale uważam za nieco makabryczne.

Przez pierwszych kilka dni po wypadku nie przestawała płakać za babcią, a potem nagle przestała. Podobno matka jej powiedziała, że ma nie tracić energii na coś tak bezużytecznego. Nie uwierzyłam, chociaż ta uwaga jak najbardziej do matki pasowała. Czy jestem zazdrosna, że matka wolała ukazać się mojej córce, a nie mnie? Jona powiada, że babcia zostanie blisko niej przez siedemdziesiąt siedem dni, a potem będzie musiała odejść. Podobno codziennie uczy ją jednej mądrej rzeczy.

Ojca z nami nie ma. Byłam pewna, że zechce jechać, i drętwiałam na myśl, że będę musiała wieźć go z Fremont do domu Sonny'ego. Z samochodu nie da się uciec. W parę minut można się zadławić rozmową.

Zdecydowałam się z nim rozmawiać, ponieważ tłumaczy mi dzienniki. Taki rodzaj zapłaty. Ale to bolesne rozmowy, ciągle się rwą, przypominają naukę chodzenia po złamaniu nogi. Dziennik, od którego zaczął, uznaliśmy za najwcześniejszy z powodu zniszczonej okładki i rozpadających się kartek. Nie mamy jednak sposobu, by dowiedzieć się tego na pewno. Zeszyty nie są datowane, zapiski (zdaniem ojca) przeskakują od jednego tematu do drugiego. Fragment, który jest już gotowy - spis znaczeń rzeczy widzianych w snach - wydaje mi się dość bezsensowny. Poczulałam się zawiedziona kompletnym brakiem czegoś osobistego. Obudziło to we mnie podejrzenie, że może ojciec celowo zataja przede mną takie sprawy.

Kiedy zapytałam go, czy chce nam towarzyszyć, odpowiedział, że raczej nie. Powinnam poczuć ulgę, a tymczasem się zezłościłam. Dlaczego? - zapytałam. Odrzekł, że rozrzucenie prochów ma w sobie coś ostatecznego, nie jest na to gotowy. Wyszłam z pokoju w środku zdania. Chciałam trzasnąć drzwiami, ale się powstrzymałam, bo był mi nadal potrzebny. I jestem za to wściekła na siebie.

Jedziemy przez Marin Headlands. Późne popołudnie jest na swój sposób piękne w tym mglistym zakątku Północnej Kalifornii. Z mgły wyłaniają się niespodziewanie pączki maków niczym pomarańczowe kropki. Przystajemy obok kilku pustych miejsc do parkowania przy krawędzi urwiska, ale Jona za każdym razem kręci głową. Już mam na końcu języka ostrą uwagę, kiedy nagle podnosi krzyk, żeby natychmiast stanąć. Sonny parkuje nielegalnie na wąskim poboczu i ruszamy mozolnie w górę zarośniętym stokiem, chyląc głowy przed silnym wiatrem, który właśnie się zerwał. Na krawędzi klifu grunt opada w sposób przyprawiający o zawrót głowy. W dole kłębi się Pacyfik, bijąc falami w czarne, połyskliwe skały. Mój wzrok przyciągają pochyłe czerwone

liny mostu Golden Gate. Dalej, w zapadającym mroku, błyszczy srebrne miasto. Gdybym umarła, też bym sobie życzyła, żeby moje szczątki stały się częścią tego łądu, tej wody, ponieważ w ten sposób geografia dzieciństwa przenika do naszych kości.

Potem przychodzi mi do głowy, że może matka to samo czuła wobec krajobrazu, w którym dorastała, stając się kolejno dziewczyną, kobietą, tłumaczką snów. Czy wolałaby, abyśmy tam właśnie zawieźli jej prochy?

Nawet nie wiem, gdzie się urodziła.

Jona odkręca wieczko urny i rzuca pierwszą garść. Po niej to samo robi Sonny. Ma w oczach łzy; jestem zaskoczona i zazdrosna. Kiedy od niego odeszłam, wrzeszczał, groził, błagał, stroił fochy, ale nie płakał. Co znaczyła dla niego moja matka, że teraz roni łzy? I zaraz pojawia się następne pytanie: Co znaczyła dla mnie, że nie umiem płakać?

Teraz moja kolej. Niepewnym ruchem wsuwam do środka rękę i dotykam szorstkiego pyłu. Nie mogę opanować lekkiego dreszczu, który przenika moje ciało. Niecały miesiąc temu ujęła moją twarz w dłonie i powiedziała, że pięknie wyglądam. Ludzkie życia i samochody... Jak szybko się wywracają...

Rzucam garść popiołu, jak umiem najdalej, ale wiatr zwiewa mi go z powrotem w twarz. Mam nos pełen popiołu, zaczynam kaszleć. Przynajmniej teraz jakaś jej częśćka jest we mnie.

Do Oakland wracamy w milczeniu. Jona śpi z tyłu, ja czuję się wypompowana, chociaż kiedy próbuję dojść dlaczego, znajduję tylko banały. Sonny patrzy przed siebie w zapadający mrok, ssie dolną wargę - to jego stary zwyczaj. Mnóstwo niewypowiedzianych słów wisi w powietrzu, są niewidoczne jak gwiazdy w dzień. Nie mogę chwycić ich ręką, powiedzieć: „Tego właśnie pragnęłam przez całe życie”.

Na podjeździe przy domu Sonny prosi, żebym została z nimi na obiedzie, ale się nie zgadzam. Patrząc na mojego starego taurusa, który tam na mnie czeka, i nagle słyszę za sobą tupot nóg. Jona łapie mnie za rękaw. „Mamus, chcę, żebyś obejrzała moje obrazki!”.

Nie byłam w tym domu - teraz to jego dom - od owej nocy, kiedy go opuściłam z Joną na rękach. Każdemu innemu natychmiast bym odmówiła... Holuje mnie za sobą jak oporną łódź. Na policzkach ma ślady zaschniętych łez. Przez kogo płakała?

To jest jedyny dom, jaki kiedykolwiek kochałam.

Chcę ci coś pokazać, powiedział Sonny, jadąc bardzo szybko jedną z gruntowych dróg, prowadzących na wzgórze Oakland. Ale musisz zamknąć oczy.

Co ty kombinujesz, wariacie, spytałam ze śmiechem. Ale posłuchałam. Lubiliśmy wtedy takie gierki.

Kiedy otworzyłam oczy, miałam przed sobą dom. Wyglądał jak klęcząca kobieta z wyciągniętymi ramionami. Na podniszczonej drewnianej bramie wisiał metalowy dzwonek, który należało wprawić w ruch. Po wejściu na dziedziniec czuło się zapach szałwii i lawendy. Podwórko brukowane było omszałymi kamieniami, frontowe drzwi miały małe witrażowe okienko. Można je było otworzyć od środka, żeby sprawdzić, kto idzie.

Zakochałam się, jeszcze zanim weszłam i zobaczyłam stare krokwie, wielkie okno, za którym na północnym horyzoncie błyszczało San Francisco, glicynie oplatające balkon. Mieszkając przy autostradzie międzystanowej we Freemont, nie wierzyłam, że tego rodzaju domy w ogóle istnieją. Nie, tak naprawdę nie wierzyłam, że ludzie tacy jak ja mogą w nich mieszkać.

Sonny uśmiechnął się na widok mojej miny.

Jest twój, jeśli go chcesz.

Żartujesz, odparłam. Nie stać nas na taki luksus.

Nie martw się o to, Riks, powiedział i pocałował mnie.

Poddałam się magii pocałunku, tak jak poddałam się czarowi domu. Miałam pytania, ale wmówiłam sobie, że nie są ważne. Posłuchałam Sonny'ego i zmusiłam się do zapomnienia. Wszystkie te błędy popełniłam w dniu, który uważałam za najszcześniejszy w moim życiu.

Idę po schodach do pokoju Jony - malutkiego domku lalek z parapetem okiennym tak szerokim, że mieści się na nim materac. Kazałam go zamontować, żeby po otwarciu oczu widziała zatokę z mostem i zasypiała razem z zachodzącym nad Pacyfikiem słońcem. Nad łóżkiem wstawiłam jej świetlik, do którego zaglądały konary wielkiej sekwoi, rozciągające się nad całym dachem. Kazałam też... ale dość tego! To już nie jest mój dom, po co rozpamiętywać pietyzm, z jakim go urządzałam?

Na przymocowanej do ściany płycie wiszą nowe obrazki Jony, jedyne, które namalowała od czasu śmierci mojej matki. Wszystkie przedstawiają ogień. Na niektórych po prostu pali się drewno, na innych widać pożar domów; ptaki o twarzach kobiet nurkują w płomienie, a na jednym jest kula ziemską rozżarzona jak węgiel, odłamują się z niej kawałki i ulatują w przestrzeń jako meteory.

Przestraszyłam się ich.

- Co one znaczą? Czemu je namalowałaś? Wzrusza ramionami.

- Tak sobie. Podobają ci się kolory?

Są naprawdę świetne. Cytrynowa żółć, fiolety, zielenie - niby nie tego spodziewamy się po ogniu, ale kiedy się przyjrzeć - są idealne. Ma talent ta moja córka. Mówię jej to.

Ciekawe, co Sonny rozumie z tych obrazków. Czy uważa (jak ja), że to próba dojścia do ładu ze śmiercią babci, z tym, że ciało, z którego wyszła, zostało spalone na popiół?

Przynajmniej nie rysuje już Eliany. Chyba powinnam się cieszyć.

Schodzę na dół i widzę stół starannie nakryty do obiadu: prawdziwy obrus, niebieska porcelanowa zastawa w chińskie wzory, waza pełna lilii, półmiski z pokrywkami. Wbrew sobie, jestem wzruszona. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś tak troskliwie dekorował dla mnie stół. Byłoby niegrzecznie teraz wyjść, poza tym mam wobec Sonny'ego dług wdzięczności. Od śmierci matki zachowywał się nadzwyczaj taktownie, opiekował się Joną, co drugi dzień przywoził ją do Freemont w odwiedziny do dziadka, pomógł mi załatwić skomplikowaną papierkową robotę związaną z tragicznym wypadkiem. Nie wiem, co mam o tym sądzić. Może on wciąż jest w szoku.

Siadamy. Sonny teatralnym gestem zdejmuje każdą pokrywkę. Sałatka z tartej marchwi doprawiona cillantro (Natka kolendry.) i sokiem z cytryny, ryż zapiekany z kurczakiem kurma (Kurczak kurma - kawałki kurczaka obsmażone na patelni i podane w ostro przyprawionym sosie.). Jona przynosi szklanki soku z mango. Gapię się na półmiski - wszystko wygląda nadspodziewanie apetycznie i... podejrzenie znajomo. Nie wiedziałam, że repertuar Sonny'ego wykracza poza hamburgery.

- Wszystko zorganizowałem rano - mówi z tak onieśmioną miną, jakby czekał, aż wezmę pierwszy kęs.

W chwili gdy to robiłam, zrozumiałam.

- To przepisy mojej matki! - Patrzę na niego ze złością. - Jak je zdobyłeś?

- Poprosiłem ją. - Widząc moją minę, dodaje przepaszająco: - Tylko o kilka najprostszych...

Jestem tak wściekła, że zaraz eksploduję.

- Ciekawe po co?! To nie twój interes! - Mój gniew w zasadzie wymierzony jest w matkę. Jak mogła tak mnie

zdradzić? Jeśli ktoś w ogóle miał prawo do tych przepisów, to ja! Jak mogła dać je Sonny'emu Rywalowi, którego, ulubioną rozrywką jest rujnowanie mi życia? - Przez wszystkie lata naszego małżeństwa twoja noga nigdy nie postąpiła w jej kuchni!

- Ludzie się zmieniają. Czemu tak trudno ci to zrozumieć?

- Ty się nie zmieniasz! Zawsze się do niej przymilałeś, próbowałeś ją przeciągnąć na swoją stronę i...

Sonny czerwienieje z gniewu.

- To jest prawdziwy problem, co? Nie możesz znieść, że twoja matka mnie kochała. Nigdy nie mogłaś się z tym pogodzić. Zawsze chciałaś kontrolować bliskie ci osoby, musiałaś wiedzieć, co robią, co myślą, kogo kochają. Dlatego mnie opuściłaś, bo nie chciałem ci podporządkować całej mojej egzystencji.

Wciążam gwałtownie powietrze.

- Co za podłe kłamstwo... - Nagle widzę, że Jona nas obserwuje; wodzi oczami od twarzy do twarzy ze zmarszczonym czołem. Dolna warga jej drży. Opanowuję się i odsuwam krzesło.

- Jestem wykończona - zwracam się wyłącznie do niej. - Muszę już wracać do Freemont.

- Nie powinnaś prowadzić, skoro jesteś wy - koń - czo - na - stara się wyraźnie wymówić ostatnie słowo. - Może byś tu została? Możesz spać w moim pokoju. - Zerka na Sonny'ego. - Nie musisz rozmawiać z Sonnym, jeśli nie chcesz.

Sonny podnosi ręce na znak rozejmu, w oczach ma iskielki wesołości.

- Jona ma rację. Nie powinnaś prowadzić. Wyczerpanie i złość to kiepska kombinacja. Zostań, obiecuję, że będę się trzymał z daleka.

To kolejna cecha, którą zawsze doprowadzał mnie do szału. W jednej chwili potrafi kipieć z gniewu, urządzić najdziksze awantury, wzbudzając i we mnie furję, a w następnej zachowuje się, jak gdyby nic się nie stało. A najgorsze, że i po mnie spodziewał się błyskawicznej zmiany humoru (choć przedtem sam mnie rozzłościł).

No cóż, to nigdy się nie zdarzyło i tym razem też się nie zdarzy.

- Nie, dziękuję - odpowiadam burkliwie. Nagle czuję, że naprawdę jestem wykończona i mam szczerze dość ich obojga. Chcę, żeby mnie zostawili w spokoju, żebym mogła uporządkować zamęt w swojej głowie. Biorę torebkę i ruszam do drzwi.

Zrywają się od stołu, zostawiając jedzenie. Oboje mają identyczne, zmartwione miny.

- Mamuś, uważaj - prosi cichutko Jona.

Głowę dam, że myśli o tamtej nocnej jeździe, która zmieniła nasze życie.

W przypiływie skruchy klękam i przytulam ją mocno, wyczuwając w drobnych ramionkach strach.

- Będę uważać, na pewno - obiecuję.

No i uważam. Ta noc też jest tak samo mglista. Światełka przy autostradzie mają żółte aureolki. Samochody pojawiają się i znikają niczym rekiny w nieprzeniknionej wodzie. Na szczęście nie ma dużego ruchu. Jadę 880. południową autostradą (jeśli to w ogóle autostrada) paskudną, ale prostą jak strzeł. Za pół godziny powinnam być u ojca.

Wciąż nie daje mi spokoju myśl, że zdobywając te przepisy, Sonny wszedł w posiadanie jakiejś części mojej nieuchwytej matki, zostawiając mi znacznie mniej. Pocieszam się faktem, że mam jej dzienniki, coś na czym nigdy nie spocznie oko Sonny'ego Szpicla

- już ja tego dopilnuję. Mam nadzieję, że ojciec skończył tłumaczyć następny zapis. Wolno mu idzie. Podobno dlatego, że notatki okazały się bardziej skomplikowane, niż oczekiwał; zawierają wiele archaicznych słów bengalskich, z którymi musi się zmagać.

Zerknęłam mu raz przez ramię, kiedy przewracał strony. Notatki były dość krótkie. Pisane starannym, okrągłym pismem matki, wcale nie wydawały się skomplikowane ani archaiczne. Może ojciec specjalnie przesadzał, żebym była mu bardziej wdzięczna.

- O czym to jest? - spytałam, żałując, że nie mogę przeczytać sobie sama, bez tych jego medytacji.

- O wielu różnych sprawach. Lekcje, historie ze starych ksiąg, słynne sny, klienci, znajome osoby.

- A nie ma nic o niej samej? O jej własnym życiu?

- Nie rozumiesz? - wykręcił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

- Przecież to wszystko jest właśnie o tym!

Wyczułam, że się zbliża, jeszcze zanim wyłonił się z mroku - jak wibracja heavy metalu, jak wstrząs tektoniczny, zbierający siły pod ziemią. To pewnie ciężarówka, jeden z tych potworów z naczepą, które zawsze rozwalają się w poprzek pasa, rozlewają chemikalia i wstrzymują ruch na całe godziny. Ale ten samochód okazał się smukły i czarny - śmiga koło mnie z wizgiem niczym hebanowa strzała. I chociaż wcale nie przypomina pojazdu opisywanego przez ojca, nagle nabieram pewności, że to ten sam, który matka ścigała aż do kresu swego życia. W gęstej mgłę nie dostrzegam kierowcy, ale przez ułamek sekundy mignęła mi tablica rejestracyjna z literami EMIT MAERD, a potem zostały już tylko czerwone punkciki tylnych świateł, szybko wtapiające się w szarość.

Czy to mnie ogarnia szaleństwo czy ten świat? A może to dzieje się we śnie, w jakimś deja vu, które skądś ściągnęłam?

Kiedyś słyszałam, jak matka mówiła, że każdy z nas żyje w odrębnym świecie, który przeniósł ze snu do rzeczywistości. Kochamy ludzi, kiedy ich sny pokrywają się z naszymi, tak jak dwie identyczne wycinanki, ułożone jedna na drugiej. Ale światy snów nie są takie statyczne jak wycinanki, prędzej czy później zmieniają kształty, co prowadzi do nieporozumień, samotności i utraty miłości.

Dawno wiedziałam o niepasujących do siebie światach snów, ale tej nocy pierwszy raz w życiu przeżywam sen zbieżny z cudzym. W jakiś sposób wkroczyłam do świata matki. Muszę w nim zostać tak długo, jak tylko potrafię.

Nie wiem, kiedy docisnęłam pedał gazu, ale jadę szybko, mój stary taurus nie przywykł do takiej prędkości. Dygocze na znak protestu, ale nie mogę zwolnić, nie mogę stracić z oczu czarnego samochodu. Muszę zobaczyć, kim jest kierowca (czy czasem w ciemności wnętrza nie miga mi coś białego?). Nie jestem pewna, czego dotyczy moja nadzieja. Czy i kiedy uda mi się go dogonić? Czy zmuszę go do zatrzymania? Do odpowiedzi?

Nie wiem nawet, o co mam pytać.

Czarny samochód bez ostrzeżenia zmienia pas na skrajny prawy. W ostatniej chwili orientuję się, że to wylot szosy 92. Wykonuję gwałtowny skręt, omal nie wpadając na jakiegoś sennego trucka z przyczepą, który trąbi wściekle. Serce mi łomocze. Nie jeździłam tędy od lat, ale przypominam sobie, że droga ta prowadzi nad mostem San Mateo i biegnie dalej aż do Pacyfiku. Wśród przybrzeżnych wzgórz skręci w ciemność, wijąc się dwupasmówką ze zdradzieckimi wybojami na poboczach. Powinnam zaprzestać tego śmiesznego pościgu i jechać do ojca. Ale wiem, że tego nie zrobię.

20.

Zbliża się do mostu. Po drugiej stronie punktu opłat mgła jest gęsta jak muł, ale Rakhi nie ma czasu się tym martwić, bo czarny samochód śmiga już przez pas „tylko z przepustkami”. Rakhi podąża za nim, chociaż nie ma przepustki i chociaż zwykle skrupulatnie przestrzega prawa. (Zabiorą jej za to prawo jazdy? Skażą na przymusowe prace społeczne? Jakaś jej część kocha taką brawurę). Dalej posuwa się w owej mulistej mgle, kierując wozem na wyczucie, nie widząc balustrad, które muszą być niebezpiecznie blisko. Na pewno zaraz straci czarny wóz z oczu... Ale nie, widzi jego tylne światła w niewielkiej odległości. EMIT - odczytuje z ulgą, nieco zaintrygowana. Czy celowo zwolnił?

Więc naprzód, po płaskiej, niekończącej się powierzchni mostu, tak blisko wody, że słyhać ocieżyły szept fal. W najwyższym punkcie łuku mgła na chwilę się rozsuwa, ukazując miasto rozjarzone światłami, jakby stało w ogniu. Nie jest to metafora: Rakhi naprawdę widzi płomień liżący wieżę TransAmerica. Czy wilgotność mgły mogła wytworzyć miraż, jak rozprażone powietrze na pustyni? Nagle zasłona opada, wchłaniając cały widok.

Czarny samochód zjeżdża z mostu, a potem z autostrady. Tutaj? W samym środku przedmieścia Foster City, przy drodze do centrum handlowego Fashion Island, obecnie opustoszałej, bo wszyscy klienci są w łózkach? Światło przed nimi zmienia się na czerwone. Światła hamulcowe samochodu mrugają trzykrotnie, jakby kierowca dawał jakiś znak, po czym wóz wjeżdża z rykiem na skrzyżowanie z taką prędkością, że Rakhi wreszcie rozumie: on cały czas się z nią bawi. A teraz płynnie skręca w lewo i znika.

Rakhi także przejeżdża na czerwonym świetle, zdumiona łatwością, z jaką przychodzi jej łamanie kolejnych zasad, ale także narastającym w niej dreszczem podniecenia. Czy tak

właśnie czuł się Sonny i jego kumple po... Zapomina dokończyć pytanie, bo oto przed nią długa jednokierunkowa droga bez żadnych przecznic i... bez żadnego pojazdu w polu widzenia.

Gdzie się podział czarny samochód?

Rakhi jedzie tą wąską drogą - nic więcej nie może zrobić, nie ma miejsca na zawrócenie. Budynek ciągnące się wzdłuż jezdni wyglądają na magazyny. Przez zamknięte okna samochodu wpada odór ryb, soli, zużytego oleju. Z przodu wrzynają się w wodę pomosty, dźwigi wznoszą pordzewiałe ramiona niczym prorocy, którzy przeżyli swój czas. Ale w tym miejscu nie powinno być portu, Rakhi dobrze wie, że go nie było. Latarnie są nieliczne i spowite w mgłę. Chciałaby stąd uciec, czeka tylko na lepsze oświetlenie. Wjeżdża w dok, wyłącza silnik. Woda chlupie głucho przy pylonach - taki dźwięk mogliby wydawać zagniewani rodzice. Rakhi przypomina sobie, że chociaż popełniała tyle błędów, matka (której obraz coraz bardziej zaciera jej się w pamięci) nigdy się na nią nie gniewała. Sonny miał rację, zarzucając Rakhi, że chciała kontrolować życie matki, sprawdzać, komu poświęca uwagę, kogo kocha. Opiera głowę na kierownicy, zaciska oczy najmocniej, jak potrafi, wbija w nie knykcie. Może ból fizyczny sprowadzi łzy, skoro nic innego nie chce ich wycisnąć? Ale łez nie ma, są tylko gwiazdy i głos matki, który mówi bardzo wyraźnie: Chcę, abyś stała się lisem.

I oto w jednej chwili wraca do niej ten dzień, ze wszystkimi szczegółami, kompletny i żywy, pomimo wielu lat zapomnienia - czasem bowiem, przy odrobinie szczęścia, udaje się nam wypchnąć z pamięci upokarzające nas incydenty. Rakhi znów widzi siebie jako ośmioletnią szczerbatkę ubraną w różowy top i sfatygowane dzinsy. Siedzi obok matki na sofie, włosy ma splecione w dwa warkoczyki. Top jest haftowany maszynowo w niebieskie kwiaty, dzięki

uprzejmości sieci Kmart, gdzie matka, nieświadoma wyrafinowania amerykańskiej haute couture, często robi zakupy. To jeden z jej ulubionych, chociaż następnego dnia zwinie go w kulkę i schowa na dnie szuflady, póki nie nadarzy się okazja wyrzucenia go do pojemnika ze śmieciami. Matka odwraca się do niej z uśmiechem, słowa z jej ust płyną tak swobodnie, jakby to była tylko zabawa. Dziewczynka jednak wie, że nie jest to żadna zabawa, chociaż ani się nie martwi, ani nie denerwuje (przynajmniej na razie), ponieważ jest pewna, że potrafi spełnić każde polecenie matki.

Chcę, żebyś stała się lisem, mówi matka, abyś nauczyła się śnić lisie sny. Dobrze jest zaczynać od lisów, są inteligentne i czujne, więc ich sny nie odbiegają daleko od naszych. Potem nauczysz się śnić jak ptaki, węże i ryby - stworzenia znacznie bardziej skomplikowane, niż każe się nam wierzyć.

Dziewczynka czeka na wskazówki, ale matka ich nie udziela. Obserwuje ją tylko przez jakiś czas, po czym wzdycha. Spójrz, powiada. Pokażę ci.

Dziewczynka widzi bezruch, jaki ogarnia ciało matki. Tylko czubek nosa leciutko jej drga. I jeszcze oczy - robią się wilgotne, mają brązowe plamki, w padającym z okna świetle błyszczą jak opalizujące kulki. Dziewczynka czeka na coś więcej: woń piżma, rudość włosów. Nic takiego nie następuje, ale i tak widać, że matka stała się kimś innym. Chociaż oczy ma otwarte, dziewczynka wie, że gdyby machnęła ręką tuż przed ich piękną matowością, matka nie zamruga. Dziewczynka zaczyna płakać, wpada w panikę, w kolanach i czubkach palców czuje skurcze. Wcale nie dlatego, że nie wie, dokąd matka uciekła, i nie z obawy, iż może nie wrócić (choć to także odczuwa). Chodzi o to, że ona, Rakhi, nie może jej towarzyszyć. To jest jej pierwszy krok do klęski, do uświadomienia sobie własnej niższości.

Później przypomni sobie wszystkie swoje poczynania, ale bardzo słabo, jak fotografię oglądaną przez odbarwiający szkło: zawrócenie samochodu, jazdę jednokierunkową ulicą pod prąd. (Tego dnia złamała więcej praw niż w całym dotychczasowym życiu). Znak autostrady wyłania się niespodziewanie z mgły, jakby znalazła się w starym odcinku „Strefy mroku” (Czteroczęściowy serial grozy z lat sześćdziesiątych.). Czy jeśli się obejrzy za siebie, zobaczy, że nic tam nie ma? Nie patrzy. Jadąc przez most do domu we Freemont, zatrzymuje w sobie wspomnienie lisa. Mgła podnosi się z każdą milą. Minuty przepływają obok okna samochodu jak wskazówki, których nie udało jej się zrozumieć. Przy frontowych drzwiach grzebie nerwowo w torebce, upuszcza dwa razy klucz, ponieważ lampa na ganku nie jest ustawiona tak, jak robiła to matka, spodziewając się jej wizyty.

Na koniec nieudanego epizodu z lisem ujęła ją za ramiona i ucałowała w oba policzki. „Nic nie szkodzi - powiedziała. - To nie ma znaczenia”. Rakhi rozgniewała wtedy jej nieszczerłość, bo oczywiście miało to znaczenie. Dopiero dziś zrozumiała, o co naprawdę matce chodziło: „Nie ma znaczenia, bo i tak cię Kocham”. Czy to się odnosiło także do innych jej porażek? Idąc po ciemku po schodach w domu rodziców (na palcach, żeby nie obudzić ojca), niesie w swoim wnętrzu tę wiedzę niczym nowo nabyty podarunek, którego nie zdążyła jeszcze rozpakować.

Później zacznie się zastanawiać: Czy to dlatego ukazał się jej mężczyzna w bieli? Żeby przynieść coś starego, coś nowego, jakiś okruch pamięci, strzęp zrozumienia? Niewiele, jeśli porównać z wielką, ziejącą otchłanią jej straty, a jednak to coś niezwykłego.

(Tymczasem ojciec wcale nie śpi. Nie rusza się z łóżka, ale białka jego oczu błyszczą w załamany światło księżyca,

kiedy obraca głowę. Słyszy, jak Rakhi porusza się w pokoju siewu, objając się w ciemności o meble. Słyszy, jak pada na prymitywne legowisko na dywanie - bardzo ascetyczne, tylko poduszka i cienki koc do przykrycia. A jednak jak dotąd wcale nie jest ascetką, i on o tym wie, nawet jeśli nie wie ona, ta jego córka, w której wciąż kłębią się wszelkiego rodzaju pragnienia. Chętnie by do niej poszedł, dotknął jej ramienia, aby pokazać, że rozumie ją lepiej, niż ona myśli, a jednak może wciąż za mało jak na jej potrzeby. Jest teraz kompletnie wyczerpana, ojciec poznaje to po tym, jak się wierci, próbując umościć się wygodnie. I po tym, że nie słyszy cichego szelestu kartek, które położył jej na poduszce - kolejnego fragmentu przetłumaczonego dziennika. Zatytułował go „Piękna i Bestia”).

21. Z dzienników snu

Nigdy nie myślałam o małżeństwie. Wiedziałam, że jest zabronione. To było pierwsze pytanie, jakie odzwierciadla zadała nam, nowicjuszkom, zanim pozwoliła nam wkroczyć do jaskiń: czy zgadzamy się porzucić wszelkie myśli o mężach. I kochankach także, dodała sucho. Niektóre się zawahały i odesłano je do domu. Ja nie miałam żadnych wątpliwości.

Jak mało znałam wtedy siebie, skoro uważałam, że nie pragnę ludzkiej miłości! Skoro sądziłam, że na zawsze potrafię zapanować nad moimi tęsknotami...

Tłumaczki snów, te, które poznałam, nie wyglądały na nieszczęśliwe, więc uznałam to za sensowne. Po tym, czego się napatrzyłam, życie żon wydawało mi się jedną wielką harówką - cały dzień musiały być na zawołanie teściów, męża, dzieci. Pracowały bez końca i bez nadziei na pochwałę, a gdy coś źle poszło, zawsze były obarczane winą. O niewidocznym życiu, tym, które znosiły w ciemności za zamkniętymi drzwiami sypialni, nie wiedziałam prawie nic. Z tego, co czasem wypsnęło się na ten temat starszym, wynikało, że to też był rodzaj harówki.

Bądźcie wdzięczne za los, który sobie wybrałyście, mawiały starsze. Wasze ciała będą zawsze należały tylko do was. Nikt ich nie będzie napastował poza waszymi duchami snu, a to oznacza samo błogosławieństwo.

Patrząc wstecz, pytam o to, o co nie pytałam wówczas. Jak one - kobiety bez mężczyzn - miały poznać radość, która płynie z ciała, dawanie, które jest także otrzymanym darem? Jak miały poznać głód ciała, pożądającego napastowania przez inne ciało?

Ale może one tego nie wiedziały. Może dlatego mówiły to, co mówiły, powtarzając to w kółko w nadziei, że w ten sposób ustrzegą nas od zejścia na manowce.

Moja ciotka, a zarazem pierwsza nauczycielka w dziedzinie snów, powiedziała mi tak: Jedno życie to za mało, aby można je było podzielić między świat zewnętrzny a wewnętrzny, świat światła dziennego i cienia. Męskie pocałunki wyssą z ciebie siły życiowe i nie zostanie ci nic, co mogłabyś zaoferować bogu snu. A jeśli wtedy bóg się rozgniewa i cię opuści, spędzisz resztę życia w osamotnieniu.

Jeśli odwrócisz się od męża, żeby zachować swój dar, poczuje się urażony, gdyż w ten sposób się dowie, że nie stawiasz go na pierwszym miejscu w swoim życiu. Mężowie nie lubią wiedzieć takich rzeczy.

Tak czy inaczej, ta droga prowadzi do goryczy. Życzę ci z całego serca, abyś jej nie wybierała. Ale mówiła to ze smutkiem, ponieważ podjęłam już wtedy decyzję.

Wiosną ostatniego roku mojego terminowania razem z dwudziestoma czterema innymi, które już zostały ocenione, wysłano mnie do Kalkuty.

Cały rok czekałyśmy na tę podróż, szeptałyśmy o niej po zgaszeniu lamp, w ciemnościach naszych kwater sypialnych. Kalkuta, miasto dziesięciu milionów dusz, miejsce pełne nowości z całego świata, całkowity kontrast wobec sennego spokoju naszych jaskiń, naszego życia, które wydawało się tak odległe od wszystkiego... A my, zaledwie podlotki, tęskniłyśmy do odmiany.

Podróż ta miała posłużyć naszej dalszej edukacji. Kalkuta była wypełniona snami; nie tylko śnionymi przez obecnych mieszkańców, ale dawnymi, tymi przerywanymi, które wisiały nieruchomo nad mulistym, brunatnym Gangesem i barwiły noc swymi mętnymi obrazami. Miałyśmy być poddane testowi: w jakim stopniu potrafimy wyłuskać te bezcielesne sny z powietrza i wyjaśnić ich znaczenie.

Sny, nauczały starsze, rozciągają swój wpływ na życie na jawie, nawet po odejściu śniących. Mamy zbadać wzory tych dawnych snów i określić ich skutki dla przyszłości miasta.

Wyobraźcie sobie tylko: dwadzieścia cztery młode kobiety wysiadające z pociągu na dworcu Howrath. Jedna starsza na przedzie, druga z tyłu. Nie nosiłyśmy żadnych uniformów, ponieważ tłumaczki snów nie przywiązują wagi do zewnętrznych znaków. Mimo to obserwatorzy z pewnością domyślali się, że coś nas z sobą łączy - rodzaj skierowanego do wewnątrz spojrzenia, jakbyśmy wciąż czegoś poszukiwały i nic nas nie satysfakcjonowało.

Ale tego dnia nie patrzyłyśmy do wewnątrz. Podekscytowane do nieprzytomności, biegałyśmy z jednego końca dworca na drugi, wołając do siebie ze zdumieniem w głosie: Spójrz na to! A co powiesz na tamto? To nie do wiary! Jadłyśmy watę cukrową, która wyglądała jak włosy staruszki, dziwiłyśmy się poważnym minom mieszkańców miasta. Jak mogą być tacy smutni, skoro żyją wśród tylu atrakcji? Jedna ze starszych kupiła kalejdoskop. Podawałyśmy go sobie kolejno i patrzyłyśmy w błyszczącą rurkę na jaskrawe, wciąż zmieniające się desenie, które nie musiały nic znaczyć.

Minęły lata i wiele już zapomniałam. Zapamiętałam jednak wizytę w Victoria Memorial. Ogromny biały anachronizm z marmuru, mosiądzu i cudzoziemskiej dumy, gdzie od wielu lat nikt nie spał... Jak bardzo odstawał od miasta, w którym tak wielu tłoczyło się w jednym pokoju, na jednym łóżku, a wielu w ogóle spało na chodnikach, mając za przykrycie tylko niebo. Ale w tym różnorodnym świecie znajdzie się miejsce na wszystko, nawet na próżność. Tak więc stoi sobie ów pałac na wielkiej zielonej przestrzeni, otoczony przez fontanny, a czarny anioł na szczycie kopuły balansuje na jednym palcu u nogi, spoglądając z królewską beztroską na położone w dole miasto, którym kiedyś rządził.

Weszliśmy do największej sali, gdzie odgłos naszych kroków odbijał się echem od ścian, i wytrzeszczyliśmy oczy. Trony, kolonialne fotele, korony, suknie szamerowane złotem. Globus z napisem RULE BRITANNIA wyrytym wzdłuż równika. Pieczęcie w kolorze zachodzącego słońca wyciśnięte na dokumentach, które przejmowały lub oddawały w posiadanie rzeczy, niebędące w gestii podpisanej osoby. We wnętrzu umieszczono muszkiety, mundury wojskowe w szkarłatnym kolorze, buty. Kule armatnie z plakietkami informującymi o miejscach bitew. Stałam tam z zapartym tchem. Dym kłębił się wokół mojej głowy, wyczuwałam głosy z dawnych nocnych koszmarów. Ktoś prosił o wodę. Ktoś szeptał ochryple o zdradzie, bramach otwartych od wewnątrz. Ktoś zanosił modły do Sziwy - urwane w pół słowa. Ktoś leżał w kałuży krwi i myślał o lasach z dzieciństwa, ciemnej zieleni mangowców i drzew shal. Ktoś błagał kogoś innego, aby ten szybko go zabił. Od tych głosów robiło mi się słabo. Po raz pierwszy w moim życiu poznałam nienawiść. Co to za ludzie, myślałam, że zależy im na zachowaniu takiego miejsca i robieniu z niego atrakcji turystycznej? Ja już wieki temu zrównałabym je z ziemią.

Musiałam jakoś dziwnie wyglądać, bo jedna ze starszych przyjrzała mi się uważnie. Potem pociągnęła mnie do sukni balowej, uszytej z całych jardów pożółkłych ze starości koronek i z gorsetem z fiszbinów. Dotknij tego myślą, zasygnalizowała, a ja posłuchałam. Natychmiast wylądowałam w mrocznej sypialni z wielkim łóżem z moskitierą. Bałam się, gdyż mieszkałam w obcym kraju, którego nigdy nie chciałam odwiedzać. Tęskniłam za łagodnymi, krągłymi wzgórzami mojej ojczyzny, za swojskimi stokrotkami i żonkilami, bez tych wybujałych pnączy, które wiły się wokół mojego domu niczym węże. Nie mogłam opowiedzieć mężowi o moich lękach; już przedtem

mi nakazał być dzielną i szlachetną, jak przystało na Angielkę. Jeśli nie posiadam tych cech, to mam je przynajmniej udawać. Tak więc leżałam pod jego ciężarem, jeszcze bardziej mi obcym w tym kraju, i udawałam. Staralam się nie myśleć o ranku, kiedy miałam stanąć przed służbą, wydawać im rozkazy, a jednocześnie patrzeć na ich złośliwe uśmieszki i słuchać szeptów w niezrozumiałym dla mnie języku. Kiedy w końcu zasnęłam, przyśniły mi się węże z ognistymi językami.

Później starsza szepnęła: Historia ma wiele aspektów, co? O większości z nich wiedzą tylko te, które potrafią odzyskiwać sny.

To sprawia, że trudniej jest oceniać, prawda?

Wewnątrz słyszałam, jak młoda kobieta krzyczy, kiedy mężczyźni w turbanach wdarli się za ogrodzenie. Widziałam błysk słońca na ich bagnetach. Raz, dwa, trzy razy. Potem obrazy zniknęły.

Nie odpowiedziałam starszej. Miałam jej za złe, że podzieliła mnie na tak wiele skonfliktowanych ze sobą części. Wyszłam z martwego pałacu. Inne uczennice także zachowały milczenie, kilka ocierało ze złością oczy.

Akurat zachodziło słońce - piękna pomarańczowa kula na tle zielonych palm. Zapalały się różnokolorowe światła, od których woda w fontannach mieniła się niczym na jakimś baśniowym pokazie. Sprzedawcy lodów wyśpiewywali swoje: pista kulfi chakiye, pista kulfi. Moje koleżanki wepchnęły sny w zakamarki swych umysłów, zostawiając ich analizę na później. Otoczyły kołem starsze, błagając, żeby zabrały je do kina, do chińskiej restauracji, do sklepów na Nowym Bazarze, gdzie sprzedawano szminki i perfumowany puder.

Ja jednak nie zamierzałam zapomnieć o moim wzburzeniu. Odwróciłam się do nich tyłem i wyszłam do ogrodu wypełnionego wonią różowych róż, które kobiety z dalekiego kraju sadziły z tęsknoty za domem. Chciałam

nienawidzić, ale kwiaty mi na to nie pozwoliły. Miały takie miękkie płatki, tak łatwo je było zniszczyć... Uklękłam wśród nich i wydało mi się, że czuję ich błagalne palce na ramionach.

Kiedy otworzyłam oczy, zauważyłam, że mnie obserwuje. Siedział pod drzewem, oparty o masywny pień, i miał w sobie tyle swobody, że mnie to zaintrygowało. Żyjąc od trzech lat między tłumaczkami snów, przywykłam do wyteżania uwagi.

Przemówił do mnie, a ja się spłoszyłam. Po pierwsze dlatego, że nie byłam dotąd zaczepiana przez młodych mężczyzn, a po drugie - bo odezwał się w tak niezwykły sposób.

Chcesz posłuchać pieśni o kwiatkach?

Skinęłam głową, a on zaczął śpiewać. Nie rozumiałam zbyt dobrze słów - jego język różnił się od mojego. Nie obchodziło mnie to. Podobał mi się głos - silny, nieskrępowany nawet wtedy, gdy nieznajomy zapominał słów i pomagał sobie nuceniem. To, czego nie zrozumiałam, wyobraziłam sobie, i w ten sposób owa pieśń stała się dla mnie miłą.

Kiedy skończył, wiedziałam, że powinnam odejść bez słowa. I tak już patrząc i słuchając, dopuściłam się nieposłuszeństwa. Teraz złamałam także trzecią zasadę.

Zaśpiewaj jakąś inną pieśń, poprosiłam.

Tym razem zaśpiewał po bengalsku - o kobiecie, której oczy były czarne jak u dzikiego zwierza, a że patrzył przy tym w moje, poczułam się, jakbym nią była. Wiedziałam, że jestem gotowa złamać więcej zasad, byle móc dalej tak się czuć.

Wkrótce potem odnalazły mnie starsze i zabrały ze sobą, zrzedząc przez całą drogę. Inne nowicjuszek patrzyły na mnie oczami rozszerzonymi ze zgrozy, ale z pewną domieszką podziwu. Musiałam zostać za karę w hotelowym pokoju,

podczas gdy reszta poszła do kina. Jedna ze starszych mnie pilnowała. Kiedy recytowałyśmy razem dwadzieścia dziewięć kardynalnych zasad, widziałam na jej twarzy coś w rodzaju litości. Może, jak wiele doświadczonych tłumaczek snów, miała też dar jasnowidzenia.

Ja też, mimo braku doświadczenia, widziałam przyszłość: Jutro, gdy grupa uda się do świątyni Kali, wymknę się chyłkiem i pójdę pod wskazany przez tamtego mężczyznę adres, do wynajętego pokoiku na poddaszu, gdzie zaczekam, aż wróci z pracy. Rozpęta się burza, a my będziemy się kochali - nocą, na tarasie, w deszczu. Nie bałam się tego. Byłam gotowa podążyć za nim, gdziekolwiek zaprowadzi nas przeznaczenie. Chciałam, aby jego przeznaczenie stało się także moim.

Ach, tylko nie wszystko przewidziałam.

Znalazły mnie oczywiście - starsze mają swoje sposoby - i następnego dnia, kiedy on był w pracy, wprowadziły z powrotem do jaskiń. Najpierw zaciągnęły mnie do ciotki. (Czy naprawdę była moją ciotką? Zaczynałam mieć wątpliwości).

Nie jest za późno, powiedziała. Nadal możesz do nas wrócić. Zwrócę się do rady, żeby przyjęto cię z powrotem, mimo że nie jesteś już dziewicą. Istnieje ceremonia oczyszczenia, jest to trudne, ale da się przeprowadzić. Wracaj, przekonywała, albo będziesz żałowała tej decyzji do końca życia.

Ale słowo „żał” było dla mnie pustym dźwiękiem, pozbawionym znaczenia. Brzęczało mi nad uchem jak natrętna mucha. Byłam zakochana do utraty zmysłów i oznajmiłam jej to prosto w oczy.

Jak możesz kochać kogoś, kogo nie znasz? - spytała z przerażeniem.

Odwróciłam się na pięcie i chociaż zawsze szanowałam ciotkę, przez chwilę czułam dla niej pogardę. Czego stara,

pomarszczona kobieta może mnie nauczyć o miłości, o tym obezwładniającym dreszczu podniecenia, który przebiega przez ciało niczym prąd, dopóki nie umrzesz z rozkoszy?

Ale wiedząc to, co wiem teraz, odpowiedziałabym na jej pytanie w ten sposób: Czyż niewiedza nie jest jedyną możliwą drogą do miłości?

22. Rakhi

Dziś zamykamy lokal.

Obudziwszy się rano, naciągnęłam koc na głowę jak w dzieciństwie, kiedy wierzyłam, że jeśli zostanę w łóżku, uniknę wszelkich nieprzyjemności dnia. Matka ściągała wtedy ze mnie przykrycie, mówiąc: Mój mały struś.

Różnica między dzieckiem a dorosłym jest taka, że teraz odrzucam koc z własnej woli. Zwijam pościel i wkładam do szafy, niezbyt porządnie, ale też niezupełnie byle jak. To i tak więcej, niż zrobiłabym u siebie, tu jednak mam świadomość, że zajmuję przestrzeń należąca do matki. W łazience gapię się w lustro, dostrzegam nowe zmarszczki, znamię wieku. Słyszę, jak na dole ojciec tłucze się w kuchni. Wczoraj zdjęto mu gips i sam przygotowuje sobie śniadanie. Doskonale! Im szybciej nauczy się troszczyć sam o siebie, tym prędzej wrócę do normalnego życia.

Woła do mnie ze schodów. Czy może usmażyć mi jajecznicę? Nie, nie chcę, kłamię. Nie jestem głodna.

A oto prawdziwe powody:

1. Nie mam zaufania do jajecznicy ojca. Nie przypominam sobie, żeby przez wszystkie lata, które spędziłam w tym domu, choć raz przygotował śniadanie czy inny posiłek. Kiedy był trzeźwy, zmywał wieczorem naczynia, ale to przecież nie dowodzi zdolności kulinarnych.

Jakby na poparcie tych myśli, w kuchni rozlega się głośny brzęk. Chyba upuścił patelnię. Może jego ręka nie jest jeszcze tak silna, jak sądzi. Opanowuję impuls, który każe mi natychmiast biec na dół i usmażyć mu jajka. Da radę, mówię sobie. Jeśli coś mu upadło, dobrze mu zrobi, jeśli schyli się i podniesie. W końcu nie będzie miał innego wyjścia, kiedy się stąd wyniosę.

2. Nie życzę sobie żadnych przysług z jego strony. Zmuszona koniecznością, poprosiłam go o przetłumaczenie dzienników, ale wolę jak najmniej obciążać się długami.

3. Po przeczytaniu ostatniego fragmentu obawiam się, że nie potrafię się powstrzymać od doszukiwania się w jego twarzy śladów po młodzieńcu, którego matka tak nierozważnie pokochała. Od pytania go wzrokiem: „Co się stało?”.

Po zejściu na dół widzę, że nakrył stół na dwie osoby. Jajecznica, starannie spiętrzona w salaterce, wygląda dość nieszkodliwie. Pokroił też melona - mój ulubiony owoc - i położył bochenek francuskiego chleba. Jeśli nawet przedtem coś upuścił, na podłodze nie ma żadnych śladów.

- Zjedz coś - mówi. - Znosi się na ciężki dzień.

Rzucam mu ostre spojrzenie. Nie informowałam go o zamknięciu lokalu ani o fatalnym stanie moich finansów. Zastanawiam się nad odmową, ale nagle czuję głód. No i ma rację: rzeczywiście znosi się na długi, ciężki dzień. Biorę kilka plasterków melona, nakładam ostrożnie łyżkę jajecznicy - jest zaskakująco smaczna. Ojciec nalewa do szklanek sok pomarańczowy, trzymając obolałe ramię pod dziwnym kątem.

- Jak się z tym czujesz? - pytam.

- Lepiej - odpowiada, wyginając je ostrożnie.

- Dobrze te jajka.

- Cieszę się, że ci smakują. Chcesz jeszcze?

To wciąż jest jedyny rodzaj rozmowy, jaką potrafię z nim prowadzić, i on o tym wie. Musiał zauważyć, że od wypadku ani razu nie nazwałam go „tato”. Od czasu do czasu, kiedy nie wie, że na niego patrzę, widzę kąciki jego ust, ściągnięte w dół pod ciężarem tego wszystkiego, co chciałby mi powiedzieć. Ale na razie nie mam ochoty uwalniać go od tego brzemienia.

Zawiadamiam go, że pewnie wrócę późno. Ma na mnie nie czekać. Idzie za mną do drzwi. - Ja przecież jadę z tobą.

Dopiero teraz dostrzegam, że ma na sobie czyste sztruksy i zapinaną na guziki koszulę. Musiał wcześniej wziąć kąpiel - w wilgotnych jeszcze włosach wyraźnie widać ślady grzebienia.

- Nie. Nie chcę - mówię wolno jak do dziecka, próbując nie okazywać złości. Co mu strzeliło do głowy? Dlaczego uważa, że ma prawo wtrącać się do moich spraw?

- Rakhi, będzie ci ciężko rozstawać się z tym sklepem. W takiej chwili dobrze mieć przy sobie kogoś bliskiego.

- Skąd wiesz, że zamykamy? - Wbrew wysiłkom głos niebezpiecznie mi się podnosi. - Nie pamiętam, żebym z tobą rozmawiała na ten temat.

- Podśluchałem, jak gadałaś z Belle. Może potrafię wam pomóc...

Słowa wypadają mi z ust, zanim to sobie uświadamiam.

- Przez całe moje życie w niczym mi nie pomogłeś! A teraz jeszcze podśluchujesz! Muszę tu z tobą siedzieć, ale to nie daje ci prawa do wtykania nosa w moje życie!

Mruga oczami jak po niespodziewanym ciosie. Porusza przez chwilę ustami, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. W końcu łamiącym się głosem mówi:

- Nie chciałem cię szpiegować. Może nie powinienem podśluchiwać, zrobiłem to, bo się o ciebie martwię. Zawsze tak było, tylko póki żyła matka, to ona zajmowała się twoimi problemami. Tak sobie życzyła. Prosiła, żebym się nie wtrącał, więc się zgodziłem. Może powinienem bardziej nalegać... No cóż, teraz już za późno myśleć o przeszłości...

Jestem zaskoczona, ale zaraz nabieram podejrzeń. Łatwo mu teraz zwać na matkę, kiedy jej tu nie ma i nie może zaprzeczyć!

- Rzeczywiście za późno - mówię. - I przez ciebie jeszcze bardziej się spóźnię, więc jeśli pozwolisz...

Już stojąc w drzwiach, słyszę:

- Rakhi, co jest dla ciebie ważniejsze? Udowodnić, że mnie nie potrzebujesz, czy stracić wszystko, na co tak ciężko pracowałyście, i może nawet... własną córkę?

Obracam się, porażona. Skąd wie, jak bardzo boję się o Jonę? I co wie poza tym?

- Nie mogę zagwarantować, że mi się uda, ale przynajmniej pozwól mi spróbować.

Mam na końcu języka: „Jeśli naprawdę chcesz pomóc, to po prostu zajmij się sobą, żebym nie musiała tu sterczeć”, ale już nie protestuję, kiedy idzie za mną do samochodu. Jego słowa niemal mnie powaliły. Czy naprawdę źle sobie ustawiłam priorytety?

Gdyby matka żyła, zapytałabym ją - a ona, zawsze szczerą w takich sprawach - powiedziała by mi prawdę. Teraz muszę kombinować sama. Wciągam z namysłem policzek, kiedy w milczeniu jedziemy do Berkeley.

Belle jest już w sklepie, ubrana do ciężkiej roboty w kombinezon i koszulkę bez rękawów, włosy ma wciśnięte pod bandanę. Ale nie jest sama. Po drugiej stronie lady stoi wysoki młody Sikh w niebieskich džinsach i tradycyjnym turbanie. Z początku wydał mi się klientem (co za ironia: przecież nie mamy już nic do zaoferowania), ale nagle widzę, że się kłóca. A właściwie, że Belle się na nim wyżywa, a on słucha. Kiedy weszliśmy, przywitała nas zdawkowym machnięciem ręki, ale ani na chwilę nie przestała jazgotać.

- Mówiłam ci, nie potrzebuję tego. Co mam z tym zrobić? Co oni sobie myślą, po co mi to wszystko?! Przecież się zepsuje! Zabieraj to sobie z powrotem!

Na ladzie między nimi stoi wielkie pudło wypełnione paczuszkami i słoikami. Widzę zawartość: zielona gorczyca, mulee, kabaczki lauki. To pewnie jej rodzice przysłali paczkę w dowód troskliwości.

- Ja też ci mówiłem - odpowiada młody człowiek. - Dopiero co przyjechałem od rodziny z Turlock. Nie wybieram się tam wcześniej niż pod koniec miesiąca. - Ma wyraźnie amerykański akcent, czego raczej się po nim nie spodziewałam. Musiał się tu urodzić, podobnie jak Belle i ja. Dziwi mnie tylko turban - tylu młodych Sikhów dawno go sobie odpuściło. Wygląda w nim jednak całkiem nieźle, tak surowo, zuchwale.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zabieraj się z tym. - Belle popycha w jego stronę pudło. - Dość mam kłopotów, jeszcze mi tylko warzyw na sumieniu brakuje!

Młodzieniec unosi brwi w uprzejmym zdziwieniu.

- Jak to: na sumieniu?

- Tak jest, na sumieniu! Nie potrafię przyrządzić żadnej z tych jarzyn i moja mama doskonale o tym wie. Nie mam pojęcia, po kiego czorta mi to przysłała, i to w dodatku teraz, kiedy jestem w takim dołku. Spójrz tylko na te przyprawy: kmin, czerwone chili, liście laurowe... Cała butelka mąki z ciecierzycy! W życiu jej nie używałam, a to - dźga palcem jakąś paczkę - nawet nie wiem, co to jest!

- Saunf. Cudzoziemcy nazywają to koprem włoskim. Bardzo dobry na trawienie. Ludzie o porywczym usposobieniu często z tym mają kłopoty, może twoja biji dlatego ci to przysłała.

- Dziękuję za pouczenie! A teraz z łaski swojej zabieraj się stąd razem z tym pudłem. Niektórzy z nas muszą pracować na życie.

Mężczyzna podnosi karton.

- Z przyjemnością stąd wyjdę, możesz mi wierzyć! A te warzywa sam zużyję, szkoda marnować ich na ciebie! Dobrze tylko, że twoi rodzice nie dowiedzą się, jak potraktowałam ich dar. Pakowali to wszystko z taką miłością... Ale to chyba dla ciebie niewiele znaczy. Jesteś zbyt oziębła, by cię miały

obchodzić takie staromodne idee jak na przykład szacunek dla przodków.

Zbieram się w sobie, by mu nawymyślać, ale Belle jest wyraźnie zbita z tropu. Tylko przez chwilę jednak.

- Myślisz, że skoro nosisz turban, to możesz się uważać za kogoś lepszego i oceniać innych? Myślisz, że wszystko o mnie wiesz? Dobra, lepiej stąd wyjdź, bo jeszcze cię zarażę moją oziębłością! - Odwraca się do mnie: - Musimy zaczynać inwentaryzację, już późno.

Belle wcześniej skontaktowała się ze spółką, która skupuje wyposażenie upadających firm. Uzgodnili, że przyjrzą się spisowi naszego inwentarza i podadzą ceny. Jeśli dojdziemy do porozumienia, za parę dni przyślą ciężarówkę i zabiorą to, co zechcą kupić. Resztę chyba trzeba będzie wyrzucić albo oddać organizacji charytatywnej. A potem - żegnaj, Chai House.

Belle dyktuje nazwy poszczególnych przedmiotów, ja piszę. Ekspres do kawy, patery, łyżeczki z emblematem róży na trzonkach. Pamiętam, jak kupowałam każdą z tych rzeczy. Ręka mnie boli, pewnie za mocno ściskam długopis. Ojciec jakiś czas temu znikł w kuchni na zapleczu, gdzie mamy piekarniki i podgrzewacze, ale młody człowiek - co dziwne - wciąż się tu kręci. Kiedy Belle chce sprawdzić magazynek na poddaszu, Sikh przytrzymuje jej drabinę, chociaż ona umyślnie go ignoruje. Dopisuję do listy bujaki i aż coś mnie skręca w środku. Nie mogę ich zabrać, chociaż tak bardzo bym chciała. Wkrótce czeka mnie przeprowadzka do mniejszego mieszkania, a potem żmudne poszukiwanie innej pracy. Żołądek mi się ściska na samą myśl o tym.

Minęło kilka godzin, a to zaledwie początek. Kto by przypuszczał, że obrosłyśmy w tyle drobiazgów: wykrawaczki do ciastek, łyżeczki do wybierania miąższu z melonów, imbryczki z jedwabnymi ocieplaczami... Jestem wykończona,

zakurzona, głodna. Belle proponuje, żeby jedna z nas pobiegła do budki z gotowymi daniami. Młody człowiek, który pomagał nam ładować pudła, ofiarowuje się, że pójdzie. Wyciągam kilka monet z mojej gwałtownie chudnącej portmonetki, ale on macha ręką.

- Ja stawiam - mówi z szerokim uśmiechem, z którym wygląda młodziej i bardziej przystępnie.

- Nie ma mowy - syczy Belle i szczeka zastyga jej w uporze. Widzę, że znów zanosi się na dłuższą kłótnię, ale nagle przy wejściu do kuchni rozlega się chrząknięcie.

- Mógłbym usmażyć kilka pakor (Pakora - warzywa w cieście z mąki ciecierzycy.) - proponuje nieśmiało ojciec. - I do tego cha na sposób hinduski?

Cha - znów to bengalskie słowo. Matka go używała, ale nie pamiętam kiedy. Już mam odmówić, kiedy Belle mnie uprzedza:

- Fantastycznie, panie Gupta. Mamy przecież w zapasie tyle wspaniałej darjeeling...

- Nie wspominając o całej paczce mąki z ciecierzycy - dodaje młody człowiek. - Której miałaś nie używać przez całe życie.

Belle nabiera tchu do stosownej repliki, ale ojciec - teraz szef i rozjemca w jednej osobie - prosi młodzieńca, żeby mu zaniósł pudło do kuchni. Po chwili słyszymy stamtąd ściszone głosy, szum wody, a niebawem skwierczenie pakor na rozgrzanym tłuszczu.

Belle siada na bujaku i z ciężkim westchnieniem kładzie wysoko nogi.

- Jak tam poszukiwanie pracy? - zagaduję. Krzywi się z niesmakiem.

- Świat jest taki bezduszny! Nikt nie chce takich jak my, z naszym niepraktycznym wykształceniem.

Kołyszę się w drugim fotelu. Ma rację - jakie ja mam przygotowanie? Może mogłabym pracować jako pokojówka w hotelu albo kelnerka w restauracji należącej do kogoś innego. Albo sprzątać po domach, pod warunkiem że nikt z chlebodawców nie sprawdzi, w jakim stanie jest moje własne mieszkanie.

- Hej - odzywa się nagle Belle. - Czy to twój tata śpiewa? Rzeczywiście. Śpiewa jedną z tych starych hinduskich pieśni - musi być dość popularna, bo młody człowiek mu wtóruje. Tworzą razem całkiem niezły duet, chociaż zdecydowanie prowadzi ojciec. Ciekawe, że podczas śpiewu opada z niego nieśmiałość, a głos brzmi silnie i czysto.

- Dobry jest - mówi z uznaniem Belle. - Jak to się stało, że nie odziedziczyłaś żadnego z talentów swoich rodziców?

- Serdeczne dzięki. - Pierwszy raz od śmierci matki wspomniała ją bez domieszki smutku. A ja pierwszy raz nie wzdrygnęłam się na tę wzmiankę. To już jest jakiś postęp.

- Ten facet też jest niezły - mówię po chwili. - Ciekawe, jak mu na imię.

- Jespal.

- Więc poznałaś go wcześniej?

- Widywałam go na różnych imprezach w Turlock. Moi starzy nie przestają o nim gadać. Robi karierę, utrzymuje kontakty z rodziną... No i jest pobożnym Sikhem, więc czego dziewczyna może chcieć więcej, że zacytuje matkę.

- A ty co powiesz, zwłaszcza teraz, kiedy pojawił się w twoich progach, przynosząc dary?

- Taaa, dary. Mąka z ciecierzycy i korzenie.

- Od tej pory może być tylko lepiej! Jest wyraźnie zainteresowany, skoro nie uciekł jak zmyty od twojego ciętego języka.

- Nawet jeśli jest, brakuje mi energii, by to odwzajemnić. Zresztą i tak nic z tego nie będzie. Wyobrażasz sobie mnie, jak

w zasłonie na głowie drepczę co tydzień do gurdwary? A on pewnie by zemdłał, gdybym go zabrała do mojego ulubionego klubu.

Panowie wnoszą na tacy parujące dania. Herbata, pakory, do tego chutney z pikantnymi kulkami, które jak informuje nas ojciec, składają się ze szpinaku, cebuli i ciecierzycowej mąki. („Wtajemniczeni mówią o niej besan” - dodaje Jespal z bezczelnym uśmiechem, za co Belle sztyletuje go spojrzeniem.) Całkiem nowa przyjemność - być obsługiwaną w swoim własnym Chai House, i to przez mężczyzn.

- Ile chcesz cukru do cha? - pyta ojciec.

Teraz sobie przypominam, kiedy to słyszałam. Matka użyła go mówiąc, że nie potrafimy stworzyć prawdziwego cha shop. Znow ogarnął mnie smutek na wspomnienie jej zarzutu, że brak nam autentyczności.

- Panie Gupta! - wykrzykuje Belle, chrupiąc pakorę. - Jak pan się nauczył tak wspaniale gotować?

Ojciec się uśmiecha.

- Moi rodzice byli bardzo biedni. Przez jakiś czas nie mieli za co posyłać mnie do szkoły i musiałem sam zarabiać na chesne. Przyjąłem posadę pomocnika w sklepie z przekąskami. Kiedyś w wolnej chwili opowiem wam więcej.

- Herbata jest fantastyczna - oznajmia Jespal. - Dodał pan imbiru? Moja matka też tak robi!

Popijam wolno herbatę. Jest mocna, aromatyczna i bardzo słodka z lekką nutą chyba właśnie imbiru. Muszę przyznać, że znacznie przewyższa wodnistą wersję z przesadną ilością cynamonu, którą piłam w innych herbaciarniach, a potem podawałam w naszej.

Jespal przed wyjściem wymienia z ojcem numery telefonów. Zerka na Belle, jakby miał zamiar zapytać ją o coś, ale ostatecznie rezygnuje. Obserwuję ojca, jak nalewa Belle drugą filiżankę herbaty, unosząc wysoko imbryczek

wyćwiczonym gestem, tak żeby bursztynowy strumień spłynął bez uronienia ani jednej kropli. Wydaje się, że słabość ręki zniknęła bez śladu. Podaje filiżankę niemal z czułością i chyba sprawia mu to przyjemność.

Zawsze uważałam, że to matka jest tą zagadkową osobą w naszej rodzinie. Ale mój ojciec - kameleon też ma, jak widać, kilka niespodzianek w zanadrzu.

- Dziewczynki - zwraca się do nas. - Jeśli wolno mi tak do was mówić...? Proponuję, żebyście odłożyły tę inwentaryzację na jeden dzień.

- Nie stać nas na ten luksus, tato - odpowiadam, czując, jak chwila dobrego samopoczucia ustępuje irytacji. Znowu wtrąca się w moje życie! - Nie mamy klientów, nie mamy pieniędzy na czynsz. Spójrzmy prawdzie w oczy: przegrałyśmy bitwę z konkurencją.

Obrzucam nienawistnym spojrzeniem kawiarnię po drugiej stronie. Ktoś przed nią stoi, obserwując nasz sklep. Z jakiegoś powodu nie widzę go (jej?) dokładnie. Mimo słonecznej pogody, akurat w tym miejscu pada cień. A może to po prostu smuga na naszym wystawowym oknie, którego nie chciało nam się już myć. Ale nie muszę widzieć, żeby wiedzieć. To kierowniczka. Czemu wystaje na zewnątrz, zamiast zajmować się swoją (czy nie powinnam powiedzieć: naszą?) liczną klientelą?

- Może mógłbym wam zasugerować to i owo, żebyście nie musiały tracić sklepu. To śliczne miejsce... - mówi z takim zapalem, że wstrzymuję się od cierpkiej uwagi.

- Rozważałyśmy wszystkie możliwości - tłumaczy mu cierpliwie Belle. - Nie mamy już żadnych funduszy, żeby przetrwać.

Ojciec wbija wzrok w okno. Czyżby patrzył na kierowniczkę? Ciekawe, co sobie myśli. Czy matka wspominała mu coś o Javie? Ale co mogła mu powiedzieć?

Niewiele z sobą rozmawiali i nigdy nie dyskutowali o tym, czego nie dawało się wytłumaczyć. Ojciec czuł się niezręcznie, jeśli nie mógł czegoś zweryfikować technicznie.

Kiedy w końcu się odzywa, mówi coś, czego wcale się po nim nie spodziewałam:

- Mam trochę pieniędzy. Czy ewentualnie dopuściłybyście do interesu nowego wspólnika?

W samochodzie, owszem, rozmawiamy, ale nie o jego ofercie. (Później będę zachodzić w głowę, skąd te pieniądze, czy czasem nie pochodzą z polisy ubezpieczeniowej matki. Ale nie, nie mógł uzyskać ich tak szybko). Pytam go o zapiski w dzienniku.

- Ciężko ci idzie tłumaczenie?

- Cóż, rzeczywiście łatwo nie jest. Większość czasu pochłania mi zmaganie się z językiem. Niektóre słowa... w angielskim nie ma dla nich odpowiedników. Ale mam nadzieję, że oddam je wiernie.

- Nie to miałam na myśli. Czy samo czytanie nie jest dla ciebie problemem? Czasem czuję się jak intruz na cudzym terytorium. Może powinniśmy je zostawić, związać tak jak były, schować z powrotem do szafy?

- Nie powinnaś tak się czuć. Twoja matka była bardzo skrupulatną osobą. Nie znalazłaś tych dzienników przypadkiem, ona zostawiła je specjalnie dla ciebie. Może w ten sposób chciała ci wyjaśnić, co miała na myśli...

- Z tego, co pamiętam, nigdy nie miała z tym kłopotów.

- To były tylko powierzchowne sprawy, o których musiała mówić, żeby odpowiednio pokierować twoim codziennym życiem. Ale te naprawdę ważne... te żyjące w ciemnych schowkach wewnątrz nas... Chyba każdemu trudno o nich mówić.

Nie spodziewałam się, że o wewnętrznych ciemnych schowkach usłyszę akurat od ojca... ale teraz, kiedy się nad

tym zastanawiam, wszystko się zgadza. Może właśnie tam znika podczas swych pijackich ciągów.

- Może zostawiając te dzienniki, chciała nas pocieszyć - ciągnie ojciec. - Kiedy je czytam, mam czasem wrażenie, że stoi tuż przy mnie, mówi do mnie... Pewne sprawy, które opisuje, są dla mnie zaskoczeniem. Inaczej niż ja zapamiętała różne wydarzenia, na przykład nasze pierwsze spotkanie. - Rzucam mu spojrzenie pełne skruchy, ale on tego nie widzi. - Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałbym, że wszystko wymyśliła, ale twoja matka... - Kręci głową, a ja go świetnie rozumiem. Matka nigdy niczego nie zmyślała. Po co miałyby to robić? Świat, w którym żyła, był bardziej fascynujący niż jakakolwiek fantazja. - Czasem jest tak, jakbym czytał powieść napisaną przez kogoś obcego. Nie rozpoznaję nikogo, zwłaszcza siebie. A część dotycząca jaskiń i jej... hmmm... zdolności przypomina mi stare baśnie z dzieciństwa. Potem są te zapiski na temat klientów, którzy prosili ją o pomoc. Absolutnie nie mogę uwierzyć, że to wszystko działo się pod moim dachem. - Wzdycha. - Ale tak być musiało. Przynajmniej w jej umyśle. - Patrzy na mnie przeproszająco i wiem, że walczy z takimi samymi wątpliwościami jak ja. Czy ona sobie czasem tego nie wymyśliła?

Nie jestem jednak gotowa do dyskusji na temat klęski mojej matki - jeśli to rzeczywiście była klęska. Wprawdzie zaczynam nabierać sympatii do tego człowieka, którego odkrywam, odrzucając starą etykietkę z napisem „ojciec”, ale mam wątpliwości, wobec kogo mam zachować lojalność. Włączam radio, sygnalizując w ten sposób, że rozmowa dobiegła końca, i przez resztę drogi słuchamy Simona i Garfunkela, śpiewających o mroku, moim starym przyjacielu.

23.

Długo w noc siedzą przy stole, ojciec i córka, zestawiając listy, przymierzając się do różnych pomysłów. Podekscytowani, nie dostrzegają, że coś takiego dzieje się po raz pierwszy. Przedtem komunikowali się ze sobą wyłącznie w obecności matki, poprzez nią, właściwie. Była ich przewodnikiem (w sensie fizycznym), ich buforem, a także tłumaczką. Łagodziła najeżone kolcami słowa, wyjaśniała, co chcieli wyrazić swymi pytaniami. „Zajmę się tym - szeptała bezgłośnie. - Nie martw się”. Córce kojarzyło się to z wydobywaniem dźwięków pod wodą - miękkie, zaokrąglone, piękne, nieskuteczne. Teraz ta wodna matka - mediatorka odeszła, unosząc ze sobą cały komfort, a z ust córki wydobywają się słowa, które ją samą zaskakują, śmigając w powietrzu z nieznaną, ochryplą szybkością.

Postanowili, że przekształcą Chai House w hinduski bar z przekąskami, w Kalkucie nazywają takie lokale chaer dokan. Za wzór posłuży im sklep, w którym ojciec pracował wiele lat temu, z drobnymi ustępstwami na rzecz amerykańskiej higieny. Ojciec nauczy Belle i córkę parzyć herbatę i kawę w odpowiedni sposób, a przekąski będzie przyrządzał osobiście. Wypisuje je na kartce: pakora, singara, sandesh, jilebi, beguni, nimki, mihidana. Córka wytrzeszcza oczy, jest zafascynowana i pełna wątpliwości. Połowy nazw nie rozpoznaje, niektórych potraw próbowała tylko okazjonalnie. Czy naprawdę ojciec potrafi zmienić się w tak niezwykłego szefa kuchni i wyczarować te wszystkie przysmaki z tak banalnych produktów jak mąka, syrop, chili, bakłazany i olej z orzeszków ziemnych? Czy stać go na tak heroiczną metamorfozę? Ale córka nie chce tracić tego chwilowego nastroju koleżeństwa, który spowił ich oboje chmurą wspólnych marzeń, więc mówi tylko: - Opowiedz mi o sklepie, w którym pracowałeś.

Miałem zaledwie czternaście lat - zaczyna - kiedy mój ojciec stracił pracę. To był wielki cios dla naszej rodziny, bo chociaż ojciec zajmował tylko podrzędne stanowisko w rządowej instytucji, jego posada stanowiła nasze jedyne źródło dochodu. W dodatku ostatnio męczył go suchy kaszel - rodzice obawiali się, że to gruźlica - co uniemożliwiało mu szukanie nowej pracy. Ciągłe był zmęczony. Lekarz poradził, abyśmy się przeprowadzili do Deogharu albo Hazaribagh gdzie panuje chłodniejszy, bardziej suchy klimat.

Pamiętam ten dzień w lekarskim gabinecie, kiedy matka szeptała z zakłopotaniem, że nie stać nas na tak kosztowną przeprowadzkę... Moja matka była piękną kobietą. Lekarz, młody człowiek, okazał jej współczucie i obiecał dać lekarstwa za darmo. Ojciec jednak potrzebował czegoś więcej - czystego powietrza, leżenia w łóżku i dobrego, kosztownego jedzenia: rosółu z kury, świeżych owoców. W tej sprawie lekarz nie mógł na wiele się przydać. My też. Przez cały rok matka i ja kładliśmy się spać głodni, żeby więcej zostało dla ojca. Oczywiście pilnowaliśmy, aby się o tym nie dowiedział. I tak uważał, że nas zawiódł, a lekarz prosił, by go strzec przed dalszym zamartwianiem.

Matka znalazła pracę w fabryce konfekcji, gdzie spędzała dwanaście godzin dziennie, szyjąc markowe męskie koszule z rayonu, dacronu i sztucznego jedwabiu - materiałów, jakich jej mąż i syn nigdy by nie włożyli. Z początku była wdzięczna za posadę, ale szybko zauważyła, że ma ona swoje minusy. Praca była wyczerpująca. Kobiety tłoczyły się w dusznym magazynie o małych okienkach, przy raptem dwóch rzeżących wentylatorach pod sufitem. Kiedy wszystkie naraz uruchamiały swoje maszyny, robił się huk nie do wytrzymania. Wiele z nich straciło wzrok, cierpiały też na artretyzm, chroniczne bóle krzyża i choroby płuc od ciągłego wdychania pyłu z tkanin. Niektóre miały zawroty głowy,

inne opowiadały, że nawet w domu czują w uszach huk maszyn. Kiedy choroba zaczynała przeszkadzać im w pracy, po prostu je zwalniano. Następne kandydatki czekały już na ich miejsce.

Matka obserwowała to wszystko. Pieniądzy, które otrzymywała, nie starczało jej na utrzymanie domu i kurację ojca. Już wcześniej wbrew swemu życzeniu pozwoliła mi podjąć pracę w herbaciarni przy naszej ulicy i obawiała się, że moja nauka na tym ucierpi, ale i tak ledwie starczało nam na czynsz. Wiedziała, że wkrótce będziemy musieli przenieść się do mniejszego, ciemniejszego i duszniejszego mieszkania, a wtedy ojciec umrze.

Dlatego kiedy nadzorca zrobił jej pewną propozycję, matka ją przyjęła. Zaczęła pracować krócej i przynosić do domu więcej pieniędzy. Nadzorca (dowiedziałem się o nim później) często dawał jej w podarunku ubrania albo jedzenie (jego brat był nadzorcą na plantacji trzciny cukrowej). Czy matka doceniała jego hojność? Czy z tego powodu darzyła go większą sympatią? Nie wiem. Ojcu powiedziała, że dostała awans. Kazała mi skrócić czas pracy przy stoisku z herbatą i ograniczyć go do kilku rannych godzin. Mogła teraz gotować ojcu porządne posiłki i poświęcać mu więcej czasu. Wieczorem, kiedy zasiadałem przy biurku do odrabiania lekcji w nowej, najmodniejszej koszuli, słyszałem ich przyciszone głosy, co napełniało mnie zadowoleniem.

Taki niepewny błogostan nie mógł długo potrwać, rzecz jasna. Nadszedł czas, że nadzorca wycofał się z pracy i przeniósł do rodzinnego miasta. Chciał zabrać matkę ze sobą, a kiedy zaczęła się wahać, zagroził, że wszystko powie ojcu. Matka miała w tym momencie trzy wyjścia (opowiedziała mi o tym znacznie później, kiedy przyjechałem do domu już jako student uniwersytetu): Pierwsze - to wyjechać z nadzorcą, ale tak, żeby ojciec, który odzyskał już zdrowie, uznał ją za

zmarłą. Wtedy nadal by ją kochał i zachował w pamięci jako cnotliwą żonę. Drugie - pozwolić nadzorcy poinformować ojca o wszystkim i liczyć na jego zrozumienie, bo przecież robiła to z miłości do rodziny. Trzecia opcja zakładała dosypanie trucizny do napoju... Ale to już inna historia, którą opowiem ci kiedy indziej. Pytałaś o herbaciarnię, więc dość już tych dygresji.

Był to mały sklepik, właściwie zwykła buda przy skrzyżowaniu, raptem kilka drewnianych krzesełek i stolików ustawionych przed dwoma wielkimi paleniskami z gliny. Na pierwszym Keshto - właściciel i kucharz w jednej osobie - przez cały dzień trzymał wodę na herbatę w wielkim aluminiowym imbryku. Na drugim przyrządzał słodczyce - ucierał białe kuleczki sandeshu w wielkim żeliwnym woku, póki nie zmieniły się w gładką masę albo wyciskał przez dziurę w szmatce ciasto na jilebi (Jilebi - słodkie placuszki w kształcie zwiniętego węża, smażone w głębokim tłuszczu.) prosto na skwierczący tłuszcz. Czasem smażył pakory z chili; ich ostry zapach dochodził aż do przystanku autobusowego. Ludzie spóźniali się do pracy, bo nie mogli oprzeć się pokusie spróbowania pakor Keshta.

Córka pochyła się do przodu, oczy jej błyszczą z przejęcia. Właśnie na taką historię czekała całe życie, błagała, przymilała się, wierciła matce dziurę w brzuchu - wszystko na próżno. I pomyśleć, że przez cały czas historia czekała na nią u ojca, tego pijaka, śpiewaka, sceptyka niewierzącego w sny. Ojca, którego zawsze odrzucała, myśląc pobłażliwie, że nie wie nic, co mogłoby się jej przydać.

Czy pakory mają w sobie coś z magii? - pyta. Czy dają specjalną moc tym, którzy je jedzą? Czy wzbudzają jakieś szczególne uczucia?

Nic o tym nie wiem, odpowiada ojciec. Ludzie żartowali, że ich wyjątkowy smak brał się stąd, że Keshto nigdy nie zmieniał oleju w swoim woku ani go nie mył.

Wokół sklepiku Keshta krążyły także inne plotki. Podobno w nocy, kiedy miasto spało, spotykali się tam na zapleczu członkowie ważnych przestępczych rodzin, żeby dzielić albo zgarniać lupy. Było siedem takich rodzin i każda noc tygodnia przypadała na inną. Kiedy Keshto, nieporuszony jak kamienny Budda, siedział przy swoim woku, ucierając pantua (Pantua - rodzaj słodczy z sera.), póki nie nabrały odpowiedniej złotobrazowej barwy, oni decydowali, który z ich wrogów będzie żył, a który zniknie.

Naprawdę tak było? - szepcze córka, niechcący psując nastrój.

Ojciec wzrusza ramionami, ale jednocześnie mruga okiem. Kto wie? Ludzie uwielbiają tajemnice, gdyby ich nie było, pewnie szybko by je sobie wymyślili. Wewnętrzne pomieszczenie wyglądało dość zwyczajnie. Keshto miał tam swoje legowisko, chociaż nigdy nie widziałem go śpiącego, i malowaną metalową walizkę ze skromnym dobytkiem. Ach, ta walizka! O niej też opowiadano historie... W każdym razie izdebka była malutka, nie mogła pomieścić więcej niż sześć osób naraz. Ale czasem, kiedy ją rano zamiatałem, widywałem strzępki papieru z jakimiś nazwiskami. Niektóre poprzekreślano na czerwono.

Na pewno wiem tylko tyle, że chociaż Keshto odnosił się szorstko do większości ludzi, a w interesach dość twardo stapał po ziemi, dla mnie zawsze był dobry. Rano, kiedy już posprzątałem sklep i wybierałem się do szkoły, zawsze pilnował, żebym porządnie się najadł. Nie pozwalał mi pić herbaty, uważał, że źle wpływa na wzrost, ale dawał mi pełną szklankę mleka i do tego przekąski, jakie tylko chciałem. A gdy po południu wracałem, uczył mnie swoich specjalnych

przepisów, dzielił się ze mną swymi sekretami, dzięki którym potrawy nabierały owych wyjątkowych zapachów. Nauczyłem się przygotowywać rasogolla (Rasogolla - kulki z domowego sera z dodatkiem mąki, obgotowane i podawane w syropie.), tak żeby były miękkie, a zarazem nie rozpadały się przy gotowaniu w syropie: trzeba dodać do ciasta z chhana (Chhana - zsiadłe mleko.) dwie łyżki sooji (Sooji - kasza manna.). A jeśli doda się do ciasta na pakory pół filiżanki oleju, to kulki podczas smażenia nie nasiakają za bardzo tłuszczem.

Córka zamyka oczy, żeby lepiej słyszeć, ale nie jest pewna, czy słucha jego słów, czy własnej tęsknoty.

Nauczyłem się rozcierać własnoręcznie przyprawy i zioła na podziurawionej kamiennej płycie, zakwaszać mleko za pomocą cytryn i przyrządzać świeżą chhanę o odpowiedniej konsystencji. Kuleczki mojej mihidany (Mihidana - drobne słodkie kuleczki, m.in. z mąki z ciecierzycy.) miały kolor pomarańczowy jak wschód słońca i kusiły jak miłosa przygoda. Moje singara (Singara - rodzaj kruchych pierożków smażonych w głębokim tłuszczu.) z kalafiorami były tak chrupiące, że klienci szeptali o nowym pomocniku, który przeszedł samego mistrza. Keshto już wcześniej słynął ze swej kuchni, ale teraz schodzili się do nas ludzie z całej Kalkuty, żeby zamówić potrawy na wesela i stypy, oblewanie domu czy ceremonie świętego kroku (Chodzi o obowiązującą w hinduizmie ceremonię inicjacji chłopców z trzech wyższych kast (upanajama). Uważa się ją za powtórne narodziny.). Razem z Keshto pracowaliśmy do późnej nocy, starając się sprostać wszystkiemu, ale i tak wielu klientów musieliśmy odsyłać z kwitkiem.

W tym czasie moja matka przynosiła już do domu mnóstwo pieniędzy. Prosiła mnie, żebym rzucił moje zajęcie w herbaciarni i wszystkie wysiłki włożył w naukę do egzaminu wstępnego na uczelnię techniczną. Zawsze marzyła,

żeby jej syn został inżynierem. Chciałem ją zadowolić, więc się zgodziłem, ale nie mogłem trzymać się z daleka od Keshta. Wstawałem przed świtem i wymykałem się z domu, a kiedy przychodziłem do sklepiku, Keshto czekał na mnie z rozpalonym ogniem i przygotowanymi składnikami, chociaż wcale się z nim wcześniej nie umawiałem. Pracowaliśmy jak w gorączce, w milczeniu z wyjątkiem paru wskazówek, które mamrotał do mnie w razie potrzeby. Mieliśmy mało czasu, bo musiałem zdążyć wrócić do domu, zanim matka zapuka do moich drzwi, żeby sprawdzić, czy nie zasnęłam. W tamtych dniach Keshto nauczył mnie przyrządzania swoich najtrudniejszych dań. Robiliśmy rabri, przy którym trzeba mleko zagotować, zageścić, ostudzić i wlewać warstwa po warstwie. Robiliśmy rasogollar payesh - czyli puszyste białe kulki pływające w gęstym, pysznym kremie, a także dhakai parota z ciasta przykrojonego i rozwałkowanego na cieniutkie płatki, które rozpływają się na języku. Na tydzień przed wyjazdem do college'u nauczył mnie specjalnego przepisu na sandesh, mleczny deser, z którego Kalkuta słynie, ale nie pozwolił mi go zapisać, uparł się, że mam się go nauczyć na pamięć, tak jak kiedyś on sam.

Zanim wyjechałem, chciałem mu powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy i że nigdy go nie zapomnę. W jakiś sposób go kochałem, nawet bardziej niż własnego ojca. Ale zawsze miałem kłopoty z doborem słów, a w języku bengalskim „dziękuję” brzmi dość niezręcznie. No i nie powiedziałem nic, a kiedy wróciłem po roku, na miejscu sklepiku Keshta zastałem salon fryzjerski. Pytałem wszędzie w okolicy, ale nikt nie wiedział, co się stało z moim mistrzem.

Opowieść wisi między nimi w nocnym powietrzu. Jest bardzo późno. Gdyby ojciec z córką podeszli do okna, zobaczyliby tuż nad horyzontem Suktare, gwiazdę nadciągającego świtu. Ale wciąż siedzą przy stole i każde z

nich przetrawia w myślach ową historię na swój sposób - jak zawsze w przypadku opowiadającego i słuchacza. W ich umysłach wirują i znikają odmienne obrazy, każde stara się zatrzymać inną część opowieści, uważając ją za najważniejszą. A gdyby ich zapytano, co ona oznacza, każde odpowiedziałoby coś tak różnego, że nikt by nie uwierzył, iż chodzi o tę samą historię.

Ale sam fakt wspólnego jej przeżywania wytworzył coś, co rozciąga się między nimi niczym delikatna, drżąca nitka pajęczyny. I to właśnie dzięki temu córka decyduje się opowiedzieć ojcu (nie patrząc mu w oczy, gryzmołąc coś na kartce z nowym menu ich herbaciarni) o swojej nocnej przygodzie. Opisuje czarny samochód, za którym podążała aż do tamtego zardzewiałego doku Hopperesque, opowiada o wodzie chlupiącej wściekle wokół pomostu, uczuciu osamotnienia, jakie wzbudził w niej ten odgłos. Ma wątpliwości, czy wspomnieć o tablicy rejestracyjnej tamtego samochodu i jego niemożliwym zniknięciu. Ale nagle uświadamia sobie, że przecież historia ojca też jest na swój sposób niemożliwa, i zapisuje na kartce zapamiętane litery: EMIT MAERD. Czy to jakieś hinduskie słowa? - pyta. Może jakaś nazwa albo mantra, a przynajmniej jej część. Ojciec jednak kręci głową, wpatrując się w kartkę, którą obraca na wszystkie strony.

Jesteś pewna, że nie „AMIT”? Amit to hinduskie imię. Jesteś pewna, że tak właśnie brzmiało nazwisko zapisane przez tę panią na wystawie?

Teraz już niczego nie jestem pewna, odpowiada córka. To mój problem.

Kto wie? - mówi z namysłem ojciec. To może być początek rozwiązania.

Przyjrzyj się uważnie. Czy to te słowa były na tablicy samochodu, który śledziła matka?

Przykro mi, nie pamiętam. Może to imię ze Środkowego Wschodu, na przykład tureckie?

Pochylają się razem nad kartką, ich głowy niemal się stykają, wyraźnie nie mają ochoty odrywać się od tego jednego, niezadowalającego śladu. Ojciec bawi się literami, zapisuje je w różnych układach, miesza, jedno odrzuca, inne zachowuje. Dopiero kiedy się poddaje, dostrzegają oboje, o co chodzi. Rzecz jest tak prosta, że aż dziwne, jak mogli wcześniej nie zauważyć. Czytane wspak, litery tworzą słowa: DREAM TIME (Czas snu.).

Już w łóżku córka się zastanawia, jakie przesłanie kryje się w tych słowach. Czy w ogóle jest w nich jakieś przesłanie? Czy nie dopatruje się zbyt wielu znaczeń w czymś dziwnym, osobistym żarcie? Dryfując w stronę snu, zatrzymuje myśli na historii ojca - tętniącej życiem i mocnymi kolorami ulic i fabryki. Herbaciarni - jednocześnie podupadłej i olśniewającej. Rodowodzie słodczy. Teraz nareszcie ma sposób, by wprowadzić to wszystko do swego własnego amerykańskiego życia. Ożywi Chai House wraz ze smakami i aromatami starego kraju, z szeptem wyuczonych na pamięć historii. I jeszcze coś innego zaczyna z wolna ożywać: to, co dzieje się między nią a ojcem, chociaż nie wiadomo, jaki ostatecznie kształt przybierze...

To pierwszy wieczór od czasu śmierci matki, kiedy żal nie pochłania jej całkowicie. Jednocześnie z tym spostrzeżeniem uświadamia sobie, że poduszka pod jej głową nadal pachnie włosami matki, i znów pogrąża się w swym bólu.

24. Z dzienników snu

Kiedy stało się jasne, że postanowiłam wyjść za mąż i przeprowadzić się za ocean z mężczyzną, którego poznałam przy Victoria Memorial, w jaskiniach rozpętało się piekło. Żadna tłumaczka snów nie zrobiła nigdy czegoś takiego - przynajmniej nie za pamięci starszych - i szok sprawił że wspólnota siostr rozpadła się na dwie partie.

Seniorki starszych domagały się, aby pozbawiono mnie mocy i wykluczono. To oczywiste, że zdradziłam moją sztukę i dar. (Pomyśleć tylko: dla zwykłego mężczyzny!). Powinno się odprawić za mnie ceremonię pogrzebową, zgodnie z nakazem Brihat Swapna Sarita, bo dla nich jestem gorzej niż martwa. Druga grupa - w tym moja ciotka - uważała, że należy mnie zatrzymać, gdyż inaczej uzdrawiająca moc, jaką posiadałam, mogłaby pójść na marne. Odnalazły inny starodawny tekst - Swapna Purama - i dowiedziały się, co trzeba zrobić, żeby uratować mnie przed sobą samą. Obie frakcje ścierały się zaciekle, aż wreszcie przywódczyni starszych oznajmiła, że póki nie zapadnie decyzja, nie wolno im z sobą rozmawiać. Uraza i milczenie wypełniły jaskinie, chociaż przedtem panowała tam jedynie przyjaźń.

Pogrążona w smutku i poczuciu winy, chciałam stamtąd uciec. Zdawało mi się, że moje odejście pozwoli przywrócić pokój, ale ciotka odgadła, co mi chodzi po głowie, i błagała, żebym chociaż poczekała na decyzję rady. Zgodziłam się, gdyż była moją pierwszą nauczycielką i wiele jej zawdzięczałam, później jednak zastanawiałam się, czy aby nie popełniłam błędu.

Rada konferowała (dla mnie to był raczej proces sądowy) kilka dni... może nawet tygodni? W paru sesjach uczestniczyłam, na inne mnie nie dopuszczono. Czasem proszono, abym coś powiedziała, czasem kazano mi siedzieć cicho, podczas gdy starsze wysuwały argumenty „za” albo

„przeciw”. Ale może to wszystko odbyło się w ciągu jednego popołudnia, gdyż w jaskiniach czas płynie inaczej. Kiedy je opuściłam, aby połączyć się z moim przyszłym mężem, okazało się, że od naszego pierwszego spotkania przy różach minął niecały tydzień.

Kazano mi czekać w mojej izdebce na werdykt. Kiedy przyprowadzono mnie z powrotem do sali zgromadzeń, zobaczyłam tam tylko przywódczynię starszych i moją ciotkę. Powiedziały mi, że mam trzy wyjścia. Pierwsze - to pozostać przez resztę życia ze starszymi w jaskiniach i uczyć innych. Jeśli się na to zdecyduję, uniknę cierpienia. Jeszcze tej samej nocy, za moim przyzwoleniem, starsza przeniknie we śnie do mojej pamięci i wymaże z niej obraz mężczyzny, a kiedy się obudzę, nie będę go już pamiętać. Ta droga jest najbezpieczniejsza i najszcześniejsza z wszystkich trzech, ponieważ mam narowisty umysł i nie potrafię się oprzeć silnym pokusom, jakich dostarczy mi świat zewnętrzny.

Drugie rozwiązanie zakładało, że porzucę mój dar i jak większość zwykłych kobiet, po prostu zostanę żoną. W tym wypadku starsza także dokona adaptacji mej pamięci, abym zapomniała o pobycie w jaskiniach i o tym, czego się tam nauczyłam. Odeszłabym do męża czysta jak kartka papieru, którą on by zapisał. To by go uszczęśliwiło, ponieważ wszyscy mężczyźni wolą budować życie swych żon bez ingerencji obcych. Ten sposób też był uznany za bezpieczny, a może nawet szczęśliwy.

O trzecim wyjściu poinformowały mnie dość niechętnie i dopiero kiedy odrzuciłam dwa pierwsze. Owszem, pozwolą mi zachować moje moce, te niższego rzędu, abym mogła pomagać ludziom w świecie. W zamian, chociaż mogę żyć z mężczyzną, skoro tak chcę, muszę obiecać, że go nie poślubię. Wtedy w oku Wielkiej Mocy moja duchowa istota nie połączy się z jego istotą. Drzwi do mego ewentualnego powrotu do

siostrzanej wspólnoty nie zostaną całkowicie zamknięte, na wypadek gdybym (na co mają nadzieję) dostrzegła szaleństwo mego wyboru. Ale to niebezpieczna droga, ponieważ pod wieloma względami może się nie udać.

I na tę właśnie się zdecydowałam, chociaż bez entuzjazmu, gdyż obwarowały ją licznymi warunkami. Później, kiedy ciotka próbowała mi delikatnie coś doradzić, odwróciłam się od niej ze złością. Nic złe nie pójdzie, powtarzałam z uporem.

Nie wiedziałam, że mój wybór zawiesi mnie na resztę życia między światem niewytłumaczalnych mocy a miłością do człowieka, dla którego taki świat po prostu nie istniał.

Ostatniej nocy przed moim wyjazdem do Kalkuty ciotka przyniosła mi podarunek: mały woreczek wielkości pięści. Kiedy go otworzyłam, zobaczyłam drugi taki sam, a w nim następny. Sięgnąwszy do tego ostatniego, wyciągnęłam szczyptę czerwonego proszku. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Czy to sindur? Gest pocieszenia ze strony ciotki, życzenie szczęścia w małżeństwie? Ale gdy dotknęłam go końcem języka, zrozumiałam, że nie jest to proszek, który oblubienice wcierają sobie w czoło. Ciotka podarowała mi garść ziemi.

To ziemia z przejścia do jaskiń, powiedziała. Grunt, po którym stapały setki tłumaczek snów. Będzie ci potrzebny tam, dokąd się udajesz.

Nie zapytałam, co ma na myśli. Wciąż byłam na nią zła i rozczarowana tym, co postanowiła mi podarować na odjeździe. Dopiero znacznie później, kiedy znalazłam się w Kalifornii i stwierdziłam, że wszystkie sny mnie opuściły, zrozumiałam wagę tego daru.

Na początku wcale się nie martwiłam. Potrzeba mi czasu na zadomowienie się, mówiłam sobie, muszę przywyknąć do nowego życia. Mnóstwo rzeczy miało dla mnie urok nowości;

uczyłam się prowadzić dom, sprawiać przyjemność mężowi. (Bardzo mi zależało, by czuł się zadowolony, bo i tak sprawiłam mu wielką przykrość, upierając się przy cywilnym ślubie zamiast ceremonii w świątyni. Narzekał, że przez to nie czuje, iż jesteśmy prawdziwym małżeństwem). Wypróbowywałam nowe przepisy, urządziłam pokoje. Nocami jego usta wędrowały po moich obojczykach, moje ręce sunęły po falistej linii jego kręgosłupa i gładkiej skórze ud. Ale nadszedł dzień, w którym nie mogłam już skupić na tym całej uwagi, a kiedy spojrzałam w lustro, żeby natrzeć czoło sindurem, zobaczyłam, że moja twarz jest tak przezroczysta, jak pusty szklany owal.

W Kalifornii sny nie nawiedzały mnie, ponieważ to miejsce było jeszcze zbyt nowe. Ludzie osiedlili się tu zaledwie kilkaset lat temu, dlatego ani powietrze, ani ziemia - żywioły, z których czerpiemy najwięcej pożywki - nie zaznały jeszcze ciężaru snów. Owszem, byli też starsi mieszkańcy, ale wypędzono ich z tej ziemi, a wraz z nimi ich nadzieje i marzenia. Zostały po nich tylko łzy i przekleństwa, które splamiły powietrze.

Z początku nie wiedziałam, co zrobić z ziemią z woreczka. Trochę rozsypałam w ogrodzie, ale chociaż dzięki niej moje dalie i gardenie rozkwitły, na sny mi to nie pomogło. Kiedy domieszałam sobie szczyptę do ryżu i soczewicy, tylko rozboleł mnie brzuch. W końcu wsunęłam woreczek pod poduszkę.

Tej nocy moje sny wypełnione były kolorami i zapachami domu, chociaż wcale za nimi nie tęskniłam. Obudziłam się z krwawiącym sercem, ale sny, których potrzebowałam, które wykraczały poza moje własne krótkie życie, nie przyszły. Wyczuwałam jednak ich obecność. Mój mąż obudził się z bólem głowy i narzekał, że śniły mu się jakieś straszne wizje - krew, ruiny, zdychające zwierzęta.

Wtedy zrozumiałam, co muszę zrobić. Następnej nocy, kiedy mąż twardo spał, zabrałam swoją poduszkę do pokoju dziennego i położyłam się na szorstkim dywanie. Ledwie zamknęłam oczy, spadł na mnie sen. Przemawiał głosem kruka, dawał wskazówki.

Powiedział, czyj sen śnię, gdzie powinnam się spotkać z tym człowiekiem i jak mu pomóc. Czułam, jak moc ze snu spływa na mnie, aż kości zaczęły mi fosforyzować, a krew tętnić, jakbym się upiła. Obudziłam się z płaczem. Dopiero teraz wiedziałam, ile dla mnie znaczy owa więź z duchami snów. Nie mogłam się jej wyrzec, a płakałam również dlatego, że rozumiałam, jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić: nigdy więcej nie wolno mi spędzić nocy z mężem. Spędzić. Pierwszy raz rozumiałam wyważoną dosłowność tego czasownika, gdyż tłumaczki snów nie mogą trwonić swych nocy, jak to czynią zwykle kobiety. Nigdy więcej nie miałam poczuć ciepłej krzywizny jego pleców, przyciśniętych do mnie, gdy oboje odpływaliśmy w niepamięć. Nigdy więcej nie mogłam po obudzeniu wpatrywać się w niego, wciąż śpiącego, z rozrzuconymi włosami i kącikiem ust drgającym w uśmiechu, którego się tylko domyślałam. Drobnie intymne gesty - takie jak otulanie go kołdrą w chłodne noce albo głaskanie ramion, kiedy jęczał, bo coś złego mu się śniło - wszystko to już nie dla mnie.

Wiedziałam, że będzie zły, kiedy oznajmię mu swą decyzję. Wynagrodzę mu to - obiecałam sobie. Będę mu dogadzała w łóżku, sprawię, że pokój (już myślałam o nim „jego pokój”, nie „nasz”), zanim go opuszczę, za każdym razem wzniesie się do gwiazd... Nie wiedziałam, że to nie wystarczy.

Kiedy podniosłam poduszkę i wyjęłam woreczek z ziemią, wydał mi się lżejszy. Otworzyłam go drżącymi palcami - rzeczywiście ilość ziemi się zmniejszyła, zupełnie jakby mój

sen zużył jej część. Serce zabiło mi boleśnie, kiedy zobaczyłam, ile zostało. Na ile nocy wystarczy, zanim zniknie? I co wtedy zrobię?

25. Rakhi

Jutro ponownie otwieramy sklep - w środę. Belle uważa, że to nie najlepszy wybór, ale też nie najgorszy. Środa to dzień Budha (Czyli Merkurego.), planetarnego bóstwa inteligencji. Bardziej nadawałby się czwartek, dzień Brihaspati - planety mądrości, nauczyciela bogów.

- Czyli Merkurego.

- Od kiedy to jesteś specjalistką od astrologii? - pytam, trochę ubawiona, ale także zaskoczona.

- Jespał mi to sprawdził.

- Ach, więc to tak! - Rzeczywiście wpadał ostatnio wieczorami, żeby pomagać przy zmianie wystroju. Teraz widzę, że zajmował się jeszcze innymi sprawami. - Czy to, co dostrzegam na twym śniadym liczku, to rumieniec?

- Daj spokój żartom. To ważne, żeby mieć planety po swojej stronie, zwłaszcza gdy się walczy z siłami ciemności. Dobrze, że dziś nie sobota. Shani (Czyli Saturn.) potrafi być bardzo destrukcyjnym agentem.

- Czyli Saturn.

- Siły ciemności! Destrukcyjny agent! Jesteś zbyt inteligentna, by wierzyć w takie głupoty - odzywa się ojciec.

Belle szczęka opada z urazy. Zbieram się w sobie, ale ona zdążyła się już opanować.

- Panie Gupta - mówi z istic świętą cierpliwością. - Przecież pan wie, że to nieprawda.

Chyba lubi go coraz bardziej, bo inaczej nie potraktowałaby go tak ulgowo. Dziwne, ale ja także.

- Co jest nieprawdą? Ze to głupoty czy że ty jesteś inteligentna? Osłaniam usta dłonią, żeby ukryć uśmiech, ale Belle nie daje się zbić z tropu jego kiepskim dowcipem.

- Jak może pan tego nie wiedzieć po tylu latach życia z panią Gupta?

- O, moja droga, życie z panią Gupta to najbardziej niezwykle doświadczenie... I najcudowniejsze. Nie wyrzekłbym się go za żadne skarby świata. Ale może wyglądało ono niezupełnie tak, jak sobie wyobrażasz.

Obie zastygamy w bezruchu. Belle przestaje polerować bufet, ja - mieszać czerwoną farbę (sklep ma otrzymać nową nazwę; Jespal zeskrobał już starą z wystawowego okna). Ze wszystkich jego historii najbardziej zależy nam właśnie na tej.

Ojciec od tygodnia opowiada nam historie, a jednocześnie wypróbowuje na nas swoje przekąski i słodczyce. Zardzewiałem, tłumaczy, muszę odzyskać formę. Podejrzewam jednak, że po prostu uwielbia nas karmić. Smakują mi jego dania, ale nie aż tak jak te historie. Zdążył nam już opowiedzieć o swoich pierwszych dniach na amerykańskiej uczelni, o dziwnych zajęciach, jakich się imał, aby zarobić na życie (na przykład portiera w szpitalu czy konserwatora automatów w kasynie), o ludziach, których poznał w pracy. Nigdy bym nie przypuszczała, jaki fantastyczny gawędziarz drzemał w nim przez te wszystkie lata. Potrafi dozować napięcie, aż mamy ochotę nim potrząsnąć, potrafi nas rozśmieszać niespodziewanymi żartami. Moje ulubione historie to te o jego życiu w Indiach. Ale jak dotąd nie opowiedział nam żadnej, w której występowałaby matka, chociaż wspomina ją często mimochodem - z czułością, ze smutkiem.

Od czasu do czasu ojciec przy gotowaniu śpiewa - zwykle są to piosenki z filmów, chociaż niektóre tęskne melodie o znacznie starszym brzmieniu będą się snuły po sklepie niczym dym z paleniska. Budzą we mnie niepokój, jakby coś, co tkwi w mojej piersi, chciało się wyrwać na wolność. Przypomina mi to mrowienie w czubkach palców, bodziec do malowania - chociaż od śmierci matki nie byłam w stanie wziąć do ręki pędzla.

Kiedy pytam, tłumaczy mi, że są to ludowe pieśni pomocników rolnych z Bengalu. Zbierał je podczas wakacyjnych wizyt u wuja, który był zarządcą jednej z posiadłości królewskiej rodziny Nataal. Wyczuwam w tym historię, a nawet wiele historii, wepchniętych jedna do drugiej jak do koperty. Starczyłoby ich na cały urząd pocztowy i to na nie czekam tak niecierpliwie, że aż kręci mi się od tego w głowie.

Ale dziś ojciec się wykręca - mówi, że nie ma czasu na głupoty. Jutro wielki dzień. Marco i jego kumple porozdawali ulotki, w „East Bay” i „India West” ukazały się ogłoszenia. Podałam się i pozwoliłam ojcu zaprzęgnąć do roboty Sonny'ego, który opowiadał o naszym przedsięwzięciu w nocnych klubach. Musimy być gotowi, powtarzał ojciec. Trzeba przygotować jeszcze jedną partię gawja, owych chrupiących diamencików ze smażonego ciasta, pokrytych lukrem. Nie podobała mu się konsystencja ostatnio przyrządzonego syropu. Zapewniłyśmy go wprawdzie, że gawja były przepyszne, ale on wciąż kręcił głową. To, co odbiega od perfekcji, nie jest godne naszego „wielkiego otwarcia”, jak to nazywa. Zlecił Belle zadanie wypisania na tablicy nowego menu. Zapytała go, czy nie powinna podać krótkiego opisu każdej pozycji, ale zaprzeczył. Nie będziemy podlizywać się turystom, dodał surowo. To ma być prawdziwy cha shop. Jeśli goście zapytają - możecie wyjaśnić. Ale zdziwicie się, jak wiele już wiedzą i jak wiele potrafią się sami nauczyć. Jespalowi, który właśnie wszedł, każe odkurzać meble, mnie wygania na zewnątrz do malowania. Nowy napis ma wyschnąć do chwili otwarcia. Podporządkowuję się, nieco stropiona jego władczy, dyrektorskim tonem. Czy nie ma końca tym osobistym wycieczkom, które trzyma w zanadrzu? Tylko się nie śpiesz, ostrzega mnie jeszcze, zanim wycofa się na zaplecze.

Rysuję kontury, potem zaczynam je wypełniać. KURMA HOUSE. To ojciec wymyślił tę nazwę. Lubi kalambury, słowa ukryte pod płaszczykiem innych i odsłaniające się przy zmianie wiatru albo kiedy widz zmruży oczy. Tłumaczę mu, że kurma to danie obiadowe, a my takowych nie zamierzamy podawać. Kwituje to wzruszeniem ramion. Jesteśmy artystami, Rakhi - mówi wyniośle - czy musimy wszystko brać dosłownie?

Ciężar pędzla oblepionego farbą odczuwam jako coś właściwego. Chociaż nie jest to to samo, co komponowanie obrazu, istnieją pewne podobieństwa: opuszczenie nadgarstka, kiedy stukam o brzeg puszki, wygięcie ramienia, kiedy maluję górę litery K. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak bardzo mojemu ciału brakuje tych ruchów.

Maluję, ale chwilami mój wzrok pada w głąb sklepu. Jespal odwalił kawał dobrej roboty przy czyszczeniu szyby - jest tak przezroczysta, jakby w ogóle nie istniała. Teraz wyczytuje kolejne pozycje z listy ojca, a Belle wypisuje je na tablicy. Od czasu do czasu ich oczy się spotykają i wtedy na ich twarzach wykwitają nieśmiałe uśmiechy. Nagle poraża mnie myśl, że nim minie rok, będą po ślubie. (Czy to prorocstwo, intuicja czy zwykły domysł? Na ile mogę wierzyć w to ja, która nie jestem moją matką?). Obserwując ich, czuję się szczęśliwa, a zarazem samotna. Ale ta samotność nie wiąże się z brakiem partnera, to coś bardziej zasadniczego. Jak gdybym była ostatnią żywą istotą po tej stronie szyby, podczas gdy reszta świata - szczęśliwa, beztroska - żyła własnym życiem po drugiej. Są świadomi mojej obecności, nawet machają do mnie czasem, jak Belle teraz, ale nie mają pojęcia, jak czuje się ktoś, kto tylko zagląda i macha, a nie może się do nich przedostać.

Czy tak właśnie czuła się matka, kiedy porzuciła swą wspólnotę w jaskiniach i straciła umiejętność śnienia?

Po początkowych trudnościach ojciec poczynił znaczne postępy w tłumaczeniu dzienników. Powiada, że złapał rytm, przyzwyczał się do stylu matki. Myślę, że uzależnił się od tych dzienników tak samo jak ja, że je bada trawiony takim samym pragnieniem.

Doszliśmy do milczącego porozumienia, że nie będziemy o nich dyskutować. Obawiam się, że będzie się czuł skrepowany teraz, kiedy tyle zapisów dotyczy ich wspólnego życia. Ale czasem nie mogę się powstrzymać, by nie obserwować go ukradkiem, próbując spojrzeć na niego oczami matki.

Mam gotową połowę napisu, kiedy znów doświadczam tego dziwnego mrowienia karku. Dlaczego? Obserwowano mnie przecież, odkąd zaczęłam obrysowywać litery. Marco podszedł i zapytał, co robię, pan Jamison ze sklepu z dziełami sztuki chciał się dowiedzieć, co będziemy teraz sprzedawać, ludzie czekający na przystanku autobusowym gapili się, próbując odgadnąć niegotowe jeszcze słowa, ale tym razem jest inaczej. Czuję, jak złośliwość tego spojrzenia przenika mi przez ubranie i skórę aż do kręgosłupa niczym lodowe igiełki.

Zerkam ostrożnie w szybę, chociaż i tak już wiem. To ta kierowniczką Javy - stoi przed lokalem i jak gdyby nigdy nic pali papierosa. Nie patrzy w moją stronę, a jednak czuję na sobie jej skupioną uwagę. Czuję ciężar na plecach, od ciągłego trzymania w górze boli mnie ramię. Próbuję robić swoje, ale dłonie mi drżą i rozmazują O tak, że już się nie da poprawić.

- Jak leci? - pyta ojciec od drzwi, a ja wzdrygam się i zamazuję na dodatek jeszcze H.

- No popatrz, co przez ciebie zrobiłam! - krzyczę, ukrywając strach pod irytacją. Nie jest to całkowita prawda i on o tym wie, ale nie próbuje się bronić. Za to przynosi pudełko szmat i maczając je w rozpuszczalniku, pomaga mi zmyć rozmazane litery. Kiedy maluję je ponownie, stoi przy

mnie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Mam chęć powiedzieć: „Nie patrz, bo mnie to denerwuje”, ale nagle uświadamiam sobie, że jego obecność mnie uspokaja, chroni - jest jak tarcza. Czuję, jak zła siła uderza w nią i się odbija, nie mogąc jej przeniknąć. Zbiera się w fale, uderza znów z całym impetem... Obserwuję go w szybie, ale nie widzę żadnej oznaki, że to czuje.

- Tato - mówię - nie oglądaj się teraz, ale czy widziałeś tę kobietę przed kawiarnią?

Obraca się i patrzy, a mnie serce wali jak młotem. Chwytam go za rękę i ciągnę.

- Przecież prosiłam, żebyś się nie oglądał - syczę. Nie informuję go o myśli, która błysnęła mi w głowie: jeśli ich oczy się spotkają, ona zamieni go w kamień, jak Meduza, albo go oczaruje jak Kirke.

Co za głupoty, powiedziałaby - i czyż nie miałby racji?

Pochyla głowę konspiracyjnie, patrząc na mnie w szybie. Nie wiem, co tu jest grane, ale chętnie wezmę w tym udział, mówi jego rozbawiona mina.

- Wasza konkurencja, co? - pyta z uśmiechem. - Ale z tym już koniec! Teraz robimy coś całkiem innego, coś, z czym ona nie może się mierzyć. Spójrz tylko, beti! - Ścisną mnie za ramię. - Muszę ci wyznać nieskromnie, że przeszedłem siebie samego z tymi gawja. Chodź, spróbuj. To po prostu, jak to wy mówicie, zwala z nóg!

Przytrzymuje mi drzwi. Wchodzę. Z tyłu po raz ostatni dosięgają mnie macki zła, ale ześlizgują się po skórze. Skubię gawja, są rzeczywiście przepyszne, i staram się rozplatać mętlik w mojej głowie.

Oto na czym skończyłam. Bez wątplenia mam powody do satysfakcji.

1. Jeśli istnieje inny poziom egzystencji, mój ojciec nie ma o tym pojęcia.

2. Brak wrażliwości na te sprawy w jakiś sposób go chroni.

3. A może raczej stanowi tym większe zagrożenie?

4. Czy ów poziom można nazwać czasem snu?

5. Czy człowiek w bieli należy do czasu snu, tak samo jak w inny, ciemniejszy sposób kierowniczką? Czy to jest świat, do którego matka miała dostęp dzięki swemu darowi?

6. Nic z tego nie jest prawdą; jedyna prawda to ta, że właśnie wariuję.

- Rikki! - woła Belle, wychodząc z zaplecza ze stosem papierowych talerzyków. - Nie wierzę własnym oczom! Przecież zeżarłaś całą tacę gawja! Dziewczyno, to ze czterdzieści tysięcy kalorii! Teraz rozboli cię brzuch, będziesz rzygać całą noc, i przez to nie otworzymy jutro sklepu!

Patrzę ze zgrozą na pustą tacę. Belle ma rację. Już czuję, jak mnie rozdyma, i pewnie za chwilę pęknę.

- Dziewczynki, dziewczynki! - śmieje się ojciec, dumny ze swego sukcesu. Co go obchodzi, że córka ma brzuch jak balon. - Moje gawja nie mogą wam zaszkodzić. Pamiętacie tę piosenkę, którą tak często śpiewałyście za szkolnych lat, że doprowadzało nas to do szału? Don't worry, be happy. - Śpiewa teraz refren, naśladując do złudzenia Bobby'ego McFerrina. - Jutro wszystko będzie dobrze.

Jutro nadciąga szybciej, niż oczekiwałam. Myślałam, że będę przewracać się z boku na bok na łóżku, martwiąc się i denerwując, ale sen dopada mnie błyskawicznie i jest tak krzepiący jak łyk syropu z rasogolli. Budzę się w jasny, rześki poranek, niebo przypomina białe oleandry. Kiedy wysiadam z samochodu, na kłonie siedzi ptak, jakiego nigdy dotąd w tych stronach nie widziałam. Jest duży, szary, ma błyszczące oczy w kolorze pomarańczowej mihidany. Obserwuje mnie pilnie, bez śladu lęku. Biegnę po ojca, ale kiedy wracamy, ptaka już nie ma.

Czyżby to jakiś omen? - pytam.

Co to jest omen? - pyta z kolei on.

Wzdycham. Nie chcę się dzisiaj z nim kłócić, ale swoje wiem. Wszechświat naprawdę przesyła nam wiadomości. Problem w tym, że większość z nas nie potrafi ich odczytać.

W takich chwilach najbardziej brakuje mi matki.

Pierwszą rzeczą, która rzuca się nam w oczy po wejściu do sklepu, jest wielki banner przed Javą. PIERWSZA ROCZNICA! POWITALNE NAGRODY! DARMOCHA! - krzyczą błyszczące, różnokolorowe litery.

Patrzę na ojca, dotknięta do żywego.

- Jak można tak łąć w żywe oczy! Przecież są tu raptem od kilku miesięcy!

Nikt poza mną jednak tego nie dostrzega albo po prostu nikogo to nie obchodzi. Ludzie walą do Javy drzwiami i oknami, tłocząc się przy wejściu jak stado owiec. Po kierownicze ani śladu. Pewnie siedzi w środku i triumfalnie zgarnia kasę, która według wszelkich reguł powinna napływać do nas.

W środku Belle podpira bufet, zbyt przygnębiona, by się wściekać.

- Znów nas wykołowała - szepcze. - Co my zrobimy z tymi górami zapasów? I z tymi słodyczami, które szykował pan w nocy, panie Gupta? Wszystko pójdzie na marne, podobnie jak pańskie oszczędności, pański wysiłek... I za co? Tylko dlatego, że chciał pan nam pomóc?

Ojciec też jest nieco wstrząśnięty, ale klepie ją po ramieniu.

- Głowa do góry, panno Be! Czy to nie któryś z waszych amerykańskich bohaterów powiedział, że gra się toczy do ostatniego gwizdka? - I znika na zapleczu, skąd po chwili rozlega się brzęk garnków i patelni, a potem pogwizdywanie.

Belle popycha mnie w tamtą stronę.

- Idź, każ mu przestać. To byłoby straszne, gdyby znów pitrasił jakieś pyszności, których nie będzie komu jeść.

Ale kiedy wchodzę na zaplecze, zapominam języka w gębie. W małej wnęcie koło wielkiej kuchni gazowej widzę czarno - białe zdjęcie młodej kobiety. Przypuszczam, że to matka, ale fotografia jest stara, jeszcze sprzed moich narodzin, więc nie mam pewności.

Gdzie on ją chował przez te wszystkie lata?

Matka (jeśli to ona) ze zdjęcia patrzy smutno, odwrócona bokiem do obiektywu. Zaglądam z bliska, w nadziei, że zobaczę jakiś fragment jaskiń, o których pisała w dziennikach, ale teren wokół niej wydaje się otwarty i płaski. Gdzie to może być? Ani trawy, ani drzew, tylko sam asfalt pod nogami i niewyraźny stalowoszary kształt w tle. I nagle pojmuję! To lotnisko, a matka właśnie ma wsiąść do samolotu, który zawiezie ją do Stanów. Nic dziwnego, że wygląda na zdenerwowaną. Za chwilę opuści wszystko, co znajome, aby podążyć za mężczyzną, z którym spotkała się zaledwie kilka razy, podjąwszy decyzję uznaną przez wszystkie bliskie osoby za fatalną pomyłkę. Może zastanawia się, czy naprawdę po przeprawie przez ocean utraci swoje zdolności, tak jak ją ostrzegano. Ale mimo wszystko jest w jej twarzy coś jeszcze: determinacja, jakaś dziwna radość. Nagle zdaję sobie sprawę, że patrzę na coś, czego nie widziałam przez całe swoje życie: na matkę, która jest zakochana.

Zamykam oczy, pragnąc przywołać tak dobrze znaną twarz. Jaki zwykle miała wyraz? Kpiący, ubawiony moimi szaleństwami? Ostrożnie współczujący? Nic z tego, widzę tylko tę z fotografii. Zdenerwowana, kręcąc głową, próbując uzyskać jaśniejszy obraz, ale fotografia przesłania mi wszystko. Od tej chwili tak właśnie będę ją sobie wyobrażała: jak obcą, młodszą ode mnie i bardziej ufną osobę.

Skoro matka mogła zaryzykować tak wiele, aby pójść za swymi marzeniami, to jako jej córka, mogę chyba stawić czoło temu, co dziś mnie spotyka? Ona musiała udać się w swą podróż sama, ja, na szczęście, mam przy sobie przyjaciółkę i ojca.

No więc nic ojcu nie mówię. Patrzę, jak miesza w wielkiej misie ciasto na pakory, dodaje pokrojoną cebulę, szpinak, różne przyprawy. Jak czule jego ręce zgarniają basenową mąkę, dolewają ciepłej wody.

- Nie stój tak - upomina mnie. - Pokrój zielone chili i wrzuć do miski. Sprawdza olej, zaczyna wrzucać pierwsze kulki. W tym momencie rozlega się dzwonek przy drzwiach.

Pierwszy klient!

- W samą porę - mówi ojciec.

Za drzwiami stoi Sonny. Tylko jego tu brakowało! Kiedy byliśmy małżeństwem, żadna siła poza klęską żywiołową nie wyciągnęłaby go z łóżka przed dwunastą. Po rozwodzie, gdy zaczęliśmy dzielić się opieką nad Joną, musiał wynająć kobietę do wyprawiania małej do szkoły, bo sam nie mógł nigdy obudzić się na czas.

- Ach, to ty! - mówię, nie kryjąc zawodu. - Myślałam, że to prawdziwy klient!

- Naprawdę nie powinnaś aż tak się podniecać na mój widok. To źle wpływa na serce, zwłaszcza gdy latka lecą. - Odwraca się do Belle. - Pomyślałem, że wpadnę i rzucę okiem. Co się dzieje? Sądziłem, że zastanę tu więcej gości.

Belle niechętnie wyciąga palec w stronę okna i PIERWSZEJ ROCZNICY Sonny unosi jedną brew, co u niego oznacza namysł. Po chwili mówi:

- No dobra, ludzie, zaraz was stamtąd wykurzę.

Zamawia talerz pakor i pudełko sandeshu, po czym oddala się na zaplecze, żeby pogadać z ojcem.

- Mam go podliczyć? - szepcze Belle. - W końcu to rodzina... w pewnym sensie.

Waham się, bo nie znam zbyt dobrze zasad etykiety wobec byłych mężów. Mimo wszystko zachował się przyzwoicie, przychodząc, zwłaszcza po tamtej awanturze, w której zresztą ja bardziej zawiniłam. Uzgadniamy, że pakory będą gratis, ale za sandesh niech płaci.

Wyszedł z zaplecza z talerzem pakor, które musiał dostać od ojca.

- Dobrze! Nie wiedziałem, że tata ma takie ukryte talenty. Chcesz jedną?

„To nie jest twój tata”, mówię w duchu. Szczerzy do mnie zęby, bo dokładnie wie, o czym myślę, i wychwala mój szyld. Żartuje z ojcem na temat nowej nazwy, zapowiada, że następnym razem zażąda prawdziwej kurmy.

- Jasne, beta - odpowiada ojciec. - To będzie na specjalne zamówienie, tylko daj mi znać godzinę wcześniej.

„To nie jest twój beta”, mówię w duchu do ojca.

Przed wyjściem Sonny podchodzi do Belle.

- Piękniejesz w oczach! Co jest grane? Jesteś zakochana?

Na widok jej rumieńca wybuchą śmiechem - radosnym, zaraźliwym, dźwięcznym. Patrzymy, jak wciąż uśmiechnięty, oddala się ulicą, wymachując pudełkiem sandesh, zwieszającym się z lewej ręki.

- Rozumiem, czemu za niego wyszłaś - mówi Belle. - Naprawdę, jak włączy ten swój wdzięk...

- Wyłączyć też go umie - odpowiadam cierpko, patrząc, jak Sonny z ożywieniem gada przez telefon. - Pewnie dzwoni do swojej dziewczyny, teraz ona ma swoje pięć minut wdzięku.

Belle przygląda mi się zmrużonymi oczami.

- A dlaczego cię nagle obchodzi, że dzwoni do dziewczyny? Riks, ty ciągle...

- Nie - ucinam. - I nie nazywaj mnie Riks.

A jednak źle oceniłam Sonny'ego. W miarę upływu dnia zachodzi do nas paru jego kumpli - muzyków i didżejów. Nie widziałam ich, odkąd się od niego wyprowadziłam. Głupio się czuję, witając ich w sklepie, ale oni, jak się wydaje, przyjęli fakt naszego rozstania bez mrugnienia okiem. W ich świecie takie rzeczy to normalka. Sonny musiał ich skrzyknąć i poprosić, by nas odwiedzili. Kilku wyraża chęć poznania nowego szefa, więc pewnie i o ojcu im powiedział. Ten wymaszerowuje w teatralny sposób z zaplecza, trzymając przed sobą wielką szmaragdowozieloną miskę chutneya, po czym zaczyna snuć historie na temat poszczególnych dań, co robi spore wrażenie. Taki pudding ryżowy - mówi - to jeden z najstarszych hinduskich deserów, wspomniany nawet w Ramayanie. Bogowie przysyłali go jałowym żonom króla Dasharatha, aby uczynić je płodnymi. Albo laddus (Laddus - kulki z ciasta sporządzonego z ciecierzycowej mąki, mleka, cukru i ghee, z dodatkiem różnych przypraw i orzeszków pistacjowych itp.): sporządza je według tego samego przepisu, którego kucharz Duryodhana użył w „Mahabharacie”, by skusić i otruć jego kuzyna Bheema - oczywiście minus trucizna. Rzucam mu podejrzliwe spojrzenie, ale kumple Sonny'ego są zachwyceni. Zamawiają solidne porcje, a potem zostawiają duże napiwki. Na lunch Jespal przyprawia grupę swoich współpracowników i obiecuje po pracy wrócić z następną. W sklepie jest większy ruch, niż widziałyśmy od miesiąca, ale i tak nie jestem zadowolona. Nie możemy prowadzić interesu, opierając się na samych znajomych. Potrzebujemy obcych ludzi - takich jak ci, którzy szturmują Javę. Ale jak ich przyciągnąć?

Po lunchu sklep pustoszeje. Belle myszkuje na zapleczu, ja układam na nowo laddus na paterze i od czasu do czasu zerkam w okno na tłumek przed Javą. Wciąż jest tam

mnóstwo ludzi. Nasze laddus ledwie udało się napocząć, inne desery leżą nadal nietknięte. Jeśli do końca dnia liczba gości nie zwiększy się w znaczący sposób, będziemy zmuszone - zgodnie z przewidywaniami Belle - wszystko wyrzucić.

Ojciec też ma zatroskaną minę. Mówi, że musi odetchnąć świeżym powietrzem, i wystawia sobie krzesło przed drzwi. Kiedy wychodzę po samochód (muszę odebrać Jonę ze szkoły), słyszę, jak śpiewa pod nosem, rozmasowując sobie złamane ramię. Nie znam słów, ale melancholijne tony rezonują we mnie jeszcze długo, nawet gdy już ich nie słyszę.

Na skrzyżowaniu oglądam się na niego i ku swemu zdumieniu, widzę, że rozmawia z jakimś obcym mężczyzną. Nieznajomy jest mniej więcej w jego wieku i także hinduskiego pochodzenia. To ostatnie poznaję nie po twarzy (stoi do mnie tyłem) ani po stroju (ma na sobie džinsy i bawełnianą koszulkę), ale po gestach. Ojciec też pomaga sobie takimi okrągłymi, ponagłającymi ruchami ręki, tak samo dramatycznie podrzuca głową. Ani Belle, ani ja, ani nawet Jespal, który tak gorliwie przestrzega noszenia turbana, nigdy nie wykonujemy tego rodzaju gestów. Rytmy ciała... jak one dzielą ludzi!

Światło zmienia się na zielone i tłum rusza do przodu. Idę wraz z innymi, takim samym amerykańskim, śpiesznym krokiem.

Podjeżdżam pod szkołę i widzę Jonę we łzach. Nie może znaleźć swojej śniadaniówki. Jest nowa, czerwono - czarna, ze smokiem na wierzchu. Wyjątkowa. Przeszukujemy klasę, potem boiska, ale nigdzie ani śladu.

W końcu się poddajemy i wsiadamy do samochodu. Jestem zmęczona i zła, Jona nie przestaje płakać. Powinnam wrócić do sklepu już godzinę temu, żeby zmienić ojca i pozwolić mu położyć się na chwilę na zapleczu.

- Powinnyśmy jeszcze poszukać - rozpacza Jona. - Teraz mój smok odleci i nigdy nie wróci.

Nie chcę być dla niej za ostra, w końcu tak mało czasu spędzamy ze sobą, ale słowa wymykają mi się, zanim zdążyłam pomyśleć.

- Nie gadaj głupstw, to nie jest prawdziwy smok. I powinnaś bardziej pilnować swoich rzeczy.

- Ty ciągle na mnie krzyczysz! Szkoda, że Sonny mnie nie odebrał, on na pewno by jeszcze poszukał. I nie powiedziałyby, że gadam głupstwa.

Zaciskam palce na kierownicy, żeby nie odwrócić się i jej nie trzepnąć. Skąd dzieci znają bezbłędną procedurę zmieniania najłagodniejszego, najbardziej rozważnego rodzica w furiata?

Oddycham głęboko, żeby zapanować nad głosem, i dopiero po chwili mówię:

- Wolałabym, żeby twój tata nie kupował ci tych wszystkich wymyślnych rzeczy, które tylko kuszą do kradzieży.

- Skąd wiesz, czy ktoś ją ukradł? - odparowuje Jona. - Nie wolno nikogo posądzać, jeśli się nie ma dowodu.

Gdzie ona się nauczyła tak mądrzyć?

- Może leży pod klonem w kącie placu zabaw - dodaje. - Nie pozwoliłaś mi tam pójść. A poza tym to wcale nie Sonny kupił mi tę śniadaniówkę.

- Więc kto?

- Eliana.

Zjeżdżam na pobocze i wyłączam silnik. Odwracam się, patrzę na Jonę. Łzy zostawiły na jej buzi brudne smugi i przez chwilę mam ochotę odpuścić sobie ten temat. Ale nie, tym razem sprawy zaszły za daleko. Nie mogę jej pozwolić na mieszanie rzeczywistości z fantazją.

- Jonaki - mówię stanowczo. - Nie ma żadnej Eliany. Powiedz mi, kto naprawdę dał ci tę śniadaniówkę. A może - głos mi drży i wcale nie tylko z gniewu - spędziłyśmy godzinę na szukaniu pudełka, które nie istnieje? Patrzy w okno.

- Jonaki, mówię do ciebie! - Mnie samą przeraża ten twardy, podniesiony głos, który wydobywa się z moich ust. Ale nie wolno mi ustąpić. - Odpowiedz! W tej chwili!

Jona kuli się na siedzeniu.

- Jest tak, jak mówiła Eliana - szepcze. - Uprzedzała mnie, żeby ci o niej nie opowiadać, bo mi nie uwierzysz i będziesz wściekła.

Cichutki, lekko łamiący się głosik wbija się we mnie jak nóż. Zaciskam powieki. Co ja, u diabła, wyprawiam?!

Kiedy je znów otwieram, Jona patrzy na mnie przez palce z oczami rozszerzonymi ze strachu.

- Przepraszam, malutka - mówię. - Naprawdę nie chciałam. Miałam ciężki dzień w sklepie, ale oczywiście nie powinnam się na tobie wyładowywać. Kupię ci nową śniadaniówkę, jeśli tej nie znajdziemy. - Będę musiała poczekać z tymi pytaniami, które krążą dookoła mnie jak moskity, czekając tylko, żeby ugryźć. Na przykład: Kiedy i gdzie Eliana (założywszy, że ktoś taki istnieje) dała Jonie tę śniadaniówkę? A jeśli nic takiego się nie wydarzyło, to co się dzieje w głowie mojej córki?

Może Sonny ma na to jakąś odpowiedź. Będę musiała wypytać go na osobności.

- Wybaczysz mi? - pytam Jonę, uśmiechając się najpiękniej, jak potrafię. Kiwa główką, ale nie bierze mojej wyciągniętej ręki, a gdy zostawiam ją przy Kurma House i jadę zaparkować samochód, biegnie do środka, nie oglądając się na mnie.

Zapada już zmierzch, kiedy do sklepu wchodzi jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili go nie poznaję, ale potem

widzę, że to ten sam, z którym wcześniej rozmawiał mój ojciec.

Przygotowujemy się do zamknięcia. Po południu przewinęło się paru gości, ale jednak zbyt mało, więc na ladzie wciąż stoją ogromne ilości jedzenia. Belle zlizwała całą szminkę z ust, włosy ma w strąkach, ojcu obwisły smętnie ramiona. Kiedy wycofuje się na zaplecze, widzę, że kuleje, tak jak w pierwszych dniach po wypadku. Prawie się nie odzywam. Karmię Jonę, pomagam jej odrobić lekcje (w końcu mam mnóstwo czasu), ona pomaga mi wyczyścić szybę, na której zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu wypisałam naszą nową nazwę. Widzę odbijające się w niej słodycze - tak pieczołowicie przygotowywane, tak ostrożnie układane w stosy - i mam ochotę płakać.

Mężczyzna pyta o ojca, a gdy ten wynurza się z zaplecza, mówi coś do niego szybko w nieznanym mi hinduskim narzeczu. Ojciec odpowiada mu, chociaż częściej się waha. Obaj punktują swe wypowiedzi owymi emfatycznymi, zaszyfrowanymi ruchami rąk, które zauważyłam już wcześniej. O języku mogę powiedzieć tyle, że nie jest to bengalski. Zaintrygowana, zerkam na Belle, ale ona kręci tylko głową. Zmuszona przez rodziców, nauczyła się hindi i pendżabskiego, ale odkąd wyprowadziła się z domu, dołożyła wysiłków, by wszystko zapomnieć, co zresztą się jej prawie udało.

Na koniec rozmowy przybysz składa ojcu zaskakująco wytwornie salaam i wychodzi. Ojciec patrzy za nim przez chwilę.

- O co chodzi, dziadziu? - pyta Jona. - Czego chciał ten pan?

- To absolutnie niesamowite! Słyszał, jak śpiewałem... właściwie nuciłem dziś po południu, i zatrzymał się, żeby posłuchać. Zapytał mnie wtedy, czy znam jeszcze inne pieśni

w hindi. Odpowiedziałem, że owszem, znam parę, i na tym się skończyło. Teraz wrócił, żeby zapytać, czy nie zaśpiewałbym dla jego przyjaciół, gdyby odwiedzili nasz sklep. Wszyscy uwielbiają miłosne piosenki z filmów, zwłaszcza tych starych, a nie znają żadnego miejsca, gdzie mogliby posłuchać ich na żywo. Powiedziałem, że z przyjemnością, a on na to, że zaraz ich tu sprowadzi. A więc, moje panie, czy możemy jeszcze przez jakiś czas nie zamykać?

Wyrażamy zgodę. W końcu, co mamy do stracenia? Mija godzina, Jona przysypia. Zaczynam podejrzewać, że ojciec źle tego pana zrozumiał. Nagle za drzwiami słychać zgiełk i wchodzi grupa mężczyzn w wieku ojca. Jedni są ubrani na sposób zachodni, inni w kurtach - pajamach, ale najbardziej rzucają mi się w oczy ich twarze. Całe poryte bruzdami, bez skrepowania ukazujące wiek, zdradzają burzliwą przeszłość, przeżyta w zupełnie innych miejscach niż to, obfitująca w trudności i triumfy, jakich nie umiem sobie wyobrazić. Znów nasuwa mi się słowo „cudzoziemcy”, choć wiem, że brzmi ironicznie. Przecież to moi rodacy. Mamy taki sam kolor skóry. Przesuwam wzrok na ojca. Czy jego twarz ma taki sam wyraz? Trudno powiedzieć, jesteśmy sobie zbyt bliscy.

Goście składają skromne zamówienie: herbata i jilebi. Upijają kilka łyków, od czasu do czasu coś skubną. Z niezdatną uprzejmością - może nie przywykli do rozmów z nieznanymi kobietami - mówią Belle i mnie, że wszystko jest babut achha. Ale nie na jedzeniu skupiają swoją uwagę. Ledwie ojciec przysunął sobie krzesło, zasypują go pytaniami. Czy zna piosenkę z filmu „Anand”? A z „Guide”? Czy może zaśpiewać „Gaata Rahe Mera Dil”?

I tak ojciec, który dotąd śpiewał tylko dla siebie (my raczej nie nadawałyśmy się na słuchaczki jego popisów wokalnych), intonuje melodię głosem wyraźnie spełniającym nadzieje naszych gości. Kiwiają głowami do taktu - widać, że

też znają słowa, ale całkowicie zdali się na talent ojca. Po paru minutach jeden z nich wyciąga z kieszeni ustną harmonijkę, drugi wyjmując z torby, której nawet nie zauważyłam, dwustronny bębenek. Kiedy ojciec zaczyna drugą piosenkę („Zaśpiewaj nam ganę z »Sholay«, Bhaisaheb!”), akompaniują mu, napełniając sklep wesołością i budząc Jonę, która siada z sennym uśmiechem. Zapomnieli o naszej obecności - nawet o ojcu. Muzyka rozbrzmiewa jeszcze przez parę godzin - piosenka za piosenką, bez chwili przerwy. Gdy zdarzy się wyjątkowo chwytliwa melodia, kilku mężczyzn podrywa się do tańca - poruszają się nieśpiesznym, swobodnym krokiem, jaskrawe chustki, które zmaterializowały się nagle w ich dłoniach, wznoszą się i opadają niczym szale magika w powolnym falowaniu.

Kiedy ojciec definitywnie kończy, nie mogąc złapać oddechu, nikt nie bije brawa. Dla naszych gości to, co się tu działo, nie jest żadnym przedstawieniem, tylko ceremonią, czymś, w czym uczestniczyli. Ale Belle, Jona i ja mimo wszystko klaszczemy. Dźwięk wypełnia pomieszczenie, odbijając się echem, a kiedy się odwracam, widzę następnych gości. Czyżby usłyszeli muzykę i przyszli zobaczyć, co się dzieje? Jest wśród nich i Sonny, przyszedł zabrać Jonę do domu. Wydaje przenikliwy gwizd i woła coś, czego nie rozumiem. Twarze mężczyzn rozjaśniają się w uśmiechu.

- Ostatnie zamówienia! - krzyczy Sonny, widząc, że tłumek zaczyna się rozpraszać. - Oto przed wami szansa na spróbowanie specjałów bengalskiej kuchni, prosto spod ręki najznakomitszego kucharza Kalkuty! - Mam wątpliwości, czy to zadziała, ale kilka osób zagłąda do szklanych gablot. Koniec końców sprzedaliśmy więcej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał. Nadal musimy część zapasów oddać Marcowi, ale zamykając lokal, mamy miłe uczucie spełnienia.

- No, tato - mówi Sonny, wychodząc za nami z Joną na rękach - wyraźnie coś się kroi.

Mój tata wzrusza ramionami, ale się uśmiecha.

Ci sami mężczyźni wracają teraz co wieczór, żeby pomuzykować. Jeśli ojciec nie zna piosenki, o którą proszą, nie mają pretensji, tylko proponują inną. (Ojciec jednak też się uczy. Sonny przyniósł mu więcej taśm i nawet urządzenie do karaoke, żeby mógł sobie ćwiczyć w domu). Wiadomość o naszych wieczorkach musiała się rozejść, gdyż pewnego dnia pojawił się czarnoskóry gość z wysokim, rzeźbionym bębniem oraz flecista o wyglądzie Latynosa. Tydzień później przyszedł hippis z warkoczykiem i tamburino. Hindusi popatrywali ciekawie na wygoloną, błyszczącą głowę Murzyna, innych zainteresowała syrena wytatuowana na bicepsie hippisa, ale zaraz zrobili im miejsce i kiwali z aprobatą głowami, kiedy nowe instrumenty przyłączyły się do akompaniamentu. Zaczęło się także zbierać małe grono regularnych słuchaczy. Ci wprawdzie okazali się miłośnikami głównie muzyki, nie jedzenia, ale mimo wszystko interes się rozkręcał.

- W życiu bym się nie spodziewała, że kogoś mogą jeszcze interesować stare hinduskie piosenki - dziwi się Belle.
- Przecież większość tych ludzi nie rozumie z nich ani słowa.

Ma rację. Jest wśród nich paru Azjatów, ale w zasadzie publiczność składa się z mieszanki ras.

- Przypuszczam, że dobra muzyka nie zna granic, podobnie jak dobra kuchnia - odpowiadam.

W duchu jednak podejrzewam, że słuchaczy przyciągają, podobnie jak mnie, ci starzy mężczyźni. Są bardzo tajemniczy, nie wiadomo, skąd pochodzą, dlaczego opuścili swoje dalekie kraje. Z czego musieli zrezygnować, żeby przetrwać w Ameryce? Obserwowanie ich wyciąga nas z ciasnego swojskiego światka ku szerszym horyzontom jakiegoś „dawno, dawno temu za siedmioma górami, za siedmioma rzekami”. To o to wierciłam matce dziurę w brzuchu, chociaż ona z uporem twierdziła, że jedyna magia jest tu i teraz.

Ale tym, co najmocniej bije w oczy, kiedy sobie tak grają, jest radość, że odkryli coś, czego nigdy nie spodziewali się znaleźć tutaj, w Ameryce, że im się to objawiło niczym niespodziewana oaza wśród pasma jałowych wydm. Sama przyjemność patrzeć, jak się tym cieszą.

Ponieważ sytuacja w biznesie się ustabilizowała, znowu zatrudniamy Ping, która przejmuje ranną zmianę. Ojciec, podniesiony na duchu z powodu podwójnego sukcesu jako szef kuchni i gwiazda estrady, zaczyna przywiązywać się do sklepu. Wracam do swojego mieszkania, a Jona znów przebywa u każdego z rodziców na zmianę.

Spodziewałam się, że będę w siódmym niebie, znalazłszy się wreszcie u siebie, a tymczasem czuję się dziwnie samotna. Mimo całej irytacji, jaką budził we mnie ojciec, brakuje mi naszych krótkich nocnych rozmów. Ostatnio był za bardzo zajęty, by kontynuować tłumaczenie, i to także napęła mnie zniecierpliwieniem. Owszem, cieszę się, że mam przy sobie Jonę, ze skrucą przyznaję, że odzwyczaiłam się od układania sobie dnia według potrzeb dziecka. Przebywając z nią pod jednym dachem, nie mam chwili spokoju. Kiedy Jona kręci się

w pobliżu, jeszcze bardziej brakuje mi matki. Mam ochotę zawołać ją na pomoc, gdy mała urządza awantury albo zaczyna się w oślim uporze. Natomiast zaczyna we mnie kiełkować niechętny szacunek dla Sonny'ego - w końcu przez wszystkie te dni zajmował się naszą córką bez słowa protestu czy skargi.

Mój obraz utknął w martwym punkcie. Nawet Jona ze swoimi ognistymi scenami radzi sobie lepiej niż ja. Z wystawy w Atelier sprzedano kolejne dwa obrazy, ale wcale nie czuję dreszczyku emocji. Z ukończonym dziełem nic mnie już nie wiąże, jakby namalowała je inna osoba, i to taka, której bynajmniej nie podziwiam. Szczególnie dotyczy to obrazów o tematyce indyjskiej. Jak mawiała moja matka, brak im autentyczności.

Chcę stworzyć coś nowego, odmiennego i magicznego, tylko nie wiem, co by to być mogło. Na pewno nie replika pejzażu z drzewami i mężczyzną w bieli, przynajmniej tyle wiem.

Daj sobie trochę czasu, mówi Belle. Tyle ostatnio przeszłaś.

Jak mam jej wytłumaczyć, że każdy kolejny dzień bez malowania dodaje do tego pustkę, poczucie marnotrawstwa?

Co noc mi się coś śni, ale nic nie pamiętam. Zupełnie jakbym miała w sobie mur (kto go zbudował?), który chroni mnie przed czymś tak bolesnym, że nie mogłabym tego znieść. Moje sny zostają po jego drugiej stronie. Rano budzę się z mglistą pamięcią koloru, cichutkiego śmiechu, zapachu jedzenia, plaż, z poczuciem straty. Jestem przekonana, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane: moja niezdolność da malowania i brak snów. Nie wiem jednak, jak zniwelować ten podział, i prawdę rzekłszy, boję się tego.

Martwi mnie to wszystko tylko w chwilach złego humoru. Przeważnie jestem zajęta i wdzięczna niespodziewanej odmianie losu Kurma House. Nasza klientela wciąż rośnie. Do

muzyków przyłączyła się Azjatka. Nosi czarną pelerynę i gra na samisenie (Samisen - trzystrunowy instrument muzyczny, podobny do banjo.). Nie mam czasu zastanawiać się, co sądzi o tym wszystkim nasza konkurentka z przeciwnej strony ulicy. Może ojciec ma rację: nie powinnam już uważać jej za konkurentkę. W Kurma House robimy coś wyjątkowego, czego ona nigdy nie zdoła naśladować. Ma swoją przestrzeń, ja - swoją.

Późną nocą gasimy światło, zamykamy sklep i idziemy na parking. Czasem towarzyszy nam Jespal. Albo Sonny, jeśli akurat ma wolne. Ale przeważnie idę między ojcem a Belle, niosąc śpiącą Jonę. Mam przyjemnie obolałe mięśnie. Ulice o tej porze są puste, ale Kurma House jest otwarty dłużej niż inne lokale w okolicy. Czasem mój wzrok pada na nieoświetlony prostokąt okna wystawowego Javy. Czyżby był ciemniejszy od innych? Czyżby ta atramentowa czerń wyciekała z niego, żeby nas dosięgnąć? Chyba zaczyna mnie ponosić wyobraźnia. Jeśli przetrę oczy i spojrzę jeszcze raz, zobaczę okno jak każde inne. Poza tym, czego się obawiam? Wsiadając do samochodu, macham na pożegnanie do ojca i mojej najlepszej przyjaciółki. Ogarnia mnie fala ciepłej serdeczności, świadomość wielu błogosławieństw. Wysyłam ciepłą myśl do blond kierowniczkę, gdziekolwiek teraz przebywa, i ruszam wraz z córką do domu.

26.

Budzi się w środku nocy. Sen już się wokół niej rozprasza, cały w strzępkach oderwanych sylab, plamach blaknących kolorów. Przenikliwy dzwonek telefonu sprawia, że jej serce łomocze głucho, przygniecione ciężarem koszmarnego déjà vu. Rakhi ma ochotę zakopać się w łóżku, zignorować dźwięk, póki nie ustanie, ale pamięta, że taka niechęć doprowadziła już raz do tragedii. Czy gdyby nie wyłączyła telefonu tamtej nocy, zdołałaby dotrzeć do matki jeszcze przed jej śmiercią?

Takie oto pytania nachodzą ją w ciemnościach. Żeby je uciszyć, sięga po telefon.

Dzwoni Sonny, co jej specjalnie nie dziwi. Tym, co ją dziwi natomiast, jest fakt, że nie jest na niego wściekła. Kiedyś będzie musiała zastanowić się dlaczego, ale na razie Sonny zawiadamia ją, że Jona ma gorączkę.

- Dałem jej tylenol i dużo wody. Temperatura trochę spadła, ale ona płacze i pyta o ciebie... - Kończy, zawieszając pytająco głos, bo zresztą to jest pytanie.

W odpowiedzi Rakhi wsiada do samochodu. Jadąc przez nocne ulice, powtarza jak zaklęcie imię córki: Jona, Jona, Jona... Dzieci ciągle dostają gorączki, dobrze o tym wie. Ale odkąd straciła matkę, nie może wyzbyć się nieznanego dotąd strachu. Stary towarzysz, szepczący głos rozpycha się w jej głowie. Nie było cię przy niej, kiedy cię potrzebowała. Co z ciebie za matka?

Jeszcze głębiej kryje się kobieta, która rozgląda się za czarnym samochodem. Co zrobi, jeśli znów go zobaczy? Czy potrafi trzymać się drogi wytyczonej przez obowiązek? Dziwnie pociąga ją myśl, by z niej zboczyć, uciec od wszystkich kłopotliwych życiowych ról (niestabilna matka, marna przyjaciółka, zablokowana malarka, niezaradna biznesmenka, pełna pretensji, ślepa na sny córka, zaborcza ekszona) gdzieś, w nieznaną przestrzeń, w nieprzewidywalny

byt. Ale wszechświat, który daje coś tylko wtedy, kiedy zechce, jakoś tej nocy nie zamierza jej kusić.

Znów ma przed sobą dom złamanego serca. Sonny zostawił niezaryglowane drzwi - o ten zwyczaj toczyli boje w czasach, kiedy jeszcze kłócili się o takie rzeczy. Później Rakhi postanowiła dać temu spokój, uznając, że nie starczy jej życia na przerobienie Sonny'ego na swoją modłę. Tak, bo w gruncie rzeczy właśnie o to walczyli, teraz dostrzega to nagle, jakby w błysku zapalki. I po raz pierwszy poraża ją absurdalność tych kłótni. „Nie podobałoby mi się przecież, gdyby to on próbował przerobić mnie na swój obraz, prawda?”.

- Jestem - woła, wchodząc, głównie po to, aby sobie przypomnieć, że nie przynależy już do tego domu, więc jej obecność powinna być zaanonsowana i monitorowana. Za stłumionym głosem Sonny'ego idzie do sypialni. Z ciężkim sercem wkracza w przestrzeń, na którą (Rakhi wie to instynktownie jak większość byłych żon) Sonny wprowadzał inne kobiety. Potem wzrok jej pada na Jonę - zwiniętą na łóżku, z wypiekami na buzi, wstrząsaną dreszczami - i wszystko inne staje się nieważne.

Minęły godziny, przyniesiono miski z zimną wodą, na czole dziecka zmieniano kompresy. Dziecko na przemian poci się i trzęsie, ściska matkę tak, że ją bolą zębra, to znów ją odpycha. Prosi o wodę, a kiedy dostaje, odtrąca rękę i dzbanek leci na podłogę. Tylenol działa przez jakiś czas i wtedy gorączka spada, po czym słupek rtęci znów pnie się niebezpiecznie wysoko. Rodzice (wskoczyli w tę rolę ze strachu) zastanawiają się, czy nie zawieźć małej na pogotowie, ale dziecko zaczyna tak rozpaczliwie płakać, że rezygnują z tego pomysłu. W końcu matka napełnia wannę chłodną wodą i sama się w niej zanurza. Dopiero gdy ubranie nasiąka wodą, dociera do niej, że się nie rozebrała. Ojciec podaje jej dziecko - rozpalone, bezwładne, apatyczne ciało. Mała wydaje krzyk

protestu, ale po chwili wpasowuje się w znajome krzywizny ciała matki. Matka tuli ją i kołysze, nucąc cichutko. Tworzą dziwne tableau, ta namoknięta madonna z dzieckiem, o pomarszczonej od wody skórze i palcach jak zwiędłe winogrona. Wreszcie ciało dziecka schładza się dostatecznie, ojciec owija je w ręcznik i niesie do łóżka. Matka staje na zdętwiałych nogach, trzymając się brzegu wanny zeszywniałymi palcami. Ściąga mokre ubranie i wyciera się najlepiej jak potrafi małym ręcznikiem do rąk. Pamięta ten ręcznik - należy do kompletu, który kupiła na sąsiedzkiej wyprzedaży za czasów studenckich. Pamięta, jak się cieszyła, kiedy go niosła do domu, jak pokazywała mężowi, czekając na jego pochwałę. Teraz ręcznik jest już stary, ma wystrzępione brzegi, wytarte rdzawoczerwone nitki pachną wodą po goleniu. Ciekawe, czemu były mąż dotąd go nie wymienił? Pewnie nie zauważył, mężczyźni są tacy - ich wzrok zawsze skierowany jest nie na to, co mają przed nosem.

Sięga za drzwi, gdzie wisi jego szlafrok - cały czas na tym samym haczyku. Ten haczyk też ma swoją historię; jej palce zachowały pamięć zdzierania ochronnej taśmy - zapach kleju, dzień jasny od... ale dość już tych wspomnień! Jest tu tylko dlatego, że córka jej potrzebuje, to jedyny powód, więc nie zamierza popadać w nocną melancholię, która podsuwa jej inne racje. A jednak kiedy wkłada szlafrok (cienkie jedwabne kimono, które już zsuwa się jej z ramion - zupełnie niepraktyczne przy zimnych nocach w rejonie Zatoki, ciekawe kto mu takie coś kupił), nie może powstrzymać fragmentów obrazów, które rozbłyskują w jej głowie. Tamta fatalna impreza, drink w jej ręce, kilka drinków, kobieta w przebraniu kelnerki wciskająca jej kawior (czy czegoś tam dosypała?), ramiona ciągnące ją w dół, usta, których nie mogła rozpoznać, jej krzyk wzywający Sonny'ego, potem siniak na udzie,

wrażenie wylatywania z własnego ciała. Kolejny raz czuje się tak, jakby patrzyła na puszczone zbyt szybko taśmę filmu.

Po upływie tygodnia próbowała porozmawiać z Sonnym. Dopiero wtedy mogła wyrzucić z siebie to, co się przydarzyło, ale i tak miała trudności; wciąż brakowało jej tchu, w ustach czuła suchość, twarz ją paliła, jakby to ona powinna się wstydzić. Mąż zmarszczył brwi i zapytał: „Ale czy jesteś pewna? Nie mogę uwierzyć, by ktoś cię zaatakował. Może ci się pomyliło... Czyżbyś coś brała? Może nie zdawałaś sobie sprawy...?”.

Sprowadzenie tej potworności, która ją spotkała, do odlotu na prochach wprawiło ją we wściekłość. Wybuchła awantura, on wybiegł, trzasnąwszy drzwiami, a jej nigdy już nie udało się powiedzieć tego, co próbowała. Bo najgorszy z tej okropnej nocy wcale nie był sam atak, tylko fakt, że Sonny nie pośpieszył jej na ratunek. Wzywała go, a on ją zawiódł.

Nigdy już nie poruszyła tego tematu i wkrótce potem się wyprowadziła.

Ale teraz, wobec tej niepewności, jaką czuje od śmierci matki, zastanawia się: Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy? Czy naprawdę mogło jej się coś pomieszać? Czy wypadki i okoliczności - to przecież historia sama w sobie, zawsze uważała ją za solidną i niepodważalną - nie są warte więcej niż płynna lawa? Czy rekonstrukcja historii to wysiłek z góry skazany na niepowodzenie?

Wszystko to przelatuje jej przez głowę, kiedy idzie w stronę łóżka. A jednak nie wolno mu było jej nie wierzyć. Powinien okazać więcej współczucia, przeprowadzić śledztwo, pytać, wreszcie ukarać tego, kto za to odpowiadał. Powinien być jej obrońcą, miała prawo spodziewać się tego po mężu, a gdyby mu się nie udało, cierpieć razem z nią. Ale tak się nie stało. Wrócił do tego klubu jak gdyby nigdy nic i dalej im puszczał swoją piękną muzykę.

- Mamuś - chrypi Jona głosem starego palacza - połów się przy mnie, proszę... Tu, na mojej poduszce. - Oczy dziewczynki są nieco przytomniejsze, i w podzięce za to kobieta spełnia jej prośbę, chociaż kiedyś sobie przyrzekła, że nigdy już się w tym łóżku nie położy. Łóżko skrzypi pod jej ciężarem. Ten dźwięk jest jak zardzewiały chichot... Dom, który opuściła, śmieje się w kułak, widząc, jak jej duma ustępuje wobec macierzyńskiego obowiązku.

- Teraz ty - komenderuje dziecko, zwracając się do ojca. - Kładź się z drugiej strony, o tu. Połów głowę na poduszce. - Kiedy ojciec robi, co mu kazano, dziecko bierze ich oboje za ręce i łączy je na swojej piersi. Potem wydaje tak głębokie westchnienie, że czują ucisk jej żeber. Kobieta leży cicho, czuje się niezręcznie, ale nie ośmiela się ruszyć, bo dziecko wreszcie wydaje się spokojne. Stara się unikać wzroku mężczyzny, choć każdym nerwem wyczuwa ich splecione palce. Odkąd się wyprowadziła, nie dotykała go, chyba że przypadkiem. Co on czuje? Co ona czuje?

Serce dziecka nie bije już jak oszalałe, oddech też się wyrównał. Tak, śpi teraz, ale niespokojnym snem, bo oczy pod powiekami poruszają się gwałtownie. Może to zaraźliwe, może ta ulga sprawia, że rodzice też się odprężają... A może po prostu są zbyt wyczerpani nocnymi wypadkami, w każdym razie ich oczy się zamykają i oni także zapadają w sen.

Śni. Ale wie, że to nie jest jej sen. Od czasów dzieciństwa nie zdarzało jej się śnić w tak jaskrawych kolorach. To sen Jony, a śni go ona, jej matka, ponieważ głowy ich wszystkich stykają się na poduszce. (Czy Sonny'emu też się to śni? Ale nie, ten człowiek nie ma w sobie żadnych snów, tylko kakofonię dźwięków).

W tym śnie stoją na zboczu wzgórza - kobieta i dziecko. Domyśla się, że to matka i córka. Nie wie, czy patrzy na Jonę i siebie, bo są odwrócone do niej plecami, a ich sylwetki

mającą w szarości zapowiadającej świt. To piękna scena. U ich stóp rosną dzikie kwiaty - maki i łubiny o gotowych do otwarcia pączkach. Wschodzi słońce - widzą już zorzę rozświetlającą krawędź wzgórza. Czeka ją z niecierpliwością, trzymając się za ręce. Ale gdy słońce się ukazuje, jego blask jest zbyt rażący - to biały chemiczny promień. Kobieta zbyt późno się orientuje, że coś jest nie w porządku. Ledwie starcza jej czasu, by pchnąć dziecko w dół, zanim światło dosięgnie jej włosów. A potem nagle jej nie ma... ot, tak po prostu - wyparowała. Klęcząca dziewczynka została sama i zanosi się płaczem.

Matka coś woła w swym śnie, próbuje ostrzec dziewczynkę, ale z jej ust wydobywa się tylko zduszony, nieartykułowany dźwięk. Światło lada chwila uderzy w dziecko... ale nie, słońce zatrzymało się w swej wędrówce, a z drugiej strony wzgórza wychodzi inna kobieta. Rozświetlona i piękna, z długimi brązowymi włosami, idzie w stronę dziecka, a kiedy jest już blisko, wyciąga rękę. Śniącą matka marszczy brwi - widzi w tej obcej coś znajomego - powiewną, szyfonową spódnicę, kwiaty we włosach. Dziecko podnosi niepewnie wzrok, na chwilę zapomina o płaczu. I w tym właśnie momencie matka uświadamia sobie, że ta kobieta jest zła... nie, „zła” to zbyt uproszczone określenie, ale że zabierze dziecko i je odmieni, przetransformuje je w coś, czego matka dla niego nie chce, i to jest gwałt, czyż nie? Podejmuje ostatni wysiłek - krzyczy, wyrzuca z gardła swój gniew i z tym krzykiem na ustach się budzi. Krzyk wciąż wisi w powietrzu, chociaż jest bolesny i przeciągły. Nagle dociera do niej, że to krzyczy Jona.

- Nie, nie, nie - wrzeszczy dziewczynka z zamkniętymi oczami, miotając się po łóżku. - Na pomoc! Pomóżcie im!

Wyrwany ze snu ojciec patrzy na nią półprzytomnym wzrokiem, więc to matka musi odłożyć na bok własne

wzburzenie. (Dziwne, jak głęboko wstrząsnął nią ten sen, który zjawiał się po tylu pustych nocach. Dziwne, jak żywo pamięta każdy szczegół, mimo iż dotąd wszystko zapominała).

- Już dobrze, malutka - musi powiedzieć, przygarniając dziecko do siebie, przywracając je pocałunkami do rzeczywistości. - To tylko sen - musi powiedzieć, chociaż dobrze wie, że to nieprawda. Sen - ale tylko dla tych, którzy nie widzą związku między słońcem a księżycem, między wodą a powietrzem, między pełnią a uniecznieniem.

Wiele dni później dziecko powie:

- To było straszne, mamuś. Tak bardzo ich bolało, tacy byli wystraszeni! Naprawdę chciałam im pomóc.

- Wiem, kochanie, ja też. Dziecko popatrzy pytająco.

- Śniłam ten sam sen - wyjaśni matka.

- To tak można?

- Nie zawsze. Może dlatego tak się stało, że byłaś bardzo chora, a ja się martwiłam. Tej nocy powstała między nami szczególna więź, ponieważ położyłam głowę na twojej poduszce. Tamtej dziewczynce było tak smutno, że została sama... tak bardzo jej współczułam... Chyba wyobrażałam sobie ciebie na jej miejscu.

- Ale mamuś...

Matka nie daje jej dojść do słowa, widzi szansę zrzucenia ciężaru, który przytłacza ją od lat:

- Byłaś taka niespokojna, kiedy się obudziłaś, temperatura znów zaczęła ci się podnosić, naprawdę się bałam... Chciałam kupić od ciebie ten sen, jak moja matka ode mnie. Wyjęłam nawet monety z portmonetki. Czy opowiadałam ci kiedyś, że mi się ciągle śnił ten sam koszmar, dopóki babcia go ode mnie nie kupiła?

- Ja też tak mam, ja też! To samo śniło mi się jeszcze przed chorobą, tylko mniej wyraźnie. Ale...

- Nagle przypomniałam sobie, co się stało, kiedy go kupiła. Po prostu w ogóle przestałam mieć sny. Przez wszystkie lata dorastania nic mi się nie przyśniło, więc sobie pomyślałam, że nie mogę ci tego zrobić. Muszę pozwolić ci śnić, nawet jeśli sny okażą się przykre. Czy potem ten koszmar jeszcze wrócił?

Dziecko kiwa głową z pobladłą buzią.

- Ciągle wraca, co kilka dni. Ale mamuś, w moim śnie nie ma żadnych dziewczynek. Jest płonący budynek, uwięzieni w środku ludzie, ale sami dorośli.

W ten sposób matka dowiaduje się, że nie śniła strachu swojej córki. To był jej własny strach.

27. Z dzienników snu

Następnego ranka po tym, jak zostałyśmy przyjęte do jaskiń jako nowicjuszek, udzielono nam pierwszej lekcji. Poprowadziła ją starsza Samyukta. Później zrozumialiśmy, że stało się tak celowo. Była ona jedną z łagodniejszych nauczycielek, mniej onieśmielającą niż starsza Simhika ze swoją grzywą siwych włosów czy starsza Samahita, która miała zwyczaj zatrzymywania nowicjuszek w mrocznych korytarzach i świdrowania ich swymi stalowoniebieskimi oczami.

W swym prostym bawełnianym sari Samyukta nie różniła się zbyt wiele od matek wielu z nas (ale nie mojej), pozostawionych w domach. Wprowadziła swobodny nastrój, pytając, czy spałyśmy dobrze, czy dano nam wystarczająco obfity posiłek. Kiedy jednak zaczęła swój wykład, głos jej się wzmocnił, a wzrok miała taki, jakby widziała w nas to, o czym same nie miałyśmy pojęcia. Zrozumialiśmy wtedy, że żyjąc tu, w jaskiniach, należących wprawdzie do tego świata, ale niezupełnie z niego pochodzących, zmienimy się ponad wszelkie wyobrażenie. Kilka z nas - w tym i ja - przestraszyło się tego i skupiło całą uwagę na powstrzymaniu się od łez. Później, kiedy wreszcie pojęłam, jak istotne znaczenie miała ta pierwsza lekcja, pamiętałam tylko fragmenty przemówienia Samyukty. Zapiszę je tutaj najlepiej, jak potrafię.

Wszystkie - mówiła - jesteście błogosławione, ponieważ macie dar śnienia, ale dopóki się nie dowiecie, czym są sny, skąd się biorą i po co, ów dar jest bezużyteczny.

Wymażcie z waszych umysłów wszystkie dotychczasowe poglądy na temat snów. Stanowiłyby tylko przeszkodę na waszej drodze.

To prawda, że częstokroć sen jest zmontowany naprędce z obrazów podsuwanych przez wzburzony umysł, zmartwień, które wychodzą na wierzch, kiedy ciało znajduje się w stanie

spoczynku. Ale te sny są o zwyczajnych bytach i nie muszą was obchodzić, choć wiele czasu spędzicie na ich objaśnianiu.

Czasem we śnie otrzymacie przestrożę, którą będziecie musiały przekazać osobie, dla której jest przeznaczona, osobie o umyśle zbyt zaskorupiałym, by mógł w niego wniknąć duch snu. To najtrudniejsze zadanie, gdyż często taka osoba nie zechce was w ogóle wysłuchać, ale mimo wszystko nie to jest waszym głównym celem.

Najważniejsze sny przychodzą z innej rzeczywistości. Z braku lepszego słowa w naszym ograniczonym języku możecie ją nazywać „innym czasem”. Brak mi zdolności, by ją opisać. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nawet jedna chwila przebywania w owym czasie przemieni was tak, jak kamień filozoficzny przemienia zwykły metal w złoto. Ale za daleko zabrnęłam.

W miarę posuwania się po tej ścieżce zrozumiecie, że każda z was ma swojego ducha - stróża. Jeśli będziecie miały dość szczęścia i okażecie się dostatecznie uważne, miłość między wami a owym duchem rozrośnie się w silną, cudowną więź. Duch opowie wam za pomocą snów, kim naprawdę jesteście, chociaż być może będzie musiał powtarzać to wiele razy, zanim nauczycie się słuchać. Jeśli nie poświęcicie swego życia służbie i współczuciu, jeśli nie będziecie kultywowały sześciu cnót, być może nigdy nie posiadziecie tej zdolności. Ale kiedy... nie, nie „kiedy”, tylko „jeśli” w końcu usłyszycie, dostrzeżecie też subtelny sieć miłości, która spaja istnienie - a wówczas nie będziecie potrzebowały już niczego do szczęścia. Te spośród was, które mają więcej szczęścia i zostaną pobłogosławione przez sen, będą żyły długo w przyszłym świecie i pomogą wielu duszom. Ale do innych to przesłanie dotrze w momencie śmierci i będzie z nią nierozłączne. Tym, które potrzebują dodatkowego przewodnictwa, może po pewnym czasie ukazać się posłaniec. Nie traćcie go (lub jej) z

oczu, gdyż może to być wasza ostatnia szansa na pochwycenie prawdy o czasie snu.

Wiele lat minęło od przemówienia Samyukty i od chwili, kiedy w niełasce opuściłam jaskinie. Myślę czasem o jej słowach i popadam w coraz większe przygnębienie. Próbowałam żyć cnotliwie, ale mi się nie udało - ugrzęzłam między dwoma światami, które odmiennie pojmują cnotę. Często traciłam cierpliwość, unosiłam się gniewem, nie mogłam się uspokoić. Żałowałam moich wyborów i obwinałam o nie innych. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nikogo nie pokochałam w pełni - ani męża, ani dziecka, ani cierpiących dusz, które szukały u mnie pomocy. Chociaż starałam się ze wszystkich sił, moje serce pozostało stęchłe i opustoszałe. Nawet duchy snu nie były w stanie go wypełnić. Moja jedyna nadzieja w posłańcu... czy się go doczekam?

28. Rakhi

Gorączka minęła, ale Jona wciąż jest zbyt osłabiona, by posłać ją do szkoły. Sonny chce, żeby została u niego, i chociaż część mnie buntuje się przeciw temu (Sonny - Kontroler!), muszę przyznać, że tak jest praktyczniej. Teraz kiedy on rano wychodzi robić to, czym zajmują się didżeje w czasie wolnym od puszczenia płyt, ja mogę dotrzymywać Jonie towarzystwa. Zanim będę musiała jechać do Kurma House, Sonny wróci.

Rano po tamtej nocy z gorączką wycieram Jonę do sucha i zmieniam jej przepoconą bieliznę. Pudruję jej skórę zasypką, tak jak za niemowlęcych czasów. Kiedy pochylam się, żeby pocałować ją w czoło, pyta, czy pomieszkam u nich, dopóki nie będzie mogła pójść do szkoły, prooszę, mamuś...

Trudno mi odmówić, skoro tak bardzo chorowała, i nienawidzę siebie za to, ale jeśli teraz zmięknę, skutki mogą być opłakane. Już samo przebywanie w domu Sonny'ego pod jego nieobecność jest dostatecznie krępujące, a znów gdyby kręcił się w pobliżu, budziłoby to zbyt wiele bolesnych wspomnień, nawet założywszy, że życzyłby sobie tego, w co wątpię.

Ale najważniejszym powodem jest to, że nie chcę obudzić w Jonie płonnej nadziei na nasze ponowne połączenie.

Mówię „nie”, gotowa stawić czoło łzom, ale Jona nie nalega. Obraca się na bok i zamyka oczy, jakby w gruncie rzeczy nie oczekiwała pozytywnej odpowiedzi. Ta rezygnacja kryjąca się w zwiniętym w kłębek ciałku jest dla mnie jak cios w serce.

Czyżbym popełniła błąd? Odpowiedź na to pytanie mogę poznać dopiero po pewnym czasie. Bez odpowiedniej perspektywy nie sposób odczytać, które z naszych działań przybrały właściwy obrót, a które prowadzą do klęski.

Czy matka źle postąpiła, decydując się na wyjazd do Ameryki z ojcem? Czytając jej dzienniki, zaczynam dostrzegać to, co tak zręcznie przed nami ukrywała: żal, tęsknotę za wspólnotą z jaskiń, strach przed utratą daru. Jak na ironię, jej zdolność tłumaczenia snów pozostała, natomiast tym, co utraciła, była miłość - ta miłość, dla której przepłynęła się przez zakazany ocean. Zawsze uważałam matkę za osobę pogodną, teraz jednak widzę, że po prostu nie pozwalała sobie na smutek, uważając go za bezużyteczne uczucie. Przetrwała, bo sobie wmówiła, że samotność jest siłą. Zaczynam rozumieć, dlaczego tak uparcie zwracała wzrok ku przyszłości: myślenie o tym, co minęło, było zbyt bolesne. Wycięła z serca tę część swego życia i tylko w dziennikach dopuszczała ją do głosu.

Czytając, czuję, jak wzbiera we mnie ogromna litość - dla niej i dla nas, gdyż taka egzystencja pociąga za sobą wielkie koszty. Jej niezadowolenie przeniknęło pod naszą skórę i zagnieździło się tam na całe lata, utajone niczym niegroźny wirus. W przypadku ojca od czasu do czasu dochodziło do wyładowań w postaci pijackich ciągów, u mnie bez większych ekscesów przeszło to w stan chroniczny, wyrażając się jedynie w ustawicznych próbach dociekania prawdy o jej życiu, jakby dzięki tej wiedzy mogła się bardziej ze mną związać.

Moje życie nie jest aż tak dramatyczne jak jej, a wybory nie tak istotne. Ale jedno wiem na tyle dobrze, na ile to możliwe w tym zmiennym, mrocznym świecie: jeśli wrócę do Sonny'ego ze względu na Jonę, prędzej czy później się do niej zniechęcę. A to byłoby znacznie gorsze niż rozczarowanie, które teraz przeżywa.

W piątek Jona czuje się już dostatecznie dobrze, by wrócić do szkoły, ale postanawiam zatrzymać ją jeszcze na ten dzień. Dzień dla matki i córki, żeby otrząsnąć się ze smutku i

zmęczenia, nacieszyć sobą. Kiedy pytam, co chciałaby robić, zarządza wspólne malowanie.

Widząc ją przy stole z akwarelami, czuję, że serce ściska mi się tak, jakby ktoś popchnął mnie na skraj przepaści. Może jej powiedzieć, że nie mam przyborów do malowania? Ale złapie mnie na kłamstwie: dobrze wie, że zawsze wożę w samochodzie składane sztalugi i płótno. Idę po nie z ociąganiem i wreszcie zaczynamy. A raczej ona zaczyna. Ja stoję przy sztalugach i patrzę, jak przymruża oczy, przechyla na bok głowę, tak pochłonięta, że zapomina o mojej obecności. Zazdroszczę jej, że tak sobie miesza czerwienie, oranże, czernie, że tak zdecydowanie macha pędzlem i nawet jej ręka nie zadrży. Obiekty na papierze zaczynają nabierać kształtu i nagle widzę... znów to samo - ogień. Patrzę dalej z coraz większym niepokojem. Co to za obsesja? Ale szybko przestaję się tym przejmować, zdumiona jej postęпами. Musiała dużo ćwiczyć podczas ostatnich miesięcy. Cóż, skoro babcia zginęła, a matka ugina się pod nadmiarem trosk, malowanie pozwala jej zachować względną równowagę psychiczną. Stało się środkiem do wyrażenia własnych emocji. Widzę, z jaką starannością kreśli linie detali. Okna wysokiego budynku jarzą się od płomieni. Stłoczeni w środku ludzie opierają się dłońmi o szyby, usta mają otwarte w bezgłośnym krzyku. Niebo także całe stoi w ogniu. Aż trudno odwrócić oczy od tego dziwnego, pełnego magnetyzmu obrazu.

Moje płótno wciąż jeszcze jest puste. Nawet po tym wyrazistym śnie w łóżku Sonny'ego nie jestem w stanie malować. Bóg mi świadkiem, że próbowałam, siedziałam po nocach, chociaż z Kurma House wracałam na ostatnich nogach. Gapiłam się godzinami w płótno, próbując znaleźć temat, ale wszystko, co przedtem uwielbiałam malować - dworzec w Kalkucie, rybacy nad Gangesem, Belur Math o wschodzie słońca - wydawało mi się oklepane. Albo po prostu

to ja mam już dość tych tematów. Potrzebuję nowego wyzwania, nowego stylu - sama już nie wiem czego.

Może ja też powinnam namalować mój sen? Szkicuję linię wzgórza, dwie postacie stojące tyłem do mnie. Mieszam biel z żółcią na niebo o wschodzie, ciemniejszą żółć zostawiam na miejsce, gdzie słońce będzie już nieco widoczne. Na nic. Nawet przy użyciu moich najlepszych technik, nie mogę wlać w ten obraz ani odrobiny życia. Matka i dziecko stoją sztywno, jakby kij połknęły, kwiaty rosną w żołnierskim szyku. Ból, jaki czułam we śnie, poczucie straty, lęk... po prostu nie umiem tego oddać, żebym nie wiem jak machała pędzlem i nakładała jedną warstwę po drugiej. W końcu biorę szmatkę nasączoną terpentyną i ścieram płótno do czysta.

Przychodzi Sonny. Pogwizdując od drzwi, taszczy torbę z zakupami. Widząc, co robię, staje w pół kroku, a potem proponuje, że zanieś mi przybory do samochodu. Nie, dziękuję, odpowiadam, ale i tak mnie odprowadza.

- Przykro mi, że malowanie ci nie idzie.

Chcę mu odpowiedzieć, że to nie jego sprawa, ale zamiast tego wybucham:

- A jeśli już nigdy nic nie namaluję? Jeśli mój talent znikł razem ze śmiercią matki?

Wyciąga rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale zaraz ją opuszcza. W oczach ma wyrozumiałość i smutek.

- Też się tak czasem czuję. Człowiek wtedy ma ochotę umrzeć, nie? Ale to przejdzie. Ty naprawdę masz talent, Riks, ja to wiem.

Nie wierzę mu, ale nie chcę się wyrzec tej drobnej pociechy płynącej z jego słów. Kiedy zaprasza mnie, bym z nimi zjadła, nie odmawiam.

Jona decyduje, że na lunch będą naleśniki. („Sami je z Sonnym usmażymy, mamusiu, ty tylko patrz”). Wkładają fartuchy. Jona przygotowuje składniki, Sonny je odmierza,

wygląda na prawdziwego domatora. To tylko gra, szepcze mój wewnętrzny głos. W głębi duszy nadal jest Sonnym - Piekielnikiem. Mimo to jestem pod wrażeniem. Tandem ojciec - córka smaży naleśniki wśród salw śmiechu. (Przy okazji robiąc chlew w kuchni - przynudza mój głos. To nie moja kuchnia - replikuję - nie ja będę ją sprzątać).

Jemy te naleśniki ze świeżymi truskawkami i śmietaną - właśnie to było w torbie ze sklepu. (Mój głos sznuruje usta: Bardzo niepraktyczne). Jona nalewa nam sok pomarańczowy; na nosku ma smugę mąki. Rumieni się z radości, kiedy wychwalam pyszny posiłek. Słońce zalewa kuchnię, łagodząc napięcie w moich mięśniach. Ogarnia mnie uczucie ciepła i przyjemnej sytości. Nie mam nic przeciwko powtarzaniu tego co jakiś czas. Nawet jeśli nie możemy być szczęśliwą rodziną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, możemy nią być na raty. Nagle Sonny mówi:

- Pracuję teraz nad nowym rodzajem muzyki, kompletnie odjechałem na jej punkcie. Może wpadniesz do klubu posłuchać?

- Tak, mamuś! - woła Jona z błyskiem w oku. - Koniecznie przyjdź, to jest naprawdę fajne!

Mój pogodny nastrój diabli biorą.

- A ty skąd to wiesz? - pytam, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem najpierw ją, a potem Sonny'ego. - Zabierasz ją do klubu?!

Sonny przybiera minę urażonej niewinności, Jona przewraca oczami.

- Mamuś, on mi przynosi płyty! Nowe, rozumiesz, te, które nagrywają! - Wypina z dumą pierś. - Jestem ich pierwszą słuchaczką! Naprawdę są dobre!

Zerkam z niedowierzaniem na Sonny'ego.

- Nie mówiłeś, że nagrywasz płyty - mówię, nie wiedzieć czemu, z pretensją. On wzrusza ramionami, ale niczego nie

wyjaśnia. Bo i dlaczego? Ja go przecież nie informuję o szczegółach z mojego życia.

- Byłoby super, gdybyś wpadła - powtarza z uśmiechem gładkim jak jedwab. Ale ja znam tego faceta lepiej niż jakakolwiek inna baba (ach, to ego ekszony!) i nie umyka mojej uwagi żyłka pulsująca na jego skroni. Nie przyszło mu łatwo to zaproszenie.

A jednak słowo „tak” nie chce mi przejść przez usta. Gdy tylko znów się na mnie wałą te obrazy - dym, pot, ręce, które się mnie czepiają, przytrzymują mi głowę, otwierają przemocą usta - zawsze w tle słyszę dudniącą do wtóru muzykę Sonny'ego. Czy kiedykolwiek potrafię jeszcze ją znieść? Tyle pracy włożyłam, by wyrzucić z serca tamten gniew i żal, nie mogę ryzykować, by zaatakowały mnie z nową siłą.

- Na razie nie mogę - odpowiadam, siląc się na lekki ton. - Za dużo się dzieje, może później...

Jona łypie na mnie z ukosa. Jakbym czytała w jej myślach: „Jędza. Tak już było fajnie i musiała wszystko zepsuć!”.

- Nie ma sprawy - rzuca równie lekko Sonny. Czy odgadł prawdziwy powód? A może uznał, że nie uważam jego muzyki za godną mojego czasu? Tak czy inaczej, jest zły. Poznaję to po tym, jak jego oczy zmieniają kolor - stają się ciemniejsze. Szkoda, że nie mogę otoczyć go ramieniem i wytłumaczyć swojej odmowy, ale na to jestem zbyt kolczasta. Mówię więc im obojgu „do widzenia” i wychodzę. Jona patrzy za mną przez okno z lodowatą miną.

29. Rakhi

Kurma House interes się kręci. Nasz najgorętszy czas to wieczór, tuż przed rozpoczęciem muzykowania, i później, kiedy zwiększa się powodzenie dań na wynos, ale i w porze lunchu mamy sporo gości. Gotowanie staje się dla ojca coraz bardziej uciążliwe i chociaż uwielbia swoją pracę, czasem przyłapuję go na ukradkowym pocieraniu złamanego ramienia. Razem z Belle pomagamy mu, jak możemy, ale musimy też zajmować się gośćmi. Jeśli biznes będzie dalej się rozwijał w ten sposób, mówi Belle, to za miesiąc trzeba będzie zatrudnić pomocnika do kuchni. Jespal, który spędza u nas większość wieczorów, żartuje, że zacznie się starać o to stanowisko.

- To o wiele zabawniejsze od moich inżynierskich projektów, a ja uwielbiam korzyści dodatkowe.

- Na przykład?

- Darmowe jedzenie, świetna muzyka na żywo i towarzystwo dwóch pięknych pań.

Kryję uśmiech. To oczywiste, do której z owych dwóch pań tak naprawdę przychodzi. Często po zamknięciu odjeżdżają razem w noc i obawiam się, że nie o taki rozwój wypadków chodziło ortodoksyjnym rodzicom Belle.

Tego popołudnia w Kurma House panuje cisza. Ruch związany z porą lunchu się skończył, Ping zdażyła już posprzątać, więc puszczam ją do domu. Z zaplecza dobiega pogwizdywanie ojca, ale Belle wciąż nie ma. To dziwne, zwykle przyjeżdża przede mną.

- Nie musisz zaczynać tak wcześnie - powiedziałam jej kiedyś. - Ping da sobie radę z lunchem, a przecież zawsze zostajesz do końca.

Belle marszczy czoło.

- Lepiej się czuję, jak jestem na miejscu.

- Naprawdę, Belle, robisz się taka jak te neurotyczne matki, co boją się spuścić dziecko z oka, bo myślą, że zaraz zdarzy się jakieś nieszczęście. Gdyby nie Jespal, to pewnie byś tu zamieszkała!

Puszczą to mimo uszu.

Sklep jest wypełniony zapachem singara. Zaglądam na zaplecze i widzę, że ojciec już przygotował kalafiorowo - ziemniaczany farsz i zostawił go do ostudzenia na dużej tacy. Na palniku gazowym w naszym największym woku rozgrzewa się olej. Teraz szef kuchni wałkuje cienkie ciasto na pierożki.

- Hej, tato - wołam. - Dlaczego wziąłeś na siebie cały trud przyrządzania singary, i to w takich ilościach? To jakaś specjalna okazja?

- Czasem trzeba i bez okazji przygotować coś wyjątkowego, nie? Kto wie, czy jeszcze się jej doczekamy. - Zerka na fotografię we wnęce i nagle ogarnia mnie żal, że matka nie widzi, jak sobie teraz nawzajem pomagamy. Niewiele rzeczy ją dziwiło, ale widok ojca w za dużym fartuchu na pewno by ją zaskoczył, ba, nawet rozśmieszył.

Próbuję przywołać w pamięci jej śmiech, ale mi się nie udaje. Wszystko, co jej dotyczy, rozplywa się we mgle.

Ojciec wzdycha i wraca do wałkowania. Musi mu jej brakować jeszcze bardziej niż mnie. Trzeba będzie wpaść do niego z Joną w ten weekend. Może uda mi się go namówić na jakieś historie o Indiach.

Uderza mnie myśl, że od śmierci matki ani razu nie wpadł w pijacki ciąg.

- A co do ilości, sam nie wiem. Po prostu rano sobie pomyślałem, że zawsze mogę część zamrozić.

- Pomogę ci lepić - proponuję.

Przygląda mi się z powątpiewaniem.

- Nie martw się! Lepiłam je z mamą. I nawet nie próbuj podnosić tego ciężkiego woka z ognia, dobra?

Krzywi się.

- Dam radę. - Jest tak samo uparty jak ja.

Przecinam kółko na pół, jak robiła to matka, zwijam każde półkole w stożek, napełniam farszem, zwilżam czubek i mocno zaciskam. To sprytny manewr. Potem stawiam każdy rożek na wysypanej mąką tacy i czekam. Dobrze nadziane singary nie mają prawa się przewrócić - tak uczyła mnie matka. Z przyjemnością widzę, że moje się trzymają. Uśmiecham się triumfująco, a ojciec odwzajemnia ten uśmiech.

Odzywa się dzwonek przy drzwiach i wpada zdyszana Belle.

- Przepraszam, że się spóźniłam - woła od progu. - Rikki, musimy pogadać! Przepraszam, panie Gupta, to potrwa tylko parę minut.

Zaintrygowana, zostawiam singary. Belle raczej nie miewa tajemnic. Wręcz przeciwnie, bywa wobec mojego ojca krepująco szczerą, traktuje go jak ulubionego wujka.

Ciągnie mnie w kąt sklepu z zaaferowaną miną.

- Riks, co ja mam robić?

- Może najpierw opowiesz mi, o co chodzi. Nabiera tchu.

- Jespal poprosił, żebym za niego wyszła. Przytulam ją mocno.

- To cudownie! Gratuluję! - Ale widząc jej minę, dodaję:

- Tylko mi nie mów, że się tego nie spodziewałaś! Może trochę się pośpieszył, ale prędzej czy później musiało to nastąpić! A co, nie jesteś szczęśliwa?

- Sama nie wiem. To prawda, szaleję za nim, a i jego też do mnie ciągnie. Ale nie myślałam, że on tak na poważnie... nie w ten sposób...

- Dlaczego? Zawsze miałam go za poważnego gościa. Materiał na męża, nie taki jak te fiutki - bałamutki, z którymi się lubiłaś prowadzić.

- Może właśnie w tym sęk. Czasem wydaje mi się, że za bardzo się różnimy. On jest taki tradycyjny, weź choćby ten turban. Wiesz, że on naprawdę ma pod nim długie włosy? Sięgają mu do połowy pleców, jak u tego z „Angielskiego pacjenta”, pamiętasz? Jak pierwszy raz je zobaczyłam, to normalnie wymiękłam, chociaż muszę przyznać, że to całkiem seksowne.

- No dobrze, więc na czym polega problem? Uważasz turban za seksowny. On prawdopodobnie jest tego samego zdania na temat twojego kolczyka w pępku i różowych włosów...

- Ten kolor nazywa się „palony burgund”, do twojej wiadomości. Ale mówiąc serio, nie można budować małżeństwa na seksowności.

- O, moje dziecko, widzę, że wreszcie napiłaś się ze studni mądrości. Nie na tę nutę śpiewałaś zaledwie dwa miesiące temu.

- Wiesz, Rikki, z czym ty masz problem? Z głupimi żartami w niestosownych momentach. W poważnym związku ludzie muszą myśleć podobnie. On wyznaje życie według zasad Granth Sahiba (Słynny guru Sikhów.): czystość fizyczna, dyscyplina, rodzina na pierwszym miejscu, regularne chodzenie do gurdwary, szacunek wspólnoty. To wszystko, co rodzice wtłaczali mi do gardła, póki nie uciekłam do college'u.

- On mi nie wygląda na takiego, co by ci coś wtłaczał do gardła.

- Pewnie nie, ale te wartości znaczą dla niego tyle, co cały świat. On ich nie przyjął tylko dlatego, że wśród nich dorastał. Wiele o nich myślał, potem je zwalczał, aż w końcu nabrał przekonania, że bardziej mu pasują niż zachodni styl życia. A

ja... no, cóż, znasz mnie przecież! Nie zgadzamy się pod każdym względem i po pewnym czasie będziemy mieli dość kompromisów. Tego właśnie boję się najbardziej. Nie chcę, żeby skończyło się na tym, że się znenawidzimy.

- Więc co mu odpowiedziałaś?

- Ze dam mu odpowiedź jutro. Dlatego potrzebuję twojej rady, w końcu byłeś już mężatką i w ogóle...

Zaśmiałam się sucho.

- Belle, chyba nie bardzo nadaję się na doradcę. Popatrz, jak się skończyło moje małżeństwo!

- A dlaczego tak się stało? Nigdy mi nie opowiedziałaś. Czy dlatego, że Sonny coś zbroił? A może powodem było to, o czym mówiłam: różnice nie do pogodzenia?

Wracam myślą do tamtej imprezy, tamtego mglistego koszmaru, kiedy moje wołanie o pomoc trafiało w próżnię. Co działo się na początku, a co na końcu? Przez wszystkie te lata byłam zakochana po uszy w Sonnym Wybawicielu. Ale okazało się, że kochałam tylko obraz, jaki sama sobie wymalowałam przed oczami i nie musiałam nic widzieć.

- To złożona sprawa - mówię. - Nie sędzę, żeby u ciebie chodziło o to samo. Ale skoro masz tyle wątpliwości, to czemu nie poprosisz Jespala, żeby jeszcze poczekał?

Belle wzdycha.

- On nie chce czekać. Marzy, żeby się już ustatkować, założyć rodzinę. Jego rodzice się starzeją i chcieliby przed śmiercią zobaczyć wnuka. Jespal mnie kocha, ale jeśli nie potraktuję naszego związku poważnie, to go zerwie.

- Ho, ho, czyli mamy ultimatum! Nie umiem sobie wyobrazić ciebie z... jak ty to lubisz nazywać? Gromadą usmarkanych bachorów? Nie mówiąc już o teściach. Dasz sobie radę?

Wykrzywia się do mnie.

- Nie wiem. To po prostu nie mieści mi się w głowie. A jednak gdyby miał ze mną zerwać, cała niezależność świata wydałaby mi się diabła warta.

- Belle, sama nie wiem, co...

Dzwonek u drzwi. Na widok naszego gościa zapominam języka w gębie i po prostu szczeka mi opada. Kierowniczka Javy! Tym razem nie ma na sobie służbowego stroju, może to jej wolny dzień. Zamiast tego wbiła się w obcisłą, połyskliwą suknię, jakby wyjętą ze „Star Trek”, która podkreśla jej wyrobione mięśnie i dodaje srebrzystego blasku włosom. Uśmiecha się do nas, aż jej się zęby skrzą.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam? Jestem wam winna wizytę, więc pomyślałam...

Belle przytomnieje pierwsza.

- Miło nam panią gościć! Proszę usiąść. Podać pani coś do picia? A może spróbuje pani naszych hinduskich słodczy?

- Wskazuje gablotkę przy ladzie.

- Oczywiście wszystko na koszt firmy - zmuszam się do dodania.

Kierowniczka majestatycznym krokiem zmierza do narożnego stolika przy oknie wystawowym. Usiadłszy, mierzy mnie spojrzeniem i wystudiowanym ruchem zakłada nogę na nogę. Krótka suknia podjeżdża do połowy ud, które na pewno nawet nie słyszały o celulicie. Zerka w stronę gablotki i elegancko marszczy nosek.

- Nie jestem zwolenniczką deserów. Wolę coś takiego z kopem, może to, co tak pachnie na zapleczu? Tylko muszę wiedzieć, co w tym jest, bo mam swoje kaprysy. A przy okazji, mogłabym pogadać z szefem?

Nie wiem, co ona knuje, ale na pewno nie chcę, żeby spotkała się z ojcem.

- Przykro mi, szef jest zajęty. - Mam na końcu języka, że składniki potraw są objęte tajemnicą zawodową, i jeśli o mnie

chodzi, to może w ogóle nie jeść, ale w porę sobie przypominam, że jest naszym gościem, więc mówię grzecznie:
- To mieszanka warzyw oblepiona ciastem i smażona. Podajemy ją razem z dipem...

- Może być. Proszę nie mieć mi za złe tych pytań, ale cudzoziemcy czasem dodają... hmm... dość niezwykłych rzeczy do swych potraw. Aha, i jeszcze poproszę o filiżankę dobrej amerykańskiej herbaty, jeśli oczywiście macie coś takiego.

- Chyba ktoś nas tu obraża - szepcze Belle. - Tylko że to zbyt śmieszne, by czuć się urażonym. Ona naprawdę powiedziała „dobra amerykańska herbata”?

- Cieszę się, że przynajmniej jedna z nas uważa to za śmieszne - mruczę pod nosem i idę na zaplecze, gdzie ojciec właśnie kończy smażyć partię singar. Podnosi na mnie pytający wzrok. - Później ci powiem.

Układam rożki na talerzu i podchodzę do lodówki, gdzie trzymamy chutneye. Tamaryndowy mamy w trzech gatunkach: ostry, bardzo ostry i „ogień w gardle”. Nakładam pełną łyżkę tego ostatniego, to powinno dać jej tęgiego kopa.

Kiedy zanoszę jej talerz, macha zapraszająco dłonią. Paznokcie też ma srebrzyste.

- Proszę ze mną usiąść. Chyba nie jest pani teraz bardzo zajęta.

- Zawsze jest jakaś robota - mówię defensywnie.

- No oczywiście, zawsze się coś znajdzie. Ze mną jest tak samo. Ale teraz największy ruch w biznesie macie wieczorami, no nie?

To wcale nie jest pytanie. Musiała nas obserwować.

- Dziwni ludzie do was przychodzą - dodaje.

Staram się trzymać język na wodzy, ale przychodzi mi to z trudem.

- To chyba zależy od tego, co kto uważa za dziwne.

- Pewnie tak - zgadza się z dobrotliwym uśmiechem. - I ta muzyka... jeśli tak to nazywacie. Jest naprawdę głośna.

Ach, więc to o to chodzi? Przyszła poskarżyć się na hałas?
- Nie sądzę, by było specjalnie głośno. Po prostu kilka osób śpiewa i gra na instrumentach, nawet nie mamy mikrofonu.

- Tak, ale pani nie wie, jak to się niesie na drugą stronę, prawda? - Uśmiecha się słodziutko. - To jest problem. Pewnego dnia będzie z tego kupa kłopotów.

Czyżby groziła mi formalnym oskarżeniem?

- Wtedy się tym zajmiemy - odpowiadam sucho, ale mimo całego tupetu, zaczynam się martwić. Czy istnieje jakieś rozporządzenie władz miejskich w sprawie muzykowania w kafejkach? Muszę to sprawdzić.

- Mam parę rzeczy do zrobienia - kończę rozmowę. - Belle przyniesie pani herbatę.

- Proszę jej powiedzieć, żeby się nie trudziła. Mam wszystkiego aż nadto.

Próbuję znaleźć jakąś celną ripostę, kiedy dzwoni telefon. To Ping.

- Zapomniałam pani powiedzieć. Przyszła paczka, chyba do pani. Położyłam ją na półce na zapleczu.

- Kto ją przyniósł? I skąd wiesz, że to do mnie?

- Nie wiem, kto przyniósł. Znalazłam ją na krześle przy sprzątanii. Nie było żadnego nazwiska, tylko napis „Dla ciebie”. Otworzyłam ją i w środku były artystyczne druki, więc pomyślałam, że to musi być dla pani. Chociaż nie wiem, dlaczego tak po prostu na krześle...

W pierwszym odruchu chcę biec na zaplecze, ale jeszcze pytam:

- Kto siedział na tym krześle?

- Zaraz... Dwie albo trzy osoby w różnych odstępach czasu. To stolik przy oknie, wie pani, jeden z tych

obleganych... Na pewno widziałam kobietę i dwóch mężczyzn.

- A pamiętasz, jak wyglądali?

- Ona bardzo ładna, w luźnej bawełnianej sukni, a mężczyźni zwyczajni, nic specjalnego. Wszyscy zamówili kawę...

- Kobieta miała długie, kręcone włosy?

- Sięgały jej za ramiona... Nie widziałam długości.

- A mężczyźni... - Przełknęłam z wysiłkiem ślinę. - Czy któryś był ubrany na biało?

- Chyba ten, który przyszedł ostatni, miał białe spodnie. Ale tę paczkę mógł zostawić każdy, zobaczyłam ją tylko dlatego, że wysunęłam krzesła do odkurzenia.

To wszystko nic nie znaczy. W Berkeley jest pełno kobiet o długich włosach w luźnych sukniach i mężczyzn ubierających się na biało.

Właśnie kończę rozmowę, kiedy w kuchni rozlega się głośny brzęk - coś metalowego musiało spaść na podłogę - i krzyk ojca.

- Rakhi! Szybko, przynieś gaśnicę!

Rzucam telefon. W panice nie pamiętam, gdzie trzymamy zapasową gaśnicę... Jest! Stoi w kącie pokryta pajęczynami. Belle już pobiegła na zaplecze, ruszam za nią.

Pandemonium! Wok na podłodze, kałuża oleju. Trochę musiało się wylać na gaz i zapalić. Wszystko w płomieniach, niektóre sięgają pod sufit. Ojciec nadaremno próbuje dławić je gaśnicą, którą trzymaliśmy obok kuchni, ja walczę ze swoją, myśląc gorączkowo, jak ją uruchomić. Jest przemysłowego rozmiaru, duża i nieporęczna... no, w końcu działa. Pomagam ojcu w gaszeniu, ale jakoś nie widać rezultatów. Płomienie liżą mi zachłannie twarz, palą ponad wszelkie wyobrażenie. Czy o tym właśnie śniła Jona - o nas, uwięzionych tutaj, o naszej śmierci w płomieniach? Jest coraz gorzej, ściany ognia

wyraźnie chcą nas zagarnąć... Czy ten sen zesłano jej, żeby mnie ostrzec? Belle napełnia rondel wodą, oblewa nas, ale krople na mojej skórze błyskawicznie parują, więc po raz drugi chlusta w naszą stronę. Kaszlę - wszędzie pełno gryzącego dymu. Czy moja córka jest tłumaczką snów? Krzyczę do ojca: „Daj spokój, uciekaj!”, ale on nie chce mnie słuchać, dalej macha gaśnicą, choć ramię mu mdleje ze zmęczenia.

Już żegnam się z nadzieją, gdy nagle ogień zaczyna słabnąć. Pryskamy pianą z nową energią, Belle wylewa kolejne garnki wody i po paru minutach zostawiamy za sobą osmalone półki, czarny sufit i ściany, a na podłodze olej rozmazany z wodą i pianą.

Na trzęsących się nogach wychodzimy do opustoszałego sklepu. Kiedy wyszła kierowniczka? Twarz mnie piecze, jakby mnie po niej ktoś wytraskał, od dymu pali mnie gardło, nie mogę ustać na nogach. Ale zanim udaje mi się usiąść, na zewnątrz słychać syreny i wpada grupa strażaków, wlokąc za sobą szlauch. Kierujemy ich na zaplecze, gdzie na wszelki wypadek leją jeszcze więcej piany, ale w zasadzie nie mają już co tam robić. Przyjechała też karetka i sanitariusze opatrują ojcu i mnie drobne oparzenia i rany. Dowódca strażaków pisze raport i każe nam skontaktować się z towarzystwem ubezpieczeniowym. Beszta nas za to, że nie opuściliśmy od razu budynku. To głupie i ryzykowne - mówi. - Macie szczęście, że te ściany są z cegieł, a nie z drewna, bo inaczej spalilibyście się na popiół. Dopóki nie wyremontujecie zaplecza i nie obejrzy go inspekcja bezpieczeństwa, nie wolno wam tam gotować. Przed wyjściem jeszcze raz podkreśla surowo, jacy to z nas szczęściarze.

W końcu padamy przy stoliku, Belle, ojciec i ja - kompletnie zeszmaczone trio. Wcale nie czuję się szczęściarą, a sądząc po ich minach, oni także. Wciąż nie mogę ochłonąć,

porażona nagłością tej katastrofy, chociaż to już nie pierwszy raz, prawda? Zastanawiam się, czy opowiedzieć im o śnie Jony i jej obrazkach z pożarami. Ale nie sądzę, bym w tej chwili miała siłę słuchać ich komentarzy.

- Dzięki, że zadzwoniłaś po straż - zwracam się do Belle.
- To się nazywa refleks.

Moja przyjaciółka marszczy czoło.

- Ja nie dzwoniłam! Wiem, że powinnam, ale spanikowałam. Przecież byłam z wami cały czas, polewałam was wodą, żebyście się nie zaczęli palić. To oczywiście niewiele... - Muska palcem mój policzek. - Masz wypalone brwi.

- To kto ich wezwał? Na zapleczu nie ma okien, nikt z sąsiadów nie mógł zauważyć... - Urywam, bo nagle wpada mi do głowy pewna myśl. Czyżby kierowniczka Javy? Wykluczone. Oszalałaby z zachwytu, gdyby Kurma House spalił się do gołej ziemi z nami w środku. Ale nie widzę innej możliwości.

Wchodzi klient i prosi o kawę. Belle musi mu powiedzieć, że lokal jest zamknięty. Patrzymy, jak przechodzi na drugą stronę i znika za drzwiami Javy.

- Lepiej wywieś tabliczkę „Zamknięte” - mówi Belle. Idę za jej radą z poczuciem klęski.

Resztę dnia spędzamy na sprzątaniu zaplecza. Z bólem serca wyrzucam tacę singar do śmieci. Do zapadnięcia ciemności uporałyśmy się z najgorszą robotą, ale do reszty będziemy potrzebowały profesjonalnej pomocy. Wzdrygam się na samą myśl, ile to będzie kosztowało.

Szukam wśród zgłiszcz zdjęć matki, ale nigdzie go nie widzę. Niepokoi mnie to, ale nie pytam, bo w ten sposób potwierdziłabym stratę, a wtedy urzeczywistniłby się związany z nią pech.

Po zakończeniu pracy zadaję ojcu pytanie, które cały czas miałam na końcu języka, tylko bałam się, że nie potrafię zapanować nad nerwami:

- Co się właściwie stało?

- Nie jestem pewien. Zdejmowałem wok z ognia... Wiem, wiem, powinienem cię zawołać do pomocy, ale rozmawiałaś z klientką, a przecież to nie pierwszy raz... I nagle się przewrócił. To najdziwniejsza rzecz na świecie, chyba mi nadgarstek nie wytrzymał. - Wzdycha. - Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

Muszę być przemęczona, bo nie mam siły się złościć, jedyne co czuję, to przygnębienie. Co za pech! Ze też musiało nas to spotkać akurat teraz, kiedy wychodziliśmy już na prostą! I tyle zapasów poszło z dymem! Ale gdybyśmy teraz zamknęli, choćby na kilka dni, zniszczylibyśmy cały rozmach, jakiego nabierały nasze wieczorne spotkania przy muzyce. Ludzie znaleźliby sobie inne rozrywki i nigdy by już do nas nie wrócili.

Belle woła mnie z kąta, w którym siedziała kierowniczką.

- Spójrz na to!

Pokazuje mi singary - teraz bezkształtną masę, oblaną czerwonym chutneyem. Wygląda jak przejechane zwierzątko. Jasne, że nawet nie tknęła jedzenia. W porównaniu ze zdemolowanym zapleczem to głupstwo, a jednak przeszywa mnie dreszcz. Tyle złośliwości w tak drobnym akcie marnotrawstwa...

Czy miała coś wspólnego z pożarem? Czy mogła go wywołać samą siłą woli?

Kręcę głową z namysłem. Postawmy sprawę jasno: szukam kozła ofiarnego, żeby nie popsuć sobie stosunków z ojcem, owej chwiejnej bliskości, która po raz pierwszy zaczęła między nami kiełkować.

- Wyrzucić to razem z talerzem - mówię do Belle, ale ona sama już na to wpadła. Potwornie boli mnie głowa. Z utęsknieniem myślę o łóżku, na które zamierzam się rzucić, gdy tylko wezmę podwójną dawkę aspiryny.

Już mam zamykać, kiedy ojciec mówi: - Jedźmy wszyscy do ciebie, Rakhi. To najbliżej. Wytrzeszczam na niego nic nierozumiejące oczy.

- Po co?

- Żeby wziąć prysznic, oczywiście. - Pod warstwą sadzy ma całkiem dziarską minę. - Masz chyba w budynku pralnię i suszarkę? Belle może pożyczyć od ciebie jakiś ciuch, ale ja mam tylko to, co na sobie.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że musimy tu wrócić i otworzyć lokal, zanim przyjdą muzycy.

- Zwariowałaś?

Ojciec mruga oczami. Wyraz jego twarzy wskazuje, że jest całkowicie przy zdrowych zmysłach.

- Nie słyszałeś, co mówił ten strażak? Mamy zamknąć, dopóki nie zjawi się inspekcja bezpieczeństwa.

Ojciec zbiera się w sobie.

- Nie słyszałem, by powiedział coś takiego. Mówił tylko o gotowaniu na zapleczu, a tego nie zamierzamy robić. Możesz zabrać stamtąd ekspresy do kawy i herbaty, a rano włożyłem do lodówki dostatecznie dużo przekąsek, żeby starczyło na wieczór.

- Tato, ty nigdy nie wiesz, kiedy przestać?

- Zostawimy włączoną wentylację... to powinno przeczyścić powietrze. A jutro przygotuję ze dwa proste dania w domu i przywiozę. Razem damy radę, beti.

- Ty naprawdę masz źle w głowie! - Odwracam się do Belle. - Powiedz mu, że zwariował. Nie możemy otworzyć

dziś, w środku tego bałaganu. Jak dla mnie, jesteśmy załatwieni.

Belle patrzy niepewnie to na mnie, to na niego.

- Może pan Gupta ma rację. Spróbujmy zrobić, jak radzi, przynajmniej dziś...

- Nie będę uczestniczyć w tej farsie! Co powiemy klientom? Założywszy, oczywiście, że zabawią dostatecznie długo, by nas wysłuchać.

- Powiemy im prawdę... Ze zdarzył się wypadek - sugeruje ojciec. - Im też się już zdarzały, na pewno zrozumieją.

- Nie potrzebuję ich wyrozumiałości! Chcę paru aspiryn i świętego spokoju. Wy sobie róbcie, co chcecie, tylko mnie w to nie mieszajcie. Od tej chwili przestaję być waszą współniczką.

Rzucam Belle klucze i wychodzę, czując na sobie ich zdumiony wzrok.

30. Z dzienników snu

Fascynowałam Rakhi od czasów, gdy była bardzo malutka. Owszem, pozwalała ojcu się zabawiać, kiedy podejmował takie próby, ale po pewnym czasie ich zaprzestał, gdyż to na mój widok rozjaśniała się jej buzia. Czy wszystkie dziewczynki przechodzą taką fazę kultu matki? Ja swojej nie pamiętam, więc nie wiem. Tyle że dla Rakhi to nie była faza.

Godzinami potrafiła obserwować mnie z kojca. Nie prosiła, jak inne dzieci, aby ją wziąć na ręce albo się z nią bawić, czuła się dostatecznie szczęśliwa, mogąc mi się przyglądać. Wodziła za mną wzrokiem, kiedy gotowałam albo sprzątałam, kiedy siedziałam z zamkniętymi oczami, penetrując sny, które dobijały się do mojej głowy. Kiedy rozmawiałam z klientami przez telefon, słuchała z przechyloną główką, nie mrugnawszy ani razu czarnymi oczami, z taką miną, jakby wszystko rozumiała. Wprawiała mnie tym w zakłopotanie, więc w końcu zaczęłam wychodzić na te rozmowy do sypialni, chociaż na widok łóżka, w którym nie mogłam już sypiać, też czułam się niezręcznie.

Rakhi rosła. Wiedziałam, że lada moment zacznie zadawać pytania, więc przygotowywałam odpowiednie słowa. Kiedy jej powiedziałam, czym się zajmuję, starałam się, żeby to zabrzmiało zwyczajnie. Ona jednak już zdążyła uznać, że to najciekawsza praca na świecie, toteż siłą rzeczy i ja wydawałam się jej najatrakcyjniejszą osobą.

Martwiłam się, że córka patrzy na mnie jak na idola. Tytuły rzeczy o mnie nie wiedziała, a ja nie mogłam ich jej wyjawiać. Moje błędy, zdrady, tchórzostwo... prędzej czy później odkryje to wszystko i wtedy także poczuje się zdradzona. Chciałam ją przed tym uchronić, ale jak? Ja, która radziłam tyłu ludziom w ich problemach, nie miałam pojęcia, jak rozwikłać własny.

Rakhi ze zmartwienia nie chciała jeść ani ze mną rozmawiać. Myślała, że nie uczę jej objaśniać snów, bo jestem zazdrosna o mój dar i egoistycznie chowam go dla siebie. (Miała więcej racji, niż przypuszczała: naprawdę byłam egoistką, ale pod innym względem). Nawet jej ojciec, który rzadko komentował to, co się działo w domu, pytał, o co tu chodzi. Powinnam jej powiedzieć prosto z mostu to, czego domyślałam się na podstawie początkowych testów: że nie ma talentu. Ale wydawało mi się to nazbyt okrutne. Zaślepiąca miłością, doszłam do wniosku, że mogę się mylić. Jeszcze jedna próba nie zaszkodzi. I tak, owej nocy, wbrew własnej opinii, poprosiłam, żeby spała ze mną w pokoju siewu.

Kazałam jej położyć się na mojej poduszce, tak aby nasze głowy się stykały. Kazałam jej zamknąć oczy. Tyle zapamiętałam z tego, co zrobiła moja ciotka, kiedy pojawiła się jak grom z jasnego nieba w moim nędznym życiu. Potem sięgnęła w głąb mego jestestwa i dotknęła czegoś, co leżało tam w uśpieniu. Ja jednak nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, gdyż o tym tłumaczki snów uczą się dopiero w ostatnim roku swych studiów.

W slumsach, gdzie dorastałam, ludzie się mnie bali, ponieważ zdawało im się, że znam ich sekrety, ukryte myśli. Dało mi to pewną ochronę w miejscu, gdzie sieroty w okrutny sposób wykorzystywano. Byłam losowi wdzięczna za mój dar, ale nie poświęcałam mu wiele uwagi. Teraz rozumiem, że przypuszczalnie odczytywałam sny tych, którzy żyli w moim najbliższym otoczeniu.

Kiedy Rakhi była mała, miałyśmy taką zabawę: Zgadnij, o czym myślę, pytałam ją rano po jakimś ważnym śnie. Sadzałam ją sobie na kolanach, zaglądałam jej w oczy, zatrzymywałam sen w głowie i pozwalałam jej dobijać się do niego. Dotykała mojej twarzy, bawiła się moimi włosami, w

końcu zaczynała się wiercić i zsuwała się na podłogę, a ja czułam jednocześnie rozczarowanie i ulgę.

Powinnam wyciągnąć wnioski z tych nieudanych prób. Tymczasem kiedy leżałyśmy obok siebie na podłodze, a nasze włosy splatały się ze sobą, tym usilniej starałam się przełamać barierę między naszymi umysłami. Zamykałam wtedy oczy, boleśnie świadoma, że tuż obok mój mąż czyści właśnie zęby, przygotowuje się do snu... Czy zastanawiał się, co robimy? Słyszałam za drzwiami jego kroki i aż sztywniałam na ten dźwięk, ale po chwili kroki zatrzymywały się i rozpoczynały powrotną wędrówkę, jak zwykle. Rakhi w tym czasie już spała, oddychając płytko i z wysiłkiem, jak ktoś, kto mozolnie pnie się po stromych schodach. Z przyzwyczajenia sondowałam jej umysł, ale nie znajdowałam żadnego snu. Przestała śnić od chwili, kiedy odkupiłam od niej koszmar. Wzdrygałam się na myśl, że moja próba kuracji tak źle się skończyła. Być skazaną na zawsze na puste noce! Ale może, jeśli mi się powiedzie, jeśli potrafię przelać w nią coś z moich zdolności, to mi wybaczy...

Odcięłam się mentalnie od wszelkich odgłosów z zewnątrz. Całą uwagę skupiałam na świadomości, owej mocy, która pozwala mi przechwytywać cudze sny. Po pewnym czasie w środku mojej klatki piersiowej pojawił się świetlny punkcik. Skoncentrowałam się jeszcze mocniej, aż poczułam, że zaczyna się ruszać. Z wysiłkiem skierowałam go tam, gdzie moje czoło stykało się z czołem Rakhi. Wyobraziłam sobie jej świadomość jako podobny punkcik i przywołałam go. Nigdy dotąd czegoś takiego nie robiłam. Z początku nic się nie działo, ale nagle poczułam na skórze czaszki ciepło. Po chwili coś zaczęło się we mnie wsączać, teraz już mogłam zobaczyć, jak podskakując, przemyka obok mnie. Zaprosiłam to coś do środka; dwa światełka zaczęły mi się wsuwać w okolice klatki piersiowej i pełznąć dalej wąskim korytarzem. Czy to była

arteria? Ale może wniknęły w wewnętrzny, duchowy układ, który nie miał nic wspólnego z ciałem fizycznym. Kiedy dotarły głębiej, po obu ich stronach rozbłysły sceny jak na kinowym ekranie.

Na ścieżce tłoczą się kobiety w sfatygowanych sari. Czekają, żeby nabrać wody z ulicznego kranu. Przepychają się, jedna przed drugą, bo lada chwila woda ma być odcięta. Puste dzbany oznaczają, że nie będzie na czym ugotować posiłku ani napoić spragnionych dzieci. Silniejsze z kobiet wysforowały się na czoło kolejki. Jedna brutalnie odpycha łokciem chudą dziewczynę, aż ta traci równowagę i pada, a jej gliniany dzban roztrzaskuje się na kawałki. Dziewczyna patrzy na nie ze zgrozą; wie, że krewni, którzy i tak niechętnie trzymają ją u siebie po zniknięciu matki, sprawią jej za to lanie. Odwraca głowę i spogląda mi prosto w oczy, a siła jej strachu i gniewu uderza we mnie jak eksplozja...

Starsza dziewczyna podąża w ciemności za kobietą w bieli. Na nieznaną ścieżkę pada tylko słabe światło gwiazd. Po bokach czyhają cienie o zwierzęcych kształtach. Dziewczyna także ma na sobie białe sari - strój, do którego nie jest przyzwyczajona. Potyka się czasem w pośpiechu, chcąc dotrzymać kroku swej towarzyszce, ale boi się ją poprosić, by zwolniła. Co będzie, jeśli kobieta zmieni zdanie, powie dziewczynie, że się myliła, każe jej zawrócić? Idą jednak dalej, noc, podobnie jak ścieżka, nie ma końca. Dziewczyna myśli o jaskiniach, do których zmierzają. W jej wyobraźni mają kolor mgły, są piękne i tajemnicze. Nagły szelest w zaroślach. Dziewczyna odwraca się z przerażeniem, a ja widzę, że to ta sama co przedtem... Jej twarz błyszczy podnieceniem, ale w oczach widać już cienie, gdyż rzeczywistość nigdy nie pasuje do obrazów wytworzonych w naszych głowach...

Kolory i kształty zmieniają się jak w kalejdoskopie. Punkcik świetlny migocze przy mnie niczym lampa na wietrze. Przed nami kolejna scena: jednopokojowe mieszkanie, koślawy stół, na nim naftowy piecyk, obok stara sofa. Stosy płyt, stary gramofon. Tym razem też jest noc, ale w mieście. Przez małe zakratowane okienko sączy się światło ulicznej latarni, ale nie dociera do materaca w kącie, gdzie leży młoda kobieta. Mężczyzna - widzę tylko tył jego głowy - ją całuje. Przysuwamy się bliżej. Na krzywiźnie jego nagich pleców drżą drobne kropelki potu. Kobieta wyciąga rękę, żeby go powstrzymać, on coś szepcze - i ręka opada. Ściąga jej białe sari i całuje piersi, a ona zamyka oczy w niemal bolesnej ekstazie. Jej emocje strzelają we mnie niczym wyładowania elektryczne i nagle wiem to, czego dotąd wołałam nie wiedzieć: ona jest mną. To chwile z mojego życia, które powypychałam z pamięci. A jednak, chociaż skazałam je na banicję, wcale mnie nie opuściły, zeszyły tylko do podziemia, teraz zaś przeniknęły do snu mojej córki.

Sprawy, które tak starannie ukrywałam przed nią przez te wszystkie lata. Sprawy, których nie wolno jej było poznać.

Rzucam się między nią a sceny ustawione wzdłuż korytarza, napieram na nią, by wracała. Ale coś silniejszego ode mnie wsysa nas dalej. Co to za moc, która ma nas we władaniu? Obrazy - ogromne, fascynujące - wciąż błyskają nam przed oczami. Teraźniejszość miesza się na nich z przeszłością, historia z nadzieją, prawda z pożądaniem. W jaskiniach interpretowałam sny tak znakomicie, że inne nowicjuszki aż wstawały z zachwyty. Za dźwiękiem fletu podążam ze starego pałacu do ogrodu i znajduję człowieka, który odmieni moje życie. Obserwuję swój wyraz twarzy w nocy, kiedy postanawiam uciec z jaskiń. Moją twarz w nocy, kiedy znów postanawiam uciec... tym razem od...

Nie! Tego jej widzieć nie wolno.

Zbieram całą swą moc, by wepchnąć Rakhi z powrotem do jej własnego ciała, ale nie mogę znaleźć punkcika światła, który jest jej świadomością. Gdzież on mógł zniknąć? Snuje się po korytarzach mojej podświadomości? Ogarnia mnie panika i teraz moje własne światełko zaczyna drgać i słabnąć. A jeśli go nie znajdę, jeśli nie zdołam go zawrócić, zanim ciało się rozbudzi? Wyobrażam sobie pustą twarz mojej córki, drętwe kończyny, na których będzie człapać za mną do końca życia. I mnie samą - noszącą ją w swym wnętrzu jak w niekończącej się ciąży...

Takie dzikie wizje brukują drogę do katastrofy. Zmuszam się do wyciszenia, tak żebym mogła wyczuć jej obecność. Mija jedno uderzenie serca, drugie - to jedyna miara czasu w tej przestrzeni - i nic. Może nie da się odróżnić siebie od kogoś z tej samej krwi?

Jak długo mam się błąkać po meandrach moich wewnętrznych zaułków, jak długo szukać? Czy to głos mego męża dobiega zza drzwi? „Czy wszystko tam z wami w porządku?”. Nie mam siły odpowiedzieć, poprosić go, by się nie wtrącał. Czy ktoś kładzie mi głowę na jego kolanach, przesuwa chłodną dłońią po czole? Ale ja muszę się skupić wewnątrz, tam gdzie ciemność jest gęsta niczym smoła. I wreszcie, kiedy zamieram w bezruchu, porzuciwszy wszelką nadzieję, czuję nieznaczne ukłucie czegoś odrębnego. Nurkuje za tym w podwodnym tunelu. Wspomnienia są tu niewyraźne, stare jak pyłek zwiędłych kwiatów. Dłonie trzymające dziecko przy piersi, zapach perfumowanych włosów kobiety, głos, który ją wzywa. Czy jej nogi zadrzą, kiedy się obejrzy za dzieckiem? Czy to ja jestem tym dzieckiem? Światełko, które jest moją Rakhi, migocze jak oszalałe. Chwytam je, zaczynam ciągnąć z powrotem. Nie stawia oporu. Może Rakhi, której nigdy nie dość wiadomości na mój temat, dowiedziała się więcej, niż jest w stanie strawić. Wynurzamy się na

powierzchnię, w solidność kości. Wpycham ją z powrotem do ciała.

Rano wszystko będzie tak, jakby nic z tego się nie stało. Tyle tylko, że wstanę z migreną i cały dzień będą mną wstrząsać torsje. Mój mąż poszuka ucieczki w butelce. I od czasu do czasu podczas codziennych zajęć - odrabiania lekcji, rozmowy przez telefon z przyjaciółką - Rakhi zastygnie w bezruchu i rzuci mi zagadkowe spojrzenie, próbując przypomnieć sobie coś ważnego, coś, o czym już zapomniała.

31. Rakhi

Oczywiście nie zostawiają mnie w spokoju. Belle przywozi ojca do mojego mieszkania. Czekają przy drzwiach, aż zaparkuję wóz i zawlokę się na górę.

Zanim eksploduję, Belle mówi:

- Nie chcemy robić nic, czego sobie nie życzysz, Rikki. Nawet nie wspomnimy o sklepie. Po prostu chwilę odpoczniemy, napijemy się herbaty, dobrze? Wszyscy mamy za sobą ciężki dzień.

- Zrobię jakąś specjalną cha - dodaje ojciec. - Ty zażyj aspirynę, weź prysznic, jeśli chcesz...

Obrzucam ich nieufnym spojrzeniem. Gadają, jakby sobie to przećwiczyli... Patrzą na mnie niewinnie z usmarowanymi sadzą twarzami. Muszę przyznać, że pomysł specjalnej herbaty w wykonaniu ojca brzmi dość kusząco.

Kiedy wracam po prysznicu, w pokoju pachnie miętą. Ojciec podaje mi filiżankę; sącę z wdzięcznością napar jakiejś niezwyklej mieszanki ziół i przypraw - lekkich, a zarazem energetyzujących.

- Kaszmirska cha - oznajmia ojciec, nie wyjaśniając, gdzie ją zdobył.

Kładę wysoko obolałe nogi i piję drugą filiżankę. Nagle zauważam, co ojciec ma na sobie.

- Tato! Co ty robisz w moim starym szlafroku?

- Belle mi go znalazła. Zaniosiła moje ubranie do sutereny, do pralki. Ta dziewczyna to skarb, ja ci to mówię!

- Więc nadal upieracie się przy tym zwariowanym planie!

- Wcale nie jest zwariowany. Nie zamierzam się tak szybko poddawać. Czyż nie tego życzyłyby sobie kierowniczką Javy?

Otwieram szeroko oczy. Więc on też myśli, że ta baba maczała w tym palce?

Wbiega Belle.

- Mamy tylko godzinę, panie Gupta. Rikki, pożyczysz mi jakieś ciuchy? I mogłabyś za dwadzieścia minut zejść na dół i wsadzić ubranie twojego taty do suszarki?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, była pod prysznicem.

- Nie mamy nic do stracenia - mówi ojciec.

- Wystawimy się na pośmiewisko. Ludzie będą zaglądać i czym prędzej wychodzić.

- Nie sędzę. Zresztą, niech się śmieją, jeśli dzięki temu nie będziemy musieli zamykać.

- Nie potrzebuję litości naszych klientów.

- Współczucie to nic złego. Ale nie zamierzam cię przekonywać, rób, co chcesz.

Rób, co chcesz. Tak odpowiadała matka, kiedy przychodziłam do niej po radę. Mówiła, co myśli, a potem dodawała to zdanie. Tak jakby się wycofywała, wskazując, że jej i moje życie to coś całkiem odrębnego. Zawsze potem robiłam to, co mi sugerowała, czując, że w ten sposób umacniam naszą więź.

Czy ojciec, podstępny Ananzi, o tym wie?

- Och, niech ci będzie, chyba z wami pojedę - burczę pod nosem, wzdychając ciężko, żeby podkreślić ogrom mojej ofiary. Ale w środku czuję przyływ uniesienia. Nie poddajemy się, już to samo jest drobnym zwycięstwem. Kto wie, może mój szalony ojciec ma rację? Może wypłyniemy na tej kłesce, zamiast rozbić się i pójść na dno?

- Dziękuję, beti - odpowiada oficjalnym tonem i zaraz uśmiecha się triumfalnie. - No to się ubieraj, nie mamy dużo czasu.

Słyszałam, jak matka kiedyś powiedziała: Nieszczęścia się zdarzają, abyśmy mogli zrozumieć dbałość. Nie chciałam w to uwierzyć. W moim życiu brak dbałości był przyczyną katastrof, przynajmniej tak to odczuwałam. Ale po pożarze w naszym sklepie zaczęło mi świtać, co mogła mieć na myśli.

Wlokę się za Belle i ojcem do sklepu. Jeszcze zanim docieramy na miejsce, moja euforia słabnie i wątpliwości atakują z nową siłą. To przecież bez sensu, te wszystkie nasze wysiłki. O wiele sprytniej będzie ogłosić upadłość i zacząć coś zupełnie nowego, najlepiej z daleka od Javy i jej wiedźmowatej kierowniczkii. Tylko widok zgarbionych pleców ojca pod wciąż niewyschniętą koszulą powstrzymuje mnie od zawrócenia na pięcie i ucieczki.

Gdy Belle przekreca w zamku klucz, zaciskam zęby. Potrzebuję całej siły woli, by wkroczyć w tę ruinę, nad którą wciąż jeszcze wisi zapach spalenizny. Nic go stąd nie usunie, choćbyśmy wypsikały cały pojemnik dezodorantu Letni Deszcz. Włączam ekspres do kawy, wykonuję różne rutynowe czynności, starając się pozostać na tyłach, gdzie nie muszę odpowiadać na żadne pytania. A jednak kurczę się w sobie, ilekroć wchodzi klient i od progu krzywi nos, a ojciec rozpoczyna kolejną litanię wyjaśnień i przeprosin za tak marny wybór przekąsek.

Spodziewałam się irytacji klientów, a przynajmniej gestów sugerujących, że ostatecznie zniosą tę niewygodę, ale tylko dzisiaj. Niektórzy rzeczywiście reagują w ten sposób, parę osób nawet wychodzi, ale większość okazuje współczucie. Kilkoro zwierza się nam z własnych nieszczęść. Złe czasy to jak wizyta teściów - zauważa jeden. Wydaje się, że zostaną na zawsze, ale w końcu rodzice żony wyjeżdżają, i tak samo po złych czasach muszą nastąpić dobre! Ktoś recytuje urdyjskiego gazela o stracie i złamanym sercu oraz o tym, jak dobrzy przyjaciele i szczęśliwe wspomnienia pomagają przejść przez trudne chwile. Ktoś inny tłumaczy Belle i mnie jego słowa. (Do tej pory zdołali już ocenić bezmiar naszych niedostatków językowych). Składają olbrzymie zamówienie z naszego ubożego menu, więc pod koniec wieczoru zostajemy z okrągłą sumką.

- Ale ważniejsze jest to - odzywa się ojciec, kiedy już wychodzimy - że nie poddaliśmy się i nie zamknęliśmy lokalu, a tak właśnie postąpiłaby większość ludzi w naszej sytuacji.

Rzucam mu ostre spojrzenie, chcąc sprawdzić, czy „większość ludzi” znaczy to, co mam na myśli, ale nie, to nie jest żaden przytyk. Na jego zmęczonej twarzy widnieje szeroki uśmiech. Przypominam sobie to, co matka napisała w dzienniku: że pocziwa z niego dusza.

W ciągu następnych kilku dni klienci pomagają nam zrobić bilans. Co przede wszystkim musimy załatwić? Ustalają między sobą, co kto potrafi. Okazuje się, że jest wśród nich dwóch robotników budowlanych. Proponują nam remont za minimalną cenę podczas swoich wolnych dni. Ja mogę odmalować ściany. Jespal powiada, że da sobie radę z regałami. Jeden klient, który pracuje w Home Depot, ofiarowuje się z zakupem zaopatrzenia po zniżkowej cenie. Czyjś kuzyn ma firmę dokonującą inspekcji budowlanej, więc jak skończymy remont, podpisze nam zgodę na użytkowanie.

Jestem zaskoczona i ucieszona, ale potem nagle ogarnia mnie pesymizm. Nawet jeśli spełnią te wszystkie obietnice, upłyną miesiące, zanim rozwiążemy nasze problemy. Czy uda nam się przebrnąć przez cały ten czas?

Nasi klienci są bardziej optymistyczni. Nic się nie martw, powiadają (po katastrofie traktują mnie bardziej bezpośrednio). Ani się obejrzysz, jak sklep będzie w idealnym stanie, a tymczasem i tak nie przestaniemy tu przychodzić. Będziemy zamawiać wszystko, co zaoferujecie nam do jedzenia, będziemy śpiewać, grać i w ogóle podtrzymywać was - i siebie - na duchu. Przecież wszyscy tu jesteśmy braćmi i siostrami, bhai - bahen.

Nawet ci, którzy nie są Hindusami, gorliwie przytakują. Doceniam ich sentymenty, ale nie do końca im wierzę.

To moja główna wada, którą często wypominała mi matka: jestem podejrzliwa, pesymistycznie nastawiona do świata i skłonna myśleć o ludziach jak najgorzej. „A nie masz po temu najmniejszego powodu” - mówiła.

Zawsze, słysząc to, stawałam dęba. Przypominałam jej, że mogę wyliczyć całą listę powodów, z Sonnym Moim Krzyżem na czele. Nie mówiłam natomiast ani słowa o tym, że nie zawsze taka byłam. (Powinna to sama wiedzieć jako moja matka. I wiedziałyby, gdyby nie kierowała swej uwagi gdzie indziej. Aż do tamtej imprezy myślałam o ludziach, a zwłaszcza o moim mężu, jak najlepiej. Nie podejrzliwość, tylko właśnie zaufanie rozłożyło mnie tamtej nocy).

Teraz jednak, kiedy odeszła, potrafię patrzeć na różne sprawy także z jej perspektywy. Kiedy myślę o ludziach, którym pomogła, przyznaję, że moje problemy są znacznie mniejszego kalibru. Z jej dzienników wyzierają choroby, morderstwa, myśli samobójcze, schizofrenia. Czasem w nocy martwię się o jej śniących - czy udało im się znaleźć inną tłumaczkę. Wysyławszy dobrą myśl do Jony, drugą taką samą kieruję do nich.

Okazało się, że nawet po śmierci matka ma rację. Nasi klienci - tak jak obiecali - zaczynają nam pomagać. Odbywa się to nieznośnie wolno - mogą do nas przychodzić tylko w czasie wolnym od innej pracy - ale kosztuje nas znacznie mniej, niż się obawiałam. Raczej musimy się z nimi wyklócać, żeby w ogóle przyjęli jakieś wynagrodzenie. Rezultaty nie są wprawdzie pięciogwiazdkowe, jednak wszyscy są gorliwi i chętni do wszelkich usług. Jak ojciec mi przypomina, nie zależy nam na pięciu gwiazdkach. A tymczasem interes się kręci. Straciliśmy kilku bardziej wybrednych gości, ale daleko nam do dna.

Po pożarze zaszły też inne zmiany. Pewnego wieczoru paru gości zapytało nas, czy zgodzimy się na ustawienie

niedużej sceny dla muzyków. Niektórym byłoby łatwiej, gdyby mogli siedzieć po turecku. Dla gitarzysty i perkusistów możemy zachować krzesła, a po wieczornym popisie, jeśli zechcemy, scenę można zdemontować.

Po szybkiej naradzie na zapleczu (ja, jak zwykle, byłam przeciw) zgodziliśmy się spróbować. Niebawem w kącie stanęły dwie niskie drewniane platformy, wysłane patchworkową kołdrą. Ułożono na nich podgłówki, które czyjaś żona obszyła jedwabiem (jakoś nie przyszło mi do głowy, że ci muzycy mają rodziny. Wydawało mi się, że kiedy razem grają, stanowią nierozzerwalną całość. Ale ostatnio zaczynają wśród nich biegać dzieci, a kiedy rodzice robią sobie przerwę na kawę, nastolatki przejmują ich instrumenty). Ktoś stawia na ladzie pudełko z odświeżającą oddech masalą - i jak na dany znak, inni też zaczynają znosić różności: tybetański dzwonek, perski kolorowy dywanik, afrykańską maskę, afgańską rzeźbę z drewna, jadeitową figurkę, obtłuczone lustro, wyglądające na rosyjskie, z rzeźbionymi metalowymi drzwiczkami, które można otwierać i zamykać. Nie potrafię oszacować wartości tych rzeczy, ale jest jasne, że dla ich właścicieli stanowią cenne pamiątki, wiezione aż za ocean z ojczystego kraju.

Nikt nigdy nie wspomina mi ani słowem o tych przedmiotach. Znajduję je ułożone w stosiki za sceną, kiedy sprzątam przed zamknięciem. (Przestaliśmy rozbierać scenę na noc. Nie ma co się wysilać, tym bardziej że klienci w ciągu dnia chętnie na niej siadają). Mam mieszane uczucia względem tych podarunków. Czasem uważam się za uhonorowaną, czasem do rozpacz doprowadza mnie szukanie dla nich miejsca w sklepie. Obawiam się, że ludzie nie przestaną ich znosić i w końcu nas nimi zawałą. Już musiałam usunąć kilka moich własnych bibelotów, nawet obraz ze słoniami w kąpielni (choć ostatnio nie lubię go już tak, jak

dawniej). Mój Kurma House (czy naprawdę jest jeszcze mój?) ulega całkowitej przemianie, rozrasta się w coś absolutnie różnego od mojej wizji. Czuję, że zaczynam tracić nad nim kontrolę. A jednak gdy ochłone, dochodzę do wniosku, że dosyć mi się podoba ten nowy twór, ten nautilus o wielu komnatach. Pewnego dnia biorę do ręki pędzel i dodaję do szyldu nowe słowo: INTERNATIONAL. Wkrótce potem, wskutek milczącego porozumienia, nasi klienci uznali, że jest tu już wszystko, co trzeba. Od tej pory nie znalazłam już ani jednego podarunku.

Nie podoba mi się nasz sposób prowadzenia interesu - mówi ojciec. - Liczymy naszym klientom za każdy drobiazg, dopisujemy do rachunku każdą pakorę czy jilebi. Nie moglibyśmy zaproponować, aby zapłacili jakąś minimalną kwotę i jedli, co zechcą? Urządzić coś w rodzaju bufetu?

Od razu mam mnóstwo obiekcji. To są przeważnie dobrze zbudowani mężczyźni o zdrowych apetytach ludzi pracujących fizycznie. A jeśli potraktują hasło „Jedz, ile zmieścisz” jako wyzwanie, kwestię potwierdzenia swej męskości? Możemy zbankrutować, narzekam do Belle.

- Wyłożę jedzenie na podgrzewanych tacach, a na ladzie postawię dużą miskę na pieniądze - proponuje ojciec. - Goście płaciliby zaraz po przyjściu i potem nabierali, ile zechcą.

Mam wrażenie, że zmarszczka na moim czole zastygnie w trwałe grymas.

- Chcesz powiedzieć, że nawet nie sprawdzisz, ile zapłacili?

- To honorowy system. Poczują, że się im ufa, a poza tym w ten sposób nie przeszkadzimy muzykom.

Zmarszczka pozostaje na swoim miejscu.

- Czy tak właśnie prowadziłeś swoją herbaciarnię w Indiach? Parska śmiechem.

- Żarty sobie robisz? Toż by mnie oskubali do gołej skóry!

- Więc dlaczego... Wzrusza ramionami.

- Teraz jesteśmy w innym kraju, wśród innych ludzi. Nie możemy po prostu naśladować starych zwyczajów, musimy być elastyczni, nie? Wydaje mi się, że tak będzie właściwie.

Mnie się tak nie wydaje. Obawiam się, że nasi klienci - imigranci nie zrozumieją honorowego systemu, inni zaś nie okażą się godni zaufania. Ale pod koniec pierwszego wieczoru odkrywam z zakłopotaniem, że zebraliśmy prawie tyle samo pieniędzy co zwykle, a wydaliśmy podobną ilość jedzenia. W ciągu następnych kilku dni obserwuję wszystko uważnie i widzę, że jeśli ktoś bierze kilka dokładek, wrzuca też do miski większą od wymaganej sumę pieniędzy. Robią to po cichu, bez wielkiego szumu.

- Dlaczego tak jest? - pytam ojca pewnej nocy, kiedy idziemy na parking.

- Być może Kurma House International stał się dla nich czymś więcej niż tanią jadłodajnią. Skoro pomagali przy remoncie, to teraz czują się tu u siebie i nie chcą stracić tego miejsca. Robią, co do nich należy, żeby się upewnić, że nie zamknjemy interesu.

Czy właśnie to miała na myśli matka, kiedy mówiła o niebanalnych rozrywkach? Czyżbyśmy chcąc nie chcąc spełnili jej wolę?

- Tak mi wstyd! - wyznaję. - Naprawdę z początku im nie ufałam.

- Tobie w ogóle zaufanie przychodzi z trudem, co?

Jego ton jest niesamowicie podobny do tonu matki. Zerkam na niego ze zdumieniem, widzę jednak te same oczy - dobre, życzliwe, choć nieco zmęczone. Przez chwilę kusi mnie, aby mu opowiedzieć o imprezie, która mnie odmieniła. Ale tylko przez chwilę.

- System honorowy to dobry pomysł, nawet jeśli wyszedł z mojej głowy - dodaje z uśmiechem, wskazując na ciemne okna Javy. - Założę się, że ich klienci nie czują, o co tu chodzi.

- Pewnie nie - przyznaję i też się uśmiecham, chociaż w środku coś mnie gnębi, jakbym przeoczyła coś ważnego.

32.

W mieszkaniu jest cicho i ciemno. Kobieta wychodzi spod prysznicza, wilgoć z jej mokrych, kręconych włosów wsiąka w cienki materiał szlafroka. Kobieta zapala lampę i siada w owalu żółtego światła z paczką na kolanach. Jest to właściwie duża koperta z pakowego papieru, poplamiona i brudna od sadzy, zapomniana przez cały ten czas. Dopiero dziś jeden z robotników wyciągnął ją spod sterty śmieci na zapleczu. Kobieta nie rozpoznaje zamazanego pisma, chociaż napis jest wyraźny: Dla ciebie. Upomina się w duchu, żeby nie robić sobie zbyt wielkiej nadziei, ale mimo to czuje pulsowanie krwi w głowie. Od tak dawna czeka na znak...

Drżącymi rękami rozrywa kopertę i osłonę z bąbelkowego plastiku. Po chwili trzyma w ręku pięć fotografii, które układa kolejno na niskim stoliku. Są to zdjęcia obrazów hinduskich malarzy, chociaż nie ma pojęcia, skąd o tym wie. Ani temat, ani styl nie ma nic wspólnego z hinduską tradycją, ale na jednej kompozycji, w samym środku geometrycznych form, widnieją hinduskie słowa. Nie umie powiedzieć, czy są to zdjęcia rzeczywistych malowideł, wykonane w pracowni albo galerii sztuki, czy też reprodukcji z książek. To zresztą nie ma znaczenia. Są dostatecznie ostre i - aż w gardle jej zasycha z podniecenia - nie przypominają niczego, co dotąd widziała.

Pierwszy obraz przedstawia abstrakcyjny pejzaż, utrzymany w kolorze cielistego różu i bladej żółci, z zaskakującymi wtrętami błękitu i czerwieni. Jest na nim szmaragdowozielona rzeka, płynąca wśród klifów, z których zwieszają się obsypane kwiatami zarośla. Jest trójkątny kształt - jakby świątynia czy skała. Ale tym, co uderza ją najbardziej, jest ukryta za liniami energia, poczucie ukrytej obecności. Przygląda się przez chwilę jak zahipnotyzowana, potem odwraca fotografię, mając nadzieję na dalszy ślad: nazwę, tytuł... Ale niczego tam nie ma, podobnie jak na odwrocie

pozostałych zdjęć. Tylko wyobraźnia może jej służyć za przewodnika.

Drugie zdjęcie ma kolor ciemnego, morskiego błękitu, w którym zanurzony jest kobiecy tułów. Światło igra z cieniem ponad jego krągłościami, jego absolutnym bezruchem. Płatki kwiatów - woskowobiałych plumerii - przepływają przez tułów z prądem, zatrzymując się przez chwilę na wysepce piersi, zaokrąglonym pagórku biodra. Czy ten błękit może oznaczać nie ocean, lecz noc, strumień snu? Jaki wyraz miałyby twarz owej kobiety, gdyby Rakhi mogła ją zobaczyć?

Tło trzeciego jest odblaskowożółte. Wieloramienny fioletowy stwór o okrągłej jak księżyc twarzy unosi się nad gniazdem węży. Czy on (ona? ono?) jest bogiem czy człowiekiem? A może wyobrażeniem jakiejś idei? Rakhi zapiera dech od ostrych kontrastów koloru i kształtu, błyszczących oczu z drogich kamieni, kompozycji, która zaskakuje niczym supeł w skomplikowanym splocie.

Czwarty obraz wciąga ją w ciemny krąg, umieszczony w samym centrum, czarną dziurę - magnetyczną, nieubłaganą. Rakhi ratuje się przed upadkiem, trzymając się krawędzi: kwadraty utworzone z dywanów o bogatej fakturze i geometrycznych wzorach. Krzyże, czubki strzał, koncentryczne desenie w kolorach ziemi. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że trójkąt może tak pięknie wypełnić przestrzeń.

Ostatnie malowidło składa się z dwóch części - jedna obok drugiej. Patrząc na lewą, Rakhi ma wrażenie, że się pochyla nad błękitnozieloną studnię - kule wewnątrz kul, jak drobne fale na powierzchni wody. W samym środku, gdzie można by spodziewać się ciemności - jaskrawe, białe światło. Prawa część obrazu to zamknięte drzwi, a nad nimi łuk. (A może to jakiś sakralny kształt?)

Lingam (Symbol kultu boga Siwy w kształcie wysokiego owalnego kamienia. Sanskryckie słowo lingam znaczy m.in. penis.)? Stupa (Rodzaj buddyjskiej budowli.)?). Znowu czernie, błękity, blacie zielenie. Na szczycie drzwi to samo światło. Kiedy Rakhi zamyka oczy, pod jej powieki przenika jasność.

Nigdy się nie dowie, kto przysłał te obrazy, ale nie ma wątpliwości, dlaczego je otrzymała. Zburzyły granice, jakimi obwarowała swoje wyobrażenie o sztuce, i dały jej możliwość. Są hinduskie - ale na tyle różnych sposobów! Przez cały czas obstawiała granicami także i ten przymiotnik, to, co on może oznaczać. Ale przecież ów wyraz ogarnia ją po prostu taką, jaka jest, ze wszystkimi lukami w edukacji, wszystkimi niedostatkami. Rakhi nie musi się zmieniać, by potwierdzić swą hinduską tożsamość, nie musi starać się zostać swoją matką. Czuje, że wszystko się w niej wali. Czas pokaże, czy z tych gruzów potrafi odbudować nowe, satysfakcjonujące kształty.

33. Z dzienników snu

W trzecim roku naszego szkolenia oddano nas pod opiekę starszej Jahnavi, garbuski, która mogła chodzić tylko z pomocą innych. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy ją, nie wywarła na nas większego wrażenia. Pośród bardziej błyskotliwych starszych wydawała się przytłumiona jak nocny kwiat w środku dnia. Ale gdy tylko do nas przemówiła, natychmiast wiedziałyśmy, że stoimy w obecności potęgi.

Jahnavi specjalizowała się w badaniu snów w historii i mitach. Pytała nas, co oznaczają, czego się z nich dowiadujemy o naturze śnienia i jego związku z naszym życiem na jawie. Spędziłyśmy wiele popołudni w jej mrocznej, piaszczystej jaskini, badając sny, które - właściwie zinterpretowane - potrafiły zmienić życie ludzi i całych narodów, jeśli oczywiście posłuchano zawartych w nich wskazówek. Inne - zignorowane - powodowały katastrofy. Sen o mędrцу Naradzie, który zamienił się w małpę, sen o Markandeyi i potopie, sen króla demonów Ravany o klęsce i śmierci, zesłany mu ku przestrodze - wszystkie one wracają do mnie, chociaż czas pozacierał szczegóły. Ale ten o Tunga - dhwai w lesie pamiętam tak, jakbym widziała go wczoraj.

Tak, specjalnie używam słowa „widziałam”, gdyż w obecności Jahnavi mogłyśmy ponownie śnić te przedwieczne sny. Kładłyśmy się na miękkim podłożu jaskini, zamykałyśmy oczy i sen zjawiał się każdej z nas, chociaż każda widziała go inaczej, na poziomie swojej zdolności rozumienia, ubarwiony jej własnymi pragnieniami i obawami. Jedna z moich śniących sióstr miała słabość do słodczy i zawsze gdy śniła się jej jakaś uroczystość, ukazywała się też złota misa wypełniona po brzegi kheerem (Gorący deser o konsystencji ryżowego puddingu.). Inna znów bała się skorpionów. W jej snach katastrofy przybierały formę ugryzienia skorpiona. A ja... Ale

o moich słabościach napiszę innym razem. Oto historia króla Tunga - dhwai:

Król jest budzącym postrach rycerzem, który świetnie zdaje sobie sprawę ze swej reputacji. Jest też miłośnikiem polowania. Tego dnia w towarzystwie dostojników i łowczych udaje się do lasów otaczających jego pałac. Żyją tam dziki i jelenie, chociaż te ostatnie Tunga - dhwaja uważa za zbyt łatwy cel i ściga tylko wtedy, jeśli nie widzi nic innego.

Tego jednak dnia, pomimo wysiłków nagonki, nie natrafił na ani jedno zwierzę. Zawiedziony król już ma wracać do pałacu, gdy nagle w oddali dostrzega białego odyńca - jedną z największych rzadkości. Zaczyna go ścigać - nie potrafi się oprzeć - i coraz bardziej zagłębia się w leśne ostępy, nie bacząc na to, że towarzysze zostali daleko w tyle. Pochłonięty pościgiem, nie zauważa, jak las zmienia swój charakter: drzewa wyglądają obco, kwiaty wydzielają ciężki, hipnotyzujący zapach. W końcu odyniec znika za pnem - po prostu rozplywa się w powietrzu w niewyjaśniony sposób - i wyczerpany Tunga - dhwaja widzi, że zabłądził. Zsiada z konia - nie boi się - bywał w gorszych opałach. Rano myśliwi go znajdą, a jeśli nie - wróci po własnych śladach.

Odpoczywając pod drzewem, król słyszy dźwięk - jakby zbiorowy jęk. Spogląda w tamtą stronę i widzi grupę liliputów w ubraniach z kory drzew, oddających cześć jakiemuś bóstwu. Zbliży się do nich i pyta, czy mogliby zaprowadzić go do pałacu, ale oni go nie rozumieją. Ustawili miski z liści wypełnione jakąś papką zbożową przed kamieniem udekorowanym kwiatami - i nagle król uświadamia sobie, jak bardzo jest głodny. Prosi o odrobinę owej papki, ale karły, chociaż muszą widzieć, że jest królem - ich królem - nie zwracają na niego uwagi, tylko nadal się modlą. Kiedy rozzłoszczony sięga po miskę, powstrzymują go i na migi

pokazują, że najpierw musi otrzymać jedzenie kamienny bożek, a potem chętnie go poczęstują.

Ale król nie chce czekać. Z mieczem w dłoni odsuwa ich na bok i sam bierze pokarm. Tamci nie protestują, ale nie spuszczają z niego błyszczących oczu wyzierających spod potarganych włosów. Kiedy król podnosi na nich wzrok, pierzchają między drzewa.

Król nie zaszczyc ich uwagą. Są mniejsi od niego i nie mają broni. Zapada w sen, a kiedy się budzi, jest już dzień. Koń zniknął, więc król przeklina leśnych ludzi, którzy zapewne ukradli mu go, kiedy spał. Wyrusza w drogę pieszo, a jako doświadczony tropiciel z łatwością odnajduje własne ślady. Pod wieczór dociera do skraju lasu. Oto i jego pałac, oto lśni w słońcu kryształowa kopuła! Tunga - dhwaja podchodzi do bramy - i tam zatrzymuje go straż.

- Żebrak! - krzyczy jeden z wartowników, podstawiając mu pod nos dzidę. - Co ty sobie wyobrażasz?!

- Żebrak?! - grzmi rozwścieczony Tunga - dhwaja. - Nie poznajesz swojego króla? Zapłacisz mi za to! Dopilnuję, by za godzinę pogrzebano cię żywcem z cierniami na głowie i stopach.

Wartownik zamierza się na niego dzida, ale inny go powstrzymuje.

- Bracie - powiada - to nieszlachetnie obrażać się na szaleńca. Czyż Bóg nie pokarał go już dostatecznie?

Na te słowa król spogląda po sobie i widzi, że królewskie szaty zniknęły, on zaś ma na sobie ubranie z kory drzewnej, a jego włosy są zmierzwione. Potem kieruje wzrok w górę i widzi, że flaga na pałacowej kopule nie przedstawia znanych mu trzech zielonych słoni w czerwonym polu, ale srebrną błyskawicę na błękitnym tle.

- Jak się nazywa wasz król? - pyta szeptem starszego z wartowników.

- No jak to, przecież Aniruddha Sprawiedliwy! Wszyscy go kochają za jego litościwe serce. Masz szczęście, że dziś są urodziny księcia. Rodzina królewska ukaże się na stopniach pałacowych i będzie rozdawać pokarm biedakom. - A widząc zaskoczony wzrok domniemanego żebraka, dodaje: - Jeśli chcesz, to cię tam zaprowadzę.

Tunga - dhwaja idzie za wartownikiem ku schodom. Nie rozpoznaje króla, ale królową - tak. To jego własna droga żona, a w ramionach trzyma ich synka - trzyletniego chłopczyka. Na pewno rozpozna męża!

Rzuca się w jej stronę, wołając: „Żono! Żono!”, ale ona patrzy na niego bez błysku rozpoznania w oczach. Tunga - dhwaję chwytają strażę i tylko rozkaz królewski ratuje go przed ciężkim pobiciem.

- Wyrzucić tego szaleńca! I żeby jego noga więcej tu nie powstała!

Rozciągnięty na ziemi poza bramami miasta, w świecie, który nie jest już jego światem, Tunga - dhwaja uświadamia sobie, że nieszczęście, jakie go dotknęło, jest karą za jego postępek wobec leśnych ludzi i ich bóstwa. Wraca do lasu, postanawiając ich odnaleźć i prosić o przebaczenie. Ale chociaż wędruje przez wiele dni, nie może natrafić na ich ślad. W końcu, zrozpaczony, postanawia utopić się w leśnym jeziorze. Wchodzi do wody, ale kiedy woda sięga mu szyi, wyczuwa jakiś ruch. Kątem oka dostrzega białego odyńca.

Dzik doprowadza Tunga - dhwaję z powrotem do polany, gdzie dzicy ludzie - domyślił się w nich mędrców - nadal odprawiają swe modły. Wszystko wydaje się takie samo jak owej fatalnej nocy, kiedy się zagubił. Ale może to jest ta sama noc, może dzik zabrał go w tamten czas? W każdym razie Tunga - dhwaja wie już, co musi zrobić. Z płaczem rzuca się na twarz przed kamieniem i kiedy ceremonia dobiega końca, kornie przyjmuje pobłogosławiony pokarm. Kładzie się pod

tym samym drzewem, pod którym wówczas utracił konia. Z początku jest zbyt podniecony, by zasnąć, ale zasnąć musi, gdyż wie, że tylko poprzez sen może stać się na powrót tym, kim był. W końcu miłosierna niepamięć spuszcza na niego swój całun, a kiedy rano Tunga - dhwaja się budzi, znów ma na sobie swój wspaniały myśliwski strój. Obok pasie się koń.

Król opuszcza magiczny gaj, odnajduje zdenerwowanych towarzyszy i wraca do pałacu, gdzie wszystko wygląda tak jak przed polowaniem. On sam jednak jest odmieniony. Porzuca arogancję, wiecie pobożny żywot, a królestwem rządzi sprawiedliwie i miłosiernie. Ze szczególną dobrocią odnosi się do żebraków i szaleńców, a po jego śmierci poddani oplakują go jako Tunga - dhwaję Sprawiedliwego.

34. Rakhi

Rano, w trakcie mojej malarskiej katorgi, dzwoni telefon. Katorgi - bo chociaż fotografie ukazały mi nowe, fascynujące kierunki, jeszcze ich sobie nie przyswoiłam. Wciąż nie znalazłam tematu, który by mnie pasjonował. Zaczęłam pejzaż i martwą naturę, ale ich nie dokończyłam. Dziś próbowałam namalować portret Jony w abstrakcyjnym stylu, jednak kolory się z sobą gryzły, kompozycji brakowało energii, a centralnej postaci ducha mojej córki. Kiedy słyszę dzwonek, jestem tak uszczęśliwiona nieoczekiwaną przerwą, że podnoszę słuchawkę już po drugim sygnale.

Dzwoni Belle. Wcale się nie usprawiedliwia, że przerywa mi malarską sesję, tylko każe mi włączyć telewizor.

- Ależ, Belle, wiesz chyba, że nie lubię...

- Włącz go, Rikki!

- Który kanał?

- Wszystko jedno, którykolwiek z głównych. - Ma taki głos, jakby złapała katar. - Pośpiesz się, zaczekam.

Widzę eksplozję i mam wrażenie, jakbym znalazła się w środku filmu science fiction albo jednego z tych okropnych horrorów, które, nie wiedzieć czemu, ludzie tak uwielbiają. Już mam zmienić kanał, gdy przez ekran przemyka coś szybko po linii łuku, a potem następuje jeszcze jeden bezdźwięczny wybuch. Musi minąć minuta, zanim mój rozum przyswoi sobie to, co zobaczyłam: samolot wbijający się w znajomy wysoki budynek, dokładnie taki jak ten, który eksplodował. Scena się powtarza. Dociera do mnie głos prezentera, informujący, że World Trade Center został zaatakowany przez terrorystów. I jak na dany znak, wieżowce zaczynają się rozpadać. Obraz się zmienia - teraz pokazują Pentagon, który też padł ofiarą ataku. Widzę dym, rozwalone ściany, uciekających z krzykiem ludzi. Jakaś aktówka się otwiera i na

ulice lecą papiery. Kamera pokazuje przewrócony damski pantofel na wysokim obcasie.

W żołądku wzbiera mi fala mdłości. Nogi tak mi się trzęsą, że w drodze do telefonu muszę się przytrzymać ściany.

- To się dzieje naprawdę? - pytam przez ściśnięte gardło. Po drugiej stronie słyszę łkanie Belle.

- Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Kto chciałby zrobić coś tak potwornego?

- Nie wiem, Rikki, nie wiem. Tak się boję... Właśnie szykowałam się do wyjścia, żeby otworzyć sklep, ale chyba nie dam rady. Był jeszcze jeden samolot z porywaczami, podobno rozbił się gdzieś w Pensylwanii. Kto wie, ile jeszcze... - wybucha łkaniem, które bardziej przypomina płacz małej dziewczynki niż kobiety.

To nasuwa mi myśl o mojej córce.

- Muszę jechać po Jonę - krzyczę do słuchawki.

- Rikki, tak się boję! Dzwoniłam do Jospala, do pracy i do domu, ale nikt nie odpowiada. Gdzie on może być? - Znów zanosi się szlochem.

Myślę intensywnie.

- Belle, przyjeźdź tutaj. Zostawię ci klucz pod wycieraczką. Tak będzie lepiej, ja też nie chcę być sama. Na razie nie martw się o Jospala, pewnie po prostu gdzieś wyszedł. Zadzwoń jeszcze raz z mojego telefonu, on też może przyjechać.

- Masz rację - zgadza się zadziwiająco potulnie. - Przyjadę. I na razie nie będę się martwić.

Jakie to smutne, że ludzie tak łatwo pozwalają się przekonać do tego, w co sami chcą uwierzyć...

Jadę do szkoły przez dziwnie opustoszałe ulice. Pewnie wszyscy są w domach i oglądają telewizję, zahipnotyzowani widokiem dwóch wież, które w zwolnionym tempie rozpadają się wciąż od nowa. Włączani radio; jak dotąd porwano cztery

samoloty. Wszystkie miały lecieć do Kalifornii. Loty krajowe odwołano, giełdę zamknięto. Prezydenta wraz z żoną i wiceprezydentem przewieziono w nieznane miejsce. Słuchając tego, zerkam nerwowo w górę, ale na niebie nie ma niczego poza paroma mewami.

Dwa kwartały przed szkołą zaczyna się piekło: rzędy samochodów tkwią w gigantycznym korku, kierowcy trąbią na siebie, próbując znaleźć miejsce do zaparkowania. Jedna z matek zostawia minivan na środku ulicy i biegnie do szkolnego budynku, ci, których zablokowała, wrzeszczą, jakiś facet wygraża jej pięścią i wykrzykuje wulgarne słowa.

Ostatecznie parkuję wóz i zmierzam do wejścia, gdzie zatrzymuje mnie wicedyrektorka. Próbuje mnie przekonać, bym nie zakłócała spokoju dzieciom i nie zabierała Jony z klasy. Dzieci są tu całkiem bezpieczne, natomiast widok koleżanki zabieranej bez wyjaśnienia w środku zajęć pogorszy tylko ich traumę.

- Większość rodziców nie jest w stanie rozmawiać z dziećmi spokojnie o tym, co się wydarzyło. Wystraszycie je tylko jeszcze bardziej, a zresztą, co z nimi zrobicie? Zabierzcie do domu, żeby cały dzień oglądały wiadomości? To całkiem niepotrzebne.

Prawdopodobnie ma rację. Rzeczywiście dzieciom tego nie trzeba. To my, rodzice, chcemy mieć je przy sobie, móc w każdej chwili dotknąć ich małych ciałek, czuć ich ciężar na swoich kolanach, wtulić nos w ich szyje i czerpać pociechę z ich zapachu, jedynej znajomej rzeczy na świecie, który zmienił się nie do poznania.

- Przykro mi - mówię, przepychając się obok niej do środka. - Muszę mieć córkę przy sobie.

W samochodzie powstrzymuję się od włączenia radia, chociaż nie mogę doczekać się najnowszych wiadomości. Najpierw muszę powiedzieć Jonie, co się stało - że odkąd

pocałowałam ją na pożegnanie kilka godzin temu, niebo runęło na ziemię. Jak wytłumaczyć dziecku, że ktoś celowo wbił samolot z ludźmi w budynek także pełen ludzi, i to trzy razy w trzech różnych miejscach? Że być może, jest to początek ataku terrorystycznego na całą Amerykę? Co odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jacyś szaleńcy zabijają się tak, by ucierpieli na tym inni, których nawet nie znają?

Wreszcie docieram na przydomowy parking, ale wciąż nie udaje mi się znaleźć odpowiednich słów. Jestem wdzięczna, że Jona nie spytała, dlaczego zabrałam ją ze szkoły, chociaż mnie to dziwi. Przez całą drogę siedziałam zapatrzona w okno.

- Jona... Stało się coś naprawdę niedobrego i muszę ci o tym opowiedzieć. Pewnie bardzo się zmartwisz i przestraszysz, ale nic na to nie poradzę.

- Ja wiem. - Powiedziała to stłumionym głosem, nie odwracając do mnie głowy. - Domy się zawaliły, wybuchły pożary. Ludzie zginęli, niektórzy wyskakiwali przez okna. Strasznie krzyczeli. Nie mogliśmy im pomóc.

Serce zabiło mi gwałtownie. To ja powinnam oznajmić tę okropną wiadomość mojej córce.

- Kto ci o tym powiedział? Ktoś z nauczycieli? Rodziców? Włączyli wam w szkole telewizor?

Dopiero teraz na mnie spojrzała. Miała twarz bez wyrazu, co przestraszyło mnie bardziej, niż gdyby wpadła w histerię.

- Widziałam to we śnie. Nie pamiętasz?

Nagle wszystko do mnie wróciło: spocona główka przyciśnięta do mojej na poduszce, splecione ręce - Sonny'ego i moja, wznoszące się i opadające w nierównym rytmie na jej piersi. Niespokojny sen Jony i mój własny. I moje błędne przekonanie, że śniłyśmy to samo.

W ten sposób w ciągu jednego poranka dowiaduję się o dwóch bolesnych faktach:

1. Istnieją ludzie gotowi zapłacić każdą cenę, nawet własnego życia, aby nas zniszczyć. Aż tak mocno nienawidzą Ameryki... i chcą, żebyśmy o tym wiedzieli.

2. Dar, za którym tęskniłam całe życie, ominął mnie i trafił do mojej córki. Ale to nie jest żaden dar, tylko straszliwe brzemię, które od tej pory będzie musiała sama dźwigać. I bez względu na to, jak bardzo będę chciała jej pomóc, to i tak nie potrafię.

Siedzimy przed telewizorem - Belle, ojciec, Jona, Jespal, Sonny i ja. Wiemy, że powinniśmy go wyłączyć, nie oglądać w kółko tego samego - wież w gruzach i pożarów. Ale żadne z nas nie może zebrać tyle energii, by nacisnąć odpowiedni guzik. Widzimy, jak strażacy idą w ogień, jak budynki wałają się pod ciężarem własnych gruzów. Karetki wyją, jakby nigdy nie miały przestać. W wieżach zginęły tysiące ludzi. Niektórzy przed skokiem z okna dzwonili do domu. Widzimy zrujnowane ściany Pentagonu w kłębach dymu. Policyjne wozy. Podobno porywacze byli uzbrojeni w noże do cięcia tektury. Pojawia się burmistrz Giuliani: „Zachowajcie spokój i pozostańcie w domach, chyba że mieszkacie na południe od Canal Street”. Człowiek w mundurze żąda, aby burmistrz napisał raport stwierdzający niedostateczne zabezpieczenie lotniska. Prezydent Bush przysięga zemstę. Patrzymy na nich wszystkich, potem na każdego z osobna - i nie wierzymy własnym oczom. Jak to się mogło wydarzyć - tutaj, w naszym kraju, w czasie pokoju? W Ameryce?

Nowy przekaz wpleciony między powtórki horroru: Środkowy Wschód, ludzie tańczą z radości na ulicach i rozdają słodycze, bo te amerykańskie diabły nareszcie dostały to, na co zasługują. Mężczyźni w turbanach, z czarnymi brodami, klaszczą w dłonie i wykrzykują slogany. Dzieci machają papierowymi chorągiewkami. W tłumie są też kobiety w długich, czarnych burkach, z chustami na głowach,

o błyszczących satysfakcją twarzach. Jedna krzyczy: „Niech wiedzą, co my przeżywamy każdego dnia!”. Te słowa, przetłumaczone na angielski, widzimy na pasku w dole ekranu.

Sceny zniszczenia z Nowego Jorku były okropne, ale te obrazy załamują mnie kompletnie. Mam chęć rzucić na tych ludzi bombę i w ten sposób zakończyć ich piekielny festyn. Kiedy jednak oglądam to drugi i trzeci raz, zaczynam bać się w zupełnie nowy sposób.

- Idioci - mówi ojciec. - Nie powinni pokazywać tego ciągle akurat w takiej chwili.

Podnosi się z trudem, wyłącza telewizor i zabiera Jonę, żeby pograć z nią w chińskie warcaby. I nagle zły czar pryska; wszyscy podrywamy się z miejsc. Belle i ja ruszamy do kuchni przygotowywać kanapki. Ku memu ogromnemu zdziwieniu okropnie zgłodniałam. Nie tylko ja, my wszyscy. Belle uważa, że to z powodu ulgi - bo jesteśmy bezpieczni. Postanawiamy włączać telewizor o każdej pełnej godzinie, aby wysłuchać najświeższych wiadomości. Belle bierze się do pieczenia ciasta, ja przynoszę sweter Jony, nad którym bez rezultatu pracowałam od kilku miesięcy. Jespał oznajmia, że musi wrócić do pracy - po prostu chce znów poczuć się choć trochę normalnie.

- Przyjadę do ciebie za parę godzin - zwraca się do Belle.

- Będziesz w Kurma House?

- Chyba tak.

- To nie jest dobry pomysł - odzywa się ostro Sonny. - Nie powinniście otwierać dziś sklepu.

To samo przyszło i mnie do głowy, ale nie podoba mi się jego ton. Sonny Wszechwiedzący. Może dlatego, że już jestem spięta, wybucham gniewem:

- Dlaczego?

- Nie rozumiesz? - Jego ton sugeruje, żebym lepiej dała sobie spokój z testami na inteligencję. - To jest niebezpieczne.

- Sonny chyba ma rację - popiera go Belle. - Nie chcę dziś nigdzie wychodzić. Nawet do domu. Rikki, mogę dziś spać u ciebie?

Kiwam potakująco głową. Ale jeszcze nie skończyłam z Sonnym.

- Dlaczego to ma być niebezpieczne? Wzdycha, wyraźnie rozdrażniony.

- Naprawdę jesteś taka tępa? Ludzie sobie pomyślą, że nie przejmujesz się ani tymi, co zginęli, ani w ogóle atakiem na Amerykę. Ze dbasz tylko o kasę.

Wie ten facet, jak mi zależy za skórę.

- Chcesz powiedzieć, że każdy interes w tym kraju ma być dziś zamknięty? - pytam, podnosząc głos. - Że zamykanie to jedyny sposób na wyrażenie naszych uczuć? A może temu krajowi wyjdzie na dobre fakt, że wszystko będzie działać w miarę normalnie? Przecież jeśli dopuścimy, by życie całkowicie u nas zamarło, to terroryści tylko się z tego ucieszą. Sonny jednak nadal kręci głową.

- Nie róbmy z tego sparingowego meczu. Nie dzisiaj, okay? Ja ci tylko uświadamiam, jak zareaguje przeciętny człowiek z ulicy. I jak będzie bezpieczniej.

Mówi prawdę i to właśnie doprowadza mnie do szału. Spoglądam na Belle, potem na Jespala; oboje odwracają wzrok, to jasne, że się zgadzają z Sonnym. Zaciskam zęby. Tym bardziej postanawiam się nie poddawać. Ale kiedy próbuję obmyślić plan działania, nadchodzi nieoczekiwane wsparcie.

- Nie możemy zamknąć sklepu - mówi ojciec. - Szczególnie dzisiaj. Dla wielu naszych klientów to jedyne miejsce spotkań. Jeśli nawet będziemy przygnębieni, to niech tak będzie. Im zawdzięczamy, że nadal mamy ten sklep, więc

niech przyjdą, niech pogadają o tym, co się stało, i niech czerpią z tego pociechę. Może dzięki nam wydobędą się z szoku.

Oto moja szansa.

- Masz rację, tato - mówię, rzucając Sonny'emu anielski uśmiech. - Świadczymy cenne usługi dla całej wspólnoty. - Odwracam się do Belle. - Nie sądzisz, że i my poczujemy się lepiej, jeśli zajmiemy się czymś pożytecznym, zamiast wysiadywać przed telewizorem i słuchać bandy ekspertów, którzy będą nas straszyć tym, co jeszcze nas czeka?

Nie wygląda na przekonaną, ale ostatecznie przytakuje.

- A według mnie to błąd - mówi Sonny do ojca przed wyjściem. Do mnie się nie odzywa. Po jego ściągniętych brwiach poznaję, że tym razem naprawdę udało mi się go wkurzyć. Poczytuję to sobie za drobne zwycięstwo w tym dniu klęski.

35. Z dzienników snu

Historia o Tunga - dhwai była o tyle przerażająca, że w przeciwieństwie do innych, które studiowałyśmy pod okiem starszej Jahnavi, nie zawierała konkretnego snu. Podczas dyskusji zastanawialiśmy się, czy wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy król zasnął pod drzewem, do chwili jego powtórnego przebudzenia, po prostu mu się przyśniło. Czy ów sen stanowił przestrożę, dzięki której mógł uniknąć złowieszczonego losu? A jednak było to zbyt łatwe rozwiązanie, gdyż negowało cierpienie króla i podkopywało wielkość jego transformacji.

- Macie rację - orzekła Jahnavi. - To nie jest odpowiedź. Myślcie dalej.

Po dalszym namyśle doszliśmy do wniosku, że las był magiczną przestrzenią snu. To, co król tam uczynił, ściągnęło przekleństwo na jego życie na jawie, aby lud nie mógł go już rozpoznać. Przekleństwo mogło być zdjęte pod warunkiem, że poprawa nastąpi w tej samej przestrzeni snu.

- Jesteście coraz bliżej - powiedziała Jahnavi. - Ale skupiacie uwagę na niewłaściwych rzeczach. Za bardzo się staracie. Zapomnijcie o wszystkim, czego nauczyłyście się o objaśnianiu snów, zdekoncentrujcie wasze oczy. Wtedy może pojawi się prawdziwy obraz.

Ale nie umiałyśmy się zdekoncentrować.

Po tygodniu czekania Jahnavi zrobiło się nas żal i kazała nam się zebrać wokół siebie. Na piaszczystym podłożu jaskini narysowała diagram: dwa owale połączone rurką, potem na obwodzie każdego owalu dodała małe kwadraty, niektóre o grubszych liniach. Spojrzała na nas z nadzieją, ale nie miałyśmy pojęcia, co to znaczy.

- Historia Tunga - dhwai jest ważna, ponieważ ilustruje rzadką, chociaż kluczową okoliczność senną. - Wskazała jeden z owali. - Załóżmy, że to jest czas czuwania, a ten drugi

to czas snu. Łącząca je rurka nazywana jest bramą i umożliwia przechodzenie z jednego czasu w drugi. W normalnych okolicznościach owal snu jest w ciągłym ruchu, więc ilekroć przechodziecie przez bramę, trafiacie do innych drzwi - tu wskazała kwadraty - i doświadczacie innego snu. Owal stanu czuwania też się porusza, ale nieskończenie wolniej. Dlatego w ciągu całego życia człowiek będzie trafiał do tych samych drzwi i przeżywał tę samą historię, którą nazywamy rzeczywistością. Teraz rozumiecie, co się przydarzyło w przypadku Tunga - dhwai?

- Naruszył w jakiś sposób równowagę między owalami - zaryzykowała jedna z nas.

- Tak - przyznała Jahnvi. - Zwykle przy zakłóconej równowadze owal snu się zatrzymuje i ludziom śni się ciągle to samo. Ale problem króla był wyjątkowy. Ponieważ Tunga - dhwaja rozgniewał leśnych mędrców, przyśpieszył bieg swego czasu czuwania, dlatego kiedy wrócił, wszedł przez inne drzwi do zupełnie innego życia. I tu zapłacił za swą wcześniejszą arogancję: został zdegradowany do najniższego z niskich.

- Ale dlaczego tak się stało? - zapytałam. - Wszyscy w naszych snach postępujemy czasem nie tak, jak powinniśmy, a jednak nikt nas nie wpycha za karę do innego życia.

- Dlatego, że w magicznym lesie król wkroczył do transformującego snu. - Tu Jahnvi wskazała jeden z kwadratów nakreślonych grubymi liniami. - Transformujące sny są rzadkie, zdarzają się człowiekowi najwyżej dwa razy w ciągu całego życia, a i to nie wszystkim. To, co w tych snach robimy, w potężny sposób odmienia nasze charaktery i uczucia w czasie czuwania. W większości przypadków taki sen wymazuje się sam z naszej świadomości i nie możemy zmienić jego skutków. Tunga - dhwaja miał szczęście, że go zapamiętał, a jeszcze większe - że mógł ponownie wejść do

tego samego snu, gdzie uzyskał wybaczenie. Inaczej utknałby w swoim nowym życiu i na zawsze pozostał żebrakiem.

Tamtej nocy leżałam na swym posłaniu w sali sypialnej i rozmyślałam o tym, co powiedziała Jahnavi. Baśń o Tunga - dhwai miała stanowić dla nas ostrzeżenie, ale mnie nappełniła radością. Pomyśleć tylko, że istnieją - poza granicami naszej percepcji - inne rzeczywistości! Pomyśleć, że możemy - nawet ja sama mogę! - uzyskać do nich dostęp! Że dzięki czemuś, co zrobię we śnie, mogłabym wśliznąć się do innego życia, zostać inną osobą, osiąść talenty i radości, jakich w tej chwili nawet nie umiem sobie wyobrazić! Prawo odwrócenia przekształciło Tunga - dhwaję z króla w żebraka. Czy to samo prawo nie mogłoby przekształcić mnie - sieroty - nowicjuszki, małej żebraczki - w królową?

Kiedy to rozważałam, ogarnęło mnie dziwne niezadowolenie. Dotychczas kochałam jaskinie, błogosławiłam dzień, w którym przyjęto mnie tutaj, abym nauczyła się tłumaczyć sny. Umożliwiło mi to ucieczkę z mojego pozbawionego nadziei życia w slumsach, otworzyło przede mną nieznany świat, poruszyło we mnie moce, jakich niemal w ogóle nie odgadywałam, nadało mojemu życiu sens. Ale dziś ciemność panująca w sali przygniotła mnie ciężarem, którego dotąd nigdy nie czułam. Łukowate sklepienie jaskini było jak czyjaś dłoń zaciśnięta na moich ustach. Mogą upłynąć lata, zanim starsze uznają, że posiadam wystarczającą wiedzę, by uprawiać moją sztukę. Do tego czasu przeminie moja młodość i resztki urody, a wraz z nimi nadzieje na szczęście i przygodę. Na myśl o tym wielka rozpacz nappełniła moje serce. Zebrałam całą moc, jaką dysponowałam, i skierowałam ją w życzenie poszukujące snu. Wiedziałam, że starsze wpadną w furję, jeśli to odkryją, i to nie tylko z powodu niebezpieczeństw związanych z uprawianiem czarów. Przecież wciąż wbijały nam do głów, że

to sen wybiera sobie interpretatorkę, a odwracanie tych ról jest zakazane.

Poczułam, że życzenie ulatuje ze mnie, jakby jakiś potężny ptak wyfrunął ku niebu, bijąc ciężko skrzydłami w niezachwianej pewności swego celu. Byłam w euforii. Aż do tej pory nie wierzyłam, że potrafię wykonać tak skomplikowane zadanie. Ale - miałam dowiedzieć się tego później - to wcale nie ptak uleciał ze mnie z życzeniem. To był bumerang, który powrócił do mnie w najmniej spodziewany sposób.

Czego chciałam od mojego transformującego snu? Tego, aby przeniósł mnie do nowego świata, bez okowów zasad, które rządziły każdą chwilą naszego życia w jaskini. Pragnęłam nieposkromionej namiętności, przygody, mężczyzny, który gotów byłby zabić się z miłości do mnie.

Czy rzeczywiście tej nocy nawiedził mnie transformujący sen? Nie byłam Tunga - dhwaja; rano niczego nie pamiętałam. Wszystko wydawało się takie jak przedtem, z wyjątkiem niezadowolenia, które z ziarnka piasku w oku rozrosło się w kulę z żelaza, ugniatającą mi żołądek. Kula ta rosła nadal w tygodniach poprzedzających nasz wyjazd do Kalkuty, wytrącając mnie kompletnie z równowagi.

Transformacja to nieobliczalne zjawisko. Uderza ludzi na różne sposoby. Przemiana Tunga - dhwai była niczym wieża powalona przez piorun. Moja dokonywała się wolniej, subtelniej, bardziej podstępnie - jak gryzoń dobierający się do korzeni bananowca. Ale już się rozpoczęła.

36. Rakhi

Otworzyliśmy sklep, ale przez dłuższy czas nikt się nie pojawił. Większość lokali wokół nas jest zamknięta, na ulicy nie ma żywego ducha, nawet bezdomni zniknęli i w migotliwym świetle latarni błyszczą tylko puste kręgi na chodnikach.

- Może powinniśmy wracać? - zastanawia się Belle.

- Poczekajmy jeszcze - prosi ojciec. - Przynajmniej do czasu, w którym zwykle przychodzą muzycy. - I znika na zapleczu, a kiedy tam zaglądam, widzę, że siedzi przed pustą wnąką, gdzie zawsze wisiała fotografia matki.

Odzywa się dzwonek przy drzwiach, ale to nie muzycy, tylko pan Soto, właściciel meksykańskiej restauracji z naprzeciwka. Poznaje go dopiero po chwili - nigdy dotąd nie widziałam go bez białej czapy kucharza i nie miałam pojęcia, że jest łysy.

- Nie zamykacie? - pyta. Kręce przecząco głową.

- Ja bym zamknął na waszym miejscu. Sam przyszedłem tylko po to, żeby sprawdzić, czy wszystko jest pod kluczem i czy alarm działa. Zbyt wielu gniewnych ludzi kręci się w okolicy...

- A czemu mieliby nam zagrażać? Pan Soto wzrusza ramionami.

- Są źli i wystraszeni... to niebezpieczna mieszanka. Ludzie w takim stanie nie myślą za dużo.

Wyglądam przez okno na wyludnioną ulicę. Nagle widzę, że w Javie się świeci, i pokazuję mu to:

- U nich jest otwarte.

- Si. Widziała pani, co wykombinowali?

Zerkam. Na witrynie wisi wielki banner: CHLUBIMY SIĘ, ŻE JESTEŚMY AMERYKANAMI.

- Szybka jest, co? - mówi pan Soto z uśmiechem, który bardziej przypomina grymas. - Ale tym razem nie mogę mieć

pretensji. Ja sam... - Wskazuje podbródkiem swój lokal. Po wewnętrznej stronie szyby widzę przyklejoną wielką amerykańską flagę. Pod spodem czerwono - białe - niebieski napis: BOŻE, BŁOGOSŁAW AMERYCE. - Sprzedają je na rogu przy Uniwersytecie - informuje na odchodnym. - Lepiej kupcie, póki jeszcze są.

Belle i ja patrzymy na siebie. Jej mina odzwierciedla moje uczucia.

- To Kalifornia w roku 2001 czy hitlerowskie Niemcy? - pytam.

- Może pan Soto ma rację - sugeruje moja przyjaciółka. - Chyba powinniśmy kupić tę flagę. Rozumiesz, żeby okazać solidarność.

- Belle, ja nie muszę wieszać flagi, aby udowodnić, że jestem Amerykanką! Ja już nią jestem, kocham ten kraj... kurczę, to jedyny kraj, jaki znam! Ale nie dam się zmusić do oznajmiania tego każdemu, kto tędy przechodzi!

Belle milknie, chociaż kiedy wystawia tace z ciastkami, widzę na jej twarzy niepokój. Dziś niczego więcej nie podajemy - tylko te ciastka i herbatę przy bufecie.

Muzycy przybywają pojedynczo i po dwóch, w oczach mają obłęd. Dziś nie towarzyszą im rodziny. Zamiast kurt z luźnymi spodniami, dashiki (Rodzaj afrykańskiej tuniki.) i fezów mają na sobie dzinsy i bawełniane koszulki. Ktoś jest w czapeczce kibica 49ersów. Pochylają w milczeniu głowy na powitanie, potem siadają cicho z nietkniętymi filiżankami herbaty w dłoniach. Włączam przenośny telewizor i patrzymy na prezydenta Busha, który ze względów bezpieczeństwa przez cały dzień krążył po kraju wojskowym samolotem. Przysięga, że wykopie spod ziemi terrorystów - nie tylko tych odpowiedzialnych za dzisiejszą tragedię, ale wszystkich, gdziekolwiek się znajdują. Zadanie to wydaje się tak niemożliwe do wykonania, jak te z baśni w książkach Jony.

Ciekawe, jak on zamierza to zorganizować. Prezenter z grobową miną ogłasza, że cały ten spisek wymyślił niejaki Osama bin Laden, którego wizerunek raz po raz miga na ekranie: ma czarne oczy fanatyka i brodę, ubrany jest w luźną białą szatę i turban. Obraz budzi we mnie jakieś złe przeczucia, ale nie umiem ich zdefiniować.

- Co teraz będzie? - pada w końcu pytanie. Na chwilę zapada cisza, potem zaczynają mówić wszyscy naraz. Pociągam ojca za rękaw; zaczyna tłumaczyć ich słowa Belle i mnie najlepiej, jak potrafi. Ludzie zastanawiają się, dlaczego terroryści zainicjowali ten ohydny atak, jak rząd zamierza na to zareagować, jak to wpłynie na nasze ojczyste kraje i co się stanie z nami wszystkimi. Rozmawiają o tych, którzy zginęli - są wśród nich ich znajomi. Ludzie, którzy jeszcze rano czyścili zęby i pili kawę, machali na pożegnanie do żon i dzieci, jechali metrem do pracy. Co czuli, kiedy zrozumieli, że umierają? Jespal (kiedy on zdążył wejść?) zauważa, że to musi odmienić życie wszystkich mieszkańców tego kraju. A Sonny (jestem zdumiona, widząc go przy drzwiach) dodaje swym chrapliwym głosem, że życie pewnych ludzi zmieni się bardziej niż innych.

Kiedy głosy cichną, jeden z mężczyzn intonuje monotonną pieśń - jękliwy, żałobny lament albo może modlitwę. Pozostali pochylają głowy, może wspominają inne tragedie. Pieśń nabiera mocy, przyłącza się coraz więcej głosów, ludzie kołyszą się, klaszczą do taktu. Nie rozumiem słów, ale w tym wspólnym przeżywaniu bólu jest coś pocieszającego. Gdy pieśń dobiega końca, mężczyźni wychodzą w ciszy. Tym razem nie dziękujemy sobie nawzajem.

Po pożarze, kiedy próbowałam wyrazić wdzięczność za ich życzliwość dla naszych klientów, czuli się wyraźnie skrępowani. Ojciec mi wytłumaczył, że w Indiach nie praktykuje się podziękowań.

- Więc skąd ktoś ma wiedzieć, że ludzie doceniają to, co zrobił?

- A musi koniecznie to wiedzieć? - odpowiedział pytaniem.

Dwie rzeczy dzieją się niemal jednocześnie:

1. Rozlega się głośny trzask, po którym w wystawowym oknie pojawia się rysa na błyszczącej krzywiźnie M.

2. Do sklepu wpada czterech młodych mężczyzn.

Belle i Jespal zasuwają krzesła, ja wylewam resztki herbaty (nikt nie pił) do zlewu. Ojciec chowa ciastka. Sonny siedzi w kącie z Joną - grają w palcowe gry i mała co chwila chichocze. Wszyscy zastygamy w bezruchu i patrzymy na intruzów.

Wyglądają dość zwyczajnie: wysocy, krótko ostrzyżeni, jeden blondyn, trzech szatynów. Mają na sobie dzinsy, zupełnie jak nasi dzisiejsi goście, jeden jest w skórzanej kurtce. Dwóch trzyma kije bejsbolowe, jeden oplótł sobie łańcuch wokół dłoni, czwarty... nie wiem, co ma ze sobą, bo trzyma rękę w kieszeni.

Wykrzykują coś, ale nie rozumiem, bo jednocześnie wszyscy gadają. A może to mój mózg nie chce właściwie funkcjonować, podobnie jak moje drżące dłonie. Wszędzie na podłodze jest porozlewana herbata. Sonny wpycha Jonę za bufet, Belle ją łapie i przyciska buzię małej do swego brzucha, żeby nie widziała, co się dzieje.

Sonny podnosi ręce uspokajającym gestem. Próbuje przemówić do intruzów. Czy chodzi im o pieniądze? Wskazuje kasę. Jeden z nich odsuwa go z drogi.

- Nie jesteśmy złodziejami, gównojadzie - mówi, krzywiąc się z obrzydzenia. - Jesteśmy patriotami.

- Obserwowaliśmy was i tych waszych kumpli terrorystów - odzywa się drugi. - Świętujecie, co?

Wstydzę się swojego strachu. Wydaje mi się, że moje gardło zamknęło się na zawsze. Ale muszę jakoś im wytłumaczyć, że się mylą, to nasza jedyna nadzieja.

- Nie świętujemy - zmuszam się do wydobycia głosu. Serce bije mi tak mocno, że sama siebie nie słyszę.

- Zamknij się, suko - syczy ten z ręką w kieszeni.

Daje znak drugiemu i ten wali kijem bejsbolowym w bufet, roztrzaskując szkło. Ciastka fruwią na wszystkie strony. Ojciec cofa się w samą porę, inaczej kij zmiażdżyłby mu dłoń. Jona płacze, podobnie jak Belle.

- Dajcie spokój - prosi Jespal. - Nie zrobiliśmy niczego złego. Ci ludzie tutaj... oni wyrażali swój żal. Jesteśmy Amerykanami, tak samo jak wy. Wszyscy czujemy się okropnie po tym, co się wydarzyło.

Dwóch napastników go chwyta.

- Patrzyłeś ostatnio w lustro? - pyta jeden drwiąco. - Nie jesteś żadnym Amerykaninem. To takie popaprańce jak ty zaplanowały ten atak na niewinnych mieszkańców naszego kraju. Pora, żeby i wam, pedały jedne, dał ktoś nauczkę!

- Powariowaliście?! - krzyczy Jespal. Wyrzywa im się na chwilę i wymierza policzek jednemu z prześladowców. W szamotaninie rozwiązuje mu się turban. Belle krzyczy.

- Nie powinieneś tego robić - mówi ten z ręką w kieszeni. Tyle że ręka jest już na zewnątrz i tkwi w niej nóż sprężynowy. Dwóch napastników ciągnie Jespala na ulicę. Sonny się zrywa na nogi, ale jeden z mężczyzn zagradza mu drogę kijem, uśmiechając się przy tym szeroko. Ten z nożem jednym szybkim ruchem nadgarstka przecina kabel telefonu.

- Zostańcie w środku, to nikt więcej nie oberwie.

Przewracam gorączkowo szuflady w poszukiwaniu jakiejś broni, ale znajduję tylko nóż do krajania chleba. Nie jestem pewna, czy potrafię się nim posłużyć, ale na wszelki wypadek go wyciągam. Sonny wynurza się z zaplecza z metalową

ruką, ojciec niesie wielki kawał drewna. Belle nie wypuszcza z objęć szarpiącej się Jony, a jednocześnie rzuca na lądę torebkę. Kiedyś nosiła w niej rozpylacz pieprzu, modłę się, żeby nadal tam był.

Jespal leży zgięty wpół na chodniku, jego ręce osłaniają głowę.

- No, chłopaki, naznaczmy go po naszymu - krzyczy ktoś.
- Niech jego kolesie przypomną sobie o nas, ile razy na niego popatrzą!

Któryś z nich zamierza się łańcuchem i po chwili słyszę miękkie plaśnięcie metalu o ciało. Sonny wybiega z krzykiem, ale wtedy mężczyzna się odwraca. Łańcuch śmiga teraz w stronę Sonny'ego, jednak zaczepia się o rękę. Przez chwilę boję się, że wyrwie mu ją z ręki, ale nie, Sonny wciąż ją trzyma. Wbija ją w pierś napastnika i ten osuwa się na ziemię z dziwnym stęknieniem. Za plecami Sonny'ego jest już następny - wali go kijem. Wydaję ostrzegawczy okrzyk i biegnę na pomoc. Kątem oka dostrzegam ojca, który pomaga Sonny'emu się podnieść, i nagle słyszę jego krzyk. Kij bejsbolowy zmierza prosto na moją dłoń z nożem, cofam się, ale nie dość szybko. Moje ramię zalewa gorąca fala bólu, nóż leci na ziemię. Prześladowca rusza na mnie z morderczym błyskiem w oku, wycofuję się rakiem, ale teraz Sonny krzyczy: - Uważaj, Riks!

Za późno. Ktoś łapie mnie w duszący uścisk, śmiejąc mi się prosto w ucho. Sonny rzuca się w naszą stronę, na zakrwawionej twarzy ma wyraz skupienia. Szybkie pchnięcie ręką - i mój prześladowca, klnąc, poluźnia chwyt. Mogę oddychać! Teraz dwóch zmierza razem do Sonny'ego. Uczepiam się jednego z nich, pięść trafia mnie w bok głowy... i już wiem, że naprawdę można zobaczyć wszystkie gwiazdy.

Chyba na parę minut straciłam przytomność. Kiedy z trudem dochodzę do siebie, leżę na chodniku, a ten z nożem

klęczy nad Jespalem. Ktoś trzyma Sonny'ego, który z wykręconymi do tyłu rękami głośno wzywa pomocy. Oczywiście nikt się nie zjawia. Napastnik podnosi nóż i teraz Jespal krzyczy.

Nagle słyszę syreny, a chwilę później zza rogu wyłaniają się światła radiowozu policji. Mężczyźni z wrzaskiem puszczają Jespala i Sonny'ego, podrywają na nogi swego kumpla, który siedział na ziemi, obejmując dłońmi głowę, i wskakują do swojego samochodu - zupełnie przeciętnego, tylko z amerykańską chorągiewką na antenie. Czy kiedykolwiek będę w stanie spojrzeć na flagę mojego kraju i nie przypomnieć sobie tej chwili, kiedy nie mogłam uwierzyć w to, co się działo? Bez tego metalicznego posmaku w ustach, który, jak przekonałam się później, był smakiem krwi? I nagle już ich nie ma.

Wóz policyjny z piskiem opon hamuje na chodniku i przez okno wychyla się policjant.

- Do środka i zaryglować drzwi! - krzyczy. Jest w nim coś znajomego, ale zanim się zorientowałam, jego także już nie ma, słychać tylko wycie syreny. Zostawiono nas na pustej ulicy i dano do zrozumienia, że sami musimy dać sobie radę.

Ze sklepu wybiega Belle z telefonem komórkowym w rękę. Dzięki Bogu, że udało się jej zadzwonić na policję! Za nią drepcze Jona.

- Tatusiu, tatusiu! - krzyczy i kuli się obok Sonny'ego. Ciągłe czuję kłujący ból w głowie, przed oczami wirują mi żółte plamki, ale jakoś udaje mi się do nich dowlec. Policzek Sonny'ego mocno krwawi. Wyciągam pęk chusteczek i próbuję zatamować krew.

- To raczej powierzchowna rana - uspokaja nas Sonny. - Mogło być znacznie gorzej.

Kiedy uświadamiam sobie, do jakiego stopnia gorzej mogło być, zarzucam mu ręce na szyję.

- Wiesz, że uwielbiam, jak tak robisz - mówi ze śmiechem, który przechodzi w kaszel. - Ale moje żebra są mało romantyczne i narzekają.

- Są połamane? - pyta szybko Jona.

- Miejmy nadzieję, że nie.

Belle opatruje Jespala, który ma twarz rozciętą pod okiem. Drugie oko jest całe zapuchnięte, ramię zwisa pod nienaturalnym kątem, ale ogólnie także chłopak miał szczęście. Ojciec siedzi na brzegu chodnika i masuje sobie rękę. Wygląda, jakby był w szoku; mówi niewyraźnie - pewnie uderzono go w głowę - i nie może dojść do siebie.

Znów wyją syreny - tym razem innego wozu z dwoma policjantami w środku. Jeden pyta, co się stało, robi notatki, w końcu każe Belle odwiedzić Sonny'ego i Jespala na pogotowie.

- Jeśli nie czuje się pani zbyt słabo - zwraca się do mnie - radziłbym zabrać dziecko i starszego pana do domu. W szpitalach dzieją się dziś straszne rzeczy.

Kiedy prosi, abym opisała naszych napastników, okazuje się, że niewiele szczegółów utkwiło mi w pamięci. Byli tacy zwyczajni na pewno nie obejrzałabym się za nimi na ulicy. Tak samo samochód - nie pamiętam nawet koloru. Tylko chorągiewka stoi mi wyraźnie przed oczami, wszystko inne kompletnie się zatarło.

- Ale pański kolega, ten, który dotarł tu pierwszy, widział ich, wie, jak wyglądają. Może nawet już ich zatrzymał, bo od razu za nimi ruszył.

Policjant wytrzeszcza na mnie oczy.

- Nie wysyłano tu innego wozu!

- Jak to! Przecież właśnie na widok policjanta uciekli, inaczej pewnie by nas pozabijali!

Drugi policjant kręci głową.

- Dyspozytor by nam powiedział, że dał innym polecenie wyjazdu. Poza tym dzisiaj na pewno nie wysyłałby dwóch wozów w to samo miejsce, za dużo mamy wezwań.

Patrzę na znikające we mgle tylne światła ich samochodu. Wrześniowa noc jest zaskakująco zimna. Belle odjechała już do szpitala. Pomagam ojcu dojść na parking, gdzie czeka mój samochód. Jona mocno trzyma mnie za drugą rękę. Jaki ślad zostawi ta noc w jej psychice? Gdzieś skrzeczy ptak. Wszyscy się wzdrygamy, ale to nie noc nas przeraża ani nie ptak, niechby nawet i groźny. Nie ma nic gorszego od ludzkiej istoty.

Rozkładam ojcu kanapę i kładę Jonę w jej pokoju, gdzie będę dziś z nią spała. Kiedy Belle przywozi Sonny'ego, pozwalam mu zająć moje łóżko.

- Rany, Riks, nie wierzę własnym uszom!

- Widzę, że już ci lepiej.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem, bo jedną stronę twarzy ma zabandażowaną. Widzę, że każdy ruch sprawia mu ból, ale przynajmniej nie ma żadnych złamań, nie to co Jespal, który musiał zostać na kilka dni w szpitalu. Lekarze obawiają się także o jego oko.

Proponuję Sonny'emu herbatkę z rumianku.

- To dobre dla dzieci. Mnie się przyda parę pigułek nasennych, na pewno jeszcze je masz?

Przynoszę mu jedną. Ten człowiek stanowczo za dużo o mnie wie i umie to wykorzystać.

Potem stoję przy oknie Jony, zbyt rozzalona, by zasnąć. Patrzę w ciemność - na niebo z jego nienaruszonymi gwiazdami. W moim pokoju Sonny rzuca się i wierci, próbując się wygodnie ułożyć na łóżku. Spoglądam na swoje odbicie w lustrze: brązowa skóra, hinduskie rysy, ciemne oczy z jeszcze ciemniejszymi sińcami pod spodem, czarne, mocno poskręcane włosy. Widok niby znajomy, a jednak nagle obcy.

„Nie jesteś Amerykanką” - powiedział ten napastnik.
Rasistowski dureń.

„Naprawdę? - odzywa się mój cichy głos. - A ilu jego rodaków podziela dziś to zdanie?”.

Ale skoro nie jestem Amerykanką, to kim? Sonny mnie woła, przerywając mi tok myśli.

- Co się stało? - pytam od progu. - Boli cię?

- Taaak, ale nie o tym chciałem. Zastanawiałem się, czy...

- Milknie na chwilę. W ciemności nie widzę jego twarzy. -
...czy nie posiedziałybyś ze mną troszeczkę.

Już mam wykręcić się zmęczeniem, ale nagle zmieniam zdanie. Są sprawy ważniejsze od starych pretensji. Siadam na brzeżku łóżka, on bierze mnie za rękę i nie puszcza. Po chwili mówi:

- Dziwnie tak patrzeć na człowieka, który chce cię zabić.
Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło.

Przypomina mi się ten jego dziki, a zarazem skupiony wyraz twarzy, kiedy zamachnął się na bandziora, który mnie dusił. Nie wiedziałam, że Sonny potrafi patrzeć w ten sposób. Z początku mnie to zaszokowało, a potem ucieszyło... i to ostatnie też było szokujące.

Wydaje westchnienie, które bardziej przypomina dreszcz.

- Ja też byłem gotów go zabić, wiesz?

- Wiem. - Zastanawiam się, czy mu podziękować za uratowanie mi życia. Zamiast tego lekko go popycham. -
Niewygodnie tak siedzieć na krawędzi łóżka.

Przesuwa się, robiąc mi miejsce, a kiedy się kładę, obejmuje mnie, znowu wzdychając, ale już inaczej. Ostrożnie wysuwam rękę i też go obejmuję, starając się nie urazić obolałych miejsc. Zaskakujące, jak łatwo nasze ciała dopasowują się do siebie, jakby wszystko pamiętały. Muska ustami moje włosy i czuję, że o czymś myśli.

Po pewnym czasie mówi:

- Tak wielu ludzi straciło dziś tak wiele...

Przytakuje w milczeniu. Myślę o tych w wieżach i o tych w samolotach, o wszystkich, którzy stracili życie. O innych, którzy stracili swoich ukochanych. O przywódcach, którzy stracili wiarę w swoją niezwyciężoność. I o takich jak my, widzących siebie nagle jako groźnych cudzoziemców, którzy stracili poczucie przynależności.

Tyle nienawiści spuszczonej z uwięzi w dzisiejszy świat... gdzie to się skończy?

Może dlatego, żeby się jej przeciwstawić, całuję Sonny'ego. Może dlatego, że śmierć otarła się o nas tak blisko, i dlatego, że jestem wdzięczna za życie. Może to tylko zwykła pociecha, że ma cię kto przytulić w dniu, w którym pewność wysliznęła ci się z palców i roztrzaskała na podłodze.

Nie protestuję, kiedy jego palce rozpinają mi stanik, a dłonie obejmują piersi. Pozwalam im wędrować po moim ciele i przysuwam się do niego jeszcze bliżej. Muszę mu pomóc przy zdejmowaniu ubrania. Dotykając go, czując, jak twardnieje, szepczę mu w ucho jego imię, jakby zapomniał, kim jest. A kiedy wygina się nade mną, szczytując, krzycząc nie „Riks”, tylko „Rakhi”, wiem, że odzyskałam maleńki okruch siebie.

37.

Dnie wydają się tygodniami, tygodnie - miesiącami. Mija miesiąc - i wszystko jest takie jak wczoraj. Rakhi budzi się w nocy na najcichszy szelest, sprawdza łańcuch przy drzwiach, zabezpieczenie okien. Marzy o transformującym śnie, ale otrzymuje tylko ciemność, jakby pogrzebano ją pod gruzami. Pewnego dnia, kiedy przychodzi do sklepu, widzi szyld zamalowany czerwonymi literami TERRORYŚCI. Z ostatniej litery skapuje jeszcze farba, tworząc na parapecie małą kałużę. Zeskrobanie jej zajmuje godziny. Nie wymienili szyby wystawowej, tylko zakleili pęknięcie taśmą. Belle powiada, że nie mają pieniędzy, ale wszyscy znają prawdziwy powód: to może wydarzyć się znowu.

Sonny przynosi kopie e - maili, które rozsyłają hinduskie organizacje. Ostrzegają: nigdzie nie chodzić w pojedynkę. (Nie ma obawy, myśli ponuro Rakhi. Za bardzo się boi, by ryzykować samotne wyprawy). Nie nosić narodowych strojów. (Jakich „narodowych strojów”? - zastanawia się, patrząc na swoje spodnie). Na domach i lokalach firm wywiesić amerykańskie flagi. (Nie, do tego się nie zmusi). Modlić się. (Jak słucha wojskowych planów prezydenta, rzeczywiście ma ochotę się modlić, tylko nie wie, do jakiego bóstwa - amerykańskiego czy hinduskiego - ma kierować swe suplikacje. Kto powinien uzyskać przebaczenie, a kto ratunek). Coraz bardziej przywyka do podejrzliwych spojrzeń na ulicy. Kilka razy widzi, jak ludzie na jej widok przechodzą na drugą stronę. Jak to jest, zastanawia się, że można w ciągu jednej nocy stać się tak przerażonym i tak bezbronnym?

O ataku na Kurma House International doniosły lokalne gazety. Potem otrzymali mnóstwo listów - w większości od cudzoziemców, którzy wyrażali swoje współczucie i oburzenie, ale także kilka anonimów z obelgami. Ktoś przysłał

dużą kopertę z hermetycznie zamkniętą torebką, zawierającą ekskrementy.

Otwierają sklep na nowo, kiedy Jespal wychodzi ze szpitala. Sądzą go w kącie, gdzie kłuje w oczy swoim ramieniem na bardzo białym temblaku. Rakhi żartuje razem z Belle, że w swych ciemnych okularach wygląda jak jakiś ważniak w przebraniu - no, czysty Elvis w turbanie - ale sama usta ma wyschnięte ze strachu. Wzdryga się nerwowo za każdym razem, gdy ktoś nieznajomy zbliża się do kontuaru. Ludzie, których nigdy nie widziała na oczy, wyznają, jak im przykro z powodu tych strasznych wypadków. Ściskają jej rękę, mówią, że witają ją serdecznie w tutejszej społeczności. Rakhi stara się doceniać takie gesty, a jednak budzą w niej niechęć. Czuje się przez to jak gość.

Urodziłam się tutaj, chce im powiedzieć. Jak możecie mnie „witać”?

Muzycy nie rozprawiają o incydencie, chociaż Rakhi nie może nie zauważyć, jak opiekuńczo zacieśniają krąg wokół Jespala. Ten nadal nie widzi na lewe oko. Lekarze czekają: jeśli nie nastąpi poprawa, spróbują inwazyjnych środków. (Interesujące słowo: „inwazyjny”. Umysł Rakhi natyka się na tyle możliwych znaczeń...). I ciągle nosi turban. (Czy turban to strój narodowy czy po prostu taki wybór?). Na otwarcie sklepu wybrał kolor liści bananowca. Patrząc na jego zawiniętą głowę, Rakhi czuje zarówno dumę, jak niepokój. Jeden z muzyków uderza pięścią w stół i przeklina. Jespal jednak, jak zwykle, kręci łagodnie głową i wkrótce zaczynają śpiewać.

Kiedy nadchodzi pora zamykania, mężczyźni zwlekają, udają, że są zajęci, pakują i przepakowują instrumenty. Potem czekają na zewnątrz i po ostatecznym zamknięciu drzwi na klucz idą za Rakhi i Belle na parking, gawędząc po drodze ze starszym panem. Obserwują z daleka, jak kobiety wsiadają do

samochodów i uruchamiają silniki. Ta ich troska sprawia, że Rakhi chce się i śmiać, i płakać. Postępują tak co wieczór, aż w końcu kobieta przyzwyczaja się do nowego rytuału, uznając go za wygodny i sympatyczny.

Zaprasza Sonny'ego do siebie i gotuje mu posiłek, chociaż kiedyś poprzysięgła sobie, że już nigdy tego nie robi. Ale tak przytulnie jest siedzieć razem z nim i z Joną w ciasnej kuchence wokół blatu, kroić zieloną cebulę, nacierać kurczaka imbirem. Po tamtej traumatycznej nocy nie próbują się już kochać. (Kiedy wraca myślą do tego, jak wtulali się w siebie, pomagając przypomnieć sobie nawzajem, kim naprawdę są, nie wie, czy ma się cieszyć czy wstydzić). Ale czasem, kiedy Jona zaśnie, po prostu siedzą sobie razem. Starają się nie wykraczać w rozmowie poza codzienne sprawy, chociaż czy można oddzielić codzienność od kwestii poszukiwania komórek terrorystów albo od prezydenta, który z pianą na ustach mówi o osi zła? Sonny czuje się winny, że puszcza muzykę, kiedy wciąż tyle ludzi umiera. Rakhi opowiada mu, jak zmienili się jej sąsiedzi. Pakistanki prawie nie wychodzą z mieszkań. Afgańczycy na zmianę pilnują dzieci ze swojej społeczności i odwożą je do szkoły samochodami, chociaż to tylko dwa kwartały od domu. Czasem Rakhi i Sonny oglądają w milczeniu ostatnie wiadomości, patrząc na bomby zrzucone na ich kraj na drugim końcu świata - eleganckie pióropusze dymu wznoszące się nad płomieniami.

- Nawet nie wiemy, co tak naprawdę tam się dzieje - mówi Sonny. - Czuję się jak piesek pokojowy, któremu rzucają smaczne kąski, żeby cicho siedział.

Reporterzy przeprowadzają wywiady z amerykańskimi żołnierzami. Przeważnie to jeszcze nastolatki. Niektórzy wyglądają na zdenerwowanych, ale przed kamerą każdy deklaruje, że jest gotów oddać życie za Amerykę. Rakhi

skręcają się od tego wnętrzości. Mają takie otwarte, naiwne twarze... Ciekawe, jak będą wyglądali po powrocie do domu.

Pewnej nocy Rakhi, niespodziewanie dla siebie samej, dziękuje Sonny'emu za uratowanie życia. Słowa płyną znacznie łatwiej, niż myślała, może dlatego, że ostatnio śmierć i umierający stale są obecni w jej umyśle, a więc i w jej mieszkaniu. A może dlatego, że jest w niej zbyt mało z Hinduski. Oczekiwała, że Sonny poczuje się skrepowany, ale on tylko wzrusza ramionami, mruczając pod nosem: „To nic takiego”. Ale i w nim musi być niewiele z Hindusa, gdyż bierze ją za rękę i mówi, jak bardzo jest szczęśliwy, że zrobił chociaż tyle... przynajmniej tym razem. Rakhi dopatruje się w tych słowach przeprosin za tamtą - jakże odległą - noc na imprezie, kiedy nie pośpieszył jej na pomoc. Dotyka zgrubień na jego palcach, zastanawiając się, gdzie się ich dorobił. Czubki palców ma kwadratowe, zadbane, z krótko obciętymi paznokciami, żeby nie podrapać płyt. Sama się dziwi, jak daleka wydaje się jej teraz tamta noc, jak pomniejszona przez nowe, znacznie gorsze katastrofy. Ale kiedy te katastrofy zatrą się nieco w pamięci, to czy tamten koszmar nie odzyska czasem swej ciemnej mocy? Palce Sonny'ego pachną delikatnie dzikim tymiankiem... A jednak gdy pyta, czy ma zostać na noc, Rakhi przecząco kręci głową. Nie chce przeciągać łatwego przebaczenia tylko po to, aby później je cofnąć. Sonny znów prosi, aby przyjechała do klubu, żeby go posłuchać, ale ona nie odpowiada ani „tak”, ani „nie”. Wychyla się tylko nieco do przodu, żeby mógł ją pocałować w policzek przed wyjściem.

Pewnego ranka do sklepu przychodzi Marco. W tym momencie Rakhi uświadamia sobie, że już od dłuższego czasu nie widziała go w pobliżu. Jest jakiś skurczony, jak marchewka, która zbyt długo leżała w lodówce. Podaje mu woreczek cebulowych pakor. Marco trzyma je w swych

szorstkich, spękanych dłoniach z obgryzionymi paznokciami i przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

- O co chodzi, Marco?

- Byłem tu tamtej nocy... jak ci goście napadli na wasz sklep. Spałem za straganem kwiaciarki, ale trzask szyby mnie obudził. Wszystko widziałem. - Przesuwa po podłodze czubkiem podartej tenisówki. - Tak się bałem, że nie przyszedłem wam na pomoc...

W Rakhi wzbiera fala litości.

- Ależ nie przejmuj się! Ja na twoim miejscu też bym się bała.

- Ona także tu była. Widziałem ją. Kawiarnia już była zamknięta, ale widziałem ją w środku.

Rakhi patrzy mu w twarz, od razu się domyślając, o kogo chodzi. Nie wie, czy kłoszard mówi prawdę, czy tylko tak mu się zdaje. Ma wodniste, rozbiegane oczy z czerwonymi żyłkami.

- Stała w oknie i gapiła się na was. Długo stała, póki nie przyjechał policjant.

Później Rakhi zobaczy tę scenę, chociaż wcale tego nie chce. Kiedy będzie już zasypiała, wszystko stanie jej przed oczami, brutalnie ją rozbudzając: kierowniczka stoi w ciemności, wewnątrz Javy, przy chłodnej szybie wystawowej. Tak mocno przyciska do niej ręce, że aż jej bieleją. Oczy błyszczą zielonym, chemicznym blaskiem, a siła jej nienawiści przeskakuje ulicę i wprawia w ruch łańcuch, który uderza Sonny'ego.

- Już jej tam nie ma - mówi Marco. - Wiedziała pani o tym?

Nie, Rakhi nie wiedziała. Nie miała do Javy głowy, zbyt usilnie walczyła, by utrzymać ją nad powierzchnią wody. Ale dziś postanawia się tam przejść. Rzeczywiście kawiarnia ma nowego kierownika - tęgiego, jowialnego mężczyznę w

średnim wieku, o wystających zębach. Zapytany, wyznaje, że nie wie, co się stało z jego poprzedniczką, gdzieś przepadła, i tyle.

Rakhi zostaje z dylematem: Czy człowiek może wyparować wskutek obróconej przeciw niemu siły własnej nienawiści?

Wyciąga sztalugi - pierwszy raz od września. Zamyka oczy i kiedy zaczynają ją zalewać obrazy, nie podejmuje z nimi walki. Trzask pękającego szkła, strach pełznący po jej ramieniu niczym gęsta maź. Długo nie mogła go potem zmyć, nawet w najgorętszej kąpieli. Zaczyna malować: Sikh zastrzelony przy stacji benzynowej, bo ktoś myślał, że jest ze Środkowego Wschodu; przerażone kobiety wyglądające zza zasłon, które wyglądają jak burki; turban Jespala rozwija się w rzekę krwi; jego oko - nabrzmiąły fiolet monsunowego nieba. Tło jest kolażem twarzy naznaczonych czerwono - biało - niebieskimi paskami. Pięść macha flagą tak gigantyczną, że jeśli wypadnie, podusi ich wszystkich. Ptaki poznikały, ich miejsce zajęły samoloty. Jedne wbijają się w budynki, inne zrzucają bomby z taką łatwością, jak insekty znoszą jajeczka. Rakhi dodaje znak GOD BLESS, a potem jeszcze table (Tabla - instrument perkusyjny, popularny w północnych regionach Indii.), bambusowe flety, skrzypce. Kopiące stopy, rozkołysane łańcuchy, ciastka zmiecione z lady i wdeptane obcasami w podłogę. Noże lecące przez namalowaną przestrzeń jak rekwizyty żonglerów... ale śmiertelnie prawdziwe. Wóz policyjny prześlizguje się przez pękniętą noc pod wydłubanym księżycem. Kiedy Rakhi cofa się, popatrzyć z perspektywy, kolory i kształty schodzą się ze sobą w tempie, od którego włoski na jej rękach się jeżą. Nadaje obrazowi jedyną możliwą nazwę: „Nie jesteście Amerykanami”.

Na koniec domalowuje policjanta, który ogląda się przez ramię, pędząc prosto w wir ciemnych maźnięć, i nagle

uświadamia sobie, że dała mu twarz mężczyzny w bieli. Czy tak dokładnie ją zapamiętała? Patrząc na nią, przypomina sobie mrowienie. Czy to oznacza rozpoznanie, czy zwyczajną ulgę? A może chęć odnalezienia zbawcy, którego już znała?

Jutro. Jutro pójdzie do eukaliptusowego lasu. Może tam, wśród korzeni i kory odnajdzie jakąś odpowiedź.

38. Z dzienników snu

W jaskiniach mówiono nam, że każda tłumaczka snów w czasie śnienia wysuwa ze swego pępka cienką, niewidzialną nicią, tak jak robi to pająk. Nicią ta sięga aż do Swapna Lok - krainy, gdzie rodzą się sny. W ten sposób tłumaczka ściąga do siebie te sny, które są jej potrzebne. Kiedy śpi sama, nicią jest cienka i słaba, więc łatwo ją zerwać, ale jeśli kilka tłumaczek śpi blisko siebie, ich nicią łączą się z sobą, tworząc potężną linią, która może udźwignąć ciężar nawet najtrudniejszych snów. Dlatego właśnie interpretatorki nie powinny oddalać się za bardzo od swej wspólnoty.

Nie odezwałam się, ale w duchu miałam wątpliwości. To zwykłe bajki, powiedziałam sobie, wymyślone po to, aby utrzymać nas blisko domu, pod kontrolą starszych.

Czemu wątpiałam w to, co moje towarzyszkę przyjęły bez zastrzeżeń? Może, sama jeszcze o tym nie wiedząc, przygotowywałam się do odejścia.

Znacznie później, kiedy podzieliłam się swoimi wątpliwościami z ciotką, ta westchnęła. Zrozumiałam to tak, że ma już dość moich buntów. Może żałowała, że w ogóle zabrała mnie ze slumsów. Przecież nie zyskała na tym nic prócz kłopotów.

Ale było to westchnienie zrozpaczonej miłości. (Kiedy sama zostałam matką, poznałam ten rodzaj westchnień). Istnieje dowód, powiedziała. Tylko że to tak, jakbyś chciała sprawdzić, czy szklany półmisek może się stłuc. Dowód uzyskasz, ale skorup już nie pozlepiasz.

Słuchałam tego tylko połową mojego niecierpliwego umysłu. Zagadki, zagadki, myślałam. Czemu po prostu mi nie wytłumaczysz, o co tu chodzi?

Wiele lat później te same słowa padły z ust mojej córki.

O pewnych sprawach jednak nie wolno mówić w ten sposób, teraz już o tym wiem. Trzeba zbliżyć się do nich

ukradkiem, od tyłu, jak do dzikiego ptaka. I nawet wtedy mogą zwietrzyć twój zapach i umknąć, zanim zarzucisz na nie sieć słów.

Moja umiejętność do śnienia mogła osłabnąć równie dobrze w Kalkucie, zaraz po ślubie, ale w tych pierwszych radosnych dniach nie zwracałam na to uwagi. Za bardzo pochłaniały mnie innego rodzaju marzenia, do których sen nie jest potrzebny. Dopiero w Ameryce, gdzie noce tkwią w miejscu jak Morze Sargassowe, stanęłam wobec ogromu moich problemów. Czasem czułam, jak z mego ciała wysuwa się cienki, rachityczny wąs, ale skoro nie natrafił na nic, z czym mógłby się połączyć, kurczył się i cofał z powrotem. Przez pewien czas pomagał mi wyrwać się z rozpaczliwych wreczek z ziemią, ilekroć jednak coś mi się śniło, ziemi ubywało i w końcu zniknęła zupełnie. A razem z nią - sny.

Jak mam ubrać w słowa pustkę życia bez snów po tym, jak udało mi się zakosztować ich znowu i wykorzystywać do pomagania ludziom? Nie mogłam jeść, nie mogłam spać. Całymi dniami wydeptywałam sfatygowany dywan, próbując obmyślić jakieś remedium. Nie znałam w Ameryce żadnej interpretatorki snów. Może w ogóle nie było ich na tej ziemi, gdzie technikę uważano za lekarstwo na wszystkie choroby?

Nawet gdybym znalazła słowa do opisanego moich problemów, nie mogłabym o nich opowiedzieć swojemu mężowi. On nie wiedział, że umiem tłumaczyć sny. Zamierzałam poinformować go o tym przed ślubem, ale w ostatniej chwili stchórzyłam. Wiele osób bało się interpretatorek snów, uważając nasz dar za sprzeczny z naturą. A jeśli on także tak myśli? Nie mogłam ryzykować utraty jego miłości, przecież tyle dla niej poświęciłam! Powiedziałam mu, że moja rodzina sprzeciwia się naszemu małżeństwu i z tego powodu ją opuściłam. Że nie chcę więcej o nich mówić, bo to dla mnie zbyt bolesne. Uszanował moje życzenia i zasypując

czułościami, starał się wynagrodzić mi rzekomo utraconą miłość rodziców. Jak mogłam powiedzieć mu teraz, że otworzył swoje serce dla kłamstwa?

Poza tym mąż nie był w stanie mi pomóc. Miał swoje własne problemy. Brakowało nam pieniędzy, więc musiał pracować dodatkowo, prowadząc zajęcia na uniwersytecie. Każdego wieczora wracał przemęczony, niepewny, czy uda mu się przetrwać w nowym kraju, który z początku tak kusił go swym blaskiem. Nadal jednak był dobrym człowiekiem i widział, że nie czuję się szczęśliwa. Próbował mnie rozerwać, zabierając do restauracji, kina czy na weekendy nad morzem - na to jeszcze mogliśmy sobie pozwolić, ale na nic się to nie zdało.

W tygodniku przeczytałam o kobiecie - medium, która za opłatą odpowiadała na pytania o przyszłość, oferowała pomoc w rozwiązywaniu problemów i nawiązaniu kontaktu z ukochanymi zmarłymi. Moje serce zadrgało jak wyrzucona na brzeg ryba, która poczuła bliskość wody. Wzięłam bez wiedzy męża dwadzieścia dolarów z jego portfela i zadzwoniłam, żeby umówić się na spotkanie. Ale kiedy usłyszałam jej głos w telefonie - chrapliwy od nadmiernego palenia i zbyt wielu nieprzespanych nocy, zrozumiałam, że mi nie pomoże.

Moje dni stawały się coraz trudniejsze do zniesienia. Nie mogłam się skoncentrować na niczym oprócz utraconego daru. Chociaż nigdy nie poświęcałam mu wiele uwagi, to jednak życie bez niego wydawało mi się niemożliwe. Z tej rozpaczyny winę zrzuciłam na męża. Kłóciłam się z nim bez najmniejszego powodu, a pretensja, jaką widziałam w jego oczach, jeszcze bardziej mnie złościła. Samobójcze myśli napępniały mi mózg niczym deszczowe chmury, gdziekolwiek się obróciłam, widziałam tylko ciemność.

I właśnie wtedy po raz pierwszy nawiedził mnie wąż.

Nie potrafię opisać naszego spotkania - pewne rzeczy nie powinny nigdy trafić na papier, nawet do zeszytu takiego jak ten, który nigdy nie trafi w obce ręce, pisanego w języku znanym ledwie paru osobom w tym kraju. Ale oto, czego się dowiedziałam: za każdym razem, kiedy uprawiam z mężem seks albo nawet śpię z nim w tym samym łóżku, moja moc - i tak osłabiona zbyt dużą odległością od jaskiń - coraz bardziej maleje. Niebawem zaniknie całkowicie. Jeśli chcę nadal tłumaczyć sny, muszę spełnić dwa warunki - i to szybko.

Wybór należy do ciebie, powiedział wąż. Lśnił na obrzeżach mego pola widzenia niczym kropla deszczu na kolbie kukurydzy. Był jedynym okruchem piękna w mojej ponurej, dusznej egzystencji. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym go utracić.

Twój wybór, powiedział. Ale wiedziałam, że nie mam wyboru. Muszę zerwać wszystkie więzi z mężem. I odnaleźć na powrót drogę do jaskiń.

39. Rakhi

Nie śpię przez całą noc. Mózg mam rozpalony i dziurawy, oczy mnie pieką, jakbym miała się rozchorować. Myśli rozdeptują mi głowę jak stado słoni. Różne sprawy, o których mówiła mi matka: „Suszarka do włosów zabija komórki mózgowe”. „Nie kładź się spać z urazą w sercu”. Urywki dawnej muzyki Sonny'ego i przebijająca się zza nut nowa, której jeszcze nie znam. Przepis na kokosowy chutney, który ojciec przyrzadził w ubiegłym tygodniu, aż do ostatniego szczegółu, chociaż nie lubię orzechów kokosowych. Spis ubrań, z których Jona wyrosła, przedmioty, których Belle będzie potrzebować do prowadzenia domu po wyjściu za mąż, środki ostrożności, jakie powinny podjąć amerykańskie porty lotnicze. Ale to nie są moje prawdziwe myśli. Prawdziwe to te, które od siebie odsuwam, wypełniając pośpiesznie umysł niepotrzebnym bełkotem. W końcu, kiedy światło za żaluzjami nabiera koloru roztopionego masła, poddaję się i wstaję.

Jona jest z Sonnym, więc mogę iść do eukaliptusowego lasku czy gdzie mam ochotę, ale wciąż zwlekam. Robię śniadanie, biorę prysznic, wrzucam do pralki kłęb mocno zleżałych brudów. Nie chce mi się tam iść, obawiam się, że nie zastanę mężczyzny w bieli. Jeśli nie będzie go w lasku, to nie znajdę sposobu, by do niego dotrzeć.

A może boję się właśnie tego, że będzie?

Miałam nadzieję, że zagajnik będzie pusty, ale mimo dnia powszedniego, panuje tam spory ruch. Ludzie wykorzystują łagodne słońce listopadowego południa. Po alejkach spacerują studenci, dzieci z piskiem gonią wiewiórki, psy ciągną swych właścicieli do ulubionych zapachów, na powalonych pniach siedzą zakochane pary i całują się jak zawsze. Jakaś rodzina rozłożyła obrus na sosnowym igliwiu i urządza sobie piknik. Między ich jasnymi głowami widzę falafel, sałatę, pitę, puree

z bakłażana. Jak można wyglądać na tak szczęśliwych? Czy wokół tego zagajnika istnieje jakaś magiczna osłona, która filtruje pamięć tych, którzy tu wchodzą? A może na tym właśnie polega sztuka przetrwania - żeby otrząsnąć się z historii i zanurzyć w „tu i teraz”? Jeśli tak - to mnie ta zdolność ominęła.

Idę do kotlinki w środku lasu, gdzie ostatni raz widziałam ćwiczącego tai chi mężczyznę w bieli. Nie ma po nim śladu, ale za to jest ciszej. Siadam na ziemi pod zwalonym drzewem. Nad głową mam nierówny krążek nieba między koronami eukaliptusów. Spoglądam w górę; myśli, z którymi tak się zmagalam, czekają przyczajone, jak skały wynurzające się z rzeki. Nawet jedna może mnie zatopić, jeśli się na niej rozbiję. Daj się ogarnąć tej chwili, mówię sobie. Pod sobą masz suche, łamliwe gałązki, za plecami drapiącą korę drzewa. Niebo jest bardzo blade - raczej białe niż niebieskie. Czuję w piersi ucisk, aż wreszcie coś wyskakuje ze mnie jak korek. Myśli natychmiast ruszają z kopyta, jakby tylko na to czekały. Tydzień temu w telewizji jakiś kaznodzieja głosił, że odpowiedzialność za ataki terrorystów spada na adwokatów broniących praw homoseksualistów i kobiet dopuszczających się aborcji. To oni rozgniewali Boga i ściągnęli na Amerykę karę. Jona obudziła się z płaczem. Bałam się zapytać ją, co się stało, ale i tak mi powiedziała. Przyśniły się jej zamrożone jaskinie pełne trupów. Nie mogłam pocieszyć jej, jak inne matki, mówiąc: „Nie martw się, to tylko sen”. Ciężar jej daru przygniata moją pierś jak bryła lodu. Dostałam kilka mejli z ostrzeżeniami, żeby nie chodzić w Halloween do centrów handlowych, gdyż na ten dzień planowany jest kolejny atak. Wielu kelnerów z World Trade Center pracowało na czarno. Nigdy nie dowiemy się, kim naprawdę byli, ani oni, ani ich rodziny. W innych mejlach nadchodzą rady, żeby gromadzić zapasy czosnku, oliwy i

oregano - podobno stanowią one antidotum na węglika. Tydzień po zburzeniu wież policja znalazła na dachu sąsiedniego budynku parę dłoni skutyh plastikowymi kajdankami. Na pokładzie USS „Enterprise” marynarz trzymał bombę z napisem HIGH JACK THIS FAGS (Tu: „Walcie się tym, pedały”). W niektóre noce boję się zasnąć. Co jeszcze na świecie się załamię do czasu, kiedy znów otworzę oczy? Kiedy indziej znów - chcę tylko spać, zakopać się w norze głęboko jak borsuk, czuć na skórze krzepiącą stęchlizną ziemi, która nigdy się nie zmienia.

Często przyłapuję się na medytowaniu o śmierci. Do niedawna doświadczałam jej tylko w teorii, ale teraz zawisała nad moim życiem niczym szara sowa ze szponami i świecącymi w ciemnościach oczami. Przeraziła mnie, ale także zachwycała. Czy dlatego niektórzy ludzie pędzą ku niej w szale niezrozumiałej radości, nazywając ją Zbawcą Wiernych?

A co z nią, z kobietą najbliższą mi, a zarazem najdalszą, która przeżyła życie, ratując innych, a skończyła je, wjeżdżając samochodem (z własnym mężem w środku) w przepaść? To nie był wypadek, coraz bardziej umacniam się w tym przekonaniu. W jaki transformujący sen wkroczyła tamtej ostatniej nocy swego życia? Czego poszukiwała, że śmierć wydała się jej jedynym wyjściem?

Na dłoni przysiada mi ważka - duża, metalicznie błękitna, o przezroczystych skrzydełkach. Balansuje przez chwilę na moim knykciu, skrzydełka jej błyszczą, podobnie jak czarne koraliki oczu. W mojej okolicy rzadko widuje się ważki. Czuję się dziwnie zaszczycona, że akurat mnie sobie wybrała jako przystanek w locie. Siedzę bardzo cicho, wstrzymując oddech, póki nie odfrunie znów ku niebu. Patrzą za nią długo, a kiedy znika mi z oczu i wracam wzrokiem do ziemi - widzę mężczyznę w bieli.

Jest na swym zwykłym miejscu, w kotlinie, ale dziś jego ćwiczenia wyglądają inaczej. Balansuje na prawej nodze, odciągając lewą do tyłu ręką. Prawe ramię ma skierowane ku niebu, oczy utkwione w jakimś punkcie na horyzoncie. Powoli odgina coraz bardziej nogę, aż do zupełnego wyprostowania. To piękna, przejmująca pozycja - idealnie wyważona. Nie mogę oderwać wzroku.

Po chwili rozluźnia mięśnie, opuszcza nogę na ziemię i powtarza ćwiczenie z drugą. Rozpoznaję w tym pozycję jogi, chociaż nie przypominam sobie jej nazwy. Po raz kolejny podziwiam, z jaką naturalnością jego ciało przechodzi przez poszczególne fazy. Wiem, że ja bym tak nie potrafiła.

Kończy asanę. Zanim zaczął następną, wstaję. Krew pulsuje mi w uszach, że aż kręci mi się w głowie, ale mam całkowitą pewność, że jeśli przepuszczę tę okazję, to już nigdy nie uda mi się z nim porozmawiać.

- Dzień dobry...

Odwraca się - i widzę, że jest znacznie starszy, niż sądziłam. Porusza się jak młody mężczyzna, twarz jednak ma porytą zmarszczkami. Trudno odgadnąć, jakiej jest rasy - skórę ma brunatną, ale oczy intensywnie zielone. Czy to ten sam człowiek, którego widziałam ostatnim razem w deszczowy poranek? Może nie tylko on przychodzi do lasu ćwiczyć. Inni też mogli ubierać się na biało, przynajmniej od czasu do czasu. Może ten, którego w myśli nazywałam „mężczyzną w bieli”, istnieje tylko w mojej wyobraźni? Może jego obraz nakłada się na innych ludzi, kiedy moja podświadomość ma taką właśnie potrzebę? Ta ostatnia wątpliwość napęła mnie takim niepokojem, że mam chęć przeprosić i odejść.

- Dzień dobry - odpowiada, mrużąc oczy w uśmiechu. Podobają mi się te oczy - są pociągające, ale nie w sposób seksualny. I chociaż nie dostrzegam w nich błysku

rozpoznania, trzymają mnie tak, jak fala utrzymuje pływaka. Budzą we mnie chęć pozostania w miejscu, nawet jeśli to nie jest „mój” mężczyzna w bieli, nawet jeśli nie wie nic o śmierci mojej matki.

Biorę głęboki oddech. Mam wrażenie, że prowadzimy jakąś wyrafinowaną, podobną do tańca grę. Wynik naszego spotkania będzie zależał od tego, czy dobrze je rozegram. Ale jakie są reguły?

Czeka w swobodnej pozie, aż przemówię.

W głowie kłębi mi się ze sto pytań. Czy pan jeździ czarnym samochodem? Czy jest pan policjantem? Czy na pańskiej tablicy rejestracyjnej jest napis EMIT MAERD? Czy to pańskie nazwisko i co ono znaczy? Czy pan znał moją matkę? Czy to za panem zjechała z drogi?

Zamiast tego wszystkiego pytam:

- Czy to jogę pan ćwiczył?

Tym razem uśmiech rozświetla mu twarz. Widać zadałam właściwe pytanie. - Tak.

- Pokaże mi pan jakąś asanę?

- Chętnie. - Patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami, jakby podejmował decyzję.

Idę za nim na drugą, większą polanę. Wokół nas są ludzie, ale to nieważne. Czuję się tak, jakbyśmy znaleźli się wewnątrz bańki powietrza, do której nikt inny nie może wtargnąć.

- Proszę robić to co ja - mówi. Staje ze złączonymi nogami i podnosi ręce nad głowę, wyciągając je na całą długość. Dłonie stykają się ze sobą. Naśladuję go. Ruch jest samą prostotą, ale dla mnie to coś nowego. Kiedy wyciągam ręce, czuję mrowienie w czubkach palców.

Teraz mężczyzna staje w rozkroku i obraca się w prawo, wysuwając naprzód prawą stopę. Ugina prawe kolano i opuszcza się w dół. Wyprostowana lewa noga pozostaje z tyłu, wzrok skierowany jest w górę, ku złączonym dłoniom.

Próbuję tego samego, ale lewa noga nienawykła do prostowania w takiej pozycji, zaczyna się chwiać. Tracę równowagę i żeby nie upaść, muszę się podeprzeć rękami.

- Nie trzeba się przejmować. Spróbujmy jeszcze raz. - Kładzie mi dłonie na ramionach i obraca je, a potem ustawia mi nogi w odpowiedniej pozycji. Wyciąga mi ręce w górę i łączy dłonie. - Proszę spojrzeć w górę.

Wbijam wzrok w białą powłokę nieba, ale tym razem nie kręci mi się w głowie. Czuję, jak ciepło z jego dłoni wędruje do moich. Między niebem a mną wisi pajęczyna - rozciągnięta między dwiema gałęziami eukaliptusa, obciążona srebrnymi kropelkami rosy, jest najbardziej misternym dziełem, jakie dotąd widziałam. „I pomyśleć, że cały czas tam była, tylko ty jej nie widziałaś” - szepcze mój cichy głos.

Pozwala swym dłoniom opaść. Stoję o własnych siłach, utrzymuję równowagę i przez ułamek sekundy mam przedziwne wrażenie, jakbym była kroplą rosy na niewidzialnej pajęczynie, ogromnej sieci, rozciągniętej poza granice wyobraźni. Mężczyzna w bieli jest drugą kroplą i w tej właśnie chwili jakaś siła - wiatr, grawitacja, wpływ planet - przyciąga nas do siebie nawzajem. W następnej chwili może jedno z nas odepchnąć, aby ześliznęło się po sieci i wylądowało w innym mieście, innym kraju... nawet w innym wymiarze. I tak dzieje się cały czas: ludzie wymykają się z naszego życia, aby już nigdy się nie odnaleźć. Ale wciąż są gdzieś na tej sieci.

Nagle nogi się pode mną uginają i muszę uchwycić się jego ręki, żeby nie upaść.

Kiedy przestajemy się śmiać, on mówi:

- To jedna z moich ulubionych pozycji, wojownik. Regularne ćwiczenie przywraca równowagę, opanowanie, wizję i śmiałość, że nie wspomnę o mocnych nogach i kręgosłupie.

- Z pewnością potrzebuję tego wszystkiego.
- Każdy tego potrzebuje - mówi, patrząc na mnie z wielką dobrocią. Kiwa mi głową na pożegnanie, wytacza swój rower - starą niebieską dziesięciobiegówkę, która cały czas stała pod drzewem - po czym wyjeżdża z lasu i tracę go z oczu.

Trzymam w sekrecie moje spotkanie z mężczyzną w bieli, chociaż czasem poważnie mnie kusi, by przedyskutować je z Belle. Pewnie uznałaby, że jestem głupia. („Nie mogę w to uwierzyć! Traciłaś czas na ćwiczenie z nim jogi, skoro miałaś tyle ważnych pytań? Na miłość boską, Rikki, przecież ciebie joga w ogóle nie interesuje!"). Nie umiałabym jej wytłumaczyć, co czułam, kiedy połączył swoje dłonie z moimi, jak gdyby to były płatki tego samego kwiatu. Ani tego, co mi się nasunęło na myśl w związku z pajęczyną.

Słowa są chytre. Czasem potrzebujesz ich, aby wyrazić ból narastający w twym wnętrzu. Jeśli tego nie zrobisz, wda się gangrena i cię zabije. Tak właśnie było ze mną i z Sonnym, nie mogliśmy pchnąć naprzód naszego życia - razem czy oddzielnie - póki nie porozmawialiśmy. Ale czasem słowa potrafią rozbić uczucie na kawałki. I tak się stało z moim zagajnikowym epizodem.

Matka próbowała mnie tego nauczyć. Kiedy raz dręczyłam ją uparcie pytaniami, powiedziała: „Każdy oddycha powietrzem, ale tylko mądry człowiek wie, kiedy użyć tego powietrza do mówienia, a kiedy wydychać je w ciszy". Nie pretendowałabym do takiej mądrości, ale może właśnie się uczyć.

Czasem próbuję pozycji wojownika. Mam nadzieję, że mnie przeobrazi, pozbawi słabości, ale nic z tego. Czasem jednak, kiedy ćwiczę przed na wpół dokończonym obrazem w moim zagraconym salonie albo na zewnątrz, na tarasie Sonny'ego, pod błękitnym cieniem jacarand, coś mi się w środku rozluźnia, jakaś pętla nieufności, potrzeba

kontrolowania się. W czubkach palców czuję mrowienie energii, a mój szepczący głos zwija się w kłębek jak kot i zamyka oczy.

Nigdy więcej nie widziałam mężczyzny w bieli - może dlatego, że już go nie potrzebowałam. Dzięki temu spotkaniu coś we mnie doznało ukontentowania. Nigdy bym się nie dowiedziała, jakie tajemnicze ogniwo (jeśli w ogóle takowe istniało) łączyło go z matką, czy naprawdę był owym długo wyczekiwany posłańcem z jej dzienników. Ale po raz pierwszy mogłam pogodzić się z brakiem takiej wiedzy. Z moimi najbliższymi zawsze będą wiązały się jakieś tajemnice, enigmy, wokół których obraca się ich życie, a których nie będę w stanie rozszyfrować. Tak jest dobrze. Miłość chadza krętymi drogami. Może mężczyzna w bieli, którego obraz zatrzymam w moim wnętrzu obok Jony i rodziców, Sonny'ego i Belle, przyszedł po to, aby mi o tym powiedzieć.

40. Z dzienników snu

Gdy tylko podjęłam decyzję wyjazdu, otrząsnęłam się z przygnębienia. Tyle miałam spraw do załatwienia! Przede wszystkim zdobyć bez wiedzy męża pieniądze na bilet. W tym celu musiałam znaleźć pracę.

Zwróciłam się do męża z lekkim niepokojem. Kiedy po raz pierwszy mu skłamałam, zrobiłam to dla dobra nas obojga, tym razem kłamstwo miało posłużyć tylko mnie samej. Czy potrafię to zrobić, spojrzawszy w twarz, którą kochałam (tak, nadal kochałam) najbardziej na świecie? Ale to było bardziej niż łatwe. Nie zadrżał mi głos, gdy mówiłam, jak bardzo cierpię z powodu samotności, że praca zajmie mi czas, a dodatkowe pieniądze pomogą w utrzymaniu domu. Od razu się zgodził - martwiły go moje ponure nastroje - zaczął też rozpytywać swoich hinduskich kolegów. (Nie mogłam nazywać ich przyjaciółmi. Zbyt wiele czasu pochłaniała nam adaptacja w nowym miejscu, by go starczyło na zawieranie przyjaźni). W ciągu kilku tygodni cudem - zważywszy na to, że nie miałam pozwolenia na pracę ani żadnego zawodu - otrzymałam posadę.

Pracowałam w hinduskim sklepie spożywczym - na zapleczu, gdzie nikt mnie nie widział. Odmierzałam soczewicę i przyprawy z wielkich worków do małych plastikowych torebek i przyklejałam na nich odpowiednie nalepki. Niektórzy mogliby uznać to zajęcie za nudne, ale ja czerpałam ukojenie z prostych, powtarzających się czynności. Sprawiało mi przyjemność równe pieczętowanie torebek i nalepianie etykietek dokładnie pośrodku każdej z nich. Cały czas wyobrażałam sobie dzień, w którym kupię bilet za pieniądze z ukrywanego pod łóżkiem pudełka po butach (powinnam je uzbierać w ciągu trzech miesięcy). A potem dzień, w którym pojedę mikrobusem na lotnisko i wejdem na pokład samolotu Air India, udającego się do Kalkuty. Dalsza przyszłość nie

rysowała się już tak wyraźnie. Prawdopodobnie będę musiała podróżować pociągiem do wioski położonej najbliżej jaskiń, a dalej iść pieszo. Ta część budziła we mnie pewien niepokój. Przypomniałam sobie plotki o tym, że jaskinie są tak ukryte, że chociaż każdy może opuścić je, kiedy zechce, to tylko starsze wiedzą, jak do nich trafić. Postanowiłam jednak nie martwić się na zapas. Przecież sam wąż mnie nakłaniał do powrotu, czyż nie? Na pewno we właściwym czasie wszystko się wyjaśni.

Właściciele sklepu płacili mi niską stawkę za godzinę, znacznie niższą niż przy legalnym zatrudnieniu, ale nie miałam do nich pretensji. Podjęli pewne ryzyko, przyjmując mnie, i na swój sposób byli dla mnie dobrzy. Dawali mi sporą liczbę godzin tygodniowo, a po południu, kiedy żona właściciela jadła lunch na zapleczu, zawsze i mnie zapraszała.

Może z powodu poczucia winy albo dlatego, że niedługo miałam wyjechać, starałam się w tym czasie robić wszystko tak, jak mąż lubił. Przyrządzałam jego ulubione potrawy (nie umiałam dobrze gotować, w jaskiniach nas tego nie uczono, ale próbowałam). Co wieczór chodziłam z nim nad pobliskie jezioro karmić kaczki, co mnie wprawdzie nudziło, ale jemu sprawiało przyjemność. I kiedy tylko zechciał (to znaczy prawie co noc) pozwalałam mu się kochać.

Nie mogę udawać, że robiłam to tylko ze względu na niego. Był pociągającym mężczyzną i naprawdę go kochałam, tylko po prostu nie dość mocno, by wyrzec się moich snów. Seks zawsze dawał mi radość. Nawet obawa, że przez to utracę mój dar, nie odebrała mi tej zapierającej dech rozkoszy. Mój sekretny zamiar wyjazdu wzbogacił jeszcze nasze stosunki, dodając do nich słodki ból przemijania.

Jeśli nawet miałam świadomość, że postępuję niewłaściwie, to nie chciałam się nad tym zastanawiać. Porzucam wszystko, mówiłam sobie, i na pewno zasługuję na

tych kilka miłych wspomnień, które zabiorę ze sobą do nowego, czystego życia w jaskiniach.

Dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem (zarezerwowałam wcześniej bilet w biurze podróży) przesuwałam w pracy ciężki worek z soczewicą i nagle zemdlałam. Zona właściciela usłyszała rumor (upadłam na stos metalowych pudełek) i pośpieszyła na pomoc. Zwilżyła mi twarz mokrym ręcznikiem, natarła skronie wodą różaną, a potem, kiedy już się ocknęłam, dotknęła ciemnych kręgów pod moimi oczami i orzekła, że jestem w ciąży.

- Niemożliwe! - wykrzyknęłam ze zgrozą.

- A zabezpieczałaś się? - spytała.

Musiała domyślić się z mojej miny, że nigdy nie słyszałam o żadnych zabezpieczeniach.

- No tak - pokiwała głową - to się zdarza. Powinnam wiedzieć, sama urodziłam pięcioro, zanim uparłam się, by podwiązano mi jajniki.

Czekała, żebym coś powiedziała, ale nie mogłam wydobyć głosu. Kazała mi usiąść i dała butelkę soku z mango. (Nawet w stanie szoku nie mogłam nie zauważyć jej wielkoduszności: sok z mango był importowany z Indii i butelka kosztowała dolara).

- Nie martw się - pocieszała mnie - wszystko będzie dobrze. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile szczęścia da ci dziecko, jak bardzo odmieni twoje życie.

Nie, chciałam krzyknąć. To ty nie umiesz sobie wyobrazić, jak to dziecko odmieni mi życie. Ale się nie odezwałam. Bo i po co? Po prostu tam siedziałam i piłam przesłodzony sok, całą siłą woli powstrzymując się od wymiotów.

Przez kolejnych siedem dni zadreślałam się, nie wiedząc, co robić w sprawie ciąży. Narzekałam, że się źle czuję, i przez tydzień spałam sama, a mąż ze swą ufną naturą o nic mnie nie

wypytywał. Co noc błagałam węża, żeby do mnie przyszedł, pomógł podjąć decyzję. Każdej nocy płakałam, tłumiąc łkanie poduszką, bo nie odpowiadał na moje prośby. Do tej pory nie rozumiem, dlaczego trzymał się z daleka. Czy chciał mnie ukarać, za to, co zrobiłam, czy też po prostu było już za późno?

Pod koniec tygodnia sama podjęłam decyzję. Po pierwsze, odrzuciłam możliwość aborcji. (Tak, przyznaję, że taka myśl przyszła mi do głowy. Gdyby wąż poprosił, abym to zrobiła, usłuchałabym, ale on mnie opuścił i musiałam teraz polegać wyłącznie na własnych siłach).

Po drugie, zrezygnowałam z wyjazdu.

Przez jakiś czas udawałam, że moja decyzja wynikła z altruizmu, że robię to dla mojego nienarodzonego dziecka, ale tak naprawdę ogarnął mnie strach. Bałam się, że starsze nie przyjmą mnie z powrotem do jaskiń, nawet gdybym potrafiła je odnaleźć. Rozstałyśmy się z urazą w sercach. Ostrzegaly mnie, że jeśli wyjadę, nie będą mi już nic winne. A teraz, kiedy zobaczą wyraźny owoc mego wykroczenia, z pewnością mnie odrzuca. Czy wąż już tego nie uczynił?

Co się wtedy stanie? Nie zniósłabym konieczności powrotu do slumsów. Nie mogłabym ukarać swego dziecka nędzą i brakiem ojca, podwójnym przekleństwem, jakim obciążyła mnie moja własna matka.

Z końcem tygodnia powiedziałam mężowi o ciąży. Ależ się ucieszył! Nie przejął się moim wyciszeniem. Pewnie koledzy poinformowali go, że w tym czasie kobiety stają się humorzaste. Kiedy nie chciałam z nim sypiać, pogodził się z tym, uznając to za coś przejściowego. Kiedy mu oznajmiłam, że nie chcę już pracować w sklepie, przyznał mi rację: lepiej będzie, jeśli zostanę w domu i zajmę się własnym zdrowiem.

Dziecko w moim brzuchu rosło, a ja od rana do wieczora krążyłam po mieszkaniu, nie mogąc znieść bezruchu. Ale nie

czułam niepokoju. Niepokój wiąże się z nadzieją, a tej już nie miałam. Na życie w Indiach nie mogłam liczyć i nie zależało mi, jak potoczy się reszta moich dni, żeby nawet nie wiem jak się poplątały.

W dniu, w którym dziecko kopnęło mnie po raz pierwszy, poczułam także jakiś dziwny ruch. Po chwili zrozumiałam: to moja dawna moc znów daje o sobie znać, może pomniejszona, ale nadal żywa! Kto wie, jak ona działa? Z początku nie chciało mi się w to wierzyć - bałam się rozczarowania. Potem jednak ogarnęło mnie poczucie ułaskawienia i... nowy rodzaj strachu. Niech się dzieje, co chce, nie wolno mi znów tego utracić!

Zauważyłam, że w dni największej ciszy moc stawała się silniejsza. W następujące po nich noce nawiedzały mnie sny innych ludzi, otrzymywałam też wskazówki, jak ich odnaleźć. Znów zaczęłam telefonować, żeby uzyskać odpowiedzi. Pomogłam jednej osobie, potem drugiej, ich liczba stale rosła.

Postanowiłam, że będę mówić tylko w razie potrzeby, a na temat mojej przeszłości - nigdy. Mówienie o czymś jest równoznaczne z roztrwonieniem tego, a już i tak zbyt wiele zmarnowałam. Szczęście takie, jak je pojmują zwykli ludzie, nie było mi pisane. Ale może uda mi się czerpać satysfakcję z tego, co pozostało z mojego daru.

Pragnęłam być dobrą żoną, ale to okazało się niemożliwe. Nie ośmieliłam się już sypiać z mężem. Byłam przekonana, że jeśli dotknie mnie znów z pożądaniem, stracę tę marną resztkę mocy, jaką udało mi się odzyskać. Nie mogłam mu tego wytłumaczyć. Słowa stały się rzadkim towarem, nie dawało się nic z nich uciuć, poza tym raczej by mi nie uwierzył. Troszczyłam się o niego w każdy inny sposób - gotowałam, sprzątałam, prasowałam, wysiadywałam z nim po nocach na wytartej pluszowej kanapie, gotowa słuchać wszystkiego, co miał mi do powiedzenia, ale on posepniał coraz bardziej i nie

chciał rozmawiać. Chciał tylko tego, czego nie mogłam mu dać: mojego ciała, do którego wciśnięto mi duszę. Modliłam się, żeby przestał mnie kochać i zwrócił się do kogoś innego - to ułatwiłoby życie nam obojgu - ale nie potrafił. Wpadł we mnie niczym w pajęczą sieć i jedyną drogę ucieczki stanowiły dla niego ciągi alkoholowe.

Nie byłam dla Rakhi dobrą matką. Kochałam ją, ale nie bez reszty. Kochać kogoś w pełni to zaprzeć się siebie, a tego nie mogłam ryzykować. Rakhi o tym wiedziała. Może dlatego ciągle dążyła do zrozumienia, kim jestem, i do tego, by stać się taką samą. Nie miałam mocy, by zapewnić jej to ostatnie, nawet gdybym pragnęła dla niej takiego losu. Natomiast gdybym dała jej to pierwsze, podpisałabym na sobie wyrok.

Podjęłam próbę z dziennikami, ponieważ słowo pisane różni się od mówionego. Słowo wypowiedziane rozplywa się jak mróz w promieniach słońca. Pisane zaś trwa, jego czarny fryz przypomina żelazne okucia pałacowych okien, tyle że ogranicza mnie brak warsztatu. Myśli, wspomnienia przelatują mi przez głowę i znikają. Potrafię wyrazić tylko ułamek tego, co czuję, reszta jest stracona jak zarodniki rozproszone przez wiatr. Nie czytam fragmentów, które napisałam, boję się, że mogłabym je podrzeć.

Dla was to napisałam, mężu, córko, żebyście przeczytali, kiedy odejdę. Może zaskoczy was moja rozwlekłość. Może znieawidzicie mnie za te wyznania. A może zrozumiecie odrobinę tego, czego nigdy nie mogłabym wam wyjaśnić: kim byłam i dlaczego, jakie bóstwa i jakie węże nawiedzały moje sny.

41.

Stoi w długiej kolejce. Czekaając na otwarcie drzwi, bawi się torebką, w której ma kartkę ze wskazówkami od Sonny'ego. W San Francisco jest wietrzna noc i tutaj, na południe od Market, porywy wiatru zdzierają paski gazetowego papieru z nieoświetlonych otworów drzwiowych, rzucając je pod nogi klientów klubu. Ale słowo „klient” jest zbyt oficjalne, myśli Rakhi, jak na tę różnorodną grupę, przeważnie pochodzenia hinduskiego, chociaż goście przyprowadzają też przyjaciół innych przekonań. Można tu zobaczyć całą gamę fryzur - od farbowanych punków do króciutkiego jeża i loków opadających na plecy obleczone designerskimi topami. Niektórzy mają na sobie workowate, za duże spodnie i czapki obrócone daszkami do tyłu, inni preferują gotyk: czarne peleryny i krwistoczerwone usta. Pod płaszczami błyskają skąpe, haftowane złotem bluzki od sari, wytarte capris (Capris - szerokie, luźne spodnie.) albo przezroczyście dupatty na topach bez ramiączek. Towarzystwo poprzekłuwane kolczykami, wytatuowane, ufarbowane henną, wydaje się należeć do jakiejś innej nacji, w ich mowie słychać określenia, jakich Rakhi w ogóle nie zna. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek natknęła się na hinduskich Amerykanów tego rodzaju ani we Fremont, ani w Berkeley. Może to jakiś nowy, nocny gatunek? A może są mistrzami kamuflażu i cały czas kręcą się gdzieś w pobliżu - w sklepikach spożywczych, w bankach, szpitalach, kampusach uniwersyteckich?

Czułaby się zenująco nie na miejscu wśród tego tłumu, gdyby Sonny nie poinstruował jej, jak ma się ubrać. W haftowanej koszuli Gujarati, czarnej spódnicy do pół łydki i starych butach za kostkę jest na tyle wpasowana w tłum, że nikt nie spojrzy na nią więcej niż raz. Zresztą i tak ludzie nie zwracają tu na siebie uwagi, chociaż wielu chyba należy do

stałych bywalców. Może na tym polega młodość? Tak bardzo cię pochłania kipiąca w środku energia, te wszystkie rzeczy, które musisz mieć „natychmiast”, że nie masz już czasu, by spojrzeć na coś lub na kogoś, kto nie stanowi najkrótszej drogi do celu.

Ku swemu zdumieniu, czuje do nich sympatię. Jest jakieś poczucie braterstwa w tym braku wzajemnego zainteresowania. Pewność, że ludzie, którzy stoją w tej kolejce, ściskając w dłoniach dziesięciodolarowe banknoty, górują kulturowo nad barbarzyńskimi hordami, spędzającymi piątkowe wieczory w jakimś innym miejscu - na japiszonowskiej dyskotece czy na oglądaniu w rodzinnym gronie hinduskiego filmu na przesadnie wielkim telewizorze w zagraconym podmiejskim salonie.

Musiała zebrać całą odwagę, ale w końcu powiedziała Sonny'emu, że chce go posłuchać jako didżeja. Kiedy poinformował ją, że w końcu miesiąca będzie odstawiał swoją najbardziej kreatywną robotę w klubie Must - Must na imprezie dla desi, mało nie dała za wygraną. Wyobraziła sobie hałaśliwy tłum, a jej lęk podsycaly dodatkowo resztki wspomnień z tamtego, wcześniejszego koszmaru. Wiedziała, że musi przyjść, inaczej nie będzie w stanie przenieść ich w stan spoczynku. A teraz podziwia, jak cierpliwie ci ludzie czekają na swoją kolej, gawędząc z bramkarzem, wymieniając dowcipy z parą bezdomnych, którzy usiłują wyłudzić trochę kasy na piwo. Mimo wszystko jednak uważa, żeby nie nawiązywać kontaktu wzrokowego ani się nie uśmiechać.

Sonny proponował, że ją zabierze, ale odmówiła. Powiedziała mu, że chce ten wieczór przeżyć autentycznie, tak jak każdy inny klubowicz, chociaż w gruncie rzeczy chciała poddać się próbie. Od czasu ataku na Kurma House bała się gdziekolwiek chodzić po nocy. Okoliczności, na które dawniej nie zwracała uwagi - jakaś grupka na skrzyżowaniu, kroki z

tyłu, kiedy idzie do samochodu, ktoś zagadujący, czy ma czas - kłębiły się w jej umyśle, rzucając monstrualne cienie. Już na samą myśl czuła przyspieszone bicie serca i traciła oddech.

Tego wieczoru, podróżując BART - em przez Zatokę, dostała ataku klaustrofobii, gdy pociąg wjechał pod ziemię i za oknami zapanowała ciemność. Twarze mężczyzn w wagonie (było ich trzech: jeden spał, dwóch słuchało muzyki przez słuchawki) nabrały drapieżnego wyglądu. W migotliwym świetle ich usta przypominały cienkie kreski, na czołach ukazały się pionowe linie, a pod oczami złowrogie cienie. Czy obserwowali ją ukradkiem, próbując odgadnąć, skąd pochodzi? Siedząc na swoim miejscu, zastanawiała się, który z nich może ją zaatakować. Strach pełznął po niej w górę od podeszew stóp, odbierając jej mowę. Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do otworzenia dziennika, który z sobą zabrała.

Wcześniej przeczytała suche, rzeczowe słowa matki na temat ewentualnej aborcji: „Gdyby wąż poprosił, bym to zrobiła, usłuchałabym”. Czytała je raz po raz, póki słowa nie zamazały się jej przed oczami, tworząc ciąg bezsensownych sylab. Oto potwierdzenie tego, co i tak z wyniszczającą intuicją podejrzewała przez całe życie: była mniej ważna, była przeszkodą, brzemieniem. Opanowując całą siłą woli drżenie rąk, cisnęła dziennikiem przez pokój.

Ale nagle pomyślała o ojcu: z jakim ciężkim sercem musiał czytać te słowa. Dopiero teraz poznał powody, dla których żona wytrwała przy nim do końca życia, i zrozumiał, że nie brała go w ogóle pod uwagę. A jednak nie miał nic przeciwko temu, by i córka się z nimi zapoznała. Matka napisała: „Kochałam go, ale nie dość mocno”. W pewnym sensie to gorsze, niż gdyby nie kochała go wcale. Ojciec z łatwością mógł opuścić te zdania, udawać, że ich nie było,

lecz odłożył na bok swój wstyd i przetłumaczył wszystko wiernie, gdyż córka go o to prosiła.

Oraz jej matka. Kiedy gniew opadł, kiedy Rakhi przestała uważać się nad sobą, zrozumiała, że matka, pisząc o tym, dokonała czegoś najtrudniejszego: wyrzekła się milczenia, które przez całe życie stanowiło jej zbroję. Czy zawahała się, pochylona nad notatnikiem, czy gryzła koniec pióra? Czy wyobrażała sobie, jak mąż i córka ją znienawidzą, mimo że ostatecznie zdecydowała się z nimi zostać? Każde słowo w tych dziennikach było jednocześnie darem i raną, którą można uleczyć tylko przez odczytanie. Dlatego też Rakhi podniosła w końcu notatnik, wygładziła pomięte strony i rozpadającą się oprawę. Z uczuciem posępnej wdzięczności doczytała wszystko do końca.

W pociągu wróciła do jednego z pierwszych zapisów, przetłumaczonych przez ojca. Znowu czytała w kółko tę samą stronę:

Przychodzi sen, zwiastując szczęście. Jestem mu rada.

Przychodzi sen, zwiastując smutek. Jestem mu rada.

Sen to zwierciadło mojego piękna.

Dzięki mu składam.

Sen to zwierciadło mojej brzydoty.

Dzięki mu składam.

Całe me życie snem jest jedynie,

Obudzę się z niego wprost w śmierć,

Która jest snem o życiu.

W panice nie potrafiła rozszyfrować ukrytego znaczenia tych słów, ale słyszała w nich głos matki - chłodny, pragmatyczny, nieco zasmucony skłonnością córki do dramatyzowania. Nie opuszczał jej, póki pociąg nie stanął i głośnik nie oznajmił stacji Embarcadero. Wysiadła na miękkich nogach, ale mimo wszystko uznała to za zwycięstwo.

Tak jak prosił Sonny, przedstawia się dziewczynie, która na bramce stempluje dłonie.

- Rany! - krzyczy tamta (bardzo szczupła, cała w czerni, z mocno skręconymi włosami i oczami umalowanymi na Kleopatrze), zrywając się ze stołka. - Kobieta didżeja Sundance'a! Mówił nam o pani. - I mimo protestów Rakhi, wciska jej z powrotem dziesięciodolarówkę. - Nie wypada nam brać od pani kasy. - Proponuje, że zaprowadzi ją do Sonny'ego. - On jest super, no po prostu full wypas! - Zerka na Rakhi z szacunkiem, jakby uważała, że część talentu Sonny'ego musiała przejść i na nią. Kiedy skrępowana tym Rakhi zapewnia, że doskonale trafi sama, dziewczyna, wyraźnie zawiedziona, woła za nią: - Miłej zabawy! - Ale Rakhi na te słowa przenika dreszcz niepokoju.

Klub jest przepastny i słabo oświetlony. Rakhi przystaje, przyciskając się plecami do ściany i próbuje się rozejrzeć. Na przeciwległej ścianie migoczą obrazy z wideo, spływają jeden po drugim w monochromatycznej czerwieni: ruiny jakiegoś kolonialnego budynku, jezioro, kobieta pijąca ze skorupy kokosu, kobra, chmura w kształcie grzyba. Przez tę czerwień Rakhi czuje się, jakby wkroczyła w inny wymiar. „Czas snu”, myśli, przepychając się przez tłum. Nie miała pojęcia, że w środku jest już tyle ludzi, a przecież na zewnątrz czeka długa kolejka. Gdzie oni wszyscy się pomieszczą? A w wypadku pożaru czy czegoś jeszcze gorszego jak się wydostaną? Ale nie przyszła tu, żeby się martwić. Klub działa od dawna i rozwiązuje swoje problemy bez jej pomocy - przypomina swemu cichemu głosowi.

Dopiero teraz słyszy muzykę, chociaż pewnie grała przez cały czas. Zawsze była osobą „wizualną”, na muzyce niewiele się знаła i - co ciekawe - nie miała ochoty na pogłębienie wiedzy w tej dziedzinie. Kiedyś powiedziała Sonny'emu: Jest specyficzny urok w słuchaniu czegoś, co nie w pełni się

rozumie - to tak jak z obcym językiem. Przynajmniej nie rozpraszasz się na domysły, co oznaczają te dźwięki, po prostu pozwalasz, by w ciebie zapadły aż na samo dno. I teraz Rakhi właśnie to robi, a jednocześnie dochodzi do wniosku, że słucha hinduskich instrumentów, chociaż wcale nie brzmią tak, jak klasyczne kawałki, jakich czasem słucha z płyt. Ani jak czysta muzyka folkowa uprawiana przez bywalców Kurma House. Przepycha się aż do niskiej sceny na froncie i widzi mężczyznę i kobietę przy tablach. Obok nich - saksofonista... Ach, więc to właśnie słyszała przed chwilą - ociekające melasą nuty, zgrabnie wplecione w uporczywe dudnienie perkusji, zmieniają się w coś innego i hipnotyzującego. Parę osób tańczy, przeważnie pojedynczo, z zamkniętymi oczami, ale większość tylko słucha. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami na betonowej podłodze, która wygląda na skrajnie niewygodną, kołysząc się w nabożnym skupieniu. Chętnie zostałyby tu dłużej, przyjrzała się różnorodnym wyrazom na ich twarzach - obraz w jej głowie zaczyna nabierać kształtu, jeszcze jeden kolaż... ale nagle widzi schody do podziemi i rusza w tamtą stronę. Za jej plecami jakaś kobieta zaczyna śpiewać klasyczną wokalizę - samogłoska aaaa to wznosi się, to opada, rozłamuje na sylaby, ciągnie w pojedynczej rozwibrowanej nucie. Miękko, potem z mocą, znów miękko, dźwięk zagnieżdża się w niej, jest dziwnie znajomy, takie deja vu kulturowej pamięci, jakiej nie spodziewała się tu znaleźć.

Piwnica skąpana jest w niebieskim, zmiennym świetle, przerywanym regularnymi błyskami. Nasunęło jej to na myśl wiersz, który czytała dawno temu, o bawarskich gencjanach, o afterworldzie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakby z tysiąc ludzi się tu tłoczyło, wszyscy tańczący. Od razu rozpoznaje Sonny'ego, przyciągnięta do niego jakimś wewnętrznym radarem. Jest w kącie za zestawem stołów, ze słuchawkami na szyi, w otoczeniu mnóstwa skomplikowanych urządzeń. Przed

nim na gramofonach obracają się płyty. Od czasu do czasu zakłada słuchawki na uszy i poprawia coś w odtwarzaczu CD. Jeszcze jej nie zobaczył, to dobrze. Dzięki temu czuje się niewidzialna i może go obserwować, kiedy nie jest tego świadom. Obok niego na stołku siedzi kobieta w dreadach i wali w zestaw afrykańskich bębnow. Nad drugim gramofonem pochyła się jakiś mężczyzna. Z miejsca, gdzie stoi Rakhi, wygląda to, jakby drapał płytę, zmuszając ją to do zatrzymania, to do ruszenia. Można by sądzić, że powoduje zakłócenia, kakofonię, ale tak nie jest.

Rakhi instynktownie napina mięśnie żołądka, w oczekiwaniu że zaraz skręca się w mroczną spiralę pamięci. Jest przekonana, że tak właśnie zareaguje na granie Sonny'ego. Ale dźwięki wokół niej stapiają się w muzykę niepodobną do niczego, co dotąd słyszała. Balansuje na krawędzi, nieznacznie mijając się z tonacją, splata ze sobą różne elementy - przez chwilę słyhać gitarę, potem dudnienie basu, potem coś wygenerowanego na komputerze. Nagle wdziera się w to głos kobiecy, jakieś chhaiya chhaiya, zaraz jednak zanika i zostaje magnetyczny łoskot bębnow, niezrozumiałe słowa, folkowe uderzenie, znane jej z Kurma House. I oto muzyka wciąga ją na parkiet - ją, która nigdy w życiu nie tańczyła! „Parkiet” to błędne określenie, bo ludzie tańczą tu dosłownie wszędzie - na schodach, przed ekranem wideo, gdzie widać migawki innych tańczących, tych z niskiej sceny w drugim końcu sali, ludzie podskakują nawet na stołkach przy barze. Tańczą sami albo w parach, ale przeważnie w grupach. Teraz leci piosenka rybaka ze starej płyty, tak lubianej przez ojca, ale jej obecna wersja zmiksowana jest z elektroniką i głosami w obcym języku. Głos śpiewaczki - miód podszyty zgrzytami - o majhi re - to roztapia się w melodii akompaniamentu, to się z niej wybija, za każdym razem zaskakując słuchaczy.

Rakhi odnajduje się w grupie tańczącej bhangra. Płynne ruchy pleców przypominają jej bywalców sklepu. Tutaj taniec jest dziesięć razy szybszy, wymieszany z breakiem, tańcem brzucha i innymi gatunkami o nieznanym jej nazwach. Wszystkim wychodzi to wspaniale, onieśmielona ich talentem Rakhi ma ochotę uciec do baru, ale rytm jest tak zaraźliwy, tak bez troski, że nie może się oprzeć i też porusza głową do taktu, kołysząc się z nogi na nogę. Zresztą i tak nikt na nią nie patrzy, więc może to nieważne, że nie umie dobrze tańczyć, że nie wykonuje tych wszystkich dziwacznych ruchów i ledwie udaje się jej utrzymać w rytmie. Jeszcze parę minut, a potem poszuka stołka w barze.

Teraz grupa rozsuwa się w okrąg. Rozpoczynają jakiś rodzaj tanecznej gry. Podczas gdy jedni klaszczą i gwizdzą, kobieta w haftowanych pantalonach i cętkowanym topie wiruje pośrodku z zamkniętymi oczami. Ramiona ma uniesione, włosy chłoczą jej twarz.

Kręci się tak szybko, że w końcu traci równowagę i zatacza się na ludzi, którzy tworzą koło. Rakhi wzdryga się, ale widzowie chwytają tancerkę, wpychają ją z powrotem do koła, śmiejąc się i klaszcząc. Powtarza się to kilka razy, potem tancerka wychodzi z okręgu i jej miejsce zajmuje mężczyzna z włosami splecionymi w warkoczyki. On też kręci się z zamkniętymi oczami, potyka się, wraca. Po nim do koła wchodzi inni. Rakhi nie może oderwać od nich wzroku; aż bije od nich poczucie braterstwa. Może to wpływ alkoholu i adrenaliny, ale mimo wszystko... Żeby tak iść na oślep między obcych, zaufać im, że udźwigną twój ciężar, że nie zrobią ci krzywdy, wręcz dopilnują, by nic złego ci się nie stało... Czy mogłaby zaryzykować coś takiego po tym wszystkim, co ją spotkało?

Sama nie wie, w jaki sposób ląduje pośrodku tego koła. Czy postąpiła krok naprzód, czy ktoś ją popchnął? W każdym

razie jest tam teraz i obraca się - szybko, szybko. Prawie natychmiast dostaje zawrotu głowy, robi się jej niedobrze. Co za głupota! Jest stanowczo za stara na takie rzeczy, zaraz sobie skreśli nogę. Ledwie zdążyła to pomyśleć, a już się potyka, wyrzuca w górę ramiona, sztywna ze strachu, otwiera oczy w locie... o, już ją ktoś złapał. To kobieta w luźnej sukni, z kwiatami w długim, brązowym warkoczu. Na głowie ma diadem z piór. Eliana? - szepcze Rakhi. - To ty? Ale muzyka tłumi jej pytanie. Kobieta mruga do Rakhi (to potwierdzenie czy tylko zwykła życzliwość?) i oddala się, kręcąc piruety. Inne dłonie podtrzymują Rakhi przed upadkiem, a gdy odzyskuje równowagę, wpychają ją do koła. Ktoś krzyczy: - Dalej, dziewczyno! - i Rakhi się znów obraca, zamyka oczy, tylko teraz już się nie boi. Wiruje, przysuwając się do okręgu, potem wraca, raz, drugi, trzeci. Ku swemu zdumieniu, nawet się uśmiecha. Za każdym obrotem coraz bardziej utożsamia się z muzyką, otoczeniem, tańczy aż do ciemności pod powiekami, czuje, jak pot spływa jej po skórze, jak dźwięk przenika ją do głębi - i nagle czuje też głęboką wdzięczność.

W tańcu zbliża się do części przeznaczonych dla didżeja, zatrzymuje się przy barze, by wziąć drinka - coś słodkiego i mocnego.

Nie wie, co to jest, ale tym razem się nie boi. Zaczyna pomалу rozumieć, co klubowa scena znaczy dla Sonny'ego. Tu nie chodzi o podniecenie, blichtr, pieniądze czy łatwą popularność, jak przedtem oskarżycielsko sądziła, ale o to, że tłum w tej sali kompletnie się zatracą w nastroju, jednoczy z dźwiękiem, że wszyscy wyrzucają ramiona ku niebu, pragnąc, aby ta muzyka nigdy nie ustała... Muzyka, którą on, Sonny, stworzył z oderwanych fragmentów i nadał jej brzmienie, jakiego nikt się po niej nie spodziewał! Muzyka, przy której ludzie wyzbywają się podejrzliwości i żalów... Przecież to tak, jakby był trochę Bogiem!

Podoba się jej, że muzyka ją zaskakuje, przechodząc od etniczności do techno, do bębnow, bębnow, bębnow. Nic nie szkodzi, że nie wiadomo, co dalej; Rakhi ufa, że też będzie dobrze, a przynajmniej ciekawie. Małe strzępki strachu odpadają z niej i odpływają w dal. W środku jest ich znacznie więcej, ale to przecież dopiero początek. Czuje się lżejsza z każdym podrzutem ramion, z każdym ruchem bioder, zupełnie jakby chodziła po księżycu. No dobrze, część tego to skutek drinka... Podaje go Sonny'emu - i to także jest w porządku. On się do niej uśmiecha, błyskając w czarnym świetle oślepiająco białymi zębami, bierze od niej szklanekę i unosi ją w milczącym toaście. Na płyn, który połyskuje niczym truskawkowy atlas, pada promień światła. Tańcząc, Rakhi uświadamia sobie, że to nie może trwać. Jutro wróci znów do swojej zrzędlivej jaźni. (Musi być chyba zawiana, skoro wymyśliła takie słowo!). Ale na razie cieszy się chwilą, tą ulotną drobinką złotego pyłu na pajęczynie świata, gdzie Sonny i ona zetknęli się znów orbitami. Tanecznym krokiem wraca na środek sali, do ogniwa energii, czując na plecach jego wzrok niczym jedwabną dupatę.